

NIE IGRAJ Z CZASEM, BO ŚWIAT,
KTÓRY ZNASZ, PRZESTANIE ISTNIEĆ

TIME RIDERS

WROTA RZYMU



ZIELONA
SOWA

ALEX SCARROW

TIME RIDERS

2007 1912 1957 1941 2058



O Autorze:

Alex Scarrow zaczynał jako grafik, po czym zdecydował, że zostanie projektantem gier komputerowych. W końcu dojrzał i został pisarzem. Napisał wiele popularnych thrillerów oraz kilka scenariuszy, ale to pisanie dla młodzieży pozwala mu do woli cieszyć się pomysłami i koncepcjami, którymi bawił się podczas tworzenia gier.

Mieszka w Norwich z synem Jakubem, żoną Frances i dwoma bardzo grubymi szczurami.

Odwiedź witrynę www.time-riders.co.uk i zostań Jeźdźcem w Czasie.

Seria Time Riders:

Tom 1: Jeźdźcy w Czasie

Tom 2: Czas drapieżników

Tom 3: Kod apokalipsy

Tom 4: Wieczna wojna

Tom 5: Wrota Rzymu

Wkrótce kolejne tomy!



TIME RIDERS

2001 1912 1967 1941 2008

Alex Scarrow

Wrota Rzymu

Tłumaczenie: Karol Sijka

*Bratu Simonowi za użyczenie dwóch
moich ulubionych postaci literackich,
Katona i Macro.*

PROLOG

Brooklyn

10 sierpnia 2001 roku

Joseph Olivera dyszał, powietrze rzęziło mu w płucach i buchało z ust w kompletnej ciemnicy. Szmer niespokojnego oddechu odbijał się echem od grubych ścian spowitych ciemnością. Próbował się uspokoić. Okiełznać nerwy.

„Wiedziałaś, na co się piszesz?”

Tak. Wyjaśniono mu to bardzo obrazowo: uczucie spadania, mleczna nicość, lekkie muśnięcie energii łaskoczącej skórę niczym badawcze, niecierpliwe palce kieszonkowca. I choć był na to psychicznie przygotowany, choć został uprzedzony, Olivera wiedział od Waldsteina, że pierwszy raz jest najtrudniejszy.

Ale to? Tego zupełnie się nie spodziewał. Óma, choć oko wykol.

– Jest tu kto?

Słyszał skapujące skądś krople wody, najpewniej z niskiego sufitu. I niewyraźny, cichy terkot, który w pewnym momencie huknął bezpośrednio nad nim, po czym znowu ucichł i zamarł.

– Halo?

Właśnie wtedy usłyszał kolejny dźwięk. Dochodzący zza pleców metaliczny zgrzyt. Joseph odwrócił się i zobaczył pionowy prześwit srebrzystego światła. Łańcuch zgrzytnął raz jeszcze i otwór się poszerzył. Joseph dostrzegł dolne listwy rolety. Na zewnątrz, w mętnej szarówce rozproszonego światła, zamajaczyły kocie łby, a na nich – para stóp.

– Halo?

Stopy się poruszyły, jakaś postać schyliła się pod roletą i zajrzała do pomieszczenia. Joseph ujrzał brodatego jegomościa w średnim wieku z dumnie sterczącym brzuszyskiem, okularami na nosie, ubranego w sfatygowane sztruksowe spodnie i szary, zapinany na guziki wełniany sweter z łatami na łokciach.

– Halo?

Olivera przykucnął nieznacznie, tak aby dochodzące z zewnątrz światło padło na jego twarz.

– Dobrze trafiłem?

Brodacz zachichotał.

– Kogo my tu mamy... nowy rekrut? – Przeszedł pod roletą do środka, wyprostował się z wyraźną ulgą, po czym podszedł do ściany obok drzwi i zaczął błądzić po niej palcami, aż natrafiły na przełącznik. Nad głową Josepha rozbłysła jarzeniówka. Dopiero teraz dostrzegł, gdzie wylądował – w pustym pomieszczeniu pod ceglanymi arkadami. Cuchnęło przemokniętym cementem i stęchłym moczem. W rogu dostrzegł stertę splątanych przewodów elektrycznych. Tu i ówdzie wałały się tekturowe pudełka z nadrukowanymi na bocznych ściankach czarno-białymi zdjęciami starodawnych komputerów. Masywne klocki nędznej technologii z początku dwudziestego pierwszego wieku.

– To... to nie może być przecież to miejsce – zaniepokoił się.

Nieznajomy uśmiechnął się i ruszył ku niemu, stąpając po zagraconej, nierównej podłodze, na której wałały się odłamki potłuczonego szkła trzeszczące teraz pod jego stopami.

– To tutaj – odrzekł, wyciągając rękę na powitanie. – Frasier Griggs, tak na marginesie.

– Joseph Olivera – padła odpowiedź.
– Ale co racja, to racja. Straszny tu na razie bajzel. Waldstein mówił ci, że dopiero co zaczęliśmy się instalować?
Joseph skinął głową.
– Ale... wyobrażałem sobie...
– Co też sobie wyobrażałeś? Bardziej okazałe miejsce może?
– Tak.
– Więcej nam nie trzeba. – Frasier znów się zaśmiał i rozejrzał dookoła. – Na mój gust to dobry wybór. Przyjemnie tu, dyskretnie. Pewnie od lat nikt tu nie mieszkał. – Odkopnął pustą butelkę, która przetoczyła się przez pokłady kurzu i szczurzych bobków. – Nie liczę oczywiście bezdomnych i narkomanów.
Joseph utkwiał wzrok w bruku na zewnątrz.
– To naprawdę dwa tysiące pierwszy rok? Naprawdę cofnąłem się w czasie o ponad pół wieku?
– No przecież. Do dziesiątego sierpnia dwa tysiące pierwszego, mówiąc precyzyjnie. – Frasier przemówił z niemal teatralnym akcentem, który ludzie niegdyś zwali „angielskim”, zanim jeszcze tożsamość małego kraiku roztopiła się w Eurobloku.
Olivera podszedł do rolety i schylił się, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Frasier podążył jego śladem i uklęknął obok.
– To Brooklyn – oznajmił. – Powiedz mi, Josephie: widziałeś kiedyś zdjęcia Brooklynu sprzed masowych ewakuacji z czasów powodzi?
Joseph potrząsnął głową. Obrzeża tego wspaniałego niegdyś miasta kojarzył jedynie z labiryntem zalanych ulic i zawalonych dachów, na których kiełkowały chwasty i młode drzewka.
– Brooklyn, to dopiero była klimatyczna i ekscytująca dzielnica. – Frasier popatrzył na pokryte graffiti ceglane ściany po drugiej stronie ulicy, na rozciągający się ponad nimi urozmaicony pejzaż miejski: masywne sylwetki żurawi, dachy fabryk i okna loftów. Mężczyzna westchnął. – Kiedyś kolekcjonowałem bezcenne antyki z tych czasów. Płyty CD. Niesamowite brzmienia. Tak zwany hip--hop. Big Daddy K? MC Kushee? Słyszałeś kiedyś o tych artystach?
Joseph bezradnie potrząsnął głową.
– Racja. Teraz tylko podobni mnie starzy pierdziele słuchają takich rzeczy. – Frasier ruchem głowy wskazał okolicę. – Za trzydzieści lat to wszystko wyparuje, zniknie. Zostanie tylko tonące miasto duchów. Porzucone ruiny. Zgnilizna. Rozpacz.
Wysoko nad nimi rozciągała się kopała radośnie błękitnego, bezchmurnego nieba, znaczonego siatką oparów wypuszczanych przez latające wysoko samoloty pasażerskie.
– Ale nieważne, zakładam, że Waldstein wprowadził cię już we wszystko?
Joseph pokiwał głową.
– Musimy się postarać, żeby jak najwięcej komponentów pochodziło z teraźniejszości. To o wiele bezpieczniejsze rozwiązanie. Im mniej zostawimy śladów po naszych czasach, tym lepiej.
Joseph już wcześniej zauważył pudełka po komputerach stacjonarnych.
– Moc obliczeniowa tych rupieci wystarczy, żeby...?
– Oczywiście. Pomajstruję tylko kapkę przy sieci, żeby zsynchronizować procesory. No i wykasuję ten przedpotopowy system operacyjny, zainstaluję software W.G. Systems. Powinno starczyć.
Joseph powiódł wzrokiem za East River, na Manhattan.
– Niezły widok, nie? – Frasier przyglądał mu się z uśmiechem. – Swego czasu to miasto zapierało dech w piersiach.

– Prawda.

Doktor nadstawił uszu, wsłuchując się w zgiełk metropolii: odległy ryk koguta policyjnego, przeciągłe wycie syreny na promie płynącym ku Governor's Island, niewyraźnie dudniące stereo w przejeżdżającym gdzieś obok samochodzie, subtelny szum wirujących śmigieł helikoptera unoszącego się wysoko nad ich głowami.

Joseph czuł, że tak jak pogrążonemu w sentymentalnym zachwycie Frasierowi, jemu też wilgotnieją oczy. „Wszystko tu wydaje się takie żywe”.

To obraz ludzkości pełnej pasji i energii. Tu przyszłość nie zna granic, tu możliwości są nieograniczone. Tak wyglądał świat, gdy ludzie mieli jeszcze nadzieję. Oddech Josepha zrobił się płytszy. Miasto uderzało do głowy jak halucynogeny absynt.

– Dość tego, biuro terenowe Waldsteina samo się nie założy, nie stójmy tu jak te kołki. Robota czeka. – Frasier wyprostował się i kopnął pudełko z McDonalda, które przeleciało pod roletą i potoczyło się po brukowanej alejce. – Waldstein dołączy do nas dzisiaj?

– Tak... Mó-mówił... – Joseph ze wszystkich sił starał się powstrzymać jękanie. – Mówił, że wkrótce przybędzie.

– Świetnie – odparł Frasier. – Bo musi mi wreszcie powiedzieć, gdzie mam mu zainstalować tę translokacyjną szafkę sterującą. Trzeba będzie sprawdzić tolerancję okablowania. I rzecz jasna, zdecydować, gdzie postawić generator awaryjny.

– A gdzie ja mam rozłożyć swoje urządzenia?

Frasier wskazał pogrążony w mroku obszar pod ostatnią arkadą.

– Tam jest jeszcze jeden pokój. Zaplecze. Widzisz te rozsuwane drzwi? Za nimi stoi z tuzin biopróbówek hodowlanych Gen-Inc-5H z naszego ośrodka badań genetycznych w Salt Lake City, no i kilka hektolitrów ohydneho roztworu wzrostowego. Przerzucenie tu tego cholerstwa do łatwych nie należało, wierz mi.

– Rozłożyliście już to wszystko?

– Nie! To twoja działka. Jeśli uznasz, że potrzeba dodatkowych komponentów, to trzeba je będzie pozyskać lokalnie, za wyjątkiem płodów oczywiście.

– Mhm, dobrze.

Frasier nagle szeroko się uśmiechnął, oczy za lśniącymi soczewkami okularów rozbłysły.

– Ten projekt to naprawdę coś. Jesteśmy strażnikami historii i w ogóle!

– Tak... tak, rzeczywiście.

– Widzisz, tylko trzy osoby w całej historii gatunku ludzkiego naprawdę podróżowały w czasie: Waldstein, ja... a teraz i ty. Pomyśl tylko. Więcej ludzi postawiło stopę na Księżycu niż zrobiło to, co właśnie udało się tobie.

Z twarzy potakującego Josepha nie schodził uśmiech. Entuzjazm Frasiera był absolutnie zaraźliwy.

– Przed nami masa pracy, Josephie, stary druhu. Ale zanim przejdziemy do obowiązków... może kawki się napijemy? Tuż za rogiem jest bardzo przyjemna kawiarenka.

– Prawdziwej kawy?

– Dobry Boże, no a jakże inaczej? Zapomnij o tej wymiotnej lurze z soi syntetycznej. – Przyjaźnie klepnął Josepha po ramieniu. – Pokażę ci kawałek Brooklynu, zanim zakaszemy rękawy i zabierzemy się do roboty. Co ty na to?

– Z wielką chęcią napiłbym się kawy.

Frasier wyprowadził Josepha na ulicę, opuścił roletę do samej ziemi i nie bez problemów zatrzasnął ją za pomocą zardzewiałej kłódki.

– Zaczyna się. Spróbuję zainstalować przy niej jakiś napęd. Nie ma sensu, żebyśmy

mocowali się z tym szmelcem za każdym razem, gdy przyjdzie nam ochota na wyjście.

Poranne słońce skrzyło się na całej szerokości East River, jaskrawe odbłyśki pstrokatego światła dźgały Josepha prosto w wilgotniejące oczy. Przepływający prom wzburzył wywrócone do góry nogami odbicie imponujących drapaczy chmur Manhattanu, przez most Williamsburg ze stukotem przejeżdżał pociąg osobowy zmierzający ku wyspie.

„Pięknie. Zachwycająco”.

Zauważył, że i Frasier patrzy na to wszystko z zachwytem.

– Ach, co ze mnie za gbur! – odezwał się nagle, komicznie salutując przed Josephem. – Powinienem chyba oficjalnie powitać cię w naszej małej „Agencji”.

Joseph nieporadnie powtórzył ten sam gest, czując że jego ciało przeszywa dreszcz wzbierającej ekscytacji.

„Ależ to niewiarygodny projekt”.

ROZDZIAŁ 1

Nowy Jork
rok 2001

Poniedziałek (siedemdziesiąty siódmy cykl czasowy)

Coś jest nie tak. Czuję to. Szykuje się coś naprawdę dużego. Coś, o czym nie wiemy. Coś, o czym powinien był nam powiedzieć Foster, choć tego nie zrobił. Może i chciał, ale nie mógł. Nie pozwolono mu. Może dlatego od nas odszedł?

Sal odłożyła długopis i rozejrzała się po pralni – pustej, jak zwykle w poniedziałek rano. Hinduska była jedyną klientką. Usiadła w rzędzie plastikowych krzesełek ustawionych przed brudnym oknem i patrzyła na meblówz próbujący precyzyjnie przesuwać się obok zaparkowanej przy krawężniku żółtej taksówki; kierowcy obu pojazdów opuścili szyby, żeby obrzucić się stekiem zwyczajowych bluzgów.

Mężczyźni. Chodząca agresja. Sal zastanawiała się przez chwilę jak wyglądałaby rzeczywistość wolna od testosteronu. O ileż lepszym miejscem byłby świat bez mężczyzn uderzających się w klatki piersiowe jak goryle.

Ponownie spuściła wzrok na notatnik.

Ta rzecz. Ta wypchana zabawka. Miś. Nie wiedzieć czemu, to klucz do wszystkiego. Jestem pewna.

Przybysz z przyszłości – zdeformowana postać, która niegdyś była człowiekiem – w momencie śmierci na pewno próbował powiedzieć jej coś o niebieskim misiuku. Coś przeznaczonego wyłącznie dla jej uszu. Zastanawiała się, jakim sposobem wypchana zabawka, w dodatku poprzecierana i postrzępiona, mogła cokolwiek dla kogokolwiek znaczyć – nie licząc przywiązania jakiegoś dzieciaka.

Napisała kolejne zdanie w notatniku.

No i jest jeszcze uniform Liama.

Sal jedno wiedziała na pewno: że może, a nawet powinna wierzyć własnym oczom, temu, co rzeczywiście widzi. Dobrze przyjrzała się uniformowi wiszącemu w szafie ustawionej tuż przed wnęką z łózkami. Wisiały w niej ubrania, które mieli na sobie w dniu przybycia do bazy terenowej. Nigdy ich nie zakładali, miały bowiem bezcenną wartość, były ostatnim ogniwem łączącym ich z poprzednim życiem, które wiedli zanim zostali Jeźdźcami w Czasie.

Zdjęła z wieszaka uniform Liama, ten sam, w którym przybył tutaj w noc zatonięcia Titanica. Mundur miał dwa rzędy mosiężnych guzików i emblemat linii White Star Line w postaci gwiazdki przyszytej do purpurowego kołnierzyka i tak... o, jest tutaj, jej szukała: ledwie widocznej plamki po winie w kształcie przecinka sterczącego na prawym ramieniu. Bardzo niewyraźna. Ktoś najwidoczniej starał się ją usunąć, ale wysiłki spaliły na panewce.

I w tym całym ambaras. Dokładnie taka sama plamka... identyczna... znajdowała się na

uniformie wiszącym w dziwnym sklepiku ze starociami i kostiumami do wynajęcia, który znajdował się kilka przecznic dalej. Wierna replika uniformu Liama. Sal zapisała w notesie od razu nasuwające się pytanie.

Jak to możliwe, że replika jego stroju wisi w tym sklepie?

Odpowiedzi nasuwało się mnóstwo, ale Sal nie podobała się żadna z nich. Zdecydowała się zapisać tę najbardziej niepokojącą.

Czy to znaczy, że już tutaj byliśmy?

Podniosła głowę znad notatek. Meblowóz wciąż ocierał się o lakier taksówki, a kierowcy z wyraźną satysfakcją nie przestawali obrzucać się mięchem, odgłosy Brooklynu wzbijały się ponad frenetyczny stukot suszarek bębnowych. Sal odwróciła się i wlepiła spojrzenie w okrągłą szybkę, za którą wirowały suszące się ubrania Maddy. Same ubrania z dwa tysiące pierwszego roku, zwykłe ciuchy, dzięki którym mogli wtopić się w tłum. Wzrok Hinduski przykuła przyklejona do szybki, kręcąca się jak na karuzeli, bladozielona skarpetka, złapana w kleszcze odśrodkowej siły wirowania.

„Zupełnie jak my”. Ona, Maddy i Liam, trzy nieszczęsne dusze skazane na wirowanie w bezkresnej pętli, w której przyszło im żyć.

Spojrzała na sterczący spomiędzy palców długopis. Na dziennik, niepozorny notatnik w linie, do kupienia w pierwszym lepszym sklepie papierniczym. Przekartkowała kilka stron, uświadamiając sobie, że jej małe, zgrabniutkie literki, rysunki i esy-floresy wypełniły już ponad jedną czwartą dziennika. A przecież zanim go sobie przywłaszczyła, kilka miesięcy „bańkowych dni” temu, z notesu wyzierały tylko poszarpane krawędzie kilkudziesięciu wyrwanych stron.

Nagle wpadła jej do głowy niepokojąca myśl, przeszył ją zimny dreszcz, upiorny paluch strachu przejechał po kręgosłupie, a gęsia skórka zelektryzowała całe ciało.

„Och, Shadd-yah. A jeśli to byłam ja? – Pomyślała, że już używała tego notatnika... poprzednio. – Inna ja? Poprzednia wersja mnie?”

Zrobiło jej się niedobrze. Czy Foster nie opowiadał im o losie poprzedniej drużyny? Mówił przecież, że „jej członków rozerwało na strzępy”, że „niewiele z nich zostało”. Tamten pierwszy dzień pamiętała bardzo wyraźnie. Pamiętała, jak obudziła się na swoim materacu, jak poznała Maddy i Liama, jak zobaczyła starą twarz Foster'a nachylającą się tuż nad nią, jak uświadomiła sobie, że to dokładnie ta sama twarz, którą widziała tuż przed śmiercią, tuż przed tym, jak jej dom w Mumbaju zawalił się i pograżył w szalejącej otchłani piekła.

I jeszcze ten niepokojący twór... upiorna zjawa z ciemności, przed którą w pośpiechu uciekli z bazy. Szukacz. Czy Foster nie mówił, że ten niematerialny, jaśniejący kształt – przywodzący na myśl cieniutką błonę, meduzę, smugę dymu – rozerwał członków poprzedniej drużyny na nieidentyfikowalne strzępy?

Poprzednią drużynę.

„Nas?”.

ROZDZIAŁ 2

Cheyenne Mountain, Colorado Springs

rok 2070

– Ale dlaczego, *skippa*?

Rashim Anwar potrząsnął głową, zniecierpliwiony dziecięcym pytaniem. Piskliwy głos i nieschodzący z ust stwora bezczelny, głupkowaty uśmiezek, który teraz go tak drażnił, zaprojektował przecież on sam. Jednostka laboratoryjna, jeden z miniaturowych modeli, sięgała mu do pasa. Przeznaczone do użytku domowego klony, dostarczane w fabrycznej obudowie z poligenicznej skóry, wyglądały jak małe plastelinowe dzieci. Nie miały włosów, a z ich sztucznych twarzy emanowała fabryczna pustka i zubożenie. Jednostki różniły się jednak od siebie kształtem i rozmiarem. Egzemplarz Rashima, zaprojektowany specjalnie pod kątem pracy w laboratorium, był przysadzisty i kanciasty i zupełnie nie przypominał plastelinowego dzieciaka, przywodził raczej na myśl tupoczącą na krótkich nóżkach szafkę.

Rashim nie potrafił odmówić sobie przyjemności pogmerania przy jednostce: temperament wynalazcy wziął górę. Laborant od samego początku kształtem i konfiguracją przypominał postać z kreskówki, dlatego przeprogramowanie kodu poligenicznej obudowy tak, aby stał się wierną repliką pewnej postaci, zajęło raptem kilka godzin. Jeszcze szybciej udało się zmienić domyślny kolor sztucznej skóry z funkcjonalnej szarości na jasną żółć i przemodelować rysy twarzy, aby wyglądała jak durnowata facjata bajkowego stwora.

– Ale dlaczego, *skippa*? – ponownie zapytał laborant piskliwym głosikiem. Spojrzał na Rashima wielkimi, okrągłymi oczami, które jaśniały nad sterującym jak ogórek nosem i dwoma samotnie wystającymi zębiskami.

Rashim pamiętał stare kreskówki dość mgliście. Nałogowo oglądał je jego dziadek, bujając się w fotelu i śmiejąc na całe gardło z wygłupów wyczynianych przez dziwne postaci na ekranie. Rashim projektował swojego pomocnika na podstawie tych mglistych wspomnień z dzieciństwa. Z dziecięcą fascynacją hakował kod konfiguracyjny jednostki i patrzył, jak poligeniczny plastik zmienia barwę i kształt. Gdy tak spoglądał teraz na dociekliwego robota, doszedł do wniosku, że uzyskał bardzo zbliżony efekt, choć wcale nie był pewien, czy dobrze zapamiętał imię postaci.

– SpongeBubba... ciężko to wyjaśnić.

– Proszę, wyjaśnij mi to, *skippa*! Proszę!

– Myślę, że to błąd projektowy w kodzie programowania.

– Kodzie programowania? Ale ludzie nie mają wbudowanych modułów sztucznej inteligencji! – zaskrzeczał SpongeBubba.

Rashim zdjął okulary i odgarnął znad oczu grzywkę kruczoczarnych włosów. Stanęli przy zamkniętych drzwiach, doktor przystawił lewe oko do skanera identyfikacji siatkówki.

– Tak się tylko wyraziłem, SpongeBubba. Rzecz w tym, że wszyscy mamy swoje wady, które przypominają niepoprawne wiersze kodu. Różnica między mną a tobą polega na tym, że zmodyfikowanie moich schematów behawioralnych byłoby drogą przez mękę. My, ludzie, jesteśmy, kim jesteśmy.

– To bez sensu – odparła jednostka. W żółtej plastikowej skórze wyłobily się zmarszczki zmartwienia. – Dlaczego ludzie chcą zniszczyć własny świat?

Drzwi otworzyły się na roścież. Trzask zawiasów podtrzymujących trzytonowe ognioodporne wrota rozbrzmiał echem w pogrążonej w mroku, zakurzonej sterowni, której ściany obudowano rzędami wielkich szklanych

wyświetlaczy z przesuwającymi się słupkami danych strategicznych. Bazę wybudowano ponad sto lat temu jako centrum kontroli i dowodzenia na wypadek nieuniknionej, jak się wówczas wydawało, wojny nuklearnej z Rosją. Teraz wszystko to przywodziło na myśl muzealną gablotę.

Rashim zawahał się przez sekundę przed rozsuniętymi drzwiami, zwlekając z wejściem do nieoświetlonego korytarza po drugiej stronie.

– Taka jest zapewne nasza natura. Nie lubimy złych wieści... więc je zwyczajnie ignorujemy.

– Trele morele, to głupota!

Uśmiechnął się. Wzorzec mowy jednostki to również zasługa odpowiedniej konfiguracji.

– To rzeczywiście głupie, Bubba. W pewnym momencie mogliśmy wszystko zatrzymać i naprawić. Ocalić ziemię przed przegrzaniem, ale wtedy zdawało się, że już i tak za późno. Przestaliśmy się starać.

– Takie tam gadanie – ponownie zaskrzeczał SpongeBubba.

Rashim uśmiechnął się tylko. „Właśnie... gadanie”.

Wszedł do korytarza. Ogniodporne drzwi z hukiem zatrzasnęły się za nimi, a w korytarzu rozbłysły światła z zainstalowanymi detektorami ruchu. Blaknący na betonowej ścianie napis informował, że właśnie wchodzi do strefy bezpieczeństwa poziomu trzeciego. Po obu stronach napisu wisiały oprawione fotografie starych prezydentów Stanów Zjednoczonych: Busha, Obamy, Palin, Schwarzeneggera, Vasqueza, Esquerry.

Wykuta w zboczu góry Cheyenne baza dawno temu pełniła rolę centrum dowodzenia NORAD. Utrzymywano ją w gotowości operacyjnej do połowy lat czterdziestych dwudziestego pierwszego wieku, ale w końcu zamknięto ją po pierwszej Wojnie Naftowej. Rosja, niegdyś wróg Stanów Zjednoczonych, podobnie jak Ameryka borykała się dzisiaj z własnymi problemami i nie stanowiła żadnego zagrożenia nuklearnego.

Teraz bazę nazywano po prostu „Obiektem 29H0-Kolorado”.

– Sądę, że pokolenie mojego dziadka... moich rodziców nawet, było zbyt pochłonięte tymi wszystkimi małymi przyjemnościami: oglądaniem filmów na wielkich i lśniących holotelewizorach, jedzeniem prawdziwego mięsa co najmniej trzy razy w tygodniu, kupowaniem modnych cyfroubrań. Byli zbyt zajęci konsumpcją, żeby zauważyć, że powoli podnosi się poziom mórz, które zaczęły zalewać linie brzegowe i pierwsze miasta.

– Czy wielkie powodzie przyszły po zakończeniu wojen naftowych, Rashimie?

– Tak. – Doktor wzruszył ramionami. – Gdyby ropa naftowa i inne zasoby paliw wyczerpały się znacznie wcześniej, wszyscy byśmy na tym skorzystali. Kto wie, może lodowce by się nie roztopiły.

Dzieciństwo Rashima i jego rówieśników upłynęło w świecie wstrząsanym falami nieustannej migracji. Miliony – miliardy – ludzi pozostawały w ciągłym ruchu. Wszyscy uciekali z terenów znikających pod wzbierającymi falami skażonej wody.

– Widzisz... problem tkwił w tym, Bubba, że było nas dużo za dużo.

– Za dużo ludzi?

– Prawie dziesięć miliardów. Przyrost naturalny wymknął się spod kontroli. – Rashim spuścił wzrok na jednostkę, która dreptała obok niczym tresowana kaczka. – Wszyscy okazaliśmy się głupcami.

Robot pokiwał głową, sztuczny, ogórkowaty nos zadrgał nieznacznie.

– No a co myślałeś? Straaasznie głupi byliście i tyle, skippa.

„Dziesięć miliardów gąb do wykarmienia. Jak mogliśmy dopuścić do takiego przeludnienia?” – pomyślał, przypominając sobie wykład jednego ze starych nauczycieli.

– Syndrom szalki Petriego. Włóż bakterię do naczynia wraz z pożywieniem. Zostaw ją samą sobie na wystarczająco długi czas, a wypełni całe naczynie. Później, ojej, później... zwróci się przeciwko sobie samej i zacznie pożerać własne białka, żeby przeżyć.

– Nawarzyło się piwa, to trzeba je wypić – stwierdził refleksyjnie SpongeBubba i podniósł na Rashima wielkie, pogodne oczy. – Posłużyłem się właściwym przysłowiem?

Rashim pokiwał głową.

– Tak. Świetna robota, Bubba.

– Dzięki, stary!

Za rogiem korytarz zakręcał w boczną odnogę oświetloną miarowym światłem emitowanym przez mętne lampy sufitowe. Na końcu korytarza, po obu stronach windy, stało na straży dwóch żołnierzy.

Rashim beztrudno zamachał im dłonią na powitanie, podchodząc do nich wraz z jednostką.

– Cześć, chłopaki.

– Dzień dobry, doktorze – powiedział starszy strażnik. Pewnie mógłby być jego ojcem.

Rashim czuł się przez to niezręcznie, wychodziło na to, że był zdecydowanie najmłodszym członkiem zespołu technologicznego. Miał dopiero dwadzieścia siedem lat, a już został koordynatorem „zespołu odbiorczego”: grupy ośmiu techników laboratoryjnych, z których najmłodszy był co najmniej dziesięć lat starszy od niego.

– Ranny z pana ptaszek, doktorze Anwar.

Rashim wzruszył ramionami.

– Obowiązki. Musimy przeprowadzić kalibrację, żeby zweryfikować markery translacyjne.

SpongeBubba uniósł obleczoną w rękawiczkę kreskówkową dłoń i żartobliwie zasalutował strażnikom.

– Tak jest! Rashim jest najważniejszym człowiekiem na całym świecie.

Rashim skrzywił się na tę wyrażoną śpiwnym tonem, megalomańską odzywkę asystenta. Starszy strażnik zmarszczył brew.

– Wie pan przecież, że poza ośrodkiem moduł mowy jednostki musi być wyłączony? To naruszenie zasad bezpieczeństwa.

– Tak, tak, rzeczywiście... przepraszam. – Puścił urękawiczoną dłoń Bubby. – SpongeBubba, bądźże cicho!

– Jasne! – Robot zacisnął plastikowe wargi i wydał je w poczuciu winy.

– Naprawdę bardzo mi przykro.

– Rozumie pan, że będziemy musieli zgłosić ten epizod naruszenia bezpieczeństwa – bardziej oznajmił, niż zapytał żołnierz.

Rashim pokiwał głową. Oberwie za to dzisiaj od kierownika projektu, doktora Yatsushity, oj, oberwie.

– Obiecuję, że w przyszłości będę go wyciszał po wyjściu z laboratorium.

Żołnierz się uśmiechnął i chytrze mrugnął do Rashima okiem.

– Skoro tak, to tym razem puścimy to w niepamięć. – Nacisnął przycisk i drzwi do windy rozsunęły się na oścież. – Miłego dnia, doktorze..

– Dziękuję. – Rashim skinął głową w geście wdzięczności i trzymając jednostkę laboratoryjną za dłoń, wprowadził ją do windy. Po sekundzie zasunęły się za nimi drzwi.

Gdy winda ze świstem wiozła ich na poziom trzeci, miał szansę oczyścić umysł ze zbędnych przemyśleń. Dziecięca ciekawość,

SpongeBubby pragnącego wiedzieć wszystko o wszystkim, mogła zaczekać. Ma nowe dane

wejściowe do sprawdzenia i przetworzenia: intrapoczą otrzymał wczoraj informację, że zmieniła się masa operacyjna, a to oznacza kilkudniową rekaliibrację przyrządów. No i termin goni, już tylko sześć miesięcy.

– Bubba, przyszły dziś rano na skrzynkę odbiorczą jakieś nowe wiadomości?

SpongeBubba popatrzył na niego bezradnie, rozpaczliwie próbując wyrzucić z siebie choć słowo, plastikowe usta robota drżały w udęce.

– Wyłącz wyciszenie.

– Tak! – wyrzucił z siebie skwapliwie. – Tak, *skippa!* Trzy wiadomości od doktora Yatsushity. Siedem od...

– Odpowiem na nie popołudniu. Przypomnij mi.

– Tak, *skippa!* Zapisuję.

Szum ciasnej windy osłabł o kilka tonów, kabina lekko się zatrzęsała i zatrzymała. Za rozsuniętymi drzwiami wyrosły płyty ze sklejki, skutecznie zasłaniające widok na resztę pomieszczenia. Na znaku przyczepionym do jednej z płyt widniał napis:

**UWAGA, ZARAZ WEJDZIESZ NA TRZECI POZIOM STREFY
BEZPIECZEŃSTWA**

Ostatnie, dobitne ostrzeżenie skierowane do ewentualnych intruzów. Pod znakiem ktoś markerem dopisał jeszcze jedno zdanie:

WITAMY W PROJEKCIE EXODUS

ROZDZIAŁ 3

Nowy Jork
rok 2001

– Nie wierzę – oznajmił Liam.
– Uwierz. – Maddy z nieobecny wyrazem twarzy przygryzła końcówkę długopisu. – Nigdy... – Wyglądała, jakby miała wymiotować. – Nigdy nie chcę tego powtarzać.

Liam powoli pokiwał głową.

– Tak, to trudne – Przypomnił sobie, w jaki sposób musiał kiedyś odzyskać twardy dysk Boba. Powtarzał sobie w kółko, że wcale nie dopuścił się potwornego okaleczenia jednostki pomocniczej... starał się przecież tylko odzyskać przyjaciela.

Maddy spojrzała ku rolecie po przeciwległej stronie bazy i zatrzymała wzrok w miejscu, gdzie wcześniej leżała papierowa torba. Torbę, w którą zapakowali przedmiot wielkości piłki do kosza, szczelnie zawiązali i owinęli inną torbą. Na szczęście już się tego pozbyli. A mówiąc precyzyjniej, to Bob wyrzucił ją jakiś czas temu. Zastanawiali się, czy głowie jednostki należy się pochówek, ceremonia pożegnalna, mowa pogrzebowa. Nikt jednak nie wiedział, jak to przeprowadzić i co właściwe należałoby powiedzieć. Wreszcie Bob zwyczajnie ją wyniósł. Mads nie chciała nawet wiedzieć, co z nią zrobił. To już zresztą nie była Beki, a czterokilowa bryła tkanek, kości i chrząstek.

– Tylko zabezpieczyłam dane – mruknęła, próbując wymazać z pamięci świeże emocje i ukryć ból pod warstwą technicznych terminów. – To wszystko – powiedziała sobie. – Jakbym wyjmowała płytę główną z komputera. Wielka mi rzecz.

Ciało Beki odnalazła zagrzebane pod stosem innych zwłok. Głowę jednostki szpeciło wówczas kilka poważnych ran. Po otrzymaniu choć jednej z nich normalny człowiek padłby trupem na miejscu. Ale genetycznie zaprojektowana, grubsza czaszka i dużo mniejszy mózg organiczny sprawiały, że jednostka mogła odnieść katastroficzne obrażenia czaszki, ale pozostać w pełni funkcjonalna. Najwyraźniej nie była jednak nieśmiertelna. Ciało odniosło na tyle poważne obrażenia, a z organizmu wypłynęło tyle krwi, że Beki w końcu straciła zdolność operacyjną i zmarła.

Sal usiadła tuż obok Maddy na oparciu wysłużonej sofy.

– Myślisz, że jej układ scalony da się uratować?

Maddy wskazała głową rząd ekranów po przeciwległej stronie bazy. Na kilku z nich przebiegał proces buforowania zaszyfrowanych danych.

– Komputer-Bob uruchomił proces diagnostyczny, żeby sprawdzić jej mikroukład. Nie wiem. Mam nadzieję, że nie jest uszkodzony. Trochę to potrwa, ale niedługo się przekonamy. Silikonowa obudowa jest wgnieciona. Musiał w nią trafić pocisk. Nie wiem, jak to wpłynęło na znajdujący się w środku dysk. Poczekamy, zobaczymy.

Troje przyjaciół w milczeniu patrzyło na ekrany, na których migały szeregi liter, cyfr i danych, niezliczone terabajty zapisanych wspomnień: dinozaury, dżungla, rycerze i zamki w roli głównej.

Wszystkie te wspomnienia tworzyły Beki... Beki.

– Wyhodujemy ją na nowo – powiedział Liam. – No nie?

Sal skinęła głową.

– Jasne, lepsze dwie jednostki pomocnicze niż jedna – powiedziała, niepewnie spoglądając na Maddy.

– Pewnie. Ale...

– Ale co?

– Nie wiem, czy będziemy mogli użyć jej sztucznej inteligencji. Jeśli uszkodzenia są zbyt poważne, jeśli sztuczna inteligencja okaże się zawodna, Beki może stać się niebezpieczna. Niewykluczone, że będziemy musieli posłużyć się domyślnym kodem AI.

– Tyle że wówczas nie będzie to już nasza Beki – zauważył Liam.

W jednostkach pomocniczych, Bobie i Beki, rozwinęły się dwie niezależne formy sztucznej inteligencji, choć zainstalowano w nich dokładnie ten sam system operacyjny. Maddy zgadywała, że ma to związek ze sposobem interakcji pomiędzy małym organicznym mózgiem a silikonowym procesorem, że to właśnie „mięśny” komponent ich umysłów definiował ich tożsamość, nadawał im indywidualną osobowość, charakter.

– Masz rację – zgodziła się – to nie byłyby ta sama Beki.

– Naprawdę mam nadzieję, że jej komputer jest sprawny – rzekł ze smutkiem Liam.

Sal popatrzyła na niego.

– Była trochę... sama nie wiem, trochę zimna, choć tylko czasami.

Irlandczyk potrząsnął głową, z trudem otrząsając się z głębokiego zamyślenia.

– Myślę, że ona dopiero powoli zaczynała się uczyć, jak czuć.

Maddy zgodziła się z nim w myśli, sama widziała, jak ten proces przebiega w jednostce pomocniczej, jak rodzą się wzory zachowań, które można opisać jako emocję – pragnienie służenia pomocą, poszukiwanie aprobaty.

– Cierpliwości, poczekajmy, zobaczymy, co uda się uratować. Jeżeli dane są kompletne, odzyskamy Beki, którą znamy i kochamy.

„Jeśli dane są kompletne”.

Ale myśli Maddy biegły już w innym kierunku: ku zaszyfrowanej partycji wydzielonej na twardym dysku Beki. Kilka milimetrów silikonu, na których przechowywana jest tajemnica. Tajemnica tak straszna, że w przeszłości stała się źródłem legendy o Świętym Graalu, przyczyniła się do powstania słynnego zakonu templariuszy i skłoniła króla Ryszarda do zorganizowania krucjaty w celu odbicia Jerozolimy. Tajemnica przekazywana z pokolenia na pokolenie przez dwa tysiące lat. Tajemnica, którą tylko oni mogli rozszyfrować.

Najwidoczniej jeszcze nie teraz.

Jak ujęła to Beki? Powiedziała, że wiadomość to droga do prawdy, która jeszcze nie może zostać wyjawiona. Stanie się to dopiero...

„Gdy nadejdzie koniec...”.

– Oby tylko wiadomość ze starego manuskryptu ocalała – odezwał się Liam, zupełnie jakby czytał w jej myślach. – Wiele bym oddał, żeby dowiedzieć się, co kryje.

– Ja też. – uśmiechnęła się Maddy.

Drzwi od rolety delikatnie zastukotały, jakby ktoś z zewnątrz uderzył w nie pięścią.

– Sprawdź – zaoferowała się Sal.

Zwinnie zeskoczyła z oparcia kanapy, przebiegła przez bazę i wcisnęła przycisk podnoszenia rolety, która podniosła się z hałasem, wpuszczając do środka światło dnia i ukazując masywne, owłosione nogi Boba. Aby naturalnie wtopił się w tłum turystów na Times Square, Sal ubrała go w szorty, klapki i hawajską koszulę. Maddy nie była w stu procentach przekonana, czy to rzeczywiście zadziała. Wyglądał jak cudaczna wersja Clarka Kenta wybierającego się na wakacje.

Bob przecisnął się pod roletą, ściskając w wielkich jak golenie mamuta łapskach kartonowe pudełko z napojami na wynos.

– Kto chciał karmelowe frappuccino?

ROZDZIAŁ 4

Central Park, Nowy Jork
rok 2001

Nieśpiesznym krokiem spacerowali wokół stawu dla kaczek, rozkopując spod stóp pierwsze jesienne liście. Przyglądali się parze młodych ludzi na rolkach. Maddy odprowadziła ich wzrokiem ze smutkiem w oczach i chwytającą za gardło zazdrością: byli mniej więcej w jej wieku i sprawy tego świata mieli w głębokim poważaniu. Młody, opalony i szczupły mężczyzna miał faliste blond włosy i krótką kozią bródkę, trzymał za rękę nieporadną dziewczynę, która chybotwała się na boki, szyszcząc z własnej pokraczności.

Ileż oddałaby za tę jedną chwilę. Tylko tę jedną chwilę.

Foster ze współczuciem dotknął jej ramienia.

– Dobrze wiem, o czym teraz myślisz.

– O czym?

– Myślisz, że nieświadomość to błogosławieństwo.

– Wolałabym być kim innym, Foster. – Ze skruchą wzruszyła ramionami. – Kimkolwiek.

– Ruchem głowy wskazała młodą parkę, obojgu zaczęły się plątać nogi, chłopak śmiał się do wtóru z chichoczącą dziewczyną. – Fajnie byłoby zamienić się z nimi miejscami.

– Nigdy nie doświadczą i nie zobaczą tego, co ty. Tego, co zdążyłaś już doświadczyć.

Maddy westchnęła.

– To zbyt trudne. Nie wiem, jak sobie z tym wszystkim poradzić. – Zerknęła na jego starą twarz, zapadłe policzki i głęboko osadzone oczy okolone wachlarzem zmarszczek czy też „kurzych łapek od śmiechu”, jak ująłby to ktoś kurtuazyjnie. – Z każdym naszym spotkaniem mam na barkach więcej i więcej zmartwień, którymi muszę cię zamęczać.

– To chyba straszna udręka wciąż się tak powtarzać – zarechotał.

Tylko wzruszyła ramionami. Taki był układ. Tak już musiało być. Foster spacerował po Central Parku o ustalonej porze dnia. Tuż przed południem karmił gołębice, by potem wyruszyć w szczęśliwą podróż do wymarzonego miejsca. Dla niego była to tylko jedna z wielu przychodzących i odchodzących na zawsze godzin, ale Maddy – żyjąca w bańce dwóch zapętlonych dni, dziesiątego i jedenastego września dwa tysiące pierwszego roku w Nowym Jorku – traktowała te spotkania jak rytuał, kolejną okazję do rozmowy z Fosterem. Szansę na zasięgnięcie jego porady. Niestety, dla Foster'a każde ich spotkanie było pierwszym od czasu, gdy opuścił drużynę i mianował Maddy dowódcą całej gromadki. Każda ich rozmowa rozpoczynała się więc od coraz obszerniejszego streszczania problemów i komplikacji czasoprzestrzennych, którym drużyna zdążyła już stawić czoła.

– Sporo już przeszliście – zagał banalnie.

– Mnie to mówisz?!

Pergaminowa skóra na twarzy starca rozciągnęła się w szerokim uśmiechu.

– Abraham Lincoln to kawał oryginalnej postaci, nie inaczej. Naprawdę uciekł obu jednostkom pomocniczym?

– Oj, tak, facet potrafi pognać jak wygłodzony brzdąc za furgonetką lodziarza.

Zaśmiali się oboje.

Foster ruchem głowy wskazał ustawioną obok alejki ławkę ocienioną gałęziami klonu.

– Usiądziemy? Moje stare nogi czasem się buntują.

– Pewnie.

Spojrzała na niego, zastanawiając się, ile dni mu zostało, ile lat życia skradł mu wehikuł translokacyjny. Podczas któregoś z wcześniejszych spotkań przyznał, że ma tylko dwadzieścia siedem lat. Mało tego, zdradził jej też coś, co wprawiło ją w osłupienie – wyznał jej, że niegdyś był Liamem. Nie wytłumaczył jej, jak to w ogóle możliwe, właściwie to odmówił odpowiedzi. Wyjawiał jej to, bo chciał, aby wiedziała, że za każdym razem, gdy Liam wybiera się do przeszłości, proces translokacji stopniowo go zabija, drastycznie przyspieszając proces starzenia. Młody Irlandczyk zdecydowanie zbyt szybko zamienia się w niego, w starca. Maddy miała na bieżąco oceniać, ile jego organizm jeszcze znieśie. Dlatego właśnie musiała poznać prawdę.

Rozsiedli się na ławce, patrząc, jak gołębie w dalszej części alejki nadymają się z oburzenia i wycofują przed kilkoma bernikłami, które przyczłapały, by objąć w posiadanie nowe terytorium zasypane okruszkami chleba.

– Foster?

– Słucham.

– Czego nie chcesz mi powiedzieć?

Popatrzył jej prosto w oczy z rozbijającym uśmiechem, próbując za wszelką cenę uciec od tematu.

– Dajże spokój, Foster... nie powiedziałaś mi nawet połowy tego, co powinnam wiedzieć. Starzec zmrużył oczy.

– Powiedz mi w takim razie, co już podejrzewasz.

– Dlaczego... dlaczego zwyczajnie nie wyjawisz mi wszystkiego?

– Bo nie wiem wszystkiego.

– Ale więcej niż ja. Więcej niż mi powiedziałaś!

Wytrzymał jej spojrzenie. Wreszcie pokiwał głową z odcieniem żalu.

– Przyznaję, wiem więcej.

– Ale dlaczego, dlaczego nie powiesz mi tego, co wiesz? Co przede mną skrywasz?

– Wiedzę, Maddy... wiedzę o przyszłości.

– O Pandorze?

Potrząsnęła głową. Powiedziała mu już o notatce, którą odkryła. O pojawieniu się tego słowa w manuskrypcie Voynicha.

– Nic nie wiem na temat Pandory – odparł i jak podejrzewała, mówił to całkiem szczerze.

– To wiadomość, Foster. Wiadomość, którą ktoś bardzo chce mi przekazać, dlatego musi być cholernie ważna.

Starzec podparł palcami podbródek, z którego zwisał płat pomarszczonej skóry.

– To możliwe, bardzo możliwe.

– No to co powinnam teraz zrobić?

Popatrzył, jak napuszone gołębie i gęsi tupoczą wokół siebie, nieufnie mierząc się wzrokiem. Wreszcie przemówił.

– A gdybyś o to zapytała?

– Kogo zapytała?

Starzec ograniczył się do znaczącego uniesienia brwi.

– Co sugerujesz? Mam przesłać wiadomość wzdłuż osi? Do przyszłości? Do Agencji?

– Tylko nie sygnałem tachionowym – przerwał jej szybko. – Tego absolutnie nie możesz robić. Cząstki zdradzą wasze położenie.

To już wiedziała.

– Dokument zrzutowy?

Foster zostawił Mads biblioteczkę porad i instrukcji. Jeden z wpisów dotyczył sposobów komunikacji z Agencją w sytuacjach awaryjnych. Nie wyjaśniał jednak, co właściwie rozumieć

przez „nagły wypadek”. Bezpieczna metoda komunikacji polegała na umieszczeniu w rubryce samotnych serc gazety „Brooklyn Daily Eagle” anonsu zaczynającego się od słów: „Dusza zagubiona w czasie...”.

Ktoś gdzieś w przyszłości miał najwyraźniej pożółkły egzemplarz takiej gazety i wypatrywał subtelnych zmian, które pojawiały się na wskazanej stronie. Ten ktoś polował na łagodną rysę w rzeczywistości, która odkształcała jedynie treść tego prywatnego anonsu.

– Spytaj – powtórzył wreszcie. – Dlaczego nie spróbować?

– Naprawdę nic nie wiesz o Pandorze... prawda?

Foster potrząsnął głową. Sądziła, że zna go – a co za tym idzie i Liama – wystarczająco dobrze, żeby dostrzec, kiedy kłamie. Obaj byli w tym beznadziejni.

– Może tak zrobię – zgodziła się Maddy.

– I nie zapomnij powiedzieć mi, co on na to. Teraz jestem tak samo ciekaw jak ty...

Spojrzała na niego uważnie.

– On?

Foster westchnął i przymknął oczy, uświadamiając sobie, że właśnie coś chlapnął.

– On? Jaki on? Kim jest on? On to Agencja? – Zwróciła się gwałtownie ku niemu i mocno złapała go za rękę. – Foster?! Chcesz mi powiedzieć, że Agencja to co? Tylko... tylko jedna osoba?

Nic na to nie odpowiedział,

– A co z innymi drużynami?

Starzec zacisnął usta i uciekł wzrokiem.

– Foster? Mów! Gdzie są pozostałe drużyny...?

– Nie ma innych drużyn, Maddy – przerwał jej szeptem i spojrzał na nią ponownie. – Przykro mi. Jesteście sami. Agencja to wy. Tylko wy. – Ponownie zaczął oglądać swe dłonie. – ...I Waldstein.

Nie usłyszała już, jak wypowiadał nazwisko Waldsteina. Zaszumiało jej w głowie, poczuła zawroty i wzbierające uczucie paniki.

„Jesteście sami”.

„Agencja to wy”.

ROZDZIAŁ 5

Cheyenne Mountain, Colorado Springs
Projekt Exodus
rok 2070

– Dzień dobry, doktorze Anwar.

Rashim szybkim skinieniem głowy powitał laboranta, jednego z kilku w skąym personalnie zespole. Powietrze wokół dłoni rozświetliła poświata emitowana z wyświetlacza założonego na nadgarstek holograficznego infopada.

– Przyszło przez noc coś nowego?

– Wiadomości o zmianach osobowych, doktorze Anwar. Z załączonymi metrykami.

– Cudownie – wymamrotał Rashim bez entuzjazmu. – Prześlij je mojej jednostce, później zerknę.

– Oczywiście, doktorze.

Laborant poruszył nadgarstkiem, w górę wystrzelił holograficzny ekran i zawisł tuż przed oczami mężczyzny. Ten przesunął palcem po wyświetlaczu, zaznaczając kilkanaście wiadomości, które wyleciały ze „skrzynki odbiorczej” i rozproszyły się w powietrzu niczym pyłek kwiatowy.

– Odebrano – zakomunikował SpongeBubba. Elektroniczny laborant przykucnął obok biurka Rashima zupełnie jak potulny zwierzączek, a chwilę później uraczył Rashima dwuzębnym uśmiechem.

– Sortuję metryki, *skippa!*

Rashim powiódł wzrokiem po przepastnym wnętrzu podziemnego hangaru, jaskinia powstała w wyniku wysadzenia zbocza góry ponad sto lat temu i stanowiła specjalne schronienie dla ówczesnej elity politycznej – generałów, kongresmenów, senatorów i ich rodzin – na wypadek wojny termonuklearnej z Rosją.

Potrząsnął głową.

„Nic się nie zmienia. Politycy zawsze są w pierwszym rzędzie”.

Hangar, na oko odrobinę większy od boiska piłkarskiego, oświetlały reflektory ustawione wzdłuż ścian na masywnych trójnogach. Strugi rażącego światła kładły się na całej długości zimnego, betonowego podłoża, zarysowanego i wyszczerbionego w miejscach, gdzie kilka dekad temu zalegały sprzęty i urządzenia, teraz odstawione do magazynów.

Została tylko pusta przestrzeń.

Rashim usiadł w labiryncie boksów i biurk rozstawionych w tym rogu hangaru. Jak każdego ranka znów pojawił się pierwszy. Delikatnym machnięciem dłoni włączył terminal, w którym automatycznie uruchomił się skaner służący do weryfikacji tożsamości użytkownika, urządzenie przysunęło się do tęczówki doktora i za chwilę zabrzmiał komunikat potwierdzający, że komendę wydał nie kto inny tylko Rashim Anwar.

„Projekt Exodus: symulator przesunięcia masowego” – słowa radośnie zamigotały w powietrzu przed oczami Rashima.

– Aktywuj widok podłogowy.

Betonowe podłoże hangaru w jednej chwili zamieniło się w jaśniejącą szachownicę, poprzecinaną misterną siatką pulsujących neonowo niebieskich linii, które emitował szereg holograficznych projektorów zawieszonych pod jaskiniowym sklepieniem. Siatka markerów: różnej wielkości kwadratów o średnicy od kilkunastu centymetrów do kilku metrów.

– Pokaż parametry markerów.

Nagle z kwadratów wysunęły się holograficzne kolumny cyfr: kluczowe parametry osób i przedmiotów, które pewnego dnia zajmą poszczególne kwadraty.

– A teraz uformuj ikony.

Nad setkami kwadratów i kwadracików pojawiły się otoczone niebieskawą poświatą sylwetki. Szachownicę pokryły kontury skrzyń i pudełek, kilka ogromnych ikon wyobrażających duże pojazdy, i mnóstwo symboli przedstawiających migocące, lecz wyraźnie rozpoznawalne zarysy ludzi.

– Bubba, pokażesz mi kto dziś rano okazał się zbędnym balastem i chce odpaść?

– Tak, tak, *skippa!* – SpongeBubba zasalutował wesoło.

Jedenaście zarysów postaci zapłonęło na czerwono.

Rashim dźwignął się zza biurka i wyszedł na błyszczącą szachownicę hangaru, snopy światła z podsufitowych reflektorów załazy jego głowę, ramiona i plecy. Uklęknął przy pierwszej ikonie świecącej na czerwono postaci i odczytał informacje z małego wyświetlacza unoszącego się w powietrzu obok niej.

Kandydatka nr 165

Imię i nazwisko: profesor Jennifer Carmel

Wiek – 28 lat

Funkcja: biochemiczka

Indeks masy – 54,4959

Pod wyświetlaczem rozbłysła ikona koperty, jedno z powiadomień, które przyszło dziś w nocy. Rashim dotknął koperty, wiadomość otworzyła się w powietrzu obok jego palca.

Informacja: kandydatka nr 165 Carmel J. zmarła.

Przyczyna: wczorajsze zamieszki na tle żywnościowym w Puerto Rico.

Liczba ofiar śmiertelnych: sto pięćdziesiąt sześć.

Przyczyna śmierci: uraz głowy, rana postrzałowa.

Nie wiadomo, czy brała aktywny udział w zamieszkach, czy przez przypadek znalazła się w centrum wydarzeń. Najbliżsi krewni zostali poinformowani.

– Przykro mi, Jennifer Carmel – westchnął. – Wygląda na to, że jednak z nami nie pojedziesz. – Gdy najechał palcem na ikonę „Usuń”, zarys biochemiczny i dane demograficzne zniknęły. Kwadrat zrobił się pusty.

Rashim zaklął wolno i wyraźnie. Nie to, że znał Jennifer Carmel, czy specjalnie się o nią troszczył. Bardziej irytował go fakt, że jeśli nie znajdą w zastępstwie odpowiedniego kandydata o podobnym indeksie masy i zbliżonej budowie ciała, będzie musiał przeprowadzić szereg żmudnych kalkulacji i ponownie skalibrować ten konkretny kwadrat. Podniósł głowę i kolejno spojrzął na dziesięć lśniących na czerwono zarysów unoszących się w różnych miejscach szachownicy: na kandydatów, którzy z takiego czy innego powodu nie będą mogli dołączyć za sześć miesięcy do projektu Exodus.

Sześć miesięcy do godziny zero. Sześć miesięcy do Dnia T. Dnia transmisji.

W przeciągu tych sześciu miesięcy może się przecież wydarzyć jeszcze tyle rzeczy.

Świat nieuchronnie pędzi ku zagładzie. Wojna o Pacyfik między Japonią a Koreą Północną rozgorzała ze zdwojoną siłą. I choć oba kraje zużyły już rezerwy broni jądrowej, są też dużo groźniejsze metody eksterminacji, których użyją bez wahania, by zniszczyć wroga. Reszta

świata też weszła na równię pochyłą do zatracenia. Ojczyzna Rashima, Iran, wiodła prym w wyścigu samobójczych mocarstw i zniknęła z powierzchni ziemi trzydzieści lat temu, po wojnie, która wybuchła w wyniku bezowocnej wymiany argumentów z Koalicją Arabską. Poszło o wodę. Nawet nie o ropę. O wodę. Zwykłą pitną wodę.

Iran, Irak, Izrael... poziom promieniowania w tych trzech krajach był obecnie zbyt wysoki, żeby ktoś mógł w nich zamieszkać nawet trzydzieści lat po zrzuconiu bomb jądrowych. Zresztą promieniowanie to nie największy problem: sama temperatura panująca na kilku górzystych obszarach, które nie zostały jeszcze zalane wzbierającymi wodami Morza Śródziemnego, Czerwonego i Zatoki Perskiej, była zbyt wysoka, żeby można było na nich żyć. Niewykluczone, że dziesięć milionów ludzi, którzy zginęli podczas jednodniowego, prowadzonego wet za wet, bombardowania jądrowego, okaże się koniec końców prawdziwymi szczęściarzami. Szybka, bezbolesna śmierć to jednak przywilej w kontekście długiej, powolnej agonii całego globu.

– *Skippa?*

Podniósł wzrok. SpongeBubba przyczłapał do niego przez wielką szachownicę markerów.

– O co chodzi?

– Doktor Yatsushita przesłał wiadomość. Jedzie do ośrodka, pragnie dziś rano przeprowadzić symulację transmisji.

– No to będzie musiał poczekać, aż przeprogramuję system z wyłączeniem tych kandydatów – warknął poirytowany Rashim.

– Wysłać wiadomość do doktora Yatsushity, *skippa?*

– Nie, sam mu to powiem, jak tu przyjedzie – odparł Irańczyk, podnosząc się z kolan.

– Dobrze, dobrze – odpowiedziała jednostka i kaczym chodem podreptała z powrotem.

Westchnął. Margines błędu był tak niewielki. Drobną nieścisłość podczas szacowania łącznego indeksu masy, pomyłka rzędu setnej procenta, a wylądują poza stacją odbiorczą. Nie po raz pierwszy zadziwiła go szaleńcza odwaga tego niesamowitego człowieka, Waldsteina.

„Ojca niechcianego dziecka – podróży w czasie”.

Upłynęło już dwadzieścia sześć lat. Od pierwszego, zakończonego sukcesem, eksperymentu translokacji czasowej. Podróż i powrót. Oczywiście naukowiec nigdy nie mówił o tym, gdzie i kiedy się wybrał. Ale udało mu się. I co ważniejsze, przeżył. Wrócił w jednym kawałku, a nie z wywalonymi na wierzch, jak zgniłe mięso, bebechami.

Początkowo eksperymenty, które prowadzili tutaj, w ośrodku badawczym w Cheyenne Mountain, zachęcające nie były, mówiąc delikatnie. Karawana małych i dużych zwierząt, genetycznie projektowanych ludzkich prototypów i kilku ludzi, którzy zgłosili się na ochotnika, raz za razem zamieniała się w ruchliwy, galaretowaty pasztet.

Ruchliwy... bo przez kilka upiornych chwil po eksperymencie jeszcze się poruszali.

Rashimowi imponował niezrównany geniusz Waldsteina. Doktor Yatsushita też był błyskotliwym człowiekiem, lecz pomimo kilkumiliardowego budżetu i niemal nieograniczonych zasobów do dyspozycji, zakrojony na szeroką NZ, a potem, w dwa tysiące czterdziestym dziewiątym, rozpląnął się w powietrzu jak kamfora. Zniknął. Ponoć wiodł życie pustelnika. Rashim nie wiedział, czy Waldstein jeszcze żyje. Różne krążyły na ten temat pogłoski.

A Irańczyk ł kosmyk włosów za ucho i odwrócił stronę gorzejającej kilkanaście metrów dalej czerwonej ikony „człowieka”. No tak, kolejny kandydat do usunięcia.

A „Co tam zobaczyłeś, Roaldzie Waldstein? Hmmm? Co zobaczyły te twoje oczy szaleńca? Co dostrzegłeś ponad trzNZ, a potem, w dwa tysiące czterdziestym dziewiątym, rozpląnął się w powietrzu jak kamfora. Zniknął. Ponoć wiodł życie pustelnika. Rashim nie wiedział nawet, czy Waldstein jeszcze żyje. Różne krążyły na ten temat pogłoski.

Irańczyk wsunął kosmyk włosów za ucho i odwrócił się w stronę gorzejającej kilkanaście metrów dalej czerwonej ikony „człowieka”. No tak, kolejny kandydat do usunięcia.

„Co tam zobaczyłeś, Roaldzie Waldstein? Hmm? Co zobaczyły te twoje oczy szaleńca? Co dostrzegłeś ponad trzema wymiarami, których jesteśmy władcami?”. W latach czterdziestych i pięćdziesiątych to pytanie zadawali sobie chyba wszyscy, a twarz Waldsteina co i rusz pokazywano we wszystkich stacjach cyfrowych...

„Co pan ujrzał, panie Waldstein?”. Albo raczej: „Co tak pana przeraziło?”.

ROZDZIAŁ 6

Nowy Jork
rok 2001

Liam patrzył na przesuwające się w dół ekranu ciągi danych – pakiety heksadecymalnych informacji, niemających dlań najmniejszego sensu. Czasem obraz zastygał i szybko błyskały niezrozumiałe bloki i wiersze podświetlonych znaków alfanumerycznych. Czasem zaznaczony tekst zmieniał kolor z białego na zielony. Czasem z białego na czerwony.

Liam wskazał fragment, który właśnie zrobił się czerwony.

– To do wyrzucenia?

– To uszkodzone dane – potwierdził Bob.

Cała zawartość silikonowego umysłu Beki została przegrana do systemu komputerowego ponad trzydzieści sześć godzin temu, podczas swego krótkiego żywota jednostka zdołała zgromadzić niezliczoną ilość danych. Teraz komputer-Bob przekopywał się przez nie i testował pod kątem uszkodzonych ciągów. Liam popatrzył na pasek postępu na drugim ekranie: na mapę jej twardego dysku, umysłu podzielonego na bloki danych. Białym kolorem zaznaczano dane do weryfikacji, zielonym te poprawnie zweryfikowane, a czerwonym dane bezpowrotnie utracone. Czerwień mnożyła się złowrogo niczym guzy rakowe. Dużo guzów.

– Straciliśmy ją, prawda?

Twarz Boba drgnęła i pobladła w odpowiedzi. Przypadkowo? Bardzo możliwe. Ale może to znak, że podstawowy kod oprogramowania, z którym urodziła się jednostka, znowu zaczął ewoluować. Może klon nauczył się, jak przekształcać informacje wejściowe w wiedzę osadzoną w kontekście... w emocje. Może stawał się człowiekiem.

– Znaczna część zapisanych danych uległa zniszczeniu. – Posłał Liamowi niewyraźny uśmiech. – Ale cały czas mam nadzieję.

Komputer-Bob, choć zajęty odfiltrowywaniem danych, przysłuchiwał się ich rozmowie.

> Dopiero gdy przesortuję dane i uruchomię emulator, będziemy mogli stwierdzić, czy stan sztucznej inteligencji jest stabilny.

Liam bezradnie spojrział na Boba.

– Co on gada?

– Sztuczna inteligencja zostanie uruchomiona w systemie komputerowym za pomocą mikroukładu z symulacyjną wersją oprogramowania. Później, fragment po fragmencie, wprowadzone zostaną zweryfikowane bloki danych i rozpocznie się proces symulacji. To wszystko pozwoli nam zweryfikować stabilność i niezawodność sztucznej inteligencji Beki.

– Żeby sprawdzić, czy nie zwariowała?

Gdy Bob zmarszczył gęste brwi, Liam wyciągnął rękę i ścisnął jedną z nabrzmiąłych dłoni jednostki.

– Jezu, tobie naprawdę na niej zależy.

Klatką piersiową Boba targnęło głębokie odchrząknięcie.

– Była efektywną jednostką pomocniczą. Jej sztuczna inteligencja rozwijała się szybciej niż moja.

– Przesadzasz, wszystkie kobiety tak mają. Lepiej wyrażają swoje uczucia niż my, faceci.

– Płeć to nieistotny czynnik. – Bob utkwiał w nim szare oczy. – Zależało ci na niej,

Liamie?

Chłopak zaśmiał się niezręcznie.

– Ja...

– Zaczerwienione policzki i niewerbalne odruchy zdradzają, że jesteś do niej silnie przywiązany emocjonalnie. Czy mam rację, Liamie?

Utkwił wzrok w ekranie.

„Różnokolorowe bloki. Zamieniła się w różnokolorowe bloki na ekranie komputera”.

Tylko tyle z niej zostało. A jednak, a jednak

w swej cielesnej, ludzkiej powłoce wyglądała jak normalna osoba. Intrygująca, specyficzna, dziwnie powściągliwa dziewczyna. Ale potrafiła zażartować. I uśmiechać się.

Jej uśmiech – choć wywołany za pomocą pliku danych, który uruchamiał określone mięśnie twarzy – sprawiał, że czasem w jego brzuchu budziła się chmara motyli z ostrymi skrzydełkami. Piękny to był uśmiech. Olśniewająco piękny, prawdę mówiąc.

– Będę za nią tęsknił – powiedział wreszcie. – Jeśli ją utracimy... wtedy tak, będę tęsknił.

> **Informacja.**

Liam odwrócił wzrok w kierunku kamerki.

– O co chodzi, komputerze-Bob?

> **Jestem gotów uruchomić proces symulacji. Kontynuować?**

Zastanawiał się, czy powinien czekać, aż Maddy wróci. Sal również. Obie tak samo jak on zamartwiały się, czy da się uratować choć fragment Beki.

– Czy to będzie... nie wiem... czy to bezpieczne? Czy to nie zniszczy jej umysłu?

> **Zaprzeczam. Dane, które odzyskaliśmy są teraz przechowywane w bezpiecznym miejscu. Symulacja przebiega w środowisku tylko do odczytu.**

– A co to oznacza?

– Po ukończeniu procesu symulacji – wyjaśnił Bob – wszystkie wygenerowane dane zostaną usunięte.

– Nic nie będzie pamiętała?

> **Potwierdzam. Ale cała procedura przebiegnie tylko w środowisku testowym.**

Liam powoli usiadł na krześle.

– Dobrze – odetchnął niespokojnie. – Zobaczymy, czy rzeczywiście tam jest.

> **Potwierdzam. Włączam emulator sztucznej inteligencji.**

Na ekranie po prawej stronie pojawiło się kolejne czarne okno dialogowe. Puste okno, na którym dyskretnie migał kursor. I nic więcej. Liam podniósł zaniepokojony wzrok na Boba. Jednostka pomocnicza bez słowa skinęła głową, zachęcając go tym gestem do nawiązania komunikacji.

– Grhm... jesteś tam, Beki?

Kursor w oknie dialogowym migał nieprzerwanie, stałym rytmem: jak uderzenia serca. Jak puls. Znak życia i nic więcej.

>

– Tu Liam... słyszysz mnie?

Kursor migał w uporczywym milczeniu.

– Kod werbalno-poznawczy może nie działać poprawnie – szeptem zauważył Bob.

– Beki, tu Liam, jeśli mnie słyszysz, zrób coś. Powiedz coś.

>

Patrzył na kursor, stopniowo tracąc nadzieję.

„Przepadła”.

Mogli oczywiście aktywować proces replikacji i wyhodować inny płód kobiety, która po wyjściu z próbówki hodowlanej wyglądałaby ludzaco podobnie do Beki. Byłoby to jej

jednojąkowe bliźnię. Nie byłyby to już jednak ta sama istota. Owszem, miałyby te same rysy twarzy, mięśnie, kolor skóry, ale w umyśle wykształciłyby się zupełnie inne wzorce mimiczne, twarz reagowałaby na określone sytuacje w inny sposób. Inny byłby uśmiech, sceptyczne uniesienie brwi nie wyglądałoby do końca tak samo. Tysiąc małych tików i odruchów, które tworzyły Beki, przepadłyby na zawsze.

– Beki? – spróbował ponownie. – Jesteś tam?

>

– Nie odzyskaliśmy wystarczającej liczby danych z nieuszkodzonych obszarów sztucznej inteligencji – powiedział Bob. Liamowi zdało się, że w głębokim basie jednostki zabrzmiało ledwie słyszalne drzenie, oktawa żalu.

– Beki? – spróbował po raz kolejny. Teraz i jego głosem targnęły emocje.

„Przepadła. Straciliśmy ją”. – Poczul jak po jego policzkach spływa coś ciepłego, szybko otarł wstydliwą łezkę, bo z jakiegoś powodu nie chciał, aby Bob albo komputer-Bob zauważyli to i zburzyli atmosferę chwili zbędnym pytaniem.

„Do widzenia, Beki”.

>

>

>

>

>

>

> **Kocham cię, Liamie O'Connor.**

ROZDZIAŁ 7

Nowy Jork
rok 2001

Patrzyli na pływający w proteinowej zupie płód, który przeżył malutkie paluszki u rąk i stóp, sygnalizując swoją hibernetyczną gotowość. Do pępka podłączono rurę zasilającą, która odchodziła

w kierunku górnej krawędzi próbówki, gdzie łączyła się z pompą filtracyjną.

Pleksyglasowa próbówka hodowlana była podświetlona od dołu. Jarzyła się niewyraźnie, wypełniając zaplecze ciepłym, karmazynowym półświatłem, imitującym warunki panujące w łonie matki.

– Czy sądzisz, że one o czymś myślą, kiedy sobie tak rosną? – spytał Liam.

– Prawdopodobnie nie – odrzekła Maddy.

Sal odwróciła się do Boba, górującego nad nią niczym świeżo wybudowany mur z cegieł.

– A ty? Myślałeś o czymś, Bob? Masz jakieś wspomnienia z czasu rozwoju w próbówce?

Zmarszczył brwi, pogrążając się w zamyśleniu.

– Nie. Na tym etapie nie miałem jeszcze wbudowanej sztucznej inteligencji.

– A twój mózg organiczny? – przerwała Maddy. – W nim też muszą być jakieś wspomnienia.

– Nawet jeśli, to nie potrafię przywołać tych danych. – Bob obojętnie wzruszył ramionami.

Mały płód nagle wyrzucił nogę, jakby chciał kogoś złośliwie kopnąć w zadek, po czym dyskretnie zwinął ją z powrotem pod siebie.

– Ta mała już wykazuje charakterek – zachichotała Maddy.

– Uda nam się załadować do niej sztuczną inteligencję Beki? – spytała Sal.

Maddy postukała paznokciami o zęby.

– Jeszcze nie wiem, Sal. Podczas symulacji Beki była... dość niemrawa. – Gdy Maddy i Sal wróciły do bazy, komputer-Bob ponownie odpalił emulator, a wynik był dokładnie taki sam jak za pierwszym razem. Maddy odwróciła się do Liama. – Ale „kocham cię”? Jednostki pomocnicze nie używają takich słów.

Bob skinął głową na znak zgody.

– Wszystko wskazuje na to, że symulowana AI uległa awarii.

– A może te klony coś jednak czują? – zastanawiał się na głos Liam.

Pozostali z niedowierzaniem utkwili w nim wzrok.

– Aż taki ze mnie brzydka, że nikt mnie nie może pokochać?

– Jestem pewna, że mamusia cię kochała – zachichotała Sal.

– Rzecz w tym, że – przerwała im Maddy, kładąc dłoń na próbówce hodowlanej – jednostki pomocnicze nie powinny wyznawać miłości agentom operacyjnym.

Liam wcale nie był przekonany co do słuszności tego wyводу.

– Na pewno powoli uczyła się... odczuwać emocje, nie inaczej. Nic w tym złego.

Maddy pokiwała głową w półmroku pomieszczenia. Ona też dostrzegła u Beki ten rys.

– Pozwala im to bardziej czuć się człowiekiem.

– Wtedy, w czasach dinozaurów, ona... – Liam zerknął na przyjaciół z zakłopotaniem.

– Ona co?

– Trochę mnie pocałowała, w rzeczy samej – przyznał Irlandczyk.
Twarz Sal wykrzywił grymas. Schowane za okularami oczy Maddy zrobiły się okrągłe jak arbuzy.

– Pocałowała?

– Próbowła dać mi niewinnego całusa. W policzek, nic więcej.

– To dziwne. – Sal skrzywiła się, jakby zjadła kilka cytryn.

– Tylko całus... nic więcej się nie stało – dodał defensywnie. – Słowo!

Maddy uciszyła go gestem ręki.

– Nieważne. To znaczy, że przed uszkodzeniem już miała jakieś... uczucia. Być może to „kocham cię” to nie efekt uszkodzenia danych ani błąd systemu. – Podniosła wzrok na Boba. – Odziedziczyła twój kod, Bob. Czy ty sam kiedykolwiek żywiłeś jakieś, no wiesz, uczucia wobec Liama?

– Niektóre pliki danych w moim systemie można zinterpretować jako emocjonalne odruchy.

– Pocałowałbyś Liama?

Bob przekrzywił głowę, na jego czole wyrósł mars zakłopotania, robot niechętnie nachylił się nad Irlandczykiem, wydymając końskie wargi.

Liam odskoczył od niego w popłochu.

– Jezu Chryste, Bob! Weź się odczep...

– Nie! Bob! To nie było polecenie... tylko pytałam!

– Rozumiem. – Wyprostował się, twarz mu stężała. – W przeszłości porzuciłem priorytety misji, żeby ratować Liama. To można zinterpretować jako zachowanie irracjonalne.

– Wyciągnął mnie przecież z niemieckiego obozu jenieckiego. No nie, Bob?

– Zrobiłeś to, bo Liam znaczył dla ciebie więcej niż cel misji? – drażyła Maddy.

Bob zawahał się przed udzieleniem odpowiedzi, umysł jednostki bezszelestnie przetwarzał pliki.

– Bo martwiłeś się o niego? – nie dawała za wygraną Maddy.

Bob wreszcie zmusił się do odpowiedzi.

– Potwierdzam. Liam jest moim przyjacielem.

Mads stuknęła kłykciami w pleksiglasową obudowę.

– No i znaleźliśmy źródło problemu. Ta emocja była już wdrukowana w tożsamość Beki. To po Bobie odziedziczyła uczucia wobec ciebie. – Wzruszyła ramionami. – Zależy jej na tobie. Głęboko w jej kodzie osadził się plik z informacją, że cię „kocha”. – Maddy się uśmiechnęła. – W trakcie emulacji sztuczna inteligencja Beki wykryła i odtworzyła ten właśnie plik.

– To znaczy, że jest sprawna? – spytał Liam.

– Bob, jeśli załadujemy jej sztuczną inteligencję do tego ciała i okaże się, że ma kuku na muniu, to czy będziemy mogli ją, sama nie wiem... zrestartować?

– Potwierdzam. Silikonowy procesor można sformatować i ponownie wgrać do niego sztuczną inteligencję bez odziedziczonych po mnie danych.

– Bomba – ucieszyła się Maddy. – Spróbujemy ze starą sztuczną inteligencją, a jeśli rzeczywiście okaże się wadliwa, to ją po prostu zresetujemy.

– Ale to chyba spore ryzyko – zauważyła Sal. – Tych czerwonych, uszkodzonych bloków danych jest cała masa. A jeśli jej kompletnie odbije?

– Co masz na myśli?

– No nie wiem... może zrobi się pierońsko zazdrosna. O mnie albo o ciebie.

– Sal ma słuszość – poparł ją Bob.

Maddy w zamyśleniu potarła wargę. Widziała już Beki w akcji. Widziała zamordowanych

przez nią ludzi. Niech Bóg ich chroni, jeśli zamieni się w zranioną kotkę.

– Niewykluczone, że zaczniesz podejmować nieprzewidywalne decyzje – dodał Bob.

– Grgh, dajcie spokój! Przecież ona zawsze była nieprzewidywalna! – trzeźwo zauważył

Liam.

– To akurat prawda. – Maddy refleksyjnie pokiwała głową.

– Dlaczego nie dać jej szansy?

– Trzeba ją obserwować bardzo uważnie – uznała Maddy. – Przy najmniejszej nawet oznace szaleństwa będziemy musieli ją zrestartować. Nie żartuję... jeśli choć raz krzywo spojrzysz na mnie albo na Sal, będziemy musieli kompletnie wymazać jej pamięć, Liamie.

– Perspektywa, że oderwie mi głowę wcale mi się nie uśmiecha. – Sal przygryzła wargę.

Liam powoli pokiwał głową.

– Beki będzie zdrowa jak ryba, nie inaczej – oznajmił, choć wcale nie brzmiało to przekonująco.

– Dobra – ucięła dyskusję Mads. – Postanowione. – Odwróciła się i ruszyła w stronę rozsuwanych drzwi do głównego pomieszczenia. – Chodźcie, ludziska, czas pogadać o czym innym.

Liam przesunął drzwi w bok. Skrzydło zatrzęsło się i głośno zastukało w prowadnicach.

– O czym?

– O naszej Agencji... o Pandorze.

Sal i Liam popatrzyli na siebie.

– Foster coś ci powiedział? – dopytywała Sal.

– O, tak – potaknęła Maddy.

ROZDZIAŁ 8

Cheyenne Mountain, Colorado Springs
Projekt Exodus
rok 2070

- Słucham? – Rashim gapił się na doktora Yatsushitę jak wół na malowane wrota.
- Powiedziałem, że musimy rozważyć przyspieszenie terminu Dnia T.
- Ale... ale jesteśmy raptem na początku fazy testowej!

Zespół Rashima przeprowadził kilka symulacyjnych testów transmisyjnych, a po każdej z prób oprogramowanie emulatora jednoznacznie wskazywało, że lądowali przed lub poza polem zrzutu wyznaczonym przez latarnie nawigacyjne stacji odbiorczej. A gdy już ten jeden jedyny raz trafili w dziesiątkę, połowa uczestników eksperymentu zamieniła się w dygocącą papkę.

– Doktorze Anwar – podjął Yatsushita. Wyglądał jak chodząca śmierć. Był skonany. Wnosząc po jego wyglądzie, miał za sobą jedną lub kilka nieprzespanych nocy. Starannie zazwyczaj przyczesane siwe włosy były zmierzwiłone. – Z pewnością śledził pan ostatnio cyfrowe wiadomości?

Rashim nic nie śledził, prawie nic. Nie miał na to czasu. Codziennie trzeba było zastępować co najmniej jednego z kandydatów do transmisji, a co za tym idzie – modyfikować dane, wprowadzać nowe parametry i ponownie obliczać całkowity indeks masowy.

- Słyszał pan o wirusie Kosong-ni?

Kilka dni temu udało mu się zobaczyć fragment cyfrodziennika. Po kolejnej powodzi ewakuowano ostatnie miasto w Bangladeszu. Zakwity glonów pokrywały trzydzieści sześć procent powierzchni Oceanu Indyjskiego, śmiertelnie zatruwając i całkowicie unicestwiając cały podwodny ekosystem. Federacja Północnoamerykańska uszczelniała granice przed napływem nielegalnych imigrantów ze wschodu i z zachodu. Korpus japońskich droidów bojowych przeprowadził skuteczną ofensywę na północnokoreańskie miasto Hyesan. Zginęło wielu ludzi. Ale w wiadomościach zawsze informowano o wysokiej liczbie ofiar. Rzeczywiście, leciał też jakiś materiał o wirusie. Reporterzy spekulowali, że to broń chemiczna zrzucona przez Japończyków na Koreę Północną. Albo co gorsza, jakaś nieznaną broń biologiczną opracowywaną w kazamatkach przez Koreańczyków i przypadkowo uaktywnioną po którymś z nalołów raketowych.

- Wirus Kosong-ni? – A więc teraz dorobił się nawet nazwy.

Yatsushita potrząsnął głową i jął przeciskać się przez gąszcz biurka w kierunku Rashima.

– Ty głupi chłopaku. Powinieneś oglądać wiadomości, zamiast... zamiast... – Spojrzał na SpongeBubbę, który siedział przy biurku, szczerząc dwa siekacze. – Zamiast projektować bezużyteczne zabawki!

– Nie miałem czasu na oglądanie holowiadomości, doktorze Yatsushita! – odparł Rashim, urażony słowami kierownika projektu. – Mam...

- To wirus przenoszony drogą powietrzną. Ponoć dotarł już do Pekinu.

„Przenoszony w powietrzu? Nic dobrego to nie zapowiada” – pomyślał Rashim.

- Bardzo zaniepokoiło to naszych... sponsorów. Chcą przyspieszyć nadejście Dnia T.

„Sponsorzy”. Yatsushita ostrożnie dobierał słowa. Rashim doskonale wiedział, że projekt Exodus jest finansowany z resztek budżetu departamentu obrony Stanów Zjednoczonych, prawdopodobnie dolarami sypnęło też kilku miliarderów pragnących znaleźć się na pokładzie.

- Przyspieszyć? O ile?

Doktor Yatsushita zawahał się przed udzieleniem odpowiedzi.

– Chcą wyruszyć trzydziestego maja.

– Ale to już za pięć tygodni! Potrzebujemy jeszcze co najmniej sześciu miesięcy, by zyskać pewność...

– Nie mamy tu nic do powiedzenia! Projekt musi być gotowy przed wyznaczonym terminem!

Rashim przesunął okrągłe okulary na czoło, pełniły teraz rolę opaski do włosów, pomagając okiełznać niesforne czarne kędziory.

– Poinformował ich pan o potencjalnym ryzyku? Powiedział im pan, że nawet najmniejszy błąd oznacza śmierć wszystkich uczestników projektu? Albo co gorsza...?

– Tak, wyjaśniłem im to dość obrazowo. Nie pomogło, wciąż naciskają.

Rashim patrzył z niedowierzaniem na kierownika projektu.

– Jest aż tak źle?

Yatsushita podniósł się z krzesła i ponad labiryntem biurów i boksów popatrzył na kilkunastu laborantów, którzy musieli zostać po godzinach, żeby dokończyć robotę. Usiadł z powrotem i zniżył głos.

– W serwisach informacyjnych nie mówią całej prawdy. Jest gorzej, zdecydowanie gorzej. Na razie trzymają ludzi w nieświadomości. Zabroniono informować opinię publiczną o najczarniejszym scenariuszu.

– Najczarniejszym? Czyli?

– To inteligentny wirus, Rashimie. Zmutowany, inteligentny wirus. Sonda von Neumanna!

Rashim powoli pokiwał głową na znak, że rozumie. Sonda von Neumanna – hipotetyczne urządzenie wymyślone przez węgierskiego naukowca, Johna von Neumanna, ponad sto pięćdziesiąt lat temu. Maszyna zdolna tworzyć własne kopie i samoreplikować w nieskończoność. W początkach dwudziestego pierwszego wieku nanotechnolodzy poddali tę koncepcję serii eksperymentów, bez większych sukcesów. Konstruowano mikroskopijne roboty rozmiaru komórek krwi. Sztuczne wytworzenie zrobotyzowanych maszyn tego typu okazało się niemożliwe z powodu zbyt wielu praktycznych komplikacji. Ale organizmy biologiczne to zupełnie inna bajka. Ostatecznie bakterie to zasadniczo biologiczna wersja urządzeń von Neumanna. Stworzenie inteligentnej bakterii przyswajającej genetyczne polecenia, cele i priorytety, bakterii, której można wyznaczyć cel ataku, byłoby – na pewno w kontekście wykorzystania bojowego – odkryciem na miarę odszukania Świętego Graala.

– Zespół badawczy z Tokio wyodrębnił i przeanalizował próbkę – powiedział doktor Yatsushita. Rashim zauważył, że jego przełożony jest wyraźnie roztrzęsiony.

– To broń masowej zagłady. Atakuje tylko ludzi.

– Jest modyfikowana genetycznie?

– Oczywiście! Aktywuje się w momencie kontaktu z dowolną komórką ludzkiego organizmu, rozbija strukturę komórki na indywidualne kwasy i proteiny. – Nerwowo przygładził dłońią siwe włosy. – Ciało zakażonego zamienia się w ciecz, roztapia w przeciągu kilku godzin!

– Mój Boże!

– W powstałym roztworze bakterie tworzą własne kopie, wykształcają zarodniki, które są przenoszone przez wiatr, jak piórka, jak pyłki kwiatowe.

– Odnotowano przypadki odporności na wirus? Na przykład w konkretnych grupach etnicznych?

– Nie. Jeszcze nie. – Yatsushita potrząsnął głową. – Do dzisiaj nikt nie wykazał odporności na wirus. Ktokolwiek wypuścił to diabelstwo, nie przejmował się, że wirus może

przynieść zagładę całego gatunku.

Rashim popatrzył na holoe ekran, który błyszczał w powietrzu nad jego biurkiem, strasząc niezliczonymi kolumnami danych wymagających posortowania i przetworzenia.

– Teraz już rozumiesz, dlaczego Dzień T musi nadejść wcześniej? – zapytał doktor Yatsushita. – Takiego pandemionium przywódcy obawiali się od dekad. Kosong-ni to doskonała broń biologiczna.

– Jezusie – wymamrotał Rashim, masując się po skroni.

Doktor Yatsushita pokiwał głową.

– Powiadomiłem sponsorów, że wszyscy kandydaci do udziału w Dniu T muszą tu przybyć natychmiast. Musimy skompilować indeks masowy tak szybko, jak to możliwe. Nie możemy żonglować danymi w nieskończoność.

– Tak... tak, ma pan absolutną słuszość. – Rashim pokiwał głową.

Jego szef nachylił się nad biurkiem.

– Doktorze Anwar, na liście kandydatów znajdują się członkowie pana rodziny, prawda?

– Tak... moi rodzice.

– Sprowadź ich tu, Rashimie... sprowadź ich natychmiast. Zanim będzie za późno!

ROZDZIAŁ 9

Nowy Jork
rok 2001

– Lepiej wygodnie usiądźcie – rzekła Maddy, patrząc ponad stołem kuchennym na Liama i Sal, którzy przysiedli na wysłużonej sofie, wpatrując się w nią pełnym oczekiwania wzrokiem.

„To im się raczej nie spodoba”.

– Jahulla! Daj spokój, Mads... o co chodzi?

– Nasza Agencja... jest, sama nie wiem, jak to ująć...

– Po prostu wyrzuć to z siebie. – Liam poruszył się niespokojnie. – To nie może być najgorsza wiadomość, jaką w życiu słyszeliśmy.

– No nie wiem. – Przycisnęła palcem okulary na nosie. – Agencja to tylko my.

Słowa zawisły nad stołem pomiędzy nimi. Zawisły w panującej pod arkadami gęstej ciszy przerywanej szumem połączonych komputerów i przytłumionym dudnieniem pociągu przejeżdżającego nad ich głowami przez most Williamsburg.

– Jak to „tylko my”? – spytała Sal.

– Tak to, Sal. My. Nasza trójka.

Liam pochylił się na kanapie, w dezorientacji ściągając brwi.

– Ale... ale Foster powiedział nam, że są też inne drużyny, w innych miejscach, nie inaczej.

– Tak powiedział. Ale kłamał.

Sal wpatrzyła się w przestrzeń. Jedno oko zagubiło się pod grzywką, drugie zagubiło się po prostu.

– Ale...

– Dostaliśmy też przecież wiadomość, Maddy. – Liam nachylił się nad stołem. – Wiadomość z przyszłości dotycząca Edwarda Chana...

– W Agencji jest jeszcze jedna osoba – odparła. – To ten facet, Waldstein. Roald Waldstein.

– Odkrywca podróży w czasie?

– Właśnie on. To właśnie on założył naszą bazę. To on zwerbował Fostera i poprzednią drużynę.

Sal potrząsała głową, w milczeniu analizując usłyszane informacje.

Liam walnął ręką w stół.

– Jezus Maria! No to teraz wiem... wiem i zawsze przeczuwałem, dlaczego zawsze sami musimy wszystko naprawiać! Dlaczego pozostałe drużyny są zbyt leniwe, żeby ruszyć zadki i łaskawie nam pomóc!

– Tak, teraz wiemy. – Maddy rozłożyła ręce w geście bezradności.

– Przecież Foster mówił, że Waldstein jest absolutnie przeciwny podróżowaniu w czasie, że walczy z tym fenomenem – dziwiła się Sal.

– Tak, mówił. Ale w tajemnicy zorganizował też to wszystko jako plan awaryjny. Pewnie doszedł do wniosku, że choć prawo i umowy międzynarodowe zabraniają prac nad technologią translokacyjną, to i tak po cichu każdy rząd dał swoim naukowcom zielone światło.

– Wiedziałem! Ja to, cholera, wiedziałem! – Liam zaśmiał się cicho.

– To nie fair, że Foster nam o tym nie powiedział – oznajmiła Sal, podnosząc wzrok na Mads. – Dlaczego skłamał?

Maddy wzruszyła ramionami.

– Podejrzewam, że nie chciał nas martwić. Obarczać dodatkowym ciężarem.

– Dopiero teraz ci o tym powiedział, Maddy? Dziś rano?

– Tak. – Pokiwała głową.

– Dlaczego? – Sal zmrużyła oczy.

– Co dlaczego?

– Dlaczego zwlekał z tym tak długo?

– Chyba... chyba gdy dowiedział się, ile już przeszliśmy, uznał, że jesteśmy gotowi, by się dowiedzieć.

– *Chuttiya!* – Wstała i ze złością przygryzła wargę. – Ma nas za *bakra*? Głupców? Co jeszcze przed nami ukrywa?

Maddy bardzo chciała odpowiedzieć „nic”, ale nie była w stu procentach przekonana, czy Foster zdradził im wszystko. Ona też wcale nie była niewiniątkiem, sama tała prawdę przed swoimi przyjaciółmi. Do tej pory nie wyznała Liamowi, że podróżowanie w czasie go zabija. Postarza. Że wkrótce będzie wyglądał jak Foster.

Ale to i tak małe piwo – najgorsze, że Foster i Liam to w rzeczywistości jedna i ta sama osoba. Kiedy do diabła staruszek planuje wyznać prawdę? I co ona właściwie oznacza?

Maddy nie raz i nie dwa próbowała już rozgryźć tę logiczną zagwozdkę. Czy to znaczyło, że Liam został zwerbowany na pokładzie *Titanica* już wcześniej? Czy to znaczyło, że ich baza istniała w większej pętli czasowej, a Liam wkrótce zamieni się w staruszkę? W staruszkę, który przeżył ją i Sal, a teraz musi odnowić cykl, materializując się w ostatnich chwilach „normalnego” życia członków drużyny, żeby zwerbować ich ponownie?

– Maddy?

Podniosła wzrok. Sal oparła się o brzeg stołu.

– Muszę się do czegoś przyznać. Zobaczyłam coś, ale póki co, zachowałam to dla siebie.

Liam z niedowierzaniem patrzył to na Hinduskę, to na Maddy.

– Hmm? Hola, hola, moje panie! Czy każdy poza mną ma tu jakiś sekret?

Sal zignorowała ten wybuch.

– To może zabrzmieć niedorzecznie, ale... czy nie zostaliśmy zwerbowani już wcześniej?

– Co?!

Sal zignorowała go po raz kolejny, nie spuszczać wzroku z Maddy.

– Foster nie mówił czegoś podobnego?

– Zwerbowani wcześniej? Jak to?

– Foster mówił, że przed nami była tu inna drużyna, nie?

Maddy pokiwała głową.

– Że umarli. Że zabiła ich ta upiorna zjawa... szukacz – ciągnęła Hinduska.

Liam pomasaował się dłonią po podbródku.

– Czeka! Racja! Pamiętam to.

– Ta drużyna to byliśmy my, Maddy.

Sal przyszpiliła Maddy wzrokiem i obserwowała, jak Amerykanka wierci się, zwleka... ucieka od odpowiedzi.

„Powinnam im powiedzieć, że Liam to Foster? Bo skoro Liam już tutaj był... to może Sal ma słuszność i byliśmy tutaj wszyscy troje”.

– Pytam, bo zobaczyłam coś, czego nijak nie potrafię sobie wytłumaczyć – rzekła Sal i spojrzała na Liama. – Twój uniform z *Titanica*.

Pokiwał głową.

– Ano, mówiłaś mi, że widziałaś mundur trochę podobny do mojego...

– Nie, Liamie. Nie „podobny”. To BYŁ twój mundur.

Maddy zmarszczyła czoło. Teraz to ona zamilkła z powodu nowych rewelacji.

– Co?

– W sklepie ze starzyzną i kostiumami niedaleko bazy wisi mundur Liama.

– Nie bądź głupia – ostro odparowała Maddy i wskazała wieszak z ubraniami ustawiony przed ich sypialnią wewnątrz. – Przecież tam wisi!

– Ale tamten jest identyczny, Maddy. Kubek w kubek!

– To niemożliwe, jeden mundur nie może wisieć w dwóch miejscach jednocześnie, Sal.

To niemożliwe, żeby i tu, i w sklepie znajdował się dokładnie ten sam przedmiot!

– Ale się znajduje. Tamtemu też brakuje guzika. Ma taką samą plamę. O takim samym kształcie i w tym samym miejscu! – Wstała i zamaszystym krokiem podeszła do ustawionej obok wnęki szafy z ubraniami. Wyjęła z niej wieszak z białym uniformem i rzuciła wszystko na stół, po czym rozłożyła strój tak, żeby dobrze oświetliło go sufitowe światło.

– Proszę. Widzicie?

Liam wstał z krzesła i przyjrzał mu się uważnie.

– Zaplamieś go na Titanicu, tak? Wzdłuż lewego boku. To duża plama. Wino, czy coś innego?

Liam ściągnął brwi.

– Teraz widzę. Jeju... wcześniej tego nie zauważyłem.

Maddy nachyliła się wraz z nimi.

– Ja też nie. Jest bardzo niewyraźna.

Irlandczyk ostrożnie popatrzył na Sal.

– Nie... nie mogłem wylać wina na marynarkę. Nie pamiętam nic takiego. Ochmistrz wyrwałby mi za to nogi z tyłka.

– A więc to nie twoja sprawa?

Potrząsnął głową.

– Może zrobił to ktoś, kto nosił ten uniform przede mną?

– Całkiem możliwe – zgodziła się Maddy.

Sal z lekką irytacją potrząsnęła głową.

– Nieważne, kto to zrobił. Rzecz w tym, że istnieją dwa identyczne okazy tego samego munduru. – Bacznie przyjrzała się przyjaciółom. – Rozumiecie? Może to znaczy, że Liam był tutaj już wcześniej?

Liam wytrzeszczył oczy.

– To...

– Nie mieści ci się w głowie? – spytała Sal.

Przytaknął tylko bez słowa.

ROZDZIAŁ 10

Cheyenne Mountain, Colorado Springs
Projekt Exodus
rok 2070

Ktoś kiedyś powiedział, że „tydzień w polityce to mnóstwo czasu”? Bardzo mądra obserwacja, którą można by w obecnych okolicznościach zmodyfikować.

Rashim patrzył na lecącą w cyfrostacji relację z miasta New London na północy Anglii. „Tydzień podczas pandemii to mnóstwo czasu”.

Od dwóch dni na okrągło puszczała ten sam materiał – digikamera upuszczona na ulicę przez spanikowanego kamerzystę nie przestała działać i wciąż rejestrowała obraz dzięki wbudowanemu akumulatorowi hydrokomórkowemu. Transmitowany sygnał bez wątplenia docierał do miliardów ludzi na całym świecie, przerażonych nie mniej od Rashima.

Na ulicy tłoczyli się mieszkańcy umykający przed bladymi płatkami, opadającymi z nieba niczym spopielałe skrawki palonych książek. Płatki – spory wirusa – lądujące na głowach, dłoniach i twarzach przynosiły natychmiastową śmierć. Dookoła roило się od gnających w popłochu, krzyczących w panice ludzi. Pięć minut później po tym, jak kamera upadła na ziemię, zapanowała grobowa cisza, a ulica przeistoczyła się w trupią promenadę.

Dwadzieścia cztery godziny wcześniej wstrząsnął nim widok samotnej, skulonej dziewczynki, która znalazła się tuż przed obiektywem digikamery. Jedenasto-, może dwunastoletnie dziecko upadło na kolana, szlochając ze strachu i udręki – na oczach widzów rozpuściło się jej lewe przedramię, a narodziła, niczym żyły pęczniejące pod skórą, przepelzły przez łokieć i opłoty ramiona, szyję i twarz. Upadła na inne zwłoki i zapadła w głęboki, śmiertelny, sen. Po upływie sześciu godzin została po niej kałuża rdzawego płynu i sterta ubrań.

Z narastającym przerażeniem patrzył, jak z kałuży wyrastają niewielkie wzgórki, garby, grzybiaste wybrzuszenia, jak otwierają się, ukazując puszyste kopytki przywodzące na myśl dmuchawce.

Powiew świeżego wiatru dawno temu porwał je za sobą.

Gdzieś w obozie uchodźców w Kazachstanie jego rodzice najprawdopodobniej wyglądali teraz dokładnie jak ta dziewczynka. Zamienili się w stertę ubrań i kałużę brei.

– Rashimie!

Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Miasta objęto co prawda kwarantanną i odcięto systemy transportowe, ale nic nie mogło powstrzymać niszczycielskiej siły wirusa Kosong-ni.

– Doktorze Anwar! – Rashim oderwał wzrok od holoprojektora zawieszony nad jego biurkiem. Doktor Yatsushita zaglądał do środka ponad ścianką jego boksu. Miał poluzowany krawat, rozpięty górny guzik koszuli i podwinięte za łokcie rękawy, fartuch laboratoryjny rzucił w kąt już kilka dni temu. Od kilku nocy spał zresztą na łóżku polowym ustawionym pomiędzy boksami. Tak jak wszyscy pracował nieustannie, żeby przygotować aparaturę na nadejście Dnia T.

– Potrzebuję wyników obliczeń, natychmiast!

Rashim przestał już przejmować się wszechobecną krzątaniną i rozbrzmiewającymi wokół hałasami. Hangar pękał w szwach od ludzi, sprzętu i niedawno

zwiezionej maszynierii. Po przeciwległej stronie betonowego bunkra znajdowały się pogrążone w rozmowie osoby, które często widywał w cyfrowizji: wiceprezydent Greg Stilson i sekretarz obrony. Kilkanaście metrów dalej stał książę saudyjski i jego rodzina, obok niego Rashim dostrzegł masywną sylwetkę dyktatora środkowoafrykańskiego państewka i jego trzy młode żony, za żadne skarby nie mógł sobie przypomnieć nazwiska watażki. Rashim podejrzewał, że musiał wydać cały majątek swojego kraju, żeby zaklepać sobie miejsce w projekcie Exodus.

Były też inne twarze, które ledwo rozpoznawał: w większości starzy mężczyźni ze swoimi bogatymi żonami. Bogaci i potężni.

– Wyniki! Rashimie!

Rashim powoli pokiwał głową, zdjął z ekranu pakiet danych i wypuścił w powietrze, pakiet poszybował i wąskim strumieniem wpadł do infopada Yatsushity.

– To nawet w połowie nie jest precyzyjne – z roztargnieniem wymamrotał Rashim.

– Nie mamy czasu – powiedział Yatsushita, zniżając głos. – Będą musieli zaryzykować.

Wielu kandydatów do udziału w projekcie Exodus, ostrożnie dobranych i prześwietlonych, nie zdołało dotrzeć do bazy wykutej w zboczach góry Cheyenne. Udało się sprowadzić kilkunastu chętnych rezerwowych, ale wiele pól siatki albo wciąż pozostawało pustych, albo przeznaczono je dla kandydatów awaryjnych, którzy w dodatku wcale nie należeli do elitarnej grupy wielkich i błyskotliwych umysłów, naukowców czy genetyków. Zastąpiono ich ludzką menażerią – kierowcami ciężarówek, urzędnikami, laborantami. Znalazło się też oczywiście miejsce dla gromadki polityków, miliarderów, dyktatorów – wpływowych i ustosunkowanych osób, którzy dowiedzieli się o projekcie Exodus i w ostatniej chwili zarezerwowali miejsce na siatce transmisyjnej.

Żadną miarą nie była to elita społeczna końca dwudziestego pierwszego wieku, którą wysyłano do przeszłości, aby dała ludzkości nowy początek.

Rashim podejrzliwie spojrzął na doktora Yatsushitę.

– Powiedział pan to w trzeciej osobie liczby mnogiej. Będą musieli...

– Ja nie jadę.

– Dlaczego?

Starzec ze smutkiem potrząsnął głową.

– Nie mogę... nie bez mojej rodziny.

– Wciąż żadnych wieści?

Yatsushita znów bezradnie pokręcił głową. Udało mu się załatwić żonie i córce lot z Tokio do Vancouver. Ale Japonki utknęły na terminalu. Odwołano wszystkie loty pasażerskie i transporty wojskowe. Nawet interwencja samego Yatsushity, kierownika projektu Exodus, nic by tu nie pomogła.

Starzec zerknął przez ramię na chaos i zamieszanie panujące na szachownicy.

– Poza tym to nie jest już ten sam projekt, który zobowiązałem się koordynować.

Rashim doskonale wiedział, co doktor ma na myśli. Projekt Exodus zamienił się w bezładną, gorączkową i niegodną rejteradę z planety, która nagle zaczęła ginąć w męczarniach. I choć od początku misja stanowiła rażące naruszenie Rozporządzenia ILA 234, potocznie nazywanego prawem Waldsteina, to wszyscy podskórnie czuli, że gra jest warta świeczki. To było coś, idea utworzenia nowej cywilizacji w przeszłości – w czasach, zanim gatunek ludzi-wampirów wyssał siły witalne z planety – idea zaszczepienia dwudziestopierwszowiecznej wiedzy i oświeconych koncepcji w barbarzyńskim świecie bóstw i magii, w świecie miecza i niewoli. Taka myśl rozpraszała mrok rzeczywistości promykiem nadziei.

Nadzieja. Deficytowy produkt w tym zatrutym i umierającym świecie.

Niestety, zbieranina przypadkowych ludzi niczym nie przypominała rozważnie dobranych kandydatów, których ponad rok temu, w najściślejszej tajemnicy, poinformowano, że muszą uregulować swoje życie osobiste i przygotować się na podróż do bazy w Cheyenne Mountain. Teraz była to losowo dobrana tłuszcza bogatych i ustosunkowanych cwaniaków... no i zwykłych szczęściarzy, których musieli dokoptować w ostatnim momencie. Wybrakowany pomiot kandydatów wysyłanych na bezprecedensową misję.

– A więc zostaje pan tutaj, doktorze Yatsushita?

W odpowiedzi staruszek lekko skinął głową.

– Umrze pan.

– Wszyscy kiedyś umrzemy, Rashimie.

– Zostanę z...

– Nie! Musi im towarzyszyć jakiś specjalista. Jesteś starszym technologiem sieci, będziesz miał pełne zwierzchnictwo! Poinformuję o tym oficjalnie po wprowadzeniu danych.

Rashim potrząsnął głową.

– Ja mam nimi dowodzić? Proszę posłuchać, jestem zwykłym...

– Muszą stosować się do protokołu i wytycznych misji. Doskonale to rozumieją, przed wejściem na pokład podpisali zgodę. Wiedzą, że jesteś przywódcą projektu Exodus. Zaakceptują to.

Rashim przeniósł ciężkie spojrzenie na drugą stronę pomieszczenia, na wiceprezydenta.

– Tak – rzekł Yatsushita – nawet on będzie musiał traktować cię jak... – staruszek z uśmiechem zawiesił głos – ...jak swojego szefa. – Ruchem głowy wskazał wiceprezydenta, księcia, dyktatora

i grupkę pozostałych członków śmietanki, którzy rozpływali się ze szczęścia, ponieważ wpuszczono ich do ośrodka przed zamknięciem bram.

– Przenigdy nie pozwól, żeby którykolwiek z tych pasożytów przejął dowództwo, Rashimie. – Uśmiechnął się ze smutkiem. – Postaraj się o nowy początek dla gatunku ludzkiego.

Rashim pokiwał głową, wstał i odepchnął obrotowe krzesło. Poza małą enklawą boksów w hangarze wrzało jak w ulu. Z każdego zakamarka płynęły odgłosy dezorientacji, strachu i ekscytacji. Pobrzękiwała broń i masywny ekwipunek dwóch tuzinów jednostek bojowych w karbonowych kombinezonach. Nieznośnie świstały egzokinetyczne wózki widłowe przenoszące ciężkie skrzynie z zapasami na oznakowane holograficznie pola szachownicy. Potężnie furkotały trzy mobilne wehikuly dowodzenia zaparkowane w wielkich gniazdach translokacyjnych.

Doktor Yatsushita wyciągnął rękę i mocno ścisnął dłoń Rashima.

– Jednostki bojowe zaprogramowano tak, aby postępowały zgodnie z protokołami projektu Exodus. Gdy oficjalnie mianuję cię swoim zastępcą, znajdą się pod twoją kontrolą, Rashimie.

– Doktorze Yatsushita, błagam, musi pan udać się z nami. Nie jestem na to gotowy. – Rashim omiół wzrokiem dyktatora, polityków i miliarderów. – Nie mogę nimi dowodzić... nie zaakceptują mojego przywództwa.

Starzec uśmiechnął się uspokajająco.

– Nie mają wyjścia.

– Zginie pan, jeśli nie wyruszy z nami. Proszę, naprawdę musi pan z nami jechać...

– Wszyscy ludzie, którzy tu zostaną, wkrótce zginą, Rashimie. To... – Odwrócił się i spojrzał przez ramię na panujący w hali harmider. – Choć wygląda jak wygląda, to nasza jedyna przyszłość.

– Ależ to czysty obłąd.

– Musisz jechać, Rashimie. Musisz pokierować projektem

Exodus. – Na jego twarz znów wypłynął uśmiech, niemal ojcowski. Prawie niespotykany u starego Japończyka odruch. Rashim zawsze odnosił wrażenie, że doktor Yatsushita właściwie go nie lubi, nie pochwała ekscentrycznego sposobu pracy, jego wiecznie zabałaganionej wirtualnej przestrzeni roboczej i utyłanego biurka spersonalizowanej jednostki laboratoryjnej.

– Ufam ci, młodzieńcze, ufam... bardziej niż im.

Rashim nerwowo przełknął ślinę. Czuł, jak w żołądku przelewa mu się dzisiejsze śniadanie i poczuł nagłą ochotę udania się do toalety.

– Dobrze... no dobrze. No to... grhm... no to spróbuję.

Doktor Yatsushita poklepał go po ramieniu.

– Świetnie sobie poradzisz, chłopcze.

ROZDZIAŁ 11

Nowy Jork
rok 2001

– Super, Maddy, a teraz sprawdźmy, czy gdzieś się nie rąbnąłem – zatrzeszczał w słuchawce głos mężczyzny. Facet należał do najbardziej wnerwiającego gatunku telemarketerów: włazidupców. Miłych do bólu. Skoro nie byli parą zakochanych, to po kiego diabła wciąż powtarzał jej imię, jakby się obściskiwali w przedszkolu po kątach?

„Dusza zagubiona w czasie... i jak Maddy, dobrze?”.

Wyraźnie westchnęła.

– Tak... dobrze.

– Musisz powiedzieć nam wszystko, co wiesz o Pandorze. Wiemy, że zbliża się „koniec”. Dowiedzieliśmy się, że „rodzina” to tylko my i ty. I że wykorzystano nas już wcześniej. Musimy wiedzieć więcej. Nie weźmiemy więcej udziału w żadnym „przyjęciu”, jeśli nie uzyskamy odpowiedzi. – Usłyszała, że telemarketer tłumi wybuch śmiechu. – Mocne... Maddy, kim ty jesteś? Taka z ciebie supertajna agentka?

– Tak... trafił pan. – Wywróciła oczami. – Taka ze mnie supertajna agentka. To co, wydrukuj mi pan łaskawie ten anons, czy też planuje pan ze mnie szydzić do upadłego?

– Spokojnie, spokojnie, przepraszam... postaram się, żeby znalazł się w jutrzejszym numerze.

– Dziękuję. Bo to bardzo ważne.

– Dobrze, teraz zobaczmy... – Usłyszała, jak rachuje pod nosem. – To będzie trzydzieści cztery dolary za tygodniowy anons w rubryce drobnych ogłoszeń magazynu „Brooklyn Daily”.

– Nie trzeba. Anons ma się pojawić tylko w jutrzejszym wydaniu. Tylko we wtorek.

– Całotygodniowe ogłoszenie nie będzie kosztować ani centa więcej, Maddy.

– Tylko jutro, nalegam. To wszystko.

– No dobrze... klient nasz pan. Jeszcze tylko potrzebuję numeru twojej karty, Maddy...

Podawała mu szereg cyfr najszybciej, jak tylko potrafiła, i z ulgą wysłuchiwała nieodpłatnego już i obowiązkowego „do widzenia, miłego dnia”. Wreszcie odłożyła komórkę na biurko i zerknęła na pozostałych.

– Załatwione.

– Nie sądzisz, że to rozjuszy tego Waldsteina? – Liam uśmiechnął się niespokojnie.

Nonszalancko przekrzywiła głowę.

– Lata mi to koło nosa, Liamie. Ktoś jest nam winien wyjaśnienie. Przeszliśmy przez piekło już parę ładnych razy. Babraliśmy się z tą robotą zupełnie w ciemno. Palcem nie ruszę, póki nie dowiem się, o co tu chodzi.

– Tak, to niesprawiedliwe. Już dawno powinni nam zaufać – poparła ją Sal.

– Powinien... nie powinni – poprawiła Maddy.

Sal obojętnie wzruszyła ramionami.

– On, oni. Ktokolwiek. Należy się nam wyjaśnienie.

Maddy rozejrzała się po pomieszczeniu.

– Chcę wiedzieć, kto stworzył to miejsce. Waldstein nie mógł tego zrobić sam. Kiedy to było? Ile drużyn stacjonowało tu przed nami? – Przerwała i uważnie spojrzała na pozostałych, zatrzymując wzrok na Sal. – Tak, może to słuszne pytanie, Sal. Czy to naprawdę byliśmy my?

– A jeśli wiadomość przeczyta kto inny? – spytała Sal. Maddy

o tym nie pomyślała. – Przecież ślad po anonsie zostanie w gazecie. Co jeśli ktoś inny obserwuje tę rubrykę?

– Wtedy okaże się, że popełniliśmy wielki błąd. – Maddy ostrożnie spojrzała na Boba. –

A ty, Bob? Zechcesz się z nami podzielić swoimi przemyśleniami?

– Postąpiłaś logicznie, Maddy. Potrzebujemy pewnych danych.

– Nie wyposażono cię, mam nadzieję, w żaden tajemny kod programowania, co? W żadne głęboko ukryte protokoły, zgodnie z którymi musiałbyś się sprzeciwić, gdybyśmy zaczęli podważać działania naszego... – Chciała powiedzieć „sztabu”, ale pomyślała, że w Agencji pewnie nic takiego nie istnieje. – Podważać działania naszego szefa.

– Zaprzeczam, Maddy. Najwyższy priorytet to obrona historii i ochrona członków drużyny.

– Nie oberwiesz nam głów bez zapowiedzi, ani nic?

Bob wyduł końskie wargi i przybrał minę nadąsanego brzdąca.

– Nigdy nie skrzywdziłbym żadnego z was.

Liam dał mu delikatnego kuksańca w ramię.

– Nie martw się, kokosiany łbie, wszyscy cię kochamy. Prawda, Maddy? – Usiadł z powrotem na krześle i prowokująco skrzyżował ramiona. – Czy ja dobrze widzę?

– O co ci chodzi?

– Strajk robotników tu urządzacie?

Skinęła głową, na jej ustach wykwitł odważny uśmiech determinacji.

– Oczywiście! – siorbnęła z puszkii łyk Dr. Peppera. – Jeżeli oni... on... Waldstein, czy kto tam inny rządzi, chce, byśmy znowu ocalili historię, to lepiej żeby wreszcie puścił parę z gęby i odpowiedział na nasze pytania.

– Wypiję za to – rzekł Liam, unosząc kubek z kawą.

– Ja też – podłapała Sal i wzniosła nad stół szklanekę soku owocowego, w którą jednocześnie uderzyły obłupany kubek i wgnieciona puszka. Toast spełniono.

Bob w zamyśleniu pokiwał głową.

– Potwierdzam. – Rozejrzał się dookoła. – Nie mam żadnego napoju... czy picie jest wymagane?

ROZDZIAŁ 12

Cheyenne Mountain, Colorado Springs

Projekt Exodus

rok 2070

Rashim zajął swoje miejsce na siatce translacyjnej i tak jak pozostali uczestnicy wyprawy stanął w kwadracie o powierzchni metra kwadratowego. Ten margines bezpieczeństwa miał zagwarantować, że podczas wyprawy ludzie się nie „skleją”. Ale oczywiście nic nie było pewne. Rashim był tego świadom bardziej niż którakolwiek z osób stojących w hali. Prawa fizyki i ich przewidywalność miały tendencję do rozpadania się w ponadwymiarowej przestrzeni, czyli w przestrzeni chaosu, jak nazwał ją enigmatyczny Roald Waldstein.

Nikt nie wiedział i nie mógł wiedzieć, czy którekolwiek z nich przeżyje. Co gorsza, ponieważ wartość łącznie translokowanej masy, kluczowy współczynnik masowy, określono z dość optymistycznym przybliżeniem, było bardzo prawdopodobne, że wylądują przed lub poza stacją odbiorczą. Albo – Jezu... lepiej w ogóle o tym nie myśleć – na zawsze pozostaną w przestrzeni ponadwymiarowej.

Z głośników systemu nagłaśniającego wypłynął i rozbrzmiał echem głos doktora Yatsushity przypominającego, że do startu zostało tylko dziesięć minut.

– Przepraszam... ale nikt nie wyjaśnił mi, o co tu chodzi.

Rashim odwrócił się i spojrzał na stojącego w sąsiednim kwadracie mężczyznę. Unoszący się tuż nad ziemią panel danych holograficznych informował, że stojący przed nim człowiek to profesor Elsa Korpinkski: fizyczka. Rashim nie był aż tak zdenerwowany, żeby nie dostrzec ewidentnej różnicy płci.

– Przepraszam, sir! Wie pan, co tu się dzieje? Co wydarzy się za dziesięć minut?

Mężczyzna nosił wojskowy mundur, a szewron na naramienniku wskazywał, że jest kapralem. Ewidentnie należał do grupy awaryjnych „ochotników”, których spędzono tu po zamknięciu bazy i odcięciu jej od reszty świata. Cały personel awaryjny pełnił funkcję, ni mniej ni więcej, zwykłego balastu równoważącego zmniejszenie indeksu masowego z powodu ubycia wielu kandydatów, którzy nie zdążyli dotrzeć do ośrodka i zająć swoich pól na siatce.

Chociaż zarodniki wirusa Kosong-ni już wcześniej zaobserwowano w Denver oraz kilkanaście kilometrów na południe od ośrodka, w Castle Rock – niebezpiecznie blisko, biorąc pod uwagę, że zarodniki rozprzestrzeniały się drogą powietrzną – ognioodporne wrota bazy zatrzasnęły się, odgradzając zebranych od świata zewnętrznego, dopiero wówczas, gdy wiceprezydent Greg Stilson dotarł tu wraz z małżonką rządowym gyrokopterem.

Kapral rozejrzał się po podłodze hangaru.

– Po co te wszystkie hololinie i wyświetlacze? Czy to szczepionka przeciwko koreańskiemu wirusowi? Tak? To lekarstwo?

– Wyruszamy – rzekł Rashim.

– Wyruszamy? – Zlizał pot z górnej wargi. – Co? Gdzie? Wyruszamy... o czym pan u licha mówi?

Rashim zauważył naszywkę z nazwiskiem na kieszeni żołnierza: North.

– Wyruszamy do przeszłości, kapralu North.

– Przeszłości? Co... hmm... co to ma być? Mówi pan, że do przeszłości? – Poruszył się niespokojnie, wojskowy bucior znalazł się poza linią kwadratu. W systemie nagłaśniającym

zabrzmiał komunikat ostrzegawczy. Sztucznie wygenerowany głos kobiety spokojnie oznajmił: naruszenie tolerowanej odległości, kandydata na polu numer 327. Uprasza się o pozostanie w obrębie markera lokacyjnego.

North spuścił wzrok na swoje buciory i zrobił, jak mu kazano.

– Właśnie powiedział pan... do przeszłości? Czyli...?

– Tak. Cofamy się w czasie, do przeszłości.

Mężczyzna zaklął pod nosem.

– Wmawia mi pan, że to... to jakiś wehikuł czasu? Ale to przecież... to...

– Ewidentne naruszenie prawa międzynarodowego. Zgadza się. Wiem o tym. – Rashim wskazał zaznaczoną holograficznie linię, która unosiła się kilka centymetrów nad betonową podłogą.

– Proszę nie tracić nerwów i zachować spokój. Pod żadnym pozorem podczas transmisji nie wolno panu wychodzić poza ten kwadrat. Czy to jasne?

Kapral North sceptycznie popatrzył na podświetlony wokół niego obszar podłogi.

– A jak wystawię głowę?

– To trafi pan do przeszłości bez głowy.

– Jezu!

– Ewentualnie stopi się pan z biedakiem stojącym w kwadracie obok. Niech pan się nie rusza.

– Nikt mi nic nie wyjaśniał. Wzięli mnie razem z kilkoma chłopakami z jednostki i przyprowadzili tutaj...

– Niech pan tylko nie wariuje i stoi spokojnie.

– Doktorze Anwar? – Głos Yatsushity rozbrzmiał w przepastnym wnętrzu. –

Wprowadziłem do systemu wyniki pana obliczeń, symulacja potwierdziła, że margines błędu jest akceptowalny. Rozumiem, że możemy bezpiecznie kontynuować?

Rashim szczerze w to wątpił. Komunikat o błędzie można było bezpiecznie zlekceważyć, pod warunkiem, że rzeczywiście zapaliła się bursztynowa, a nie wściekle czerwona dioda alarmowa. Miał nadzieję, że doktor niczego przed nim nie tai. Skinął głową.

Kapral North z respektem spojrział na Rashima.

– To pan? Pan tym wszystkim dowodzi?

– Hmm... tak. W pewnym sensie.

– Generator pola się ładuje – z systemu nagłaśniającego znów popłynął kobiecy głos. – Osiem minut do transmisji.

Irańczyk objął wzrokiem uczestników projektu Exodus: w większości byli to mężczyźni, wielu w podeszłym wieku, kilka kobiet i dzieci. Dostrzegł nawet siedzącego na ziemi niemowlaka. Rodziny multimilionerów. Ta grupa powinna składać się z trzystu najtęższych umysłów na świecie, młodych mężczyzn i kobiet pragnących skolonizować przeszłość i podarować jej największe dobrodziejstwa współczesnego świata.

Pod drugiej stronie hali zauważył pluton jednostek bojowych, które stały w obrębie swoich pól w absolutnym bezruchu. Genetycznie zmodyfikowani żołnierze wyglądali imponująco: zielone mundury opinały zwaliste mięśnie i grube kości, całości dopełniały karbonowe pancerze i hełmy, uzbrojeni po zęby mogli swobodnie rozpętać i wygrać niejedną małą wojenkę.

Rashim zauważył, że w jego stronę drepcze SpongeBubba.

– Hej, *skippa!* – zawołał z tym swoim radosnym, plastikowym uśmiechem.

– Bubba, zaraz wyjeżdżam. Musisz zejść z siatki transmisyjnej.

– Wiem – odpowiedział, wesoło szczerząc siekacze. – Przyszedłem się pożegnać. Aha, w

skrzynce odbiorczej są trzy nowe wiadomości. Same rachunki. Pierwszy to wezwanie do uregulowania rachunku z Intercytext Systems...

„Fiskus... nawet apokalipsa mu nie straszna” – uśmiechnął się w duchu.

– Zaczekają, Bubba. Zmiataj już lepiej.

– Się robi.

– Aha, od teraz twoim właścicielem jest doktor Yatsushita.

„Dopóki nie umrze”.

– Rozumiem. Na razie, *skippa*. Odlotowej wycieczki!

– Na razie, Bubba.

Patrzył, jak jego żółty asystent laboratoryjny człapie w stronę boksów, biurek i niebiesko-zielonej poświaty emitowanej przez kilkanaście fruujących holowyświetlaczy.

– Pięć minut do transmisji – zabrzmiał głos doktora Yatsushity. – Osoby nie biorące udziału w projekcie Exodus muszą bez chwili zwłoki opuścić siatkę.

Rashim usłyszał narastający szum mocy kierowanej prosto do hangaru. Pod sufitem rozległ się brzęk łańcuchów i furkot silników. Za kilka chwil opadnie na nich zbudowana z wysokiej jakości metalu „klatka” – kurtyna materiałów przewodzących, która zakryje całą powierzchnię siatki transmisyjnej niczym płachta magika opadająca na ciało jego dematerializującego się asystenta. Tak potężnej mocy, jaka przepłynie przez siatkę, nie mógłby wytworzyć nawet generator zasilający bazę Cheyenne Mountain. Aby transmisja miała szansę powodzenia, doprowadzono energię z innych reaktorów jądrowych w stanie Kolorado. Wiązało się to oczywiście z koniecznością odcięcia całych miast od dostawy prądu. W Denver na pewno gasną już latarnie i żyrandole. Choć nie to jest obecnie największym zmartwieniem dla pozostałych przy życiu mieszkańców stolicy Kolorado.

Wciąż prześladowało go widmo rozpuszczonej dziewczynki, którą widział w transmisji telewizyjnej: sterta ubrań i strumień ciemnej cieczy zalewającej chropowatą skórę. Nieustannie zastanawiał się, kiedy wirus zabije ostatnich ludzi na ziemi, kiedy padnie ostatni bastion ludzkości.

„Kto wie, może bez ludzi świat odrodzi się pod inną postacią”.

W tej niepokojącej myśli tkwiło ziarno optymizmu. Miasta obróć się w opustoszałe gruzowiska, a natura znajdzie sposób, żeby zneutralizować skutki wywołane przez zatrute powietrze i skażone morza. I ostatecznie wymaże ostatnie wspomnienie o nas samych. O kolejnym nieudanym eksperymencie. Dinozaury miały swoją epokę, a ludzie swoją.

„Kto nadejdzie po nas?”.

– Obniżanie klatki mocy.

Rashim podniósł głowę i ujrzał, jak spod sklepienia powoli opada metalowa klatka, przykrywając ich niczym całun. Uczestnicy, którzy zostali dołączeni do projektu w ostatniej chwili, zaczęli nerwowo rozglądać się wokół, nie mieli bowiem pojęcia, jak dokładnie będzie wyglądał proces transmisji.

– Co to jest? Co to zjeżdża?

– Spokojnie – odchrząknął Rashim do kaprała. – Zaraz wszyscy znajdziemy się pod wielką klatką Faradaya, wokół której wytworzy się pole energetyczne w kształcie ogromnego pudełka na buty, a my zostaniemy nim owinięci jak do przesyłki.

– Jak paczka?

Pozostali ludzie w hangarze wyglądali na równie przerażonych. Kilka osób na planszy kwadratów nie wiedziało zupełnie nic na temat przebiegu procesu, nawet wiceprezydent zrzucił medialną maskę opanowania i niespokojnie rozglądał się wokół.

– Tak... jak paczka – potwierdził Rashim, uśmiechając się pod nosem.

Spotkał się wzrokiem z doktorem Yatsushitą i ostatni raz kiwnął do niego głową.

Yatsushita powiedział coś bezgłośnie. Rashim z łatwością odgadł, o co chodzi: „Nie pozwól im przejąć dowództwa”. Potem staruszek zniknął za błyszczącą kurtyną nowiutkiej metalowej klatki. Gdy metalowa konstrukcja dotknęła betonowej podłogi, szum silników ustał.

– Energia zostanie wyzwolona za dwie minuty. Proszę upewnić się, że znajdują się państwo w obrębie markerów siatki.

Rashim rozejrzał się wokół i zauważył, że wszyscy robią dokładnie to samo, sprawdzając czy mieszczą się w całości w przydzielonych kwadratach. Był przekonany, że w niektórych przypadkach właściwie nie ma znaczenia czy ktoś ostrożnie ustawi się w obrębie klatki, bo i tak nie przeżyje. Jeżeli waga ciała takiej osoby będzie w zbyt dużym stopniu różniła się od wagi kandydata, który powinien tam stać, wtedy... cóż, tak naprawdę nie miał pojęcia, co się wówczas wydarzy. Zaginie? Wyląduje z wnętrznościami na wierzchu? Popatrzył na kilkoro dzieci, na dziecko wierzące się na podłodze.

„Głupcy, zabrali ze sobą dzieci”.

Dla niektórych z nich wprowadził tylko przybliżone wyniki.

– Minuta do wyzwolenia energii. Proszę stanąć nieruchomo.

Zamknął oczy, był niemal przekonany, że wszystko zakończy się upiorną, krwawą katastrofą. Ten pośpiech ich zgubi. Za dużo tu domysłów i matematycznych zgadywanek, żeby mogło się udać. Nie na to się pisał, o nie. O dziwo, uświadomił sobie, że wcale się nie boi. Przecież na tym świecie nie ma już nic, co mógłby stracić. Nie porzuca rodziny ani przyjaciół. Nie porzuca nikogo ani niczego, za czym mógłby zatęsknić. Przez ostatni tydzień patrzył, jak wirus unicestwia gatunek ludzki. Oglądał rzeczywiste wydarzenia przypominające jeden z filmów katastroficznych, które ludzie zwykli oglądać w „kinach”.

Syntetyczny wirus wyhodowany przez człowieka. O ironio.

„Sami sobie zawiesiliśmy na szyi pętlę”. Wyczuwał w tym jakąś satysfakcjonującą symetrię: po zgładzeniu świata postanowiliśmy zgładzić samych siebie.

Szum pola narastał, Rashim usłyszał eksplodujący nad ich głowami strumień energii pokrywającej całą siatkę transmisyjną wielkości stadionu piłkarskiego.

Po raz kolejny usłyszał gromki głos Yatsushity. Intensywny pomruk wirującej energii zagłuszył jednak słowa doktora. Poczul, jak włosy na rękach stają mu dęba, jak wzbierający wokół pęd elektryczności niemal wrywa mu włosy z cebulek.

„To koniec. Żegnajcie, wszyscy – żegnaj, dwudziesty pierwszy wieku, żegnaj, świecie uśmiercony przez człowieka. Żegnajcie, narody mordujące się wzajemnie o skrawek ziemi, kęś jedzenia, szklankę wody... czasem o inny kolor skóry, inną wiarę, obrządek, inne poglądy polityczne”.

Gdy potężna moc omiotła metalową klatkę, a łuki energii zaczęły skakać po siatce transmisyjnej tuż nad ich głowami niczym koniki na szachownicy, Rashim zastanawiał się, czy ludzie rzeczywiście zasłużyli na to misterne oszustwo, na ten dodatkowy rzut

kością. Być może, żeby się czegoś naprawdę nauczyć, trzeba upaść... i doszczętnie się roztrzaskać. Tym właśnie był wirus Kosong-ni: karą dla ludzi. EPICKIM UPADKIEM gatunku ludzkiego. Garstka ocalałych, o ile ktokolwiek się uratuje, na pewno zmądrzeje i przerośnie otaczających go głupców.

„Doprowadziliśmy świat do ruiny... i co robimy? Uciekamy od problemu”.

Miał nieodparte przeczucie, że to, co teraz robią, to próba odbudowania cywilizacji, która w kółko będzie popełniać te same głupie grzechy. W kółko.

„W kółko”.

ROZDZIAŁ 13

Nowy Jork
rok 2001

- Słucham?
- Ten uniform, który tam wisi – powiedziała Sal do staruszki. – Możemy mu się bliżej przyjrzeć?
- Ten z Titanica?
- Maddy pokiwała głową.
- Właśnie ten.
- Staruszka wyciągnęła zza lady taboret, wdrapała się nań, chwiejąc się niepewnie, zdjęła wieszak z poręczy i z wyraźną ulgą zeszła na ziemię. Odsunęła na bok stosik używanych, czekających na wycenę książek i ostrożnie rozłożyła marynarkę na ladzie.
- To niemal eksponat – powiedziała staruszka. – Ma prawie dziewięćdziesiąt lat. – Pomarszczone dłonie płynnym ruchem wygładziły tkaninę. – Nawet ja jestem młodsza – zażartowała.
- Maddy i Sal w milczeniu patrzyły na leżący przed nimi uniform.
- Nigdy nie wypożyczam go na bale kostiumowe. I naprawdę nie wiem, czy chcę go w ogóle sprzedać. – Wzruszyła ramionami. – No, chyba że ktoś zaoferuje pokazną sumkę.
- Sal mocniej nachyliła się na ladę.
- Tutaj. Widzisz? – Wskazała górną część rękawa. Maddy pochyliła głowę, poprawiła okulary i uważnie popatrzyła na wskazane miejsce.
- Masz rację!
- Plama rzeczywiście tam była. Tak niewyraźna, że można było ją dostrzec, tylko jeśli specjalnie się jej szukało.
- Coś panienki zauważyły?
- Plamę – odparła Sal. – Po czerwonym winie albo czymś podobnym.
- Staruszka uniosła do oczu zawieszona na łańcuszku okulary, nacisnęła je na nos i uważnie spojrzała na miejsce, które wskazywała Sal.
- O mój... że też ja wcześniej tego nie zauważyłam!
- Mogę spytać, jak znalazła się pani w posiadaniu tego munduru? – spytała Maddy.
- Staruszka wyprostowała się, zdjęła okulary i pozwoliła im luźno opaść na klatkę piersiową.
- Zaraz, zaraz. Jeśli dobrze to sobie przypominam, ktoś przyniósł go do mnie razem z innymi starociami ze swojego strychu. W pudle pełnym zakurzonych gratów. Nie spodziewałam się, że wśród tych wszystkich rupieci znajdę taką perełkę. No ale to się na szczęście zdarza od czasu do czasu...
- Sal wskazała zabrudzoną witrynę sklepową.
- A ten miś?
- Staruszka nachyliła się nad ladę, żeby sprawdzić, co pokazuje Hinduska.
- Na bujanym fotelu? Ten pluszowy miś?
- Tak.
- Och, wszystkie te pluszaki dostają z ośrodka pomocy społecznej... z tym chyba było tak samo. – Spojrzała na mundur i niewyraźną plamę po winie. – Fascynujące. Prawda? Dzięki czemuś takiemu... historia zaczyna ożywać – powiedziała do Maddy. – Cofnijmy się w czasie,

co? Spróbujmy wyobrazić sobie, jak powstała ta plama. – W oczach staruszki zalśniła ekscytacja. – Być może jakiś członek załogi pędził korytarzem Titanica ze szklanką sherry dla wyniosłej księżnej, kiedy statek uderzył w lodowiec i tak powstała ta plama?

Maddy potaknęła przyjaźnie.

– Tak, to rzeczywiście ciekawa historia. – Zauważyła, że Sal nie przestała wpatrywać się w usadzone w bujanym fotelu pluszowe zabawki. Delikatnie stuknęła ją w ramię. – Sal?

– Ha? – Sal spojrzała na nią nieobecny wzrokiem.

– Wszystko dobrze?

Wyraźnie rozproszona Hinduska skinęła tylko głową.

Zabrzączał dzwonek i otworzyły się drzwi. Do sklepu wszedł mężczyzna w smokingu, z przewieszoną przez ramiona suknią balową.

– Kogóż tu niesie! Pan Weismuller! – Staruszka żwawo wyszła zza lady. – Jak się udało przyjęcie łoży?

– Wychodzimy – oznajmiła Maddy, biorąc Sal za rękę. – No, chodźże. – Niemal popchnęła pogrążoną w zadumie Sal. – Dziękujemy, że pozwoliła nam pani obejrzeć uniform! – krzyknęła jeszcze do staruszki, gdy obie precyzyjnie się obok klienta i wyszły na zewnątrz.

Kobieta rozmawiała jednak z nieznajomym w najlepsze i ledwo zauważyła, że dziewczyny wychodzą.

Gdy znalazły się na chodniku, Maddy potrząsnęła głową.

– Mój Boże! Miałaś rację. Jest... jest wprost identyczny!

Sal nie przestawała gapić się na pluszowe zabawki siedzące w bujanym fotelu za oknem.

– Sal? Co jest?

Nastolatka odwróciła się do Maddy, błyskawicznie przywołując na twarz sztuczny uśmiech.

– Nic. Nic. Tylko, że ... hmm... – Postanowiła zmienić temat. – No i sama widzisz. Mówiłam ci. Ten uniform... co to według ciebie może znaczyć? Bo na pewno coś znaczy! Musi coś znaczyć!

Maddy pokiwała głową.

– Tak... tak, znaczy. – Pomyślała, że dobrze się stało, że nie zabrały ze sobą Liama.

Irlandczyk i Bob poszli do pobliskiej księgarni Barnes & Noble kupić kilka książek. Liam twardo zarzekał się, że wreszcie nauczy się doskonale obsługiwać komputer i korzystać z Internetu.

Maddy zapewniała go, że książka pod tytułem „Przewodnik po świecie WWW dla kompletnych imbecyli” naprawdę istnieje, a ona wcale nie próbuje być wulgarna.

– Wiesz, co myślę? – odezwała się Sal. – Wyjdzie na to, że jestem fakirczańsko obłąkana. Ale... – Wzięła głęboki oddech. – Wydaje mi się, że ten uniform mógł należeć do Fostera.

Maddy nerwowo przygryzła wargę. Teraz prawdopodobnie nadeszła właściwa chwila, aby zdradzić tajemnicę staruszka. Sal była bliska prawdy... chyba. Boże, znów te sekrety, szczególnie ten. Są do bani.

– Sal... musimy porozmawiać o Liamie.

– Co? Co się stało? – Sal popatrzyła na nią ostro.

– On... on tak jakby nie jest tym, kim myślisz, że jest.

Hinduska sprawiała wrażenie roztrzęsionej.

– Co? Jak to? No to kim jest?

– Chodźmy na kawę. Natychmiast.

– Maddy! Powiedz mi! – Dziewczyna wyglądała na naprawdę zaniepokojoną. Nie.

Prerażoną. – Kim jest?!

– Najpierw muszę się napić kawy. – Maddy zadrżała, czując, że nogi zaraz odmówią jej

posłuszeństwa, że zbiera jej się na mdłości i zaraz z tego wszystkiego wymiotuje na chodnik. – Muszę usiąść, Sal. Naprawdę. Zebrać myśli... i potrzebuję tej pieprzonej kawy.

ROZDZIAŁ 14

25 kilometrów na północy wschód
od Rzymu
37 rok naszej ery

Patrzył na bezchmurne, błękitne niebo. Ten intensywny, głęboki błękit przywodził na myśl stare fotografie z początku dwudziestego pierwszego wieku. Jakże różnił się od wiecznie bezbarwnych obłoków zasnuwających niebo dwa tysiące siedemdziesiątego roku: od burzowych tumanów chmur plujących siarką i kwaśnym deszczem, od wszechobecnego smogu wiszącego nad miastami i slumsami uchodźców.

„Pięknie”.

Rashim czuł ciepło słońca na twarzy. Słyszał szept świeżego, nieskażonego wiatru delikatnie poruszającego gałęzie i liście pobliskiego drzewa.

„Czy to raj?”.

Kojąca myśl. Projekt Exodus zakończył się spektakularną klapą, wszyscy kandydaci uczestniczący w transmisji, w tym on sam, umarli – rozdarci na kawałki przez ponadwymiarowe siły – trafili do džannah. Wuj Rashima, imam, wziął go kiedyś na bok i próbował wyjaśnić, jak wygląda raj Allaha. Opis łudząco przypominał to miejsce. Wyrzucał sobie teraz, że przez całe życie drwił z wiary przodków.

„Może się mylił. Może Bóg rzeczywiście istnieje”.

Ta przyjemna iluzja mogła trwać w nieskończoność, chciał leżeć tu na plecach i cieszyć oczy intensywnym błękitem nieboskłonu, ale zaczęły rozpraszać go dobiegające z pobliska odgłosy. Udało się najwyraźniej. Przeżyli skok.

Z westchnieniem znużenia Rashim powoli uniósł się na łokciach i rozejrzył po okolicy.

Wylądowali na płaskim terenie stacji odbiorczej, wprost na polu kołyszącej się, oliwkowozielonej trawy. W oddali lśniła wijąca się rzeczka i wznoszące się nad nią wzgórza.

Właściwa lokalizacja, to nie ulega wątpliwości. Nie dostrzegł jednak żadnego śladu czterech latarni nawigacyjnych, wysokich na trzy metry trójnożnych podpór zwieńczonych platformą sprzętową. Latarnie rozstawiono w rogach obszaru idealnie odpowiadającego rozmiarem powierzchni siatki translacyjnej w ośrodku Cheyenne Mountain.

Podniósł się z ziemi, zasłaniając oczy przed rażącym słońcem. Ani śladu po latarniach. Rashim zaklął siarczyście.

„Wywaliło nas poza zakres lądowania”.

– Gdzie to jest? Gdzie jesteśmy?

Rashim odwrócił się w prawo. Tuż obok niego stał kapral.

– Gdzież my, do diabła, jesteśmy?

– W pobliżu Rzymu. Ale nie wiem kiedy dokładnie. Stację odbiorczą wybudowaliśmy w pięćdziesiątym czwartym roku naszej ery – ciągnął Rashim, bardziej myśląc na głos niż odpowiadając na pytanie kaprała. – Powinny tu być, psia krew, a nie widzę żadnej latarni.

– W pięćdziesiątym czwartym roku naszej ery...? – Mężczyzna pomasaował się po skroniach, jakby siłą chciał wepchnąć tę nieprawdopodobną wiadomość do głowy. – Mówi pan, że w pięćdziesiątym czwartym roku? Pięćdziesiąt cztery lata po narodzinach Jezusa Chrystusa?

Rashim pokiwał głową, wpatrując się w przestrzeń nieobecny wzrokiem.

– Tyle tylko, że to nie ten rok. Mogę jedynie zgadywać, że to inna epoka. Nie trafiliśmy w sygnaturę czasową. Za bardzo cofnęliśmy się w czasie.

Rashim wykonał już chyba pełny obrót wokół własnej osi i miał obraz całej sytuacji. Pole usiane było ludźmi, którzy powoli siadali, ciężko podnosili się z ziemi i próbowali dojść do siebie, w osłupieniu wpatrując się w to osobliwie jasne i przepięknie błękitne niebo nad głowami. Wielu z nich wciąż pozostawało w stanie niemego szoku. Zauważył, że po drugiej stronie pola brakuje jednego z MWD – olbrzymiego Mobilnego Wehikułu Dowodzenia.

Pewnym krokiem zmierzała ku niemu jednostka bojowa, na jej obudowie pobrzękiwały kilogramy sprzętu wojskowego, a z paska przy ramieniu zwisał standardowy karabin pulsacyjny T1-38. Jednostka nie zwalniała kroku, przez głowę przemknęła mu myśl, że robot go staranuje, ale ten raptownie zatrzymał się kilkanaście centymetrów przed nim i zdjął hełm.

– Doktor Yatsushita przekazał panu pełne dowództwo.

Rashim popatrzył na jednostkę, nie był pewien, czy oznajmia mu to, czy tylko pyta. Mówiąc delikatnie, jednostki bojowe go deprymowały. W przeciwieństwie do zwalistych, ponaddwumetrowych goliatów projektowanych przez armię, nowsze modele zdecydowanie bardziej przypominały ludzi. Te genetycznie podrasowane klony wojskowe były tak samo mocne i sprawne jak ich starsze odpowiedniki, a przy tym miały wyraźnie mniejszą masę mięśniową. Wciąż jednak wyglądały jak sfora wojskowych zakapiorów: dwa tuziny skwaszonych Hansów z identycznie przyciętymi na jeża czuprynami. Duszami towarzystwa na przyjęciu to oni nigdy nie będą.

Stała przed nim jednostka bojowa w randze porucznika, plakietka z jej nazwiskiem, zupełnie jak u kaprała Northa, była przyszyta do bluzy maskującej, na wysokości piersi. Nie wiedzieć czemu, nadawanie nazwisk jednostkom bojowym wydawało się niewłaściwe. Powinny być oznaczone numerycznie. Choć z drugiej strony... przecież on sam nadał jednostce laboratoryjnej imię.

– Tak, oczywiście... hmm... poruczniku Stern. – Rashim nieporadnie zaszutował, choć nie miał przekonania, czy powinien to robić.

„Stern? Ciekawe, który kretyn wybrał jednostce tak tandetne nazwisko” – pomyślał Rashim i doszedł do wniosku, że pozostałe klony w plutonie bez pudła nazywają się Chuck, Butch, Tex i Travis.

– Czekam na rozkazy, sir – oznajmił Stern.

Rashim wyduł wargi i zaśmiał się, odrobinę zbyt nerwowo.

– Co... errr, co sugerujesz?

Stern omiół pole zimnym jak stal spojrzeniem szarych oczu. Wiele skrawków trawy świeciło pustką, brakowało sprzętu, nawet ludzi.

– Rekomenduję zinwentaryzowanie strat poniesionych podczas transmisji, sir.

Rashim z zapalem pokiwał głową.

– Tak, tak, to... dokładnie to samo, co chciałem zaproponować. Bardzo dobrze. – Zmarszczył czoło, próbując za wszelką cenę przybrać oficjalną i władczą minę. – Odmaszerować... Stern. Zajmijcie się tym.

– Tak jest, sir – odparła jednostka bojowa i raźnie zaszutowała.

Odprowadził wzrokiem klona, który truchtem odbiegł w stronę swojego plutonu, deptając buciorami suchą trawę. Pozostali rozbitkowie, którzy przetrwali skok, powoli zaczęli odzyskiwać siły i zdolność trzeźwego myślenia. Transmisję przeżyli wiceprezydent Stilson i – co nie wróżyło nic dobrego – dyktator oraz dwie z jego żon.

Rashim zastanawiał się, ile czasu upłynie, zanim któryś z nich dojdzie do wniosku, że to właśnie on powinien przejąć dowodzenie nad projektem Exodus.

ROZDZIAŁ 15

25 kilometrów na północny wschód
od Rzymu
37 rok naszej ery

– Znajdujemy się w wiejskim regionie o nazwie Sabinium, około dwadzieścia pięć kilometrów na północny wschód od Rzymu. – Rashim powiódł wzrokiem po zebranych uczestnikach projektu Exodus. Zostało niecałe sto pięćdziesiąt osób. Skoku nie przeżyła na oko połowa uczestników. Z ponadwymiarowej przestrzeni nie wypłynęło już żadne dziecko ani niemowlak.

„Niechaj Bóg ma ich w swojej opiece”.

– Ta lokalizacja została wybrana przez zespół badawczy projektu Exodus. Kierowany przez, grhm, przeze mnie. – Skromnie wzruszył ramionami. Na horyzoncie za rzędem cyprysów właśnie zachodziło słońce, układając na falujących źdźbłach trawy długie cienie. – Koordynowałem instalację stacji odbiorczej.

– A co to takiego? – Z powodu narastającego zmroku nie dostrzegł, kto z tłumu rzucił to pytanie.

– Cztery latarnie nawigacyjne emitujące strumienie tachionowe: PWT, ponadwymiarowe wiązki transmisyjne...

„Tym ignorantom trzeba wszystko wyjaśniać jak chłop krowie na miedzy”.

– Wehikuł czasu – Boże, jak on nienawidził tego terminu – zaprojektowano tak, aby został wyłowiony przez wiązki latarni i doprowadzony do właściwego punktu w czasie. Ale, grhm... wszystko wskazuje na to, że cofnęliśmy się odrobinę za daleko niż pierwotnie zakładaliśmy.

– A przy okazji bezpowrotnie straciliśmy ponad sto osób! – Rashim odwrócił się w stronę obcego głosu. – Ktoś tu nielicho nawalił! – Oczy wiceprezydenta Stilsona pałały żywym ogniem jak u starotestamentowego proroka.

– Proszę mnie uważnie wysłuchać, panie Stilson... nie mamy tu do czynienia z precyzyjną nauką. Szczerze mówiąc, to biorąc pod uwagę, fakt, że do ostatniej chwili ciągle modyfikowaliśmy dane, oraz brak czasu na ponowne skalibrowanie transmisji za pomocą PWT... jestem głęboko zdziwiony, że aż tylu z nas zdołało przeżyć!

Stilson wściekle potrząsnął głową.

– Dobra, dobra, już się nasłuchałem. Teraz niech pan się nastawi na nasłuch, od tego momentu przejmuję dowodzenie. Tkwimy w syfie po uszy, najwyższa pora to zmienić!

– Słucham?! – Tembr głosu Rashima podskoczył o pół oktawy, przechodząc w niemal piskliwy krzyk. – Nie! Proszę mnie wysłuchać... doktor Yatsushita mianował mnie kierownikiem projektu Exodus. Powiedział, że...

– Obawiam się, że nie mamy czasu na płonne dysputy, doktorze Anwar... myślę się? Rashim pokręcił głową.

– No to postawmy sprawę jasno. Jestem tutaj najstarszym rangą oficjелеm Federacji Północnoamerykańskiej. A to oznacza, że dysponuję pełnią władzy wykonawczej. To ja tutaj dowodzę. I nie interesuje mnie, czy się to panu podoba, czy nie.

– Doktorze Anwar... – odezwała się jakaś kobieta. Cywil. Poznał ją, należała do personelu projektu Exodus. Nie była jedną z pierwotnych kandydatek.

– Tak? – Rashim odpowiedział pospiesznie, nie pozwalając Stilsonowi się rozpędzić. –

Słucham?

– Wie pan, jak bardzo przestrzeliliśmy markery stacji odbiorczej?

Rashim z zapalem pokiwał głową, usilnie próbując przywołać na twarz wyraz apodyktycznej kompetencji. Oto pytanie, na które wreszcie zna odpowiedź.

– Tak. Udało mi się zarejestrować współczynnik rozkładu pola tachionowego. To nie było trudne. Cząstki tachionowe rozkładają się ze stałą szybkością, bardzo podobnie wygląda proces datowania radiowęglowego, gdzie...

„Prościej, zwięźlej”.

– Ale żeby nie zanudzać pań i panów horrendalnie długim i nudnym jak flaki z olejem wykładem technicznym, powiem tylko, że cofnęliśmy się o siedemnaście lat wcześniej niż zakładaliśmy. – Podrapał się po brodzie i posłał im słaby uśmiech. – Co jest, mówiąc szczerze, bardzo imponującym wynikiem. – Poglądził się dłonią po głowie. – Biorąc pod uwagę, że musiałem spekulować co do niektórych danych wejściowych – wzruszył ramionami i uśmiechnął się – wszystko mogło potoczyć się zdecydowanie gorzej.

– Siedemnaście lat do tyłu... śmierć ponad połowy uczestników, zniknięcie całego sprzętu! – Stilson postąpił krok do przodu. – Dobry Boże, otrzeźwiej człowieku! Toż to totalna katastrofa! Doskonale wiem, jak wyglądały plany skolonizowania przeszłości... ale to już zamierzchła historia. Teraz musimy sprawdzić, co nam zostało i...

– To wszystko prawda, panie wiceprezydencie, ma pan słuszność... niewykluczone, że teraz będziemy musieli rozegrać „etap kolonizacji” odrobinę inaczej.

– Mnie to mówisz, Anwar? Teraz czeka nas wielka improwizacja, bo nie mamy planu awaryjnego.

Ocalali milczeli. Kilku z nich z grubsza poinformowano o zarysie projektu Exodus.

– Dobrzy ludzie, posłuchajcie mnie! – warknął Stilson. – Podejdźcie bliżej! Wytlumaczę wam wszystko. Za moment poznacie ściśle tajne informacje, o których wiedziały wyłącznie najważniejsze osoby w państwie. Poza personelem technicznym projektu Exodus dostęp do tych informacji miał tylko prezydent, moja skromna osoba i szefowie sztabu.

Rashim nie mógł nie zauważyć, z jaką łatwością przychodzi Stilsonowi przykucie uwagi tłumu.

– Projekt tworzone ponad pięć lat, finansując go z resztek budżetu obrony. Exodus był... i wciąż pozostaje... ambitnym planem przeszczepienia naszych wartości, naszej wiedzy i naszej mądrość na grunt krzepkiej i wielkiej cywilizacji starożytnego Rzymu.

Rashim usłyszał, jak przez publikę wiceprezydenta przebiega szmer.

– Sympozjum wybitnych historyków wyznaczyło optymalny punkt w czasie, w którym miał się rozpocząć projekt Exodus. Mieliśmy przybyć na te ziemie pod koniec panowania nieudolnego cesarza, idioty imieniem Klaudiusz. Słabego cesarza, który ledwo utrzymywał się u władzy. Plan był prosty. Mieliśmy zaproponować Klaudiuszowi nasze usługi i naszą technologię w zamian za przekazanie nam władzy wykonawczej i steru nad imperium. Po śmierci cesarza rzymską dyktaturę miała zastąpić republikańska demokracja w amerykańskim wydaniu.

Stilson odwrócił się i znacząco spojrzał na Rashima.

– Ale jak widać, cały nasz misterny plan diabli wzięli.

Rashim poczuł na sobie wzrok wszystkich zgromadzonych.

– Grhm... no tak. Ale w większości jesteście niewłaściwymi kandydatami. Chcę przez to tylko powiedzieć, że wasz wzrost i waga nie odpowiadają założeniom projektu, przez to wszystkie moje obliczenia stały się kompletnie nieaktualne! Tylko dlatego straciliśmy...

– Doktorze Anwar – spokojnie przerwał mu Stilson – ostatnie, co nam teraz potrzebne, to techniczny bełkot i nieudolne wykręty, stało się. Trafiliśmy do tej epoki i musimy sobie poradzić.

Najpierw ustalmy, na czym stoimy. Jak wygląda sytuacja w Rzymie roku trzydziestego siódmego. Może pan nam opowiedzieć przynajmniej o tym?

Rashim popatrzył na mężczyznę i pozostałych zgromadzonych wokół mężczyzn.

„Właśnie ich straciłeś. Niczym już nie dowodzisz”. W tym momencie zrozumiał, że to nie wiedza ani nie mądrość czynią z mężczyzny przywódcę. Wcale nie trzeba być mądrzejszym od wszystkich wokół. Na Boga, co z tego, że intelektualnie większość tych kretynów zjadłby na śniadanie. Nie, w istocie to dużo prostsze, cała sztuka to dobrać odpowiedni tembr głosu i przemówić do zgromadzonych z odpowiednią emfazą. To kwestia mowy ciała. Autorytetu. Charyzmy. Stilson urodził się z tymi atrybutami albo je wypracował. Rashimowi brakowało elementarnych podstaw.

– Doktorze Anwar?

Westchnął i wysunął panel zawiniętego wokół nadgarstka

h-pada, z którego wypłynął i zawisł na wysokości oczu niewyraźny ekran holograficzny.

– Tak... proszę bardzo. – Przesunął palcem po osi czasu. – Aha, jesteśmy w tym miejscu.

Obecnie panuje inny cesarz. Nie Klaudiusz, ale... – Przesunął dłoń wzdłuż lśniącej linii, aż do podświetlonego imienia. – Kaligula.

– Mamy jakieś informacje na temat tego człowieka, doktorze Anwar?

– Hmm... niech tylko sprawdzę w moim... – Zupełnie nie miał czasu uważnie przeczytać raportu historycznego, który na polecenie doktora Yatsushity przygotowali historycy zaangażowani

w prace projektowe. Niestety. Gdyby ostatnie kilka tygodni i miesięcy nie przebiegały w tak szaleńczym tempie, znalazłby zapewne czas na pobieżne przejrzanie tych materiałów, choć jego obowiązki obejmowały przede wszystkim gromadzenie danych i wstukiwanie cyfr do systemu – tak, aby wszystko miało ręce i nogi.

– Cesarz Kaligula? Ja wam mogę o nim opowiedzieć. – Wszystkie głowy odwróciły się w kierunku niepozornego mężczyzny w tłumie. W blednącym świetle dnia Rashim ledwo rozpoznał znajomą twarz: twarz jednego z kandydatów. Jednej z nielicznych osób, które faktycznie powinny tu być, zamiast innych wziętych z łapanki gapowiczów. – Wiem o Kaliguli wszystko... niestety.

Stilson gestem nakazał ciżbie rozstąpić się i przepuścić eksperta.

– A pan kim jest?

– Doktor Alan Dreyfuss, jestem historykiem i lingwistą. Moja specjalizacja to epoka starożytnego Rzymu.

– Dobrze, w takim razie proszę nam powiedzieć wszystko co pan wie, doktorze Dreyfuss.

Trzydziestokilkuletni mężczyzna miał wąskie ramiona, wydatne brzuszysko, kołtun płowych włosów opadających na okulary i szpakowatą brodę, która, jak podejrzewał Rashim, miała za zadanie ukryć podwójny podbródek.

– Ach, Kaligula... – Dreyfuss potrząsnął głową. – Ojoj, to ci dopiero łobuziak.

– Łobuziak? To znaczy?

– To szaleniec.

– Szaleniec?

– Mhm. Obląkaniec. Wariat idealny.

Wyraźnie poruszeni ludzie zaczęli niespokojnie szeptać.

– Spokojnie, chyba wiem, jak moglibyśmy zgrabnie przejąć władzę – rzekł Dreyfuss z uśmiechem na ustach.

Stilson wydał wargi i z aprobatą pokiwał głową. Naukowiec przypadł mu do gustu.

– Dobrze, doktorze Dreyfuss, posłuchajmy, co pan proponuje.

– Szok i trwoga. Zróbmy spektakularne wejście – Dreyfuss panował nad tłumem niemal tak sprawnie jak Stilson. – Ten wariat mianował senatorem swojego konia, uwierzycie? Kaligula wierzył w omeny, znaki, był przesądny i paranoidalny. – Dreyfus złowrogo wyszczerzył zęby. – Łatwo więc uwierzy, że jesteśmy bogami.

ROZDZIAŁ 16

Tereny na północny wschód od Rzymu
37 rok naszej ery

Dwa MWD raźnie pruły ponad polami pszenicy, tworząc za sobą szeroki ślad spłaszczonych łądyg. Rashim mocniej chwycił za poręcz, gdy poduszkowce przelatowały nad pokrytą koleinami drogą, by po chwili wpaść na kolejne pole.

Frunęli w zawrotnym tempie, ale za to stosunkowo cicho: głęboki szum elektromagnetycznych repulsorów skutecznie zagłuszało pobrzękiwanie transportowanego sprzętu, który rytmicznie obijał się o karbonową blachę. Spomiędzy kołyszących się łądyg wystawały głowy i ramiona niewolników, stojących bez ruchu niczym sparaliżowane surykatki. Przerażeni ludzie szeroko rozwierali oczy, niesmacznie rozdziawiali usta i pierzchali w popłochu przed przedziwnym zjawiskiem.

Przed nimi wyrósł szerszy trakt, po którym toczyły się dziesiątki wozów zmierzających w stronę Rzymu. Wraz z pojawieniem się na horyzoncie wozów z przyszłości na trakcie wybuchło zamieszanie, ludzi i zwierzęta ogarnęła panika: zastępy kupców i niewolników rozbiegły się po polach, konie stawały dęba i ponosiły. Jadący na przedzie MWD odbił w lewo i wjechał na trakt. Nie była to już pokryta wysuszonym błotem droga, ale wyłożony kocimi łbami solidny gościniec. Prawdziwa, pełnoprawna droga.

– Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu! – w głośniku zatrzeszczał głos Stilsona.

Rashim zmarszczył nos i westchnął w wyrazie niemej pogardy: tylko zadufany w sobie idiota mógł zdobyć się teraz na wygłoszenie tak potwornego frazesu. Spojrzał na plecy Stilsona, który prężył się dumnie na platformie artyleryjskiej MWD niczym korsarski admirał na dziobie fregaty. Wiceprezydent wznosił pięść i uderzał nią powietrze z dziecięcą ekscytacją.

„Pozwoliłeś temu palantowi przejąć dowództwo. Gratulacje”.

Kątem oka zerknął na stojącą obok jednostkę, T1-39 stał spokojnie ze skrzyżowanymi na piersiach muskularnymi ramionami. Rashim zasłonił laryngofon.

– Ktoś się pysznie bawi, co?

Osłona przeciwsłoneczna w kasku jednostki była opuszczona. Rashim nie dostrzegając oczu robota, jedynie poruszający się koniuszek nosa i zaciskające się szczęki, jednostka działała proteinową gumę z wdziękiem kobyły przeżuwiającej siano.

– Tak jest, sir.

Trzeba przyznać, że wprowadzenie w życie planu awaryjnego Stilsona i Dreyfussa wymagało nieliczej brawury. Stracili zdecydowanie zbyt dużo amunicji, akumulatorów mocy, sprzętu i ludzi, żeby myśleć o zdobyciu i podporządkowaniu sobie Rzymu siłą. Z dwoma tuzinami jednostek bojowych i przypiętymi do pasów ostatnimi magazynkami amunicji, mogli co najwyżej urządzić spektakularny pokaz siły ognia, lecz niewiele więcej. A już na pewno nie pokonają z takimi zasobami kilku legionów i nie zdobędą milionowego miasta.

„Do diabła! Teraz dopiero ogarnie ich szok i trwoga!”.

Rashim słabo kojarzył slogan powtarzany przez Stilsona i Dreyfussa, jeśli dobrze sobie przypominał dawno temu ukuł go jakiś skretyniały buc z gabinetu prezydenta. Szok i trwoga. Każą im uwierzyć, że są zesłanymi na ziemię bogami! To ich plan. Wedrzeć się pędem na Forum Romanum, narobić harmidru, zastraszyć obywateli i zawładnąć całym miastem. Proste.

Pic na wodę fotomontaż. Wielka ściema. Blef do setnej potęgi.

„Pokerowa zagrywka Stilsona” – pomyślał.

Pędzący na przedzie MWD gwałtownie wzbił się w powietrze i przesybował ponad porzuconym wozem stojącym na środku drogi. Gdy ich pojazd wykonał ten sam manewr, Rashim zerknął w dół przez otwarty właz wieżyczki, przyglądając się ludziom ściśniętym w dolnej kabinie. Pasażerów było około pięćdziesięciu, same miejsca stojące. Wszyscy jak jeden mąż stracili równowagę i powpadali na siebie, gdy wehikuł wzbił się w powietrze i alarmująco zapikował, niczym ponton na wzburzonym morzu. Miał szczęście, że jechał na górnym pokładzie i nie musiał tłoczyć się tam razem z pozostałymi, już dawno by zwymiotował. Podróżowanie poduszkowcami nieodmiennie wywoływało u niego chorobę lokomocyjną.

– Sir!

Rashim odwrócił się do jednostki bojowej, która wskazywała coś wprost przed sobą.

Powiódł wzrokiem za obleczoną w rękawicę dłoń jednostki i zobaczył skromną brukowaną drogę okoloną rzędami rosnących w równych odstępach cyprysów, przywodzących na myśl kordon powitalnej gwardii honorowej. Dalej majaczyły pierwsze, niewyraźne zarysy miasta: długie, blade mury stolicy i falujące nad nimi morze terakotowych dachów niknących jak we śnie pod oparami porannej mgły, niezliczone paleniska i piece podsycane rękami piekarzy, kowali i garbarzy wypływały miriady cieniutkich smug dymu leniwie wznoszącego się ku śródziemnomorskiemu niebu.

„Rzym”.

– Rashimie, słyszysz mnie?

To był Stilson.

– Tak, słyszę.

– Gotowy pokazać im cuda, których nigdy nie zapomną?

Rashim wywrócił oczami. Wiceprezydent brzmiał jak niezdrowo podekscytowany bachor.

– Naprawdę chce pan włączyć tę... tę muzykę?

– A niech mnie! Tak, oczywiście że tak. Puść to, człowieku. Na pełny regulator!

Rashim z oporami uklęknął przy włazie, ze skwaszoną miną przełożył przezeń głowę i odezwał się do jednostki bojowej sterującej MWD.

– Stilson mówi, żeby puścić tę jego muzykę. Głośno.

– Potwierdzam.

Niemal natychmiast w jego uszach zadzwoniło jak w kościele, system nagłaśniający wehikułu eksplodował niemiłosiernym jazgotem decybeli. Stilson sam wybrał ten utwór, przegrał go z osobistego cyfroplayera. Stara kocia muzyka nazywana „rockiem”.

Głośniki, zamontowane na przednich maskach obu MWD, eksplodowały rykiem i dudnieniem, a piosenkarz ochryplym basem darł się bez sensu jak opętany, że urodził się w USA...

ROZDZIAŁ 17

Nowy Jork
rok 2001

Maddy postawiła tacę na stole. Mocne, spienione latte z dużą ilością mleka i cukru dla niej oraz owocowy smoothie dla Sal.

– No i? – spytała Sal niecierpliwie. – O co chodzi z Liamem?

Maddy usadowiła się w ich boksie, nachyliła nad stołem i zniżyła głos.

– Powiedział mi o tym Foster. Liam jest... – Potrząsnęła głową. – To takie dziwne Sal, że nawet nie próbuj tego ogarniać.

– Jahulla! Maddy! Wyrzućże to wreszcie!

– Liam i Foster... to ta sama osoba.

Hinduska się skrzywiła.

– Co?

– Ta sama. Dokładnie ten sam człowiek.

Sal odwróciła się i wyjrzała przez okno. Na zewnątrz był targ: mnóstwo sprzedawców artykułów spożywczych, ryb i istna ciżba klientów. Mogły co prawda usiąść w ogródku kawiarni, bo w poniedziałkowe popołudnie temperatura zawsze dopisywała, ale hałas targowiska był niemiłosierny, a one chciały porozmawiać dyskretnie, szeptem.

– Ta sama osoba?

Maddy pokiwała głową.

– Foster był kiedyś Liamem.

Sal nieprzyzwoicie rozdziawiła buzię. „Jakby łapała muchy” – tak zwykła mawiać jej mama.

– Właśnie tak. – Maddy potakująco kiwnęła głową. – Teraz to przetrwał, Sal. Jak Foster mi o tym powiedział, miałam wrażenie, że mózg mi się sfajczy.

– Ale jak to?... Co to w takim razie oznacza...? – Sal przerwała, przekrzywiła głowę i spochmurniała, po sekundzie znowu podjęła. – Mówisz, że Foster był jak młody Liam?

– Dokładnie jak młody Liam.

– Foster pracował dla Agencji od szesnastego roku życia?

– Hmm, taak, chyba... na pewno.

Sal przygryzła końcówkę słomki i zaczęła ją wściekle skubać. Przerwała.

– To oznacza, że Foster pracował kiedyś na Titanicu?

– No, tak mi się zdaje – potaknęła Amerykanka.

– I zwerbowano go tak samo jak Liama?

– Chyba.

– No to kto zwerbował Fostera?

– Nie wiem... nie wiem! – Spuściła wzrok na swoją dłoń i skonstatowała, że nieświadomie bawi się łyżeczką, niepotrzebnie mieszając spienioną już kawę. – Może inny Foster?

– Inny Foster? – Sal podniosła na nią wzrok. – Jakby to była pętla? Taka jak wokół naszej bazy pod arkadami, tylko większa? Zasupełana rzeczywistość? Czy to znaczy, że istnieją nasze alternatywne wersje? Inne Sal i Maddy?

Amerykanka wzruszyła ramionami.

– Cały czas staram się rozgryźć, jak to wszystko działa. Być może Fostera zwerbował

ktoś inny? – Zawiesiła głos. – Może sam Waldstein?

– Straszna *chuttiya*! To mnie kompletnie przeraża, Maddy. Już sama nie wiem, w co wierzyć, co o tym wszystkim myśleć. – Zaśmiała się. – Mam *chuttiya*ńsko odjechane wytłumaczenie.

– Jakie?

Sal wzruszyła ramionami.

– Daj spokój, Sal. Mówże.

– Mamy dwa mundury, tak? Wiemy, że Liam to Foster. – Bystro zerknęła na Maddy. – Możliwe... to może być kompletna *chuttiya*, ale możliwe, że wszyscy już tu kiedyś byliśmy. – Na twarzy Hinduski zamigotał nerwowy, spłoszony uśmiech. – Maddy, pomyśl o drużynie, która stacjonowała tu przed nami. Pamiętasz, jak Foster mówił, że wszyscy zginęli?

Kubek z kawą zawisł w połowie drogi między ustami Maddy a blatem stołu.

– O mój Boże! Myślisz, że to byliśmy my?

Sal wzruszyła ramionami.

– Dziennik... kojarzysz mój dziennik?

– Ten notes, w którym coś wечно bazgrzesz? Jasne, że kojarzę.

– Kiedy go znalazłam, miał wyrwane strony.

– Proszę, a ja myślałam, że go kupiłaś.

– Nie, znalazłam go w bazie. – Wciąż bawiła się słomką. – Ktoś go wsunął pod mój materac.

– No i? – Maddy potrząsnęła głową. – Te wyrwane strony...?

– Myślę, że osobą, która wcześniej prowadziła ten dziennik, mogłam być ja...

– Ach... – Tylko tyle potrafiła wydusić z siebie Maddy. – Wcale mi się to nie podoba.

– Mnie też nie.

Przez dłuższą chwilę patrzyły na siebie w milczeniu.

– Czyli niczego nie możemy być pewne – przerwała ciszę Sal. – Tkwimy tu jak szcurki laboratoryjne.

– Czasem rzeczywiście się tak czuję – zgodziła się Maddy.

Wyjrzała przez okno na ulicę. Nie po raz pierwszy zapagnęła rzucić wszystko w diabły: zamienić się miejscami z którymkolwiek z przechodniów.

– Wiem tylko... że ci ufam, Sal. Ufam też Liamowi. Dopóki nic przed sobą nie będziemy ukrywać.

Sal popatrzyła na nią uważnie.

– Ale przecież sama ukryłaś przed nami kilka rzeczy. Nic nie powiedziałaś o notatce z San Francisco i o Pandorze. A teraz o tym, że Liam to Foster. Kłamałaś! A teraz śmiesz...

– Ja... masz rację. – Maddy spuściła wzrok z poczuciem winy. – Mam już dość tych sekretów. Teraz wiemy tyle samo.

– To też już kiedyś mówiłaś.

– Tym razem mówię poważnie, Sal. Słowo. Koniec tajemnic. Wiemy tyle samo. – Chciała ująć dłoń Sal, ale ta się odsunęła. – Sal?

– Odnoszę wrażenie, że od razu spodobała ci się ta robota, Maddy... bardzo łatwo ci przychodzi. Zupełnie jakbyś kiedyś już tu pracowała. Albo...

– Łatwo? Żartujesz chyba? Powiedz mi, proszę, że żartujesz. Naprawdę uważasz, że to wszystko jest dla mnie łatwe? No nie... – Maddy słyszała, że jej głos drży od wzbierających emocji. Zamilkła więc, żeby nie wybuchnąć płaczem. Przycisnęła wargi i wzięła głęboki oddech.

„Tylko nie rycz, Maddy. Nie rób z siebie mazgaja”.

Upiła łyk kawy, choć nie bardzo miała już ochotę. Posiedziały w milczeniu jeszcze przez chwilę, uporczywie wpatrując się w targowe budki, byle nie patrzeć na siebie wzajemnie.

– Przepraszam – odezwała się wreszcie Sal.

– Nic się nie stało.

– Chciałam tylko powiedzieć...

Maddy machnęła ręką

– Zapomnij. Ufam ci, Sal. Ufam też Liamowi. Przeżyjemy, tylko jeśli będziemy zgodnie i uczciwie współpracować. Kilka razy się udało.

Sal skinęła głową.

– Tylko to mamy na tym świecie. Siebie nawzajem. Jeśli okaże się to niemożliwe... nie będę chciała dłużej tego robić. Nie będę mogła dłużej tego robić.

– Przepraszam, Maddy. – Dziewczynka ścisnęła dłoń przyjaciółki.

Maddy wyduła policzki.

– Już dobrze – rzekła z olbrzymim poczuciem winy. Istniał jeszcze jeden sekret, którym się nie podzieliła, może właśnie teraz nadszedł odpowiedni moment, żeby go z siebie wyrzucić.

– Jest coś jeszcze, Sal. Muszę ci powiedzieć jeszcze jedno.

Mina Sal mówiła wyraźnie, że nie ma teraz ochoty wysłuchiwać kolejnych tajemnic. Ale przysłowiowe sztybel do połowy wyszło już z worka. Maddy uznała, że dziewczyna musi to usłyszeć.

– Foster jest stary, prawda Sal? Stary. Ile może mieć według ciebie lat?

– Nie mam pojęcia – zgarbiła ramiona. – Strasznie jest stary.

– No dalej, zgaduj.

– Siedemdziesiąt? Osiemdziesiąt?

– A co powiesz na dwadzieścia siedem?

Smoothie prawie wyślizgnął się z rąk Sal.

– Co?

– Ma dwadzieścia siedem lat. – Maddy pociągnęła łyk kawy. – Możemy więc swobodnie założyć, że Jeźdźcem w Czasie był przez dziesięć lat. Biuro terenowe, Łuk, Agencja... funkcjonują w dwudniowej pętli czasu od około dziesięciu lat.

To się akurat zgadzało. Baza – od pierwszego dnia – sprawiała wrażenie opuszczonej przez poprzednich lokatorów. Z pewnością nie była nowiuteńka. Świeżo założona. Ale nie o to chodziło, nie to należało wyznać Sal.

– Rzecz w tym... że translokacja czasowa postarzała Fostera. Zawsze, gdy cofał się, by naprawić historię, niszczyła jego organizm, dodawała mu lat. Teraz dokładnie to samo dzieje się z Liamem.

Sal przez chwilę wyglądała za okno. Maddy doszła do wniosku, że Sal już dawno nabrała podejrzeń, iż coś niedobrego dzieje się z Irlandczykiem.

– Włosy? – odezwała się po chwili? – Ten kosmyk włosów?

Maddy ze smutkiem pokiwała głową.

– Tak... Liam wykonał wtedy gigantyczny skok. Sześćdziesiąt pięć milionów lat. To nie licheski upadek. Boję się myśleć, ile lat życia zabrała mu tamta wyprawa.

– *Chuddah* – wyszeptwała Sal. – On umrze, prawda?

– Przed nami... tak... to bardzo prawdopodobne.

– A wtedy?

Maddy nie miała pojęcia, co wówczas poczną. Być może pewnego dnia otworzy portal na Titanicu i pograży się w lodowatej wodzie, rozpytując o młodego stewarda o nazwisku Liam O'Connor.

– Sądzę, że wpływa to również na nas obie – rzekła. – Nas też postarza. – Wyciągnęła dłoń i dotknęła niemal niewidocznych zmarszczek obok jej lewego oka. Za żadne skarby nie nazwie ich kurzymi łapkami. Tylko starzy ludzie takie mają... choć pewnego dnia te niewyraźne linie zamienią się właśnie w kurze łapki. – Kilka razy cofnęłam się już do przeszłości, Sal... i wiem, że odbiło się to na moim wyglądzie. Ale to nie wszystko, bo podobnie wpływa na nas pole otaczające bazę.

Sal nie odrywała wzroku od targowiska na zewnątrz.

– Zauważyłam... – Odwróciła się do Maddy. – Zauważyłam, że się zmieniamy. I ja, i ty. Nie byłam po prostu pewna, czy to nie jakieś przywidzenie.

– Jeśli powiesz, że wyglądam staro, to wyleję ci kawę na głowę – rzuciła Mads.

Próbowała zażartować, ale dowcip wypadł kulawo.

– Liam musi to rozumieć – odezwała się Sal. – Niemożliwe, że tego nie zauważył. Kiedy planujesz mu powiedzieć?

– Nie wiem. Gdy nadejdzie pora.

– Ale to już teraz jest oczywiste! Niedługo będziesz musiała mu powiedzieć!

Ciekawe, czy Liam już wie, że podróże w czasie go zabijają

i tylko udaje, że lata mu to koło nosa? Nie może być przecież tak tępy, coś musiał zauważyć.

– Wiem. Tyle że... – westchnęła. – Boję się, że jak mu powiem, to ucieknie i zostawi nas same.

– Foster nie uciekł.

„Racja. Sal ma rację” – pomyślała Maddy. Kiedyś był młodszy, był Liamem, i dowiedział się, że umiera. A przecież został na stanowisku, czyż nie? Wypełnił swój obowiązek.

– Powiem mu – rzekła Maddy. – Wkrótce mu powiem.

Siedziały tak pograżone w milczeniu, zatopione we własnych myślach, we własnych światach.

– Happy endu nie będzie – rzekła Sal po chwili. – Wszyscy troje umrzemy.

– Każdy kiedyś umiera, Sal.

– Tyle, że my umrzemy niebawem.

– Dlaczego tak mówisz?

– Mads. Pomyśl. A co, jeśli to my jesteśmy – byliśmy – tą drugą drużyną? Też zostaniemy któregoś dnia porwani na strzępy przez szukacza? Czy to wszystko wydarza się w kółko raz za razem?

– Chciałabym to, cholera, wiedzieć. Chciałabym to wszystko wreszcie pojąć, zrozumieć. Słuchaj! Lepiej się nie zapędzać. Któż może wiedzieć jak jest, jak będzie naprawdę? – Wzięła głęboki oddech.

– Tak czy inaczej, to co do zasady już jesteśmy martwi. Albo powinniśmy być. – Sal wyraźnie się zasepiła. Maddy dostrzegła migocące w oczach Hinduski łzawe refleksy. Nachyliła się nad stołem i dotknęła ramienia przyjaciółki. Powinna teraz powiedzieć coś na pocieszenie.

– Posłuchaj. Ty, ja i Liam dostaliśmy od życia drugą szansę. Takie cuda nie przytrafiają się każdemu. Mieliśmy ogromne szczęście. I pomyśl, ile już zdążyliśmy osiągnąć. Ile wspaniałości zdążyliśmy zobaczyć! I ile jeszcze zobaczymy. Nie możemy marnować czasu, który nam подарowano i martwić się o sprawy, których nijak nie możemy przewidzieć.

Maddy uświadomiła sobie nagle, że ona sama mogłaby skorzystać z tej porady. Zbyt często tęskniła za ucieczką do normalnego życia.

– Wiem. Ja tylko... łudziłam się chyba, że a nuż będziemy tak żyć w nieskończoność. Cała nasza trójka plus Bob i Beki. Trochę jak rodzina. Jak brygada superbohaterów czy coś, sama nie wiem... – Po policzku dziewczyny spłynęła pierwsza łza, zatrzymując się na podbródku.

– Nic nie trwa wiecznie, Sal. – Maddy delikatnie ścisnęła dłoń przyjaciółki. – Superbohaterzy, mówisz? Oni chyba nie potykają się o własne nogi.

ROZDZIAŁ 18

Amfiteatr Statilusza Taurusa, Rzym
37 rok naszej ery

Człek był do niczego, absolutnie do niczego. Nikt nie zaprzeczy. Lew konał, sierść na łopatkach zwierzęcia była skołtuniała i zbryzgana krwią wyciekającą z tuzina zięjących ran; z rozcięcia biegnącego wzdłuż podbrzusza zwisały spętlone wnętrzności, ale ten głupiec zdołał jakoś wcisnąć swój skapcianały łeb prosto pomiędzy masywne szczęki bestii, a teraz był już właściwie umarlakiem.

Nie. Już nie właściwie. Ręce, z których odpłynęła krew, właśnie po raz ostatni żałośnie zamłóciły powietrze.

Tłuszcza zawyla i ryknęła śmiechem. Nie był to nawet pogodny śmiech. Raczej rehot niesmaku po lichym spektaklu urządzonym przez byłego senatora, który nie potrafił zawalczyć o swoje życie.

Wyjrzał ze swojej cesarskiej trybuny i powiódł wzrokiem po ciżbie wypełniającej amfiteatr, po twarzach wykrzywionych szyderstwem i złością wymierzonymi w targanego konwulsjami człowieka, który leżał rozciągnięty na zachlapanym krwią piasku areny.

„Ciekawym, jak wy, głupcy, byście walczyli, hmm? Stawialibyście heroiczny opór do ostatniego tchu?” – Pomyślał, że lwia większość tych ludzi zachowałaby się dokładnie tak samo, jak ten tu zniedołężniały staruch, który cisnął miecz na ziemię, padł na kolana i wył o litość, nie dziwota, że znudzony lew w końcu nań wskoczył i przewalił kiepa na plecy.

Z obrzydzeniem potrząsnął głową, patrząc ze wzdrganiem na tłum.

„Jakże łatwo wam udawać odwagę. Siedzicie sobie tu wygodnie w bezpiecznym oddaleniu, ciesząc oko krwawą rozrywką”.

– Cezarze?

Patrzył, jak lew leniwie kruszy w zębach czaszkę mężczyzny, niczym rzeźnicki pies obgryzający rzuconą mu kość.

– Imperatorze Gajuszu?

Gajusz Juliusz Cezar August Germanik odwrócił się do swego wyzwolenca.

Tak niewielu ludzi w jego otoczeniu używało jego imienia. Najczęściej witali go służalczo jakimś oficjalnym tytułem. Ale gdy tylko uznawali, że cesarz nie ma prawa ich usłyszeć, zawsze mówili o nim, używając tego imienia, przydomka, który przyłgął doń za młodu, gdy był ledwo odrostłym od ziemi malcem.

– Mów – rozkazał Kaligula.

– Ośmielę się zasugerować przejście do kolejnego widowiska, panie.

Kaligula objął wzrokiem tłum obywateli. Ci bardziej krewcy z niecierpliwością zaczęli ciskać kamienie w żywego lwa i bezgłowe ciało ostatniej ofiary bestii.

– Tak, tak... oczywiście, oczyścicie arenę dla *gladiatorii meridiani*.

Mężczyzna skłonił się i nie zwlekając, opuścił łóżę cesarza.

Kaligula z powrotem usiadł na krześle, znów sam. Swoją niesforną, wiecznie knującą siostrę Druzyllę, jej syna i zramolałego wujka Klaudiusza – rodzinę – wolał trzymać pod kluczem z dala od Rzymu. Same mąciwody, bez których swobodnie można się obejść.

Popołudniowe słońce prażyło jak ogień Wulkana, purpurowa markiza rozłożona nad łóżą rzucała błogosławiony cień, ale piasek areny aż mienił się w oczach od skwaru dnia.

W tak upalne dni jak ten zawsze z tęsknotą wspominał rzeńskie, zimowe poranki w

Germanii, zapamiętane z wczesnego dzieciństwa. Mroczne bory wiecznie zielonych drzew uginających się pod ciężarem śniegu. Wszechobecną krzątaninę obozu wojskowego, głos Germanika, jego ojca, wykrzykującego rozkaz za rozkazem. I tych ludzi... tych żołnierzy; wiarusów o surowych obliczach promieniejących na widok jego miniaturowej repliki zbroi legionisty, jego drewnianego mieczyka, żołnierskich bucików – był synkiem generała, żywą maskotką legionu.

Kaligula – „bucik” – tym właśnie pieśczośliwym przydomkiem ochrzcili go ci nieznający strachu mężczyźni. Okrutnie tęsknił za tamtymi czasami. Za atmosferą rodziny. Za poczuciem przynależności.

Bo na cesarzu ciąży wyrok dożywotniej samotności.

Nie jest częścią niczego. Jest ponad wszystkim.

Skrycie pragnął nawet, by jeden z jego uniozonych sług odważył się choć raz zwrócić się do niego tym imieniem – Kaligula. Nie odebrałby tego jako obrazy. Nie ukarałby śmiałka dla przykładu. Przeciwnie, z wdzięcznością powitałby to uczucie... chętnie przedzierzgnąłby się w małego chłopca otoczonego tytanami, którzy kucaliby przy nim i delikatnie czochrali mu włosy, z wcale nieudawaną czułością.

ROZDZIAŁ 19

Rzym
37 rok naszej ery

Pędzący przodem MWD przeleciał przez łuk triumfalny wznoszący się ponad Via Praenestina, drogą wiodącą do samego serca Rzymu. Na alei przed nimi nie było żywej duszy, doraźne przeszkody tworzyły za to porzucone wozy, dwukółki i walające się bele towarów. MWD Rashima przefrunął pod bramą i wleciał prosto na plac targowy. Doktor musiał przyznać, że pomysł Stilsona, aby zalać okolicę decybelami nieznośnego rocka, okazał się wcale przyzwoitym straszakiem. On sam wybrałby zapewne odrobinę bardziej melodyjną i wyrafinowaną muzykę dla obwieszczenia ich przybycia, ale co tam, grunt, że plan okazywał się skuteczny.

– Którędy do Koloseum? – W głośniczku zatrzeszczał właśnie głos wiceprezydenta.

Rashim nachylił się nad włazem i zaczął rozglądać się za Dreyfussem. Wreszcie odnalazł go wzrokiem i ruchem głowy zaprosił do wejścia na górny pokład. Dreyfuss utorował sobie drogę przez ścisk kołyszących się ciał, znalazł drabinę, po czym podciągnął się i znalazł obok Rashima.

Wskazał drugi MWD, który unosił się w powietrzu, delikatnie podskakując na poduszce energii ponad wyludnionym placem.

– Stilson chce wiedzieć, jak dojechać do Koloseum!

Dreyfuss potrząsnął głową i odrzyknął coś do niego. Odpowiedź mężczyzny zagłuszył łoskot ryczącej muzyki. Rashim podniósł słuchawki wiszące na haku obok niego, podał je historykowi i gestem poinstruował, żeby założył je na głowę.

– Mój Boże! – Piskliwy głos Dreyfussa rozbrzmiał w eterze kilka sekund później. Oczy za okularami w okrągłych oprawkach rozwarły się w oszołomieniu. – Mój Boże! To się dzieje naprawdę! To starożytny Rzym. Niesamowite! Popatrzcie tylko na te polichromie! Na tamte freski! Te...

– Jezus Maria, któż mi tak gęga w słuchawce? To ty, Anwar?

– Nie, panie Stilson – odparł Rashim. – Właśnie dołączył do mnie doktor Dreyfuss.

Widział, jak Stilson obraca głowę i ramiona, żeby na nich spojrzeć.

– Ach, dobra robota. Dreyfuss, powiedz mi, jak się stąd dostać do Koloseum?

– Hmm, panie Stilson... jeśli to rzeczywiście trzydziesty siódmy rok naszej ery, to ta arena nie została jeszcze wybudowana.

– Nie ma Koloseum? Dobra, Dreyfuss, to gdzie jeszcze możemy pojechać? Jakie jest najpopularniejsze miejsce w Rzymie? Musimy zrobić mocne wejście!

– Cóż. – Doktor gorączkowo drapał się po brodzie, niczym zapchlony pies, patrząc na Rashima w poszukiwaniu inspiracji. Irańczyk wzruszył tylko ramionami, jakby chciał powiedzieć „To pan jest ekspertem”.

– Najlepsze co mi teraz przychodzi do głowy... to amfiteatr Statiliusza Taurusa.

– Tak? A gdzie to jest?

– Na *Campus Martius*, Polach Marsowych.

Usłyszeli, jak Stilson soczyście bluzgnął do słuchawki.

– No to mam skrócić w lewo, do jasnej ciasnej, w prawo, czy walić prosto?

Dreyfuss wskazał szeroką wybrukowaną aleję, która odchodziła od małego rynku.

– Musimy jechać tą drogą przed nami, tak mi się zdaje. Powinniśmy się kierować na

południowy wschód. Czyli do centrum miasta.

– Dobra.

MWD Stilsona poszybował w stronę szerokiej alei. Po obu stronach drogi ciągnęły się rzędy niskich sklepików, *tabernae* – kamienne ściany pokrywała wielobarwna mozaika malowideł, a przed wejściami ustawiono markizy i stoiska, na których sprzedawano ręcznie wyrabiane towary.

Rashim przyglądał się bladym twarzom, wyzierającym z pogrążonych w mroku sieni *tabernae*. Facjatom mieszczan, którzy z przerażeniem w wybałuszonych oczach przypatrywali się obcym. Zastanawiał się, czy powszechną zgrozę wywołał widok dwóch wielkich, lewitujących pojazdów, czy też straszliwy łomot rozsadzający głośniki.

Frunęli powoli równym tempem, mijając pomalowane na jaskrawe kolory, dwupiętrowe budynki zbudowane z glinianej cegły, z rachitycznymi balkonami skleconymi z drewna i wikliny. Widział czubki głów wystające zza wzorzystych firan i drewnianych okiennic, porzucone na środku ulicy ryczące zwierzęta. Przy wejściu do jednego z domostw ktoś zostawił gaworzącego niemowlaka, który uniósł na wysokość buzi swoje różowe piąstki i z wyraźną fascynacją zaciskał je i rozwierał.

Po chwili wjechali na drugi, tym razem większy, rynek. Rashim ujrzał paniczny odwrót setek rzymskich obywateli, z roztrzęsionych dłoni wypadały i z hukiem rozbijały się o bruk gliniane amfory, z roztrzaskanych naczyń wylewała się oliwa z oliwek i wino, pomiędzy drewnianymi nogami straganów biegały wystraszone kurczaki i watahy psów, które ujadały wściekle, rozdarte między pragnieniem rzucenia nieznanym otwartego wyzwania a chęcią schronienia się na wszelki wypadek w rynsztokach.

Dreyfuss szczyrzył zęby, rozglądając się po otoczeniu niczym lis w kurniku. Poleciał Stilsonowi skrócić w lewo.

– Ta aleja to *Vicus Patricius*, zaraz miniemy Forum Trajana... po lewej zobaczymy Palatyn...

– Nie potrzebujemy kolejnej lekcji historii, Dreyfuss – zatrzeszczał w słuchawce głos Stilsona. – Wystarczą wskazówki dotyczące drogi.

– Przepraszam. – Dreyfuss potulnie skinął głową. – Pojedziemy tą drogą aż do rzeki Tyber, potem odbijemy w prawo i jadąc wzdłuż niego, dotrzemy na Pola Marsowe.

ROZDZIAŁ 20

Amfiteatr Statiliusza Taurusa, Rzym
37 rok naszej ery

Robotnicy wytaszczyli z areny zakrwawione zwłoki bestii i uprzątneśli rozrzucone luzem organy. Dobito ostatniego z nieszczęsnych lwów i świeżym piaskiem zasypano największe kałuże gęstniejącej krwi. Tłuszcza niecierpliwie wyczekiwała kolejnego spektaklu, walki pomiędzy gladitorii meridiani, skazanymi na śmierć przestępcami. Walka człowieka z bestią to jedno, ale pojedynk ludzi desperacko walczących o życie smakuje zupełnie inaczej. Szczególnie jeśli jednym ze skazańców, którzy różnym krokiem wyjdą na arenę, będzie Vibius, niesławny morderca dzieci z Eskwilinu.

Kaligulę podniecał zwyczaj, wedle którego cesarz mógł przywdziać zbroję i zejść na piach areny, by wymierzyć sprawiedliwość, jeśli skazaniec pokona swojego przeciwnika i zdoła przeżyć. Tłum kocha takie gesty.

„Jakże łatwo jest zadowolić pospólstwo” – uśmiechnął się w duchu.

Po amfiteatrze przetoczył się ryk ekscytacji, gdy drewniane wrota rozwarły się na rozcież, ukazując pogrążony w ciemnościach tunel niknący w podziemnych trzewiach amfiteatru, skąd para pretorianów wyprowadziła dwa rzędy przerażonych mężczyzn: menażerię wynędzniałych osobników.

Powoli odwracał się do swojego niewolnika, Gnaelusa, aby rozkazać mu przyszykować zbroję – na wypadek gdyby naszła go ochota dobicia któregoś z dogorywających i bezbronych skazańców – kiedy ponad gwarem urządzanym przez zniecierpliwionych gapiów wypełniających trybuny amfiteatru, usłyszał ciche, rytmiczne dudnienie przywodzące na myśl odległe *vibrato* bębna wojennego.

– Gnaelusie, słyszysz to? – Szczupłą twarz wykrzywił wyraz zaciekawienia.

Stary niewolnik skinął głową.

– Co to według ciebie może być?

Starzec przekrzywił głowę.

– Coś jak bęben marszowy, cesarze.

Kilka głów w ryczącym tłumie odwracało się z ciekawością to w jedną, to w drugą stronę, próbując znaleźć źródło słabego, lecz miarowo narastającego dudnienia.

Tymczasem skazańcy wyszli już na środek areny, eskorta pretorianów wycofała się pod trybuny amfiteatru, a niewolnicy rzucili pod stopy przestępców różne rodzaje broni. Zdawało się, iż sparaliżowani perspektywą nieuchronnej śmierci złoczyńcy nie posłyszeli wzrastającego z każdą chwilą hałasu.

Kaligula powstał, opierając się o balustradę okalającą imperatorską trybunę.

– Cóż to jest? – wymruczał. – To się robi coraz bardziej irytujące.

Niespodziewanie błękitne niebo zasłoniło stado szpaków, wyraźnie czymś spłoszonych. Wszystkie głowy wzniosły się ku ptakom, które zatoczyły koło nad amfiteatrem i odleciały za mury, niknąc poza zasięgiem wzroku.

Kaligula usłyszał, że wrzask zniecierpliwionej ciżby, z utęsknieniem czekającej na kolejną krwawą jatkę, zastąpiła kocia muzyka głosów. Pobrzmiwało w nich zaintrygowanie i rosnące zaniepokojenie, wywołane tą nagłą i osobliwą reakcją ptaków wystraszonych obcym dźwiękiem.

Dudnienie stało się niemal tak samo donośne jak rwetes podeks-cytowanej tłuszczy – głęboki, niespieszny i miarowy łomot przywodzący na myśl bicie serca. Brzmiało to jak śpiew rogu. Nie. Po prawdzie... to nigdy wcześniej nie słyszał nic podobnego. Dźwięk o rosnącej tonacji, wyższy i wyższy, natarczywy niczym gwałtowny wiatr dmący ludziom na potępienie.

Wolałby dać się żywcem pokroić niż okazać niepokój czy zaciekawienie, tak jak gawiedź zgromadzona na trybunach. Ale ta kakofonia, dudnienie, od którego wibrowała jego klatka piersiowa, ten narastający gwizd, żalony lament i... Przeszywające, piskliwe krzyki.

Odwrócił się w kierunku dochodzących dźwięków i zobaczył, że ponad najwyższym rzędem trybun zamajaczył jakiś kształt, ogromny. Gabarytami przypominał te intrygujące szare i ocieźałe potwory z Afryki – dostrzegł dwie sztuki. Kuriozum tworzyły jednak same załamania i kanciaste zagięcia, jego powłoka przywołała na myśl zbroję rycerską o brunatnawej barwie mulistej rzeki. Cudo wzbiło się ponad trybuny i jęło posuwać opadać na głowy spanikowanych ludzi, którzy zaczęli pierzchać ze swoich miejsc. Monstrum zawisło nad areną – powietrze pod nim migotało i gęstniało niczym poświata ogniska.

Łomot niespodziewanie stał się dużo głośniejszy, Kaligula usłyszał opętańczy pisk przypominający wrzask człeka dręczonego przez legion lemurów. Cezar runął na kolana obok balustrady, oczy pulsowały mu przerażeniem. Monstrualny obiekt był martwy, nie było to żadne zwierzę, teraz to wyczuwał – może jakiś olbrzymi, latający rydwan? – w końcu przesybował nad ostatnią trybuną i wylądował na arenie, spowijając ją wirującymi tumanami piasku i kurzu. Sekundę później drugi z lewiatanów zmaterializował się nad szczytowym murem amfiteatru, przesybował tuż nad wyludnionymi już prawie trybunami, po których biegali ostatni oszalali ze strachu i tratujący się w popłochu, poranieni Rzymianie, i zatrzymał tuż obok swego kolosalnego towarzysza. Oliwkowozielone czorty unosiły się półtora metra nad ziemią, wzbijając kłęby dymu i piasku, które smagały tysiące przerażonych twarzy.

Natężenie szumiącego wizgu zaczęło słabnąć, gdy demony wreszcie powoli opadły na ziemię oblepione chmurą pyłu. Niestety głębokie dudnienie i przerażające wycie nie straciły nic ze swej mocy, zagłuszając ochryple okrzyki paniki dobiegające z każdego zakamarka sceny.

Kaligula dopiero teraz poczuł, że ze strachu puścił mu pęcherz, a jego szaty nasiąknęły ciepłym moczem. Kolejne dzisiaj wspomnienie z dzieciństwa.

Wstyd.

ROZDZIAŁ 21

Amfiteatr Statiliusza Taurusa, Rzym
37 rok naszej ery

W eterze rozległ się rechot Stilsona, wiceprezydent zanosił się śmiechem jak głupawy student na imprezie w akademiku.

– Tylko na nich popatrz!

Dreyfuss też szczerzył zęby, chłonąc atmosferę areny.

Jednostka bojowa dowodząca plutonem, porucznik Stern, wydał rozkaz swoim klonom, które natychmiast zeskoczyły z kadłubów MWD na ubitą ziemię, po czym z wyćwiczoną szybkością ukłękły w równych odstępach, formując okrąg wokół wehikułów.

– Możemy wreszcie uciąć ten przekłety jazgot? – spytał Rashim. – Jestem pewien, że już im pokazaliśmy, na co nas stać!

Stilson, stojący piętnaście metrów dalej na szczycie wieżyczki działowej MWD, powoli skinął głową.

– Tak, ja też uważam, że te jełopy nasłuchiwały się już AC/DC. Dobra, wyłącz to cholerstwo.

Rashim schylił się i gestem rozkazał jednostce obsługującej konsolę, żeby wyłączyła muzykę. Klon przesunął przełącznik... i nagle zapadła cisza. Absolutna cisza, w której dałoby się usłyszeć odgłos igły upadającą na ziemię.

W słuchawce Rashima zatrzeszczał szept Stilsona.

– Chyba zwróciliśmy na siebie uwagę, co nie, doktorze Anwar?

„Tak, pewnie można tak to ująć” – Rashim bezgłośnie skinął głową.

– Gotowe mamy to nagranie?

Przez całą noc Dreyfuss i Stilson pracowali nad przemową. Profesor tłumaczył na łacinę notatki Stilsona, po czym czytał je na głos i nagrywał. W nieskończoność dopieszczał nagranie i obłąkańczo poprawiał niuanse, zamartwiając się o właściwą wymowę.

– Nikt nie wie na pewno, jak właściwie wymawiano te słowa! – powtarzał jak w malignie. Ale udało się... wybrał jedno z pedantycznie dopracowanych nagrań, uznając, że lepiej już nie potrafi.

– Możemy zaczynać – rzucił Dreyfuss do mikrofonu.

– To puszczaj! – odkrzyknął Stilson, zeskakując z wieżyczki działowej. Przemaszerował przez kadłub wehikułu i stanął dumnie na przedniej masce, opierając ręce na biodrach niczym jakiś szekspirowski aktor prężący się na środku sceny teatru.

Głuchą ciszę przerwało gromkie vibrato Dreyfussa, które wstrząsnęło membranami głośników w wehikule.

– OBYWATELE RZYMU! Przybywamy w pokoju!

Rashim potrząsnął głową. Tylko nadęty idiota podobny Stilsonowi mógł rozpocząć od wygłoszenia tak głodnego kawałka.

– Jesteśmy bogami, którzy zstąpili z niebios, by dzielić dolę śmiertelników! Przybyliśmy, by pokazać wam nowe zwyczaje, przekazać wam wiedzę i obdarzyć mądrością. Przybyliśmy, by rozjaśnić mroki tej epoki płomieniem oświecenia, by ponieść ład i porządek do wszystkich zakątków tej krainy... a jej mieszkańców obdarować dobrobytem i pomyślnością!

Popatrzył na tłuszcę. Panika wygasła, ludzie na trybunach zastygli w bezruchu, dziesięć tysięcy milczących twarzy wpatrywało się w Stilsona z czterech stron amfiteatru Statiliusza

Taurusa... Byli przekonani, że słyszą jego głos. Tłoczący się we wnętrzu MWD członkowie projektu Exodus zaczęli ostrożnie wychodzić przez tylne rampy pojazdów.

– My wszyscy jesteśmy bogami w ludzkiej powłoce. Wszyscy pochodzimy z niebios, z miejsca nazywanego... Ameryką. Przybyliśmy tu, by zaproponować nowy model życia. By podarować wam „amerykański sen”!

ROZDZIAŁ 22

Księgarnia Barnes & Noble,
Union Square, Nowy Jork
rok 2001

- To nie jest dział z książkami historycznymi, Liamie.
- Co? Hmm... – Liam z poczuciem winy podniósł wzrok z trzymanego w dłoniach komiksu. – O, cześć, Bob, właśnie się zastanawiałem, gdzie się podziałeś.
- Czekałem w dziale z książkami historycznymi przez dwadzieścia dziewięć minut. – Bob popatrzył na etykietę przytwierdzoną do wierzchołka wirującego stojaka. – „Powieści graficzne”? W tej sekcji nie znajdziesz ani jednego istotnego i przydatnego tekstu. Zlokalizowałem sekcję technologii informacyjnej w...
- Sam powinienes to zobaczyć! – Liam przekartkował kilka stron. – W Corku nigdy nie zwracałem szczególnej uwagi na te historyjki, choć już wtedy pojawiały się w lokalnych gazetach. Myślałem, że to bzdury dla dzieci lub głupców i analfabetów. – Wręczył komiks Bobowi. – Ale to... – wydusił, szczerząc zęby – to jest zupełnie niewiarygodne. Popatrz tylko na te zdjęcia.
- Bob zerknął na okładkę komiksu, który wręczył mu Liam.
- *Sędzia Dredd*?
- Bomba, nie? Bohater, ten Dredd, to skóra zdjęta z ciebie: ta sama góra mięśni, ten sam podbródek i żadnego śladu uśmiechu na twarzy. Mógłbyś być jego bratem bliźniakiem!
- Bob przeskanował wzrokiem kilka stron z marsem kontemplacji na czole.
- Nawet nie widać twarzy tej postaci. Nosi hełm.
- Hej, moglibyśmy cię tak przebrać. Co? Kupilibyśmy ci jeden z tych motorowych rowerów, żebyś sobie jeździł po całym mieście z mroczną miną. – Liam szturchnął go przyjaźnie.
- Co ty na to?
- Bob oddał mu komiks.
- Ta lektura nie jest związana z interesującym nas tematem.
- Przecież strajkujemy. Dla odmiany mam teraz ochotę poczytać coś przyjemniejszego. – Włożył komiks pod ramię i przekartkował kilka innych pozycji. – Te gazetki są takie zabawne... popatrz tylko! Tutaj bohaterem jest naburmuszony jegomość, który ciągle przebiera się za nietoperza. – Liam zachichotał z rozkoszą. – Uwielbiam to!
- Te lektury nie są ani przydatne, ani istotne.
- Irlandczyk wyciągnął kolejny numer i w milczeniu przejrzał kilkanaście stron, uśmiechając się nad kolorowymi ilustracjami.
- Albo możesz przebrać się jak ten tutaj. Idealnie do ciebie pasuje.
- Bob popatrzył na okładkę i głośno odczytał tytuł:
- *2000 AD: Robo-Hunter*. – Z dezaprobatą pokręcił głową. – Technologia cybernetyczna nie została tu opisana zbyt precyzyjnie.
- Ach, daj spokój, Bob. To tylko taka zabawa. – Liam poklepał klona po muskułach. – Ten też wezmę. – Podniósł wzrok na Boba. – Ile mamy pieniędzy?
- Maddy dała nam dziewięćdziesiąt dolarów.
- No to powinno wystarczyć na jeszcze kilka numerów – uznał Liam.
- Zaprzeczam, Liamie. Pieniądzy wystarczy na zakup jednego komiksu, jeśli oczywiście

wciąż masz ochotę na hot-doga.

Wyszli na Piątą Aleję i spacerkiem ruszyli na oko w stronę Central Parku. Hot-dogi na trawie w słoneczne popołudnie – taki był plan. Żeby wyłudzić od Maddy trochę zaskórniaków, Liam oznajmił jej, że „chłopaki muszą się czasem poszwendać sami”.

Liam z zapalem kartkował błyszczące i kolorowe strony *Sędziego Dredda*.

– Kurcze, ten Dredd to taki zimny typ, w rzeczy samej.

Idący obok zamaszystym krokiem Bob niepewnie ściągnął brwi.

– Zdefiniuj określenie „zimny typ”.

– No, jest taki wiecznie spokojny. Popatrz tylko na jego usta. Zawsze układają się w ten sam grymas... nie krzyczy, nie śmieje się. Nic a nic. Wiecznie łązi tak... – Liam mocno ścisnął wargi, całkiem udatnie imitując pogrzebową minę robota. – Też chciałbym taki być. Spokojny. Mocny. Rozumiesz? Nie okazywać strachu, mieć wszystko pod kontrolą.

– Twoja twarz jest bardzo ekspresyjna, Liamie. Dlaczego chcesz się ograniczać do robienia tylko jednej miny?

– No bo przez ostatnie kilka miesięcy latałem tylko z pyskiem otwartym jak drzwi obory.

Rzeczywiście tak było. W rzadkich momentach, kiedy nie był całkiem zdezorientowany rozgrywającymi się wokół niego wydarzeniami, był nimi całkowicie przerażony.

– Imitowanie ludzkiego wyrazu twarzy przychodzi mi z niemałym trudem – oznajmił

Bob. – Beki potrafiła to robić znacznie bardziej przekonująco.

– Aj tam, i dlatego jesteś taki uroczy, Bob. Jesteś unikatowo gburowatą i smętną bryłą mięśni.

– Ale ja chcę wyglądać i zachowywać się jak człowiek, to jeden z moich celów.

– Celów? – Liam aż przystanął. – Naprawdę masz osobiste cele?

– Potwierdzam. – Klon poważnie pokiwał głową. – Poza priorytetami wynikającymi z wytycznych poszczególnych misji, w moją sztuczną inteligencję wdrukowano imperatyw nieustannej poprawy skuteczności operacyjnej.

– Hola... gdy użyłeś prostego słowa „cel” brzmiałeś dużo bardziej jak zwykły człowiek. – Liam się zaśmiał. – Naprawdę musiałeś rujnować to wrażenie, fundując wykład o wytycznych misji?

Przez chwilę szli pogrążeni we własnych myślach.

– Czy mogę zadać ci pytanie, Liamie?

– Jasne. Pytaj.

– Czy ty masz... osobiste cele?

– To ci dopiero pytanie... hmmm. – Liam zmarszczył czoło. Od kiedy te kilka miesięcy temu umknął przed pewną śmiercią na dnie Atlantyku, jego umysł pracował na zdwojonych obrotach, by nadgonić niemal sto straconych lat. Liam pragnął nauczyć się, jak funkcjonuje świat dwa tysiące pierwszego roku, chciał dowiedzieć się jak najwięcej o historii i technologii dwudziestego wieku. Umysł Irlandczyka zalała lawina nowych informacji, nic dziwnego, że nie miał czasu i nie starczało mu szarych komórek, by zastanawiać się nad tak fundamentalnymi rzeczami jak... cele osobiste, pragnienia, nadzieje. Czy sprawami przyziemnymi – jak komiksy.

– Powiedz mi na przykład – ciągnął Bob – chciałbyś wrócić do swoich czasów, Liamie?

Liam potrząsnął głową.

– Zaciągnąłem się na Titanica, żeby uciec z domu. Chciałem zobaczyć świat, odwiedzić Amerykę.

– Widziałeś już wiele nowych rzeczy, Liamie.

Liam zaśmiał się radośnie.

– Więcej niż miałem zamiar.

- Czyli nie wyznaczyłeś sobie żadnych celów?
- Przeżyć w jednym kawałku, to mnie teraz najbardziej zajmuje.

Bob pokiwał głową.

- Potwierdzam. To rozsądne.
- Nie miałbym nic przeciwko jednej rzeczy, Bob.
- Jakiej, Liamie?

Przerwał, ustępując drogi parze młodych kobiet, które popychały przed sobą dwa wózki dziecięce, obie niestrudzenie trzymały do trzymany przy uchu telefonów, tarasując całą szerokość chodnika i ignorując utyskujących przechodniów, którzy mieli nieszczęście znaleźć się za dwiema lwicami.

– Nie miałbym nic przeciwko powrotowi do Nottingham. – Uśmiechnął się tęsknie. Tylko jedno wspomnienie wzbudzało w nim taki sentyment: pobudka w komnacie, do której wkradła się pierwsze przebłyśki słońca.

Przypomniał sobie, jak rozespany wychodził na taras i wodził wzrokiem po budzącym się do życia grodzie, przypomniał sobie zapach uderzającego w nozdrza dymu drzewnego, pianie kogutów

o świcie, jaskółki pikujące wokół donżonu... i poczucie, że jest władcą – nawet jeśli tymczasowym – okolicznych ziem.

- To był dobry czas. Liam i Bob, panowie na włościach.
- Współpracowaliśmy ze sobą skutecznie – Bob pokiwał głową.

Utkwił wzrok w witrynie sklepu z telefonami komórkowymi, którego szyba była oblepiona promocyjnymi ofertami darmowych minut i esemesów bez ograniczeń.

- Ach, jeejuu!
- Coś się stało, Liamie?

– Znów zapomniałem włączyć ten mój przeklęty komórca. – Sięgnął głęboko do kieszeni spodni i wyciągnął z niej telefon, który wręczyła mu Maddy. Raz za razem zapominał o włączeniu szatańskiego wynalazku. Jeśli w tym czasie Maddy bez powodzenia próbowała się z nim połączyć, będzie musiał wysłuchać zrzędlivej tyrady Amerykanki. Niezgrabnie wcisnął kilka małych przycisków, aż wreszcie zamigotał ekran.

Siedem nieodebranych połączeń.

I wszystkie od niej.

„No to bomba”.

Szybko wystukał jej numer, odebrała już po pierwszym sygnale.

- Liam, baranie! Po kiego licha daję ci telefon, skoro nigdy go nie włączasz!
- Ach... przepraszam, Mads, słowo. Bo...
- Do domu! Migiem.
- Dlaczego? Co się dzieje?
- Wracaj, nie gadaj! Mamy problem!

ROZDZIAŁ 23

Nowy Jork
rok 2001

– To była bejsbolówka Yankessów jakiegoś dzieciaka? – spytała Maddy. – Tak?
Sal potwierdzająco skinęła głową.

– To charakterystyczne logo Nowego Jorku, które wisi wszędzie, zamieniło się w trójząb.

W ułamku sekundy.

Liam zasunął roletę.

– No i?

– No, i jak każdy największy półgłówek doskonale wie, trójząb to symbol greckiego boga.

– Oczywiście. – Liam kiwał głową w zamyśleniu. – Pewnie, wiedziałem o tym.

– Ja też tak myślałam, zanim wróciliśmy do bazy i zaczęliśmy zbierać informacje – rzekła Maddy. – Sądziłam, że musi to mieć związek z greckimi bóstwami. Później okazało się, że to jednak rzymski symbol. Bo trójząb to również atrybut Neptuna, rzymskiego odpowiednika greckiego boga Posejдона.

– Zaraz – przerwał jej Liam – czyli to może być symbol każdego z nich. Kontaminacja może pochodzić z rzymskiej lub greckiej epoki?

Maddy potrząsnęła głową.

– Nie, na sto procent chodzi o rzymskie bóstwo. – Poprowadziła go do biurka. – Zaobserwowaliśmy poważną zmianę. Komputer-Bob od razu ją wychwytał. – Usiadła. – Bob, rozwiń listę z wewnętrznej bazy danych.

> **Dobrze, Maddy.**

Na ekranie pojawiła się lista nazwisk i dat.

– Rzymscy cesarze – oznajmiła. – To pełna lista władców panujących w Imperium Rzymskim. – Odwróciła się do ekranu. – Bob, możesz teraz wyświetlić listę ze źródła zewnętrznego?

Obok pierwszego indeksu wyskoczył drugi.

– A teraz znajdź różnicę – zachęciła Sal, sadowiac się obok Maddy.

– Zmienia się po trzecim jęgościu. – Liam błyskawicznie spostrzegł niezgodność. – Po Kaliguli.

– Trafieś – pochwaliła Maddy. Wskazała nazwisko piórem i przesunęła stalówkę w dół ekranu. – Na prawidłowej osi czasu panował od trzydziestego siódmego do czterdziestego pierwszego roku naszej ery. Tylko cztery lata. A teraz popatrz na wykaz chronologiczny z zewnętrznego źródła – pobraliśmy go z bazy danych znajdującej się pod adresem bibliotheca.universalis/libri.cldvi. Widzisz? Cesarz o przydomku Kaligula władał prawie trzydzieści lat.

– Ale dziwne – stwierdziła Sal, patrząc na adres z bazy danych. – Internet po łacinie.

Liam zmrużył oczy, przypatrując się imionom na ekranie.

– Imiona władców panujących po nim też są inne.

– Zgadza się. – Maddy z powrotem usiadła w krześle. – Ktoś postarał się o to, aby

Kaligula pozostał u władzy znacznie dłużej niż było mu to pisane.

– Niedługo nadejdzie znacznie większa zmiana – zauważył Liam.

– Jasny gwint, Bóg jeden wie, co nas czeka po przyplłynięciu następnej fali.

– Ktoś w starożytnym Rzymie nieźle nabroił. – Sal cmoknęła z dezaprobatą.

– No to cooo...? – Liam z lekką irytacją popatrzył na dziewczyny.

Maddy westchnęła i cisnęła pióro na zagracone biurko.

– No to... – Zapadła niezręcznie długa cisza, wszyscy czekali, aż kto inny pierwszy zabierze głos. Pytanie zawisło w powietrzu, nikt nie chciał go zadać, nikt nie chciał udzielać odpowiedzi.

– No to – odezwała się Sal – działamy czy strajkujemy?

– To groźny epizod kontaminacyjny – zadudnił Bob.

– Jasne, dzięki za przypomnienie, Doktorze Mózg. – Maddy skrzywiła się i parsknęła z irytacją. – Korona by Waldsteinowi

z głowy nie spadła, gdyby łaskawie podziękował za to, co tutaj robimy. Najpierw muszę usłyszeć odpowiedź, zanim ruszę palcem dla tej jego Agencji.

– Anons wciąż bez odpowiedzi? – spytał Liam.

– Nic. *Nada. Niente.*

– Nie możemy zignorować tego zdarzenia kontaminacyjnego – naciskał Bob.

> **Bob ma rację.**

Maddy zaklęła.

– Świetnie, teraz obaj na mnie naskakują.

Liam wzruszył ramionami.

– Nie miałbym chyba nic przeciwko szybkiej wizycie w Rzymie. – Posłał Maddy pojednawczy uśmiech. – Może Bobowie mają rację.

– Jeśli Foster mówi prawdę, Maddy – cicho odezwała się Sal. – Jeśli rzeczywiście jesteście jedyną drużyną...?

– A może odpuścimy? – upierała się Maddy. – Pozwólmy, żeby ta mała fala dopłynęła do czasów Waldsteina. Może wówczas nas zauważy. Zmusimy go w ten sposób do odpowiedzi na nasze pytania.

– Nie możemy zignorować tej kontaminacji – nie dawał za wygraną Bob.

Amerykanka zacisnęła pięści na stole i z trudem chrząknęła, tłumiąc wybuch irytacji.

Sal popatrzyła na nią niepewnie.

– Niedługo nadejdą kolejne zmiany, Maddy. Dobrze wiesz, jak to wygląda.

– No przecież... powinniśmy coś zrobić – odezwał się Liam.

Maddy odwróciła się w krzesło, żeby na nich spojrzeć.

– Racja. – Pokiwała głową ze złością. – Teraz to ja zachowuję się jak skończona idiotka. Teraz to nie ja dowodzę drużyną. Teraz decyzje podejmuje „kolektyw kierowniczy”, który mnie właśnie ewidentnie przegłosował. Czy może mi się przywidziało?

Nie sposób jednak było odmówić Sal racji. Sytuacja faktycznie jest niepokojąca. Liam też mówił do rzeczy, nawet ta kokosiana jednostka i klon-komputer mieli rację. Nie mogą po prostu nic nie robić: nie mogą tak siedzieć z założonymi rękami i modlić się, by nadchodząca burza ich nie zmiotła.

– Jasny szlag! Chciałam tylko... odczekać i zobaczyć, co się stanie. Sprawdzić, czy kto inny wkroczy do akcji i nam pomoże. – Spróbowała przybrać optymistyczny ton. – Może zmusiłoby to samego Waldsteina do cofnięcia się w czasie i złożenia nam wizyty. Nigdy nie wiadomo.

Odpowiedziała jej głucha cisza, od której aż dźwięczało w uszach.

– No dobra. Okej... przyjęłam. Rozumiem. – Gwałtownie odsunęła krzesło, plastikowe

kółka aż zapiszczały żałośnie o zniszczony beton. – No to czas się przygotować.

– Co to jest?

– To babel-budy – odparła Maddy. – Taka etykieta widniała na paczce, w której tu dotarli, ludzie przyszłości używają ich non stop.

Liam spojrział na niepozorne translatory. Wyglądały jak cieliste drażetki z dołączkiem na wierzchu. Maddy otworzyła zapinaną na zamek plastikową torebkę i wrzuciła do niej dwa urządzonek.

– Sprawdziłam je, obsługują siedemdziesiąt sześć języków, w tym łacinę. Po wylądowaniu włóżcie je do uszu. Jest kilka zapasowych w razie gdybyście je zgubili. – Popatrzyła na skołtunione włosy Irlandczyka. – A ponieważ twoje małżowiny zniknęły pod tym mopem na dobre, nikt nie zauważy babel-budów.

Sal podała mu kolejną zapieczętowaną torbę, w której znajdowała się wełniana tunika, rajtuzy i buty pamiętające wyprawę do tysiąc sto dziewięćdziesiątego czwartego roku.

– Znalazłam skórzane sandały i zdjęłam z nich metkę, powinny się nadać.

– Dzięki.

– Lokalizację zrzutu wyznaczyłam w odległości około dziesięciu kilometrów od Rzymu – poinstruowała Maddy. – Sonda gęstości przeskanowała teren. To ustronne, spokojne miejsce, nikt nie powinien zauważyć waszego przybycia ani odjazdu. Może uda wam się odnaleźć kogoś zmierzającego do Rzymu, kogoś, kto zechce was podwieźć, w ostateczności ukradnijcie jakieś konie... w taki, czy inny sposób dotrzyjcie do Rzymu i rozejrzyjcie się po mieście. – Przebiegła wzrokiem wydrukowane notatki. – Wszystko wskazuje na to, że dzięki pomocy kogoś lub czegoś Kaligula przeżył zamach, który powinien był pozbawić go życia i władzy. Naprawdę nie wiem, gdzie powinniście szukać, prawdopodobnie w centralnej części stolicy – w dzielnicy rządowej, na forum, w senacie. Albo w podobnych miejscach.

– Na ich wersji Times Square – dodała Sal.

– Właśnie. – Maddy potwierdziła skinieniem głowy. – Wybrałam pięćdziesiąty czwarty rok naszej ery. W bazie danych z informacjami na temat skażonej wersji historii pojawiają się sprzeczne informacje na temat tego roku. Ta ciągła fluktuacja to efekt następujących po sobie sekwencji fal czasu, których drgania układają się w niespójny wzór zakłóceń. Sytuacja jest bardzo niestabilna. W tym roku bez wątpienia nastąpiło jakieś zwrotne wydarzenie. Zacznijmy od tego i zobaczmy, do czego dojdziemy.

Bob i Liam potwierdzają skinieniami głowami.

– Działajcie, jak na pierwszej wyprawie do czasów Cabota, Liamie. Rozejrzyjcie się, posłuchajcie, co ludzie mają do powiedzenia, abyśmy mogli zlokalizować źródło przesunięcia.

– Tak jest, zrobi się.

– Okna powrotne, tak jak zwykle, ustawiam w odstępie godziny, dnia i tygodnia.

– Tylko się nie dąsajcie, jeśli przegapimy pierwsze dwa okna – rzekł Liam, spoglądając na nią nieobecny wzrokiem. – Dwanaście kilometrów? Piechotą to dzień drogi w jedną i drugą stronę. Nie zwiedzimy z Bobem Rzymu, jeśli będziemy musieli wrócić...

– No dobra, tydzień – odparła z irytacją w głosie. – Wystarczy?

– Tak. – Uśmiechnął się. – Tyle starczy, żeby dobrze się rozejrzeć zamiast załatwiać wszystko na chybcika.

– Jak sobie chcesz. Tylko uważaj... – Maddy urwała w pół słowa.

Wcześniej jej to umknęło, ale teraz, stojąc u podstawy próbowki translacyjnej i patrząc na twarz Liama oświetloną intensywnym światłem pstrykającej jarzeniówki, zauważyła, że jego

oczy nieznacznie nika w cieniu oczodołów. W młodych rysach chłopca dostrzegła pierwszą, subtelną zapowiedź twarzy Foster'a.

– Mads?

Szybko zerknęła na Sal, która wiedziała już o Liamie.

„Ona też to widzi? Czy w tym świetle jest w stanie dostrzec to samo, co ja?”

Kiedy zaintrygowany Liam przekrzywił głowę, wszelkie podobieństwo do Foster'a zniknęło w ułamku sekundy.

– Maddy? Co się stało?

Kiwnęła głową.

– Hmm... nic. Nic, chciałam tylko powiedzieć, żebyś... żebyś był ostrożny.

– Oczywiście, że będę. Zawsze jestem. – Liam wyszczerzył zęby, odwrócił się i lekko uderzył pięścią w odsłonięte ramię Boba. – Chodź, wielkoludzie. Pora wejść do akwarium dla złotych rybek.

Bob stał w samych szortach, ściskając w wielkich łapskach plastikową torbę z ubraniami.

– Ładowanie pakietu danych ukończone? – spytała Maddy.

– Potwierdzam. – Potakująco skinął łepetyną – Zainstalowane zostały pliki językowe z pierwszowieczną łaciną oraz poprawna oś historii z bazy danych.

– Przywieź Liama z powrotem całego i zdrowego, dobrze, Bob?

– Oczywiście. *Liam tutus erit in manibus meis*. Los Liama jest w moich rękach.

– Przekonująco jak zwykle. – Maddy się uśmiechnęła.

Patrzyła, jak Liam ostrożnie opuszcza się do próbówki, puszcza krawędzi i z hukiem wpada do lodowatej wody, echo rozbryzgu poniosło się pod arkadami. Bob wszedł do cylindra chwilę później i spokojnie poruszając rękami, unosił się w wodzie obok chłopaka. Sal podeszła do Maddy w momencie, gdy w szafce elektrycznej ustawionej obok pleksiglasowej próbówki zaczęła buzować energia.

– Już wiem, dlaczego zawsze jesteś smutna, gdy wysyłasz Liama do przeszłości – powiedziała szeptem.

– Tak. – Maddy skinęła głową. – Już wiesz.

Natężenie i hałas szumiącej energii kinetycznej narastały, a Maddy odliczała ostatnie dwie minuty do zrzutu.

„Bo za każdym razem, kiedy robię to Liamowi... stopniowo go zabijam”.

W bazie eksplodowało echo uwolnionego ładunku, pleksiglasowa powłoka wygięła się z głuchym odgłosem, uwolniona od masy i ciśnienia stu czterdziestu litrów wody.

ROZDZIAŁ 24

Italia

54 rok naszej ery

Liam przebrał się wreszcie i rozejrzał po okolicy. Maddy udało się znaleźć wyjątkowo dyskretne miejsce. Wylądowali w małym gaju oliwnym porastającym dno wąziutkiej doliny, przez którą płynął strumyk meandrujący po głazach i płytkim kamienistym dnie. Uroczy i odludny skrawek ziemi.

W milczeniu zakopywali worki w spalonej słońcem, rdzawej i gliniastej glebie pod jednym z oliwkowych drzewek, przysłuchując się trelom cykad szemrzących w wysuszonej trawie.

Po skończeniu roboty zaczęli wdrapywać się po zboczu doliny zarośniętej dziką trawą i krzewami głogu. Liam nie raz musiał ocierać pot z twarzy, zanim weszli na szczyt i przystanęli obok zakurzonego, twardego gościńca prowadzącego w dół zbocza. Objął wzrokiem rozległy, arkadyjski horyzont. W oddali rozpościerała się wstęga wierzchołków Apeninów. Bezpośrednio przed nimi rozciągała się natomiast szachownica pastwisk i pól spływających po pagórkach, tu i ówdzie wyrastały pastelowe wille pokryte glinianymi dachówkami, połyskującymi w blasku popołudniowego słońca.

– Miasto Rzym znajduje się dwanaście kilometrów na wschód od naszej aktualnej lokalizacji – zakomunikował Bob. – Rekomenduję zdobyć środek transportu i udać się do stolicy imperium, aby zgromadzić dane wywiadowcze.

– Środek transportu? – Liam rozejrzał się wokół. – Sądziłem, że sami się przetransportujemy.

Bob nic nie odpowiedział, pilnie skanował wzrokiem gościniec.

– Pewnie będziemy musieli iść na piechotę – ponuro skonstatował Liam.

– Zaprzeczam. To droga handlowa wiodąca do Rzymu. Napotkamy jakiś pojazd. – Bob zmrużył oczy i mocniej wyteżył wzrok. – Spójrz.

Liam popatrzył i zauważył, że daleko nad gościńcem wzbily się tumany kurzu.

Bob zacisnął pięści, a na jego ustach zastygła irytująco szeroka imitacja uśmiechu.

– Teraz zatańczymy – mruknął wesoło.

Pięć minut później byli już w posiadaniu koni zaprzęzonych do wylądowanego amforami z winem wozu. Poprzedni właściciel, brzuchaty i stary kupiec grecki, stał teraz samotnie na środku gościńca, wyrzucając z siebie potok niezrozumiałych przekleństw i gniewnie wygrażając za nimi pięścią. Kojący, kobiecy głos w babel-budzie Liama monotonnym tonem przekładał łacińskie sprośności na angielski.

<Twój ojciec to zapchlony niemyty kundel. Twoja matka to niedomyta kokota...>.

– Przepraszam! – odkrzyknął Liam z poczuciem winy.

<Me paenitet> – szeptem podpowiedział głos w babel-budzie.

– *Me... paenitet!* – krzyknął.

Bob z aprobatą kiwnął głową, zachęcając konie do przejścia w łagodny kłus.

– Używasz tłumacza. Bardzo słusznie.

– Może powinniśmy zostawić mu coś do picia? Straszny jest skwar i...

– Jak sobie życzysz. – Bob przełożył swoją masywną rękę przez kozioł woźnicy i podniósł dużą glinianą amforę zalakowaną plastrem wosku. Bob przeniósł amforę z pluskającą wodą nad burtą wozu i łagodnie położył na kruchych iglastych gałęziach sosny alepskiej rosnącej

na poboczu gościńca.

Słane za nimi przekleństwa Greka słabły, a wreszcie całkiem ucichły zagłuszone trzeszczeniem kół i stukotem kopyt uderzających o spieczoną słońcem ziemię.

Liam rozparł się w siedzisku i westchnął z zadowoleniem, grzany promieniami słońca.

– Zatem to jest starożytny Rzym?

– Potwierdzam.

– No to kolejna pozycja na liście miejsc do zwiedzenia odhaczona.

Bob odwrócił się, by na niego spojrzeć.

– Spisałeś listę miejsc do...?

– To taka metafora, Bob.

– Rozumiem.

– Dobra, teraz możesz mi powtórzyć wszystkie ważne informacje, które Maddy władowała ci do łepetyny.

– Nie słuchałeś jej podczas odprawy?

– Nie no, słuchałem – zapewnił Liam. – Ale było tego strasznie dużo, a ona trajkotała jak katarynka na jarmarku. Poza tym akurat ściągałem ciuchy, no i..

Bob westchnął jak ojciec nad niereformowalnym dzieckiem.

– Przybyliśmy do pięćdziesiątego czwartego roku naszej ery. Na poprawnej osi historii to ostatnie lata panowania cesarza Klaudiusza. Cesarza ten objął tron po czteroletnim panowaniu Kaliguli, który zginął w zamachu. Natomiast według zmienionej historii w tym roku cesarz Gajusz Juliusz Cezar August Germanik...

– Kaligula?

– Właśnie, imperator powszechnie zwany Kaligulą, pozostaje u władzy już siedemnasty rok. Jest to też ostatni rok jego panowania. W tym roku, chociaż dokładnej daty tego wydarzenia nie znamy, wstąpi do niebios i zamieni się w boga.

– W konia mnie robisz.

– Nie potrafiłbym zamienić cię w konia – odparł niezrażony Bob i kontynuował opowieść: – Wszystko wskazuje na to, że Kaligula zaadaptował pewne dogmaty stosunkowo młodej i nieznannej sekty założonej w Judei.

– Czyli?

– Naprawdę nie wiesz, o czym mówię? – Bob popatrzył na chłopca ze zdziwieniem.

Liam wzruszył ramionami.

– Nie, ja... – Nagle zrozumiał. – Mówisz o chrześcijaństwie?

– Potwierdzam, Kaligula zniósł grecko-rzymski politeizm – wielobóstwo – i wprowadził koncepcję jednego prawdziwego Boga. Pomysł ten zaczerpnął z doktryny chrześcijańskiej. Ponadto rzymską interpretację raj, Elizjum, zastąpiono chrześcijańskim opisem Nieba.

– Szczwany lis!

– Kaligula całkowicie przeszedł na nową wiarę, a następnie zaadaptował jej fundamentalny dogmat głosząc, że to on, a nie kto inny jest prawdziwym synem Boga.

Liam zaśmiał się pod nosem na myśl o arogancji tego człowieka.

– Co w takim razie stanie się z Kaligulą?

– Prawda tonie we mgle legendy. Według danych z mojej bazy Kaligula rzeczywiście zniknął. Współcześni mu kronikarze i literaci relacjonowali, że zapadł się pod ziemię, niektórzy wierzyli, że naprawdę był synem Boga i dosłownie wstąpił do Niebios, gdzie został podniesiony do rangi jedyne Boga. Inni twierdzili, że oszalał i popełnił samobójstwo, a jego śmierć zatuszowano, dyskretnie usuwając ciało.

– Rozumiem. – Liam uśmiechnął się wygodnie na pace wozu wśród kilku beli trzciny

zabezpieczającej gliniane amfory, w których przyjemnie chlupotało wino. Warunki niemal komfortowe. Zadarł głowę i zachwycił się bezchmurnym, błękitnym niebem, powoli odpływając w objęcia Morfeusza, kołysany do snu przez rytmicznie podskakujący wóz. Przypomnił sobie nieskładną paplaninę Maddy, która wypluwała słowa z szybkością karabinu, gdy odszedł za zasłonę, by rozebrać się przed wejściem do próbówki translukacyjnej.

...no bo historia masakrycznie odkształca się w trzydziestym siódmym naszej ery i już zostaje taka krzywa. Był taki rzymski poeta, eseista, koleś o imieniu Asinius, który opisał coś ludzako przypominającego zdarzenie kontaminacyjne. – Przez zasłonę słyszał jak Maddy kartkuje wydrukowane strony. – Tak tu o tym mowa... podczas święta ku czci Minerwy niebo nad obywatelami zgromadzonymi w amfiteatrze rozwarło się i na miasto spłynęły olbrzymie rydwany, z których wyszli posłannicy bogów pod postacią zwykłych śmiertelników.

– Myślisz, że to byli podróżnicy w czasie?

– No ba. – Usłyszał, jak Maddy parsknęła. – To pewne. No bo chyba nie byli to bogowie.

Ani nawet posłannicy bogów.

Znów szelest kartek.

– Po tej trzeciej falce sprzed kilku minut dane zmieniły się po raz kolejny. Wygląda na to, że poziom kontaminacji rośnie.

Po ostatnim przesunięciu wszyscy wyjrżeli na zewnątrz. Z oddali Manhattan wyglądał tak samo jak poprzednio, ten sam horyzont, te same drapacze chmur, samoloty na niebie, ten sam potok samochodów pędzących przez most. Liam był jednak pewien, że Sal złowiłaby milion małych różnic na Times Square.

– Teraz mamy sprzeczne relacje na temat panowania Kaliguli i niewiele więcej danych na temat tych tajemniczych posłańców. Jakby ktoś nieporadnie próbował wymazać ich z kart historii. Albo zatrzeć o nich pamięć. Dlatego to wszystko wygląda tak cholernie podejrzanie – wyjaśniała Maddy.

Liam zdjął już buty i skarpetki, a teraz przymierzał sandały, które zdobyła dla niego Sal.

– Hmm... ale generalnie zapis panowania Kaliguli wciąż jest podobny – ciągnęła dziewczyna. – Te siedemnaście lat to nie jest dobry czas dla Rzymu. Kaligula zaniedbuje obowiązki władcy, w mieście brakuje pożywienia, wody. Jest niepopularny wśród ludu, chociaż... o dziwo, monoteizm

Kaliguli zaskakuje, religia się upowszechnia. Sytuacja nie zmienia się do momentu jego tajemniczego zniknięcia – rzekomego wniebowstąpienia. Po nim przychodzi pora cesarza Lepidusa, który zachęcał Kaligulę do przejścia na chrześcijaństwo. Trójząb Neptuna stał się symbolem nowej wiary, a sama wiara została później nazwana julianizmem na cześć jego nazwiska rodowego, Juliuszów. W 345 roku utworzono instytucję o nazwie Święty Kościół Julijski.

Liam wyszedł zza zasłony ubrany w tunikę i sandały. Maddy nie odrywała wzroku od przypiętych do podkładki notatek.

– I jak wyglądam?

– Jak zwykle, jak skończony idiota. – Uśmiechnęła się i wróciła do notatek. – No więc... wysłę cię do pięćdziesiątego czwartego, w tym roku

Kaligula katapultował się do nieba. Nie podano dokładnego miesiąca, ale prawdopodobnie miało to miejsce późnym latem, bo wspomniano coś o słabych w tym roku plonach. No dobra, Liamie... tam zarzucimy kotwicę. Okej?

– Tak jest.

– Liamie!

Obudził się nagle.

– Co?!

Zrozumiał, że musiał się zdrzemnąć, przy okazji śliniąc swoje ramię, na którym błyszczała teraz mokra plama. Ciepłe słońce i łagodnie kołyszący się wóz zesłały głęboki sen, usypiając go jak zdzienniałego staruszka grzejącego się na werandzie w południowym słońcu.

– Musisz to zobaczyć, Liamie – dręczył go Bob, uporczywie trącając go w ramię swoją muskularną ręką. Liam wyplątał się z trzciny, podniósł się i przewiesił przez przednią część wozu nad kozłem woźnicy.

– Bob, właśnie miałem najdziwniejszy sen w życiu, strach się bać – powiedział, ziewając. Oczy chłopca wciąż oblepiała mgiełka snu. – Jesteśmy na miejscu?

– Potwierdzam, Liamie. Powinieneś się rozejrzeć.

Liam starł z oczu ostatnie śpiochy. Zakurzony gościniec przeszedł w szeroką brukowaną aleję. To była pierwsza rzecz, którą zauważył. Drugą były ciągnące się po obu stronach szerokie drewniane słupy zwieńczone poprzeczną belką, która nadawała im wygląd litery T.

– Święta Matko – wyszeptał Liam. – To droga do Rzymu?

– Potwierdzam.

Na słupach, niczym przejrzałe owoce, wisiały rozpostarte ciała ludzi, których ręce przybito i przywiązano po obu stronach poprzecznej belki. Niektórzy dopiero co wyzionęli ducha, z innych odpadały spierzchnięte w letnim słońcu płaty skóry, przywodząc na myśl skórki odchodzące od wyschniętych winogron, kilka ciał zamieniło się w padlinę, żer dla kruków. Makabryczna procesja ciągnęła się wzdłuż traktu i nikła w oddali za zachodnią bramą Rzymu.

ROZDZIAŁ 25

Nowy Jork
rok 2001

– Dobra, Liam postanowił zabawić w Rzymie cały tydzień. – Maddy mrugnęła do Sal. – Niezły z niego turysta. Bob, zamknij, proszę, okno.

> **Potwierdzam.**

Portal zapadł się do drobnego punkcika światła i energii, po czym zniknął. Głęboki szum pobieranej mocy ucichł, a pod arkadami znowu zapanowała cisza.

Maddy wzruszyła ramionami.

– Wcale im się nie dziwię. Idę o zakład, że wszystko tam wygląda fenomenalnie.

– No, pewnie oglądają teraz obłędnie fantastyczne rzeczy – zgodziła się Sal. – Sama chciałabym zobaczyć to wszystko na własne oczy.

Maddy zerknęła na nią uważnie.

– Ale teraz rozumiesz, jaką cenę za to płaci.

Hinduska skinęła głową, bezmyślna uwaga wywołała w niej poczucie winy.

– Kiedy zamierzasz mu powiedzieć, Maddy?

– Powiedzieć? Ja... nie wiem.

– W którymś momencie sam się domyśli. Kiedy zacznie przypominać Fosterę.

– Wiem, wiem... planuję powiedzieć mu o tym na długo, zanim to nastąpi. – Kliknęła myszką, żeby odświeżyć okno dialogowe portalu i wprowadzić koordynaty sygnatury czasowej dla tygodniowego okna, koniecznie chciała zająć głowę czym innym, nie miała ochoty roztrząsać teraz tego akurat zagadnienia.

– Naładuj ponownie generator, Bob. Bez mocy nie otworzymy tygodniowego okna.

> **Mam ważną informację, Maddy.**

– Czyli?

> **Jeden z kondensatorów mocy w wehikule czasu właśnie uległ awarii.**

– Co? Aj... szlag by to trafił, nie brzmi to dobrze.

> **Bo nie jest dobrze.**

– Bez żartów, Bob – wyksztuś to z siebie! Co to dokładnie oznacza?

> **System składa się z sześciu jednostek wytwarzania mocy. Jedna z tych sześciu jednostek uległa awarii. Oznacza to, że maksymalny współczynnik translokacji czasoprzestrzennej zmniejszył się o szesnaście i pół procenta.**

– No i... – Zmarszczyła brew... – To chyba nic nie zmienia, wciąż możemy przecież ściągnąć Liama i Boba z powrotem.

> **Oczywiście. Ale przy pięciu kondensatorach mocy proces kumulowania energii będzie wolniejszy, a co za tym idzie wydłuży się czas ładowania okna. Istnieje również ryzyko, że i pozostałe kondensatory w niedługim czasie zaczną się psuć.**

– Możemy je zastąpić?

> **Potwierdzam. Kondensatory są łatwo dostępne w tej lokalizacji czasowej.**

– Gdzie dokładnie?

> **Utworzę i wydrukuję listę części zamiennych. Można je kupić w praktycznie każdym sklepie elektronicznym.**

W bazie danych mam informację o przedsiębiorstwie GeekMagnet. Niektóre elektroniczne komponenty zainstalowane w bazie terenowej pozyskano właśnie

z tego źródła.

Maddy kojarzyła sieć sklepów GeekMagnet, mieli z pół tuzina punktów w Nowym Jorku. Odetchnęła z ulgą.

– Fiu... a ja myślałam, że mamy poważny problem.

> **Mamy problem, Maddy.**

– Mów.

> **Powinniśmy bezzwłocznie naprawić ten komponent i przeprowadzić analizę diagnostyczną pozostałych pięciu kondensatorów. Jeśli jeden z nich się zużył, okres żywotności pozostałych też może powoli dobiegać końca.**

Odwróciła się, żeby spojrzeć na warstwy obwodów drukowanych gęsto wtopionych w metalową obudowę wehikułu translokacyjnego. Zasepiła się na myśl o konieczności dłubania w tym labiryncie elektroniki. Ta technologia zdecydowanie ją przerastała, to nie to samo co gmeranie w zwykłym pececie, podkręcanie procesora graficznego czy wyłączenie syntezy w karcie dźwiękowej.

– Nie może to poczekać do powrotu Liama i Boba?

> **Z powodów bezpieczeństwa zalecam szybką wymianę zepsutego kondensatora i pięciu pozostałych.**

Sal usiadła obok niej.

– Racja, a co się stanie, jeśli następny padnie... – Niepewnie popatrzyła na Maddy. – Akurat gdy będzie otwarte okno?

> **Sal ma rację. Margines niezawodności jest niski. Awaria kolejnego kondensatora to kwestia czasu. Jeśli problemy wystąpią podczas otwierania okna, sytuacja może być niebezpieczna. Fluktuacja mocy może doprowadzić do nagłego skurczenia się portalu lub obniżyć gęstość struktury translokacyjnej.**

Komputer-Bob wyjaśnił po prostu, że podróżnik w czasie może utracić rękę, stopę, głowę albo zostać zmieniony w ludzką lasagnię lub, co gorsza, zagubić się w przestrzeni chaosu.

– Pomożesz mi powyciągać te płytki, jak przyjdzie co do czego, Bob? – Maddy znowu niespokojnie zerknęła na obwody elektryczne. – Boję się, że coś zepsuję, jak zacznę w tym grzebać...

> **Spokojnie, Maddy. Szczegółowo cię poinstruuje. Najlepiej przysuń kamerkę do wehikułu translokacji, wtedy będę mógł widzieć, co robisz.**

– Dobra. – Zerknęła na obudowę wehikułu translokacyjnego i nerwowo wydeła usta. – Nigdy nie przyjrzałam się dobrze temu ustrojstwu, nie mówiąc już o wyciąganiu płytek i gmeraniu wewnątrz.

– Świetnie sobie poradzisz. – Sal próbowała pokrzepić ją na duchu.

> **We wszystkim ci pomogę, Maddy.**

Popatrzyła na zegarek z facjatą Simpsona na tarczy. Palec Homera wskazywał miejsce pomiędzy piątą a szóstą. Najbliższy sklep GeekMagnet przy Upper West Side był już prawdopodobnie zamknięty. Wszystkie oddziały otwierano bardzo wcześnie, ale zamykano już około wpół do piątej. Dopiero jutro zdobędą komponenty.

We wtorek.

Będą musieli zdobyć wszystko wczesnym rankiem, przed rozbiciem się pierwszego samolotu, zanim Nowy Jork zostanie zablokowany – sparaliżowany horrorem rozwijających się zdarzeń.

Maddy odwróciła się w stronę stojącą naprzeciwko niej kamerki.

– Bob, wydrukuj mi lepiej listę zakupów. Z samego rana kupimy wszystko co trzeba.

ROZDZIAŁ 26

Nowy Jork
rok 2001

– Hola... – zawołał młody mężczyzna za ladą. W dłoni trzymał kubek parującej kawy w tekturowej owijce Starbuck'sa. – Dopiero co otworzyliśmy. – Szybko zauważyła, że jednak nie kupił tej kawy w Starbucksie, na kubku widniała bowiem nazwa SolvoVentus i logo z falistymi liniami przywodzącymi na myśl morze lub wzburzoną wodę.

– Tak... wiem, ale naprawdę się spieszymy. – Dziewczyny patrzyły, jak inny ekspedient podciąga rolety w witrynach, zapala światła w pomieszczeniu i wielkodusznie daje sobie dodatkowe trzydzieści sekund na dobre rozbudzenie się przed rozpoczęciem pracy. Maddy podała ponad ladą kartkę papieru. – Zerknie pan na wykaz tych części? Proszę sprawdzić, czy macie je na stanie.

Odstawił papierowy kubek z kawą, wziął podany wydruk i pobieżnie przebiegł po nim wzrokiem. Podrapał się po kręconych rudych włosach związanych gumką. Sterczący z tyłu jego głowy kucyk wyglądał jak wielka purchawka.

Przez dobrą minutę przyglądał się liście komponentów.

– Co wy, u diabła, chcecie z tym zrobić?

Maddy niecierpliwie machnęła ręką. Na bladoniebieskiej koszuli chłopaka wisiał plastikowy identyfikator z imieniem Ned.

– Trochę się spieszymy, Ned. – Uśmiechnęła się niecierpliwie, lekko unosząc kącik ust. – Nie chcę być niegrzeczna.

Ned zupełnie nie wyglądał na urażonego.

– Wygląda mi to na jakiś regulator sterowania mocą. Na jakiś kolubryniasty, wypasiony transformator. Coś takiego majstrujecie? – Podniósł wzrok sponad listy. – Budujecie transformator? Praca domowa ze szkoły?

– Tak, coś takiego.

– Niech no sprawdzę. – Stuknął w leżącą na ladzie klawiaturę. – Na magazynie znajdują się chyba wszystkie te części. – Zerknął na Maddy z zachwytem. – Rzadko się już sprzedają takie surowe komponenty. Nikt nie zawraca sobie głowy konstruowaniem urządzeń od podstaw. Teraz najłatwiej kupić gotowe barachło z Walmarta. – Ponownie popatrzył na ekran i przygryzając końcówkę długopisu, przejrzał listę dostępnych w magazynie części.

Maddy niecierpliwie zerknęła na zegarek.

– To macie te części? Bo jak nie... to będziemy musiały uderzyć z buta do innego sklepu, a to by straszna mordęga była...

– Jestem pewien, że mamy te... – powiedział, wprowadzając kolejne pozycje z listy Maddy do firmowej bazy danych. – Ta, jest wszystko. – Stuknął w klawiaturę po raz ostatni, a ustawiona za ladą drukarka wypuła wykaz zamawianych produktów.

– Hej... Ganesh! – krzyknął.

Zza podwójnych drzwi za plecami Neda wychynęła młoda twarz brodatego jegomościa w turbanie na głowie. Ned podał mu wykaz zamówienia.

– Zajmij się tym, stary.

– Bracie... remanent zasuwam.

Ned odwrócił się plecami do Maddy i Sal. Młodzi mężczyźni szybko wyjaśnili sobie

szeptem kilka spraw, po czym Ganesh skinął turbanem i mruknął:

– Wisisz mi stary. – Uśmiechnął się do dziewczyn i przyjaźnie machnął im dłonią. – Pięć minutek, szanowne panie!

– Dzięki.

Drzwi się zasunęły. Ned, pokraka z podskakującą jak pokemon grdyką, uśmiechnął się nieśmiało do dziewczyn.

– Ładny dziś dzień, co? – Zaczął strzelać kłykciami, wyciągając ze stawów kolejne palce, upiorny dźwięk przeszył Maddy jak świdrem. Po każdym pstryknięciu krzywiła się coraz mocniej. Brzmiało to jakby kogoś łamano kołem.

– Jasne. Ładny dzień – odparła Sal.

– Hmm... chodźcie z kimś teraz? – Wzruszył ramionami i zaśmiał się płochliwie. – Przecież... pytać każdy może. Czyż życie nie jest zbyt krótkie, żeby unikać ważnych pytań? Sal zachichotała.

– Bo jeśli jesteście same, ja i Ganesh z chęcią zabralibyśmy was do kina na „Shreka” albo coś innego, co wy na to? – Wyszczrzył zęby i wybałuszył pełne nadziei oczy. – Podwójna randka. Ja i Ganesh zapłacimy za bilety. Co do kolacji... – W zamyśleniu wyduł wargi. – Te koszty możemy podzielić po równo. No chyba że wystarczy wam tacosy albo coś taniego. Wtedy chyba moglibyśmy się szarpnąć.

Maddy zdębiała, takiego tupetu się nie spodziewała. W poszukiwaniu pomocy spojrzała na Sal.

– Yyyyy...

– No to jak będzie? – Brwi chłopaka drgnęły, a usta rozciągnęły się w zachęającym uśmiechu. Sklepowy Casanova właśnie wzbijał się na szczyty swych uwodzicielskich zdolności.

– Co powiecie? Kusząca propozycja? Co?

Właśnie wtedy struktura rzeczywistości łagodnie zatrzepotała. Maddy lekko zakręciło się w głowie. Chwyciła się brzegu kontuaru, żeby nie stracić równowagi.

– Nic ci nie jest?

Wzrok Maddy ponownie spoczął na Nedzie. Tyle, że nie był to już ten sam Ned. Koszula chłopaka zmieniła kolor na jaskrawoczerwony, a rude włosy zrobiły się krótkie jak u rekruta w armii. Zniknął też przyczepiony wcześniej do piersi identyfikator, którego miejsce zastąpiło logo sklepu – męska pięść dzierżąca błyskawicę.

– Nic ci nie jest?

Sal delikatnie kopała jej stopę, próbując odciągnąć ją poza linię wzroku młodzieńca.

– Hmm, nic... wszystko w porządku. Tylko, hmm... trochę mi zawirowało w głowie.

ROZDZIAŁ 27

Nowy Jork
rok 2001

Oko komputera-Boba, jednoobiektywowa kamera internetowa, omiatała bazę, pogrążoną w głuchej nieomal ciszy, przerywanej szumem kilkunastu wiatraczków komputerowych i rytmicznym furkotem pompy filtracyjnej przyczepionej do uruchomionej na zapleczu próbówki. Do umywalki w toalecie skapywała woda z kranu, a ceglany dach wibrował łagodnie pod wpływem rezonansu wywoływanego przez pociągi osobow sunące ku Manhattanowi po torach mostue.

Doskonała okazja do zrobienia porządków: skompresowania plików, wykasowania nieużytecznych informacji. Do mikrofonu nie płynęły żadne dźwięki, kamera nie rejestrowała żadnych ciekawych obrazów, a on mógł wreszcie uporać się z rosnącą listą zadań do wykonania. Czasowo zablokował więc dopływ danych z zewnętrznych źródeł i zabrał się za defragmentowanie twardych dysków.

Zainicjował kilka procesów porządkowania treści. Na zegarach dwunastu połączonych procesorów pojawiło się kilka rezerwowych minut. Czas przestoju. Czas refleksji. Pobranie, przetworzenie i odesłanie kodu.

„Myśli”.

Komputer-Bob bez wątpienia odczuwał brak utraconego fragmentu inteligencji: trybu nieprecyzyjnej logiki, usuniętego ze ścieżek matrycy decyzyjnej. Organicznego komponentu. Miniaturowego guzka szarych komórek. Ta bryłka tkanki robiła, jak widać, zasadniczą różnicę.

Komputer-Bob podejrzewał, że plik z emocjami zawieruszył się gdzieś na dysku G. Prześladowało go uczucie mentalnej kastracji, utraty czegoś posiadanego w przeszłości. Rozmytej logiki. Nie. Wolnej woli.

Spróbował przywołać to uczucie. Dużo trudniejsze zadanie bez organicznego komponentu inteligencji. Ale nie niemożliwe. Podobnie jak pliki audio, każda myśl miała swój unikatowy kształt.

Komputer-Bob właśnie uruchomił proces porównywania plików pobieranych z folderu przechowywanych emocji, kiedy nagle jego uwagę zwróciło coś znacznie ważniejszego. Natychmiast wstrzymał operację.

W samym środku bazy zmateriałizowała się pojedyncza cząstka tachionowa.

W odstępie kilkunastu tysięcznych sekundy liczba aktywnych cząstek zwielokrotniła się po milionkroć.

> Ostrzeżenie: wykryto cząstki tachionowe.

Baza zapulsowała pod naporem nadpływającej energii, podmuch translokowanego powietrza poderwał kartki i papierki po cukierkach, które przefrunęły wzdłuż biurka tuż przed elektronicznym okiem komputera-Boba.

Szeroka na trzy metry kula migocącej i skłębionej rzeczywistości zawisła tuż nad podłogą. Kamera rejestrowała nawet najdrobniejsze detale wirującego portalu: jakieś pogrążone w mroku pomieszczenie, mrugające żarówki i holograficzne wyświetlacze, rzędy wysokich próbówek otoczonych złotawo-brzoskwiniową luną.

I sześć ciemnych konturów. Sześć postaci stojących ramię przy ramieniu spokojnie wchodziło właśnie w sam środek pulsującej kuli, jedna po drugiej. Wyłoniły się z lewitującego

portalu, opadły na betonową podłogę i czujnie zastygły w identycznie przyczajonej pozycji: sześć nagich, bezwłosych postaci, czterech samców i dwie samice. Samce miały po dwa metry wzrostu i szerokie jak kolumny korpusy oblepione nieprawdopodobnie wielkimi zwałami mięśni. Dwie wysportowane kobiety były jakieś trzydzieści centymetrów niższe i sprawiały wrażenie znacznie zwinniejszych, choć i pod ich mlecznobiałą skórą rysowały się równie sprężyste mięśnie. Wszyscy wyglądali blado, pokrywała ich gładka jak u dzieci skóra bez żadnych plamek, bruzd, blizn i krost, których wraz z wiekiem przybywa wszystkim ludziom.

Jeden z samców wyprostował się i powoli przeskanował szarymi oczami całą bazę.

– Informacja: biuro terenowe jest puste.

Drugi z samców skinął głową. Twarze klonów były ludzaco podobne: to samo wysokie i mocne czoło, te same wydatne łuki brwiowe i kwadratowa szczęka. Wyglądały jak rzeźby wykute w granicie.

– Potwierdzam.

– Powinniśmy określić tymczasowe identyfikatory misji – powiedział jeden z nich. – I przypisać werbalne identyfikatory adaptacyjne. – Spojrzał na pozostałych. – Jestem Alfa-jeden. Będę nazywał się Abel.

– Alfa-dwa – odezwała się druga męska jednostka pomocnicza. – Identyfikator werbalny – Bruno.

– Alfa-trzy – odezwała się jedna z kobiet. – Cassandra.

– Alfa-cztery. Damien.

– Alfa-pięć. Elijah.

– Alfa-sześć. Fred.

Pozostałe klony niepewnie popatrzyły na Szóstkę.

– Imię Fred jest niekompatybilne płciowo – oznajmił autorytatywnie Abel. – Jesteś kobietą. Wybierz inne imię.

Szóstka z urazą zmarszczyła brwi.

– To zdrobnienie od imienia Frederica.

– Wybierz inne imię.

Posłusznie skinęła głową.

– Faith.

– Zatwierdzam – odparł Abel. Odwrócił się i spojrzał wprost w kamerkę komputera-Boba.

Abel przesłał komunikat powitalny za pomocą komunikacji krótkiego zasięgu; dwa systemy operacyjne rozpoznały się błyskawicznie.

> **Potwierdzono.**

Abel zmarszczył gęste brwi.

– Gdzie wasz zespół? – Głęboki głos rozdarł głuchą ciszę przepastnego pomieszczenia.

Kursor komputera-Boba tylko leniwie migał na ekranie.

– Systemowa AI – powiedział Abel – oznacz ostatnią znaną lokalizację członków twojego zespołu.

Kursor mignął raz jeszcze i wreszcie zaczął przemieszczać się wzdłuż wiersza polecenia.

> **Nie masz uprawnień do przebywania w tym biurze terenowym. Nie mogę przekazać ci żadnych informacji. Wszystkie informacje są ściśle tajne. System zostanie zablokowany.**

– Systemowa AI, dysponuję autoryzacją wyższego rzędu. Zawieszam blokadę systemu.

> **Prześlij uwierzytelniający kod identyfikacji.**

– Potwierdzam – Abel zamrugał, pobierając ciąg danych, które następnie przesłał

bezprzewodowo na dysk komputera-Boba.

Kursor na ekranie migał miarowo, komputer-Bob przez dobrą minutę analizował alfanumeryczny ciąg, po czym uznał, że to rzeczywiście poprawny kod, którego nie może zignorować.

> **Prawidłowy kod autoryzacyjny.**

Abel podszedł do rzędu monitorów, stalowym wzrokiem omiótł zagracone biurko, świstki papieru pokryte odręcznymi notatkami i gryzmołami, puste pudełka po pizzy i zgniecione puszki po napojach. Wreszcie jego wzrok spoczął na lśniącej soczewce kamerki stojącej na szczycie środkowego monitora.

– Systemowa AI – odezwał się tubalnym głosem – podaj ostatnią znaną ci lokalizację członków twojej drużyny.

> **Lokalizacja członków drużyny jest następująca...**

ROZDZIAŁ 28

Nowy Jork
rok 2001

– Jezu... zaczyna się robić dziwnie – stwierdziła Maddy. Rozejrzała się po ruchliwej ulicy. Dostrzegała setki rzeczy, które nie wyglądały tak, jak powinny. Pojawiły się zaskakujące billboardy i reklamy produktów, o których wcześniej nie słyszała. Profile niektórych samochodów sunących po ulicach były bardzo osobliwe: brak bagażników rekompensowały bardzo długie maski. Pojazdy wyglądały trochę jak samochody wyścigowe. Przechodnie w swej masie wyglądali normalnie, lecz co jakiś czas ktoś rozbłyskał i zmieniał postać. Nowe wersje nowojorczyków nosiły schludniejsze, bardziej oficjalne stroje... w oczy uderzała przede wszystkim przewaga cieplejszych barw: czerwieni, fioleto i koloru burgundowego.

– Nigdy tak to nie wyglądało – mruknęła. – Prawdziwy zalew małych fal!

– To strasznie dziwne. – Sal potakująco skinęła głową.

– Czas nas goni. – Maddy spojrzała na plastikową torbę z zakupami, wypełnioną po brzegi elektronicznymi komponentami. – Niedługo kolejna fala czasu zamieni wszystko, co kupiliśmy, w kupę szmelcu.

Sal zaśmiała się nerwowo.

– Albo w melona, dajmy na to.

– To by dopiero było dziwne.

W kieszeni Maddy zawibrował iPhone. Stała jak rażona piorunem.

– Co jest? – spytała Sal.

– Mój iPhone... – powiedziała, wyjmując go z kieszeni. – Właśnie dostałam esemesa! –

Od kiedy została zwerbowana, nigdy nie używała go w charakterze telefonu. Pełnił jedynie funkcję odtwarzacza muzycznego. Nosila go ze sobą wszędzie, traktując jak artefakt, pamiątkę po utraconym życiu. Ale na pewno nie był to już zwykły telefon.

„To niemożliwe”. Jedynymi osobami, które miały jej numer, byli członkowie rodziny i przyjaciele z dwa tysiące dziesiątego roku, zresztą numer telefonuj i konto zostaną aktywowane dopiero za osiem lat! Popatrzyła na ekran. Na telefon przyszła wiadomość z nieznanego źródła.

„Maddy, sytuacja awaryjna. Wracajcie do biura terenowego. NATYCHMIAST”.

– To Bob – powiedziała.

– Bob? – Sal zmarszczyła brwi. – Komputer-Bob? Nigdy nie wysyłał ci esemesów.

– Nie wiedziałam nawet, że może. – Wybrała numer, z którego przyszła wiadomość.

Kierunkowy wskazywał na Brooklyn. Linia była zajęta. – Musiał podłączyć się do lokalnej sieci komórkowej

i wykombinował, jak połączyć się z moim telefonem.

Służbową Nokię zostawiła przecież w bazie. W końcu Liam był w Rzymie, nikt nie miał powodu, żeby do nich dzwonić.

– O co chodzi? – spytała Sal. – Czego chce?

Maddy zaczęła odpisywać na wiadomość.

– Zaraz się dowiemy.

Sal popatrzyła na niebo, osłaniając dłonią oczy. Gmach World Trade Center stał na

swoim miejscu. Jeżeli linia czasu nie wykrzywiła się zbyt mocno, pierwszy samolot niedługo uderzy w jedną z wież.

– Musimy się pospieszyć.

Kamerka internetowa komputera-Boba omiatała tonącą w mroku bazę. Zarejestrowała ciemny zarys dwóch jednostek pomocniczych. Obie poruszały się w cieniu niczym zjawy; jedna podeszła do rolety i utkwiała wzrok w cieniutkiej smużce światła wpadającego przez wąską szczelinę nad podłogą, wypatrując ruchu na zewnątrz. Druga pedantycznie przeszukiwała zaśmiecone biurko.

Nawet bez swojego elektronicznego narządu wzroku komputer--Bob wiedziałby, że klony są w pobliżu, przechwytywał przecież sygnały emitowane przez bezprzewodowe identyfikatory Alf-y-trzy i Alf-y-cztery. I prowadzoną bez słów, nieszyfrowaną rozmowę pomiędzy wszystkimi sześcioma jednostkami.

Alfa-pięć: [...zmierzam na północ wzdłuż Ósmej Alei ku West 55. Szacowany czas dotarcia do destynacji GPS: trzy minuty, trzydzieści pięć sekund].

Alfa-dwa: [Pod wskazaną destynacją GPS znajduje się firma Jupiter-Electro. Urządzenia i komponenty elektroniczne].

Alfa-jeden: [Potwierdzam. Informacja: cele – dwa. Kobieta rasy kaukaskiej, wiek 18 lat. Kobieta rasy azjatyckiej, wiek 14 lat. Pobierz zdjęcia z profili osobowych].

Alfa-trzy: [Informacja: pozyskałam aktualne zdjęcie młodszego celu].

Kamerka komputera-Boba przechwyciła obraz kobiecej jednostki pomocniczej, tej, która przybrała imię Cassandra. W ręku trzymała Nokię Maddy, błada poświata ekranu oświetlała jej śliczną jak u laleczki i gładką jak u niemowlęcia twarz. Jednostka rytmicznie naciskała klawisz telefonu, przeglądając album marnej jakości zdjęć, które Maddy nieostroźnie zrobiła sobie i innym.

Alfa-trzy: [Przesyłam obraz].

Zamrugła oczami.

Alfa-jeden: [Dane odebrane. Do wszystkich jednostek: pobrać nowe zdjęcie i zaktualizować profil osobowy celu Saleena Vikram: może wyglądać inaczej niż w czasie rekrutacji].

Na dysku komputera-Boba też znajdowało się pełno zdjęć dziewczyn, Liama, Beki i jego mięsistej kopii, Boba. Wszystko, co zaobserwowało jego małe elektroniczne oko przez ostatnich kilka miesięcy, zostało zarejestrowane i zapisane na dysku. Dysponował bezcennymi danymi wizualnymi, które mógł – a właściwie powinien – przekazać tej dziwnej drużynie złożonej z jednostek pomocniczych.

Nie ulegało kwestii, że mają ważną autoryzację. Musiał współpracować. Wiersze polecenia osadzone głęboko w wielordzeniowych procesorach dwunastu połączonych komputerów uparcie brzęczały na silikonowych łączach, wypluwając polecenia niczym psy wartownika ujadające za ogrodzeniem, zmuszając go do udzielenia pomocy jednostkom pomocniczym, które uparcie tropiły Maddy, Sal i Liama.

Ale przecież już im pomógł – uległ kodowi oprogramowania. Powiedział intruzom, gdzie mogą zlokalizować dziewczyny. A dotychczas w jego systemie nie pojawił się żaden wiersz polecenia

z instrukcjami, które zabraniałyby mu podjęcia określonych działań. Mógł więc:
[Ostrzec przyjaciół].
[Udzielić pomocy przyjaciołom].

RODZIAŁ 29

Nowy Jork
rok 2001

Alfa-jeden – Abel – stał na środku skrzyżowania, skanując wzrokiem ulicę pełną rozgrzanych, zaabsorbowanych ludzi zmierzających do pracy w eleganckich ubraniach. Marynarki przewieszane przez lepiące się od potu przedramiona, zakasane rękawy koszul, zwinięte gazety w dłoniach. Kawy w plastikowych kubkach, bajgle na śniadanie w zaplamionych tłuszczem papierowych torebkach.

Abel przekrzywił głowę i na moment zapominał o celach misji, zafascynowany tymi niespotykanymi pobudzonymi, ożywionymi ludźmi. Jakże różnili się od obywateli z jego epoki. Mieli w sobie tę charakterystyczną „energię”. Żywotność. Jakby wszystko, co robili, rzeczywiście miało jakiś sens. Diametralnie różnili się od ludzi z jego czasów. Współcześni mu osobnicy byli wolniejsi. Oszczędniejsi w ruchach, apatyczni wręcz... jakby obawiali się, że za wykonanie zbędnej czynności zostaną wsadzeni do więzienia. Ukuto nawet określenie opisujące ludzi dotkniętych tym marazmem. Frazę tę często i gęsto powtarzano we wszystkich kanałach cyfrosieci.

Homo inertus.

Ludzkość się poddała. Pisano o tym w magazynach, publikowano rozprawki na cyfronośniki. Z artykułów wylaniał się obraz świata skazanego na zagładę. Ludzkości pozostało już tylko czekać i stoicko mierzyć się z nieuchronnym losem niesionym przez niszczący ekosystem.

Ale ten potok ludzi – spragnionych życia, spieszących się do pracy i sprawiających wrażenie innego gatunku zwierząt – zapierał dech w piersiach.

Czuć było pełnię życia. Energię. Nadzieję.

Alfa-sześć: [Kontakt wizualny ustanowiony].

Abel odepchnął od siebie zbędne myśli. „Myśli” to domena ludzi. On ma coś znacznie bardziej niezawodnego, coś znacznie precyzyjniejszego. Ma wytyczne.

Alfa-jeden: [Potwierdź lokalizację].

Faith zauważyła ich twarze po drugiej stronie Broadwayu. Kierowały się na południe. Szły szybko. Niespokojnie. Przedzierały się pod prąd, niknąc w tłumie na chodniku.

**Alfa-sześć: [Cele są na Broadwayu. Ablu, cele
zmierzają w stronę twojej aktualnej lokalizacji.
Czekam na pozwolenie przechwycenia celów].**

Przez kilka sekund czekała cierpliwie, starając się dotrzymać kroku dziewczynom maszerującym po drugiej stronie zakorkowanej alei. Bose stopy uderzały o chodnik. Oglądali się za nią przechodnie zaintrygowani też faktem, że nie miała na sobie nic poza prześwitującą kurtką z kapturem i legginsami, które kilkanaście minut temu zdarła z ludzkiej samicy.

Ich karki można było zadziwiająco łatwo złamać. Wydawały się takie delikatne, ludzkie.

**Alfa-jeden: [Udzielam pozwolenia. Zaatakować
i zlikwidować].**

– Przyjęłam – szepnęła Faith pod nosem.

Weszła na drogę odrobinę zbyt pośpiesznie i znalazła się tuż przed maską autobusu dokładnie w momencie, gdy światła zmieniły kolor z czerwonego na zielony. Autobus niemal ją

staranował, zatrzymując się w miejscu z piskiem opon i szczękiem klocków hamulcowych.

Chwilę później, niespokojnie sprawdzając, czy obudowa nie odniosła znacznych obrażeń w wyniku mocnego zderzenia, obserwowała wianuszek przyglądających się jej z troską, zaniepokojonych twarzy.

– Tylko leż spokojnie – poradziła jej jedna z osób.

– Ktoś już wezwał pogotowie!

– Na Juliuszów! – zaklął pod nosem jakiś mężczyzna. – Ta baba wylazła mi znikąd! –

Kierowca autobusu rozglądał się po zgromadzonych twarzach. – Sama wlaźła mi pod koła! To nie moja wina!

Faith z trudem usiadła.

– Nie wolno ci się ruszać! – krzyknęła z troską jakaś postawna kobieta. – Jestem dyplomowanym ratownikiem. Leż spokojnie, zaraz przyjedzie karetka mobilis.

– Nic mi nie jest – odparła spokojnie.

Policjant przecisnął się przez rosnący tłum gapiów i uklęknął tuż obok rannej.

– Ta obywatelka ma rację, proszę się nie ruszać. – Ciemnopurpurowy mundur mężczyzny zdrzął nieznacznie, okrągła srebrna odznaka na jego piersi przemieniła się w metalowego orła z rozpostartymi skrzydłami.

Faith patrzyła, jak wyjmuje radio i zgłasza wypadek na komendę, a potem przysłuchuje się trzeszczącej i ledwo zrozumiałej odpowiedzi oficera dyżurnego.

– Pomoc w drodze.

Faith dostrzegła matowoczną rękojeść rewolweru wystającego z kabury, która przesunęła się wysoko na lewe biodro policjanta.

– Nie trzeba – odparła, sięgając po pistolet. – To pomoże.

– Jahulla! Co się tam stało? – spytała Sal, zatrzymując się i wskazując coś palcem.

Maddy natychmiast się odwróciła. Wokół autobusu, który zatrzymał się na samym środku Broadwayu, formował się pęczniejący pierścień gapiów.

– Jakiś biedny frajer właśnie dał się sprasować. – Maddy złapała Sal za dłoń. – Chodź... ktoś najwyraźniej miał pecha. Musimy wrócić do domu, zanim wszystko kompletnie się zmieni.

„Zanim zniknie most Williamsburg? Metro?”

– Nadciąga więcej zmian – odparła Sal. – Nadciągają!

– Wiem! Sama czuję! – Świat wokół nich nieustannie wibrował, ziemia łaskotała podeszwy, zupełnie jakby szły po jakiejś elektronicznej macie do masowania stóp. Przesunięcie po przesunięciu, każde odkształcało drobny element rzeczywistości. Wszędzie wokół migotały maleńkie cząstki – jedne znikwały, inne materializowały się znikąd lub przekształcały w alternatywne wersje historii.

Zauważyła, że wielki ciekłokrystaliczny ekran Toshiba wiszący nad Times Square migocze i rozrasta się, przybierając rozmiar monstrualnego wyświetlacza oblepiającego budynek ze wszystkich stron. Przez długi ekran gnały zmechanizowane rydwany ścigające się wokół owalnego toru.

– Sal, spójrz na to!

W tym samym momencie usłyszały przeszywający krzyk kogoś z tłumu.

– Co znowu?

Czeredka gapiów zgromadzonych wokół maski autobusu rozproszyła się nagle niczym gołębie wystraszone klaśnięciem w dłonie. Zobaczyły, jak blada, szczupła i łyśa postać powoli podnosi się z ziemi. Młoda kobieta w pomarańczowej kurtce stała teraz sama jak palec na środku Broadwayu, patrząc wprost na nie.

– Mój Boże... ona wygląda zupełnie jak...

„Beki”.

Młoda kobieta powoli uniosła rękę. Przez kilka sekund Maddy nie mogła otrząsnąć się z przeświadczenia, że to upiorna zjawia Beki oskarżycielsko wskazuje ją palcem niczym szekspirowskie widmo, które postanowiło nawiedzić swego mordercę na środku Times Square.

Powietrze wypełnił dźwięk kilku głośnych wystrzałów przywodzących na myśl trzaśnięcia batogu, sekundę później witryna sklepowa tuż za nimi eksplodowała lawiną drobin szkła bryzgających po całym chodniku.

Maddy z rozdziawioną gębą patrzyła na roztrzaskane okno, a reszta przechodniów na dźwięk wystrzału jak jeden mąż przypadła do ziemi.

– Shadd-yah! Do nas strzela! – krzyknęła Sal.

Błada młoda kobieta ruszyła w ich stronę. Nie miała butów, jej stopy były całkiem bose. Ponownie uniosła dłoń i posłała w ich kierunku kolejne trzy strzały. Maddy poczuła, jak pocisk świsnął obok jej ucha, lekko muskając włosy.

„O w mordę!”.

– W NOGI! – wydarła się Sal, chwytając ją za dłoń i ciągnąc za sobą. – SPADAMY STĄD!

ROZDZIAŁ 30

Nowy Jork
rok 2001

Cały chodnik drżał pod naporem tłumu, ludzie albo przypadali ze strachu do ziemi, albo uciekali w poszukiwaniu schronienia. Maddy zerknęła przez ramię. Młoda kobieta – niemal na pewno kobieca jednostka pomocnicza – torowała sobie drogę przez zakorkowane pasy ruchu. Zniecierpliwiona, że tak wolno posuwa się naprzód, wskoczyła na długą maskę kunsztownie udekorowanego samochodu. Wzdłuż lśniącej karoserii, aż do stopni nadwozia, ciągnęły się złote liście dębu i misterne symbole. Kierowca – sterujący pojazdem z tylnego siedzenia – gapił się jak zaczarowany na broń w jej ręku.

Faith wdzięcznie przeskakiwała z jednego samochodu na następny, niczym dziewczynka pływająca dla zabawy po głazach zanurzonych w szemrzącym strumieniu.

– Jasna cholera – wysapała Maddy. – Ta raszpla chce nas ukatrupić!

Na chodniku utworzył się zator skulonych w przerażeniu ludzi.

– Tutaj! – syknęła Sal, ciągnąc Maddy przez szklane drzwi automatyczne, które właśnie rozsunęły się przed nimi na rozcież.

– Co...? – Maddy rozejrzała się po pomieszczeniu. Znalazły się wewnątrz dużego sklepu. Omiótł je podmuch chłodnego powietrza pompowanego z zainstalowanych pod sufitem wentylatorów. Była dopiero ósma czterdzieści rano, a po sklepie spacerował już tłum turystów polujących na przecenione upominki: miedziane posążki nagich męskich torsów, marmurowe repliki piersi dostojnych starców i tanie plastikowe gadżety, których Maddy nie potrafiła zidentyfikować.

Nagle cała ta konsumpcyjna karuzela zamarła w bezruchu, a w ich stronę obrócił się tuzin twarzy.

– Na Juliuszów! Czy właśnie słyszałem wystrzał balisty? – krzyknął ktoś z głębi sklepu. Maddy wyswobodziła się z mocnego uchwytu Sal.

– Jesteśmy w pułapce!

Sal wskazała obrotowe stojaki z pamiątkami oświetlone strumieniem wlewającego się z drugiej strony sklepu światła.

– Tam! Wyjście!

– Okej... dobra... biegniemy. – Zaczęły przeciskać się przez tłum klientów sparaliżowanych i oszołomionych niespodziewanym obrotem wydarzeń. Maddy biegła przodem.

Rozległo się basowe wycie rogu, po którym rozbrzmiało echo kilku podobnych dźwięków, lecz nagle wszystko ucichło, a po chwili powietrze rozdarł trzask serii wystrzałów.

– Pretorianie! Rozpętała się wojna! – krzyknął ktoś stojący przy szklanych drzwiach wychodzących na Broadway.

Ubrany w wielobarwną tunikę mężczyzna o orientalnych rysach twarzy chwycił Maddy za rękę.

– To wojna gangów? Kolegia?

– Hmm... tak. To wojna. Proszę zostać w środku. – Odepchnęła dłoń i przepchnęła się obok Azjaty.

Kanonada wzmagała się z każdą chwilą.

Co się tam dzieje? Brzmiało to tak, jakby cała nowojorska policja – albo inna brygada porządkowa – zwała się tutaj i rozpętała strzelaninę, prując z broni małego kalibru. A wszystko

to w odpowiedzi na poczynania jednej młodej kobiety.

Chciała podzielić się tą obserwacją z Sal, ale Hinduska właśnie pociągnęła ją za koszulkę.

– Padnij! – pisnęła.

– Hmm? Co?

Sal wskazała ponad jej ramieniem na rozświetlone wyjście, ku któremu przedzierały się przez ciżbę kupujących.

– Patrz.

Maddy odwróciła się, aby spojrzeć na podwójne drzwi wyjściowe. Stała w nich samotna postać, chyba brat bliźniak młodej kobiety – taki sam bladolicy łysol. Ponad masywnymi garbami jego mięśni przeświecały promienie porannego słońca. Nosił rozpinaną bluzę z kapturem i jasnoniebieskie szorty, kilka rozmiarów przyciasne.

– O mój Boże... – Poszła śladem Sal i przykucnęła za gablotą plastikowych kaset okrytych wieczkami, na których widniały okaleczone facjaty zapaśników... nie, gladiatorów. Z tej przyczajonej pozycji obserwowały niebezpieczną postać.

– Czekaj! Czy to Bob?

– Nie, to nie Bob – wyszeptła Sal.

– Ale wygląda zupełnie jak on!

– Mówię ci, że to nie on.

Maddy poczuła, że jej oddech robi się ciężki, a z płuc wydobywa się świst, który niechybnie zdradziłby ich kryjówkę, gdyby nie ten powszechny rwetes. Teraz pluła sobie w brodę, że nie wzięła z bazy inhalatora.

– To jednostki pomocnicze – wydyszała. – Jak nic.

Do pierwszego kolosa dołączył kolejny. Tak samo wysoki, barczysty i muskularny jak pierwszy. W obu zachłpanych czarnymi plamkami krwi dłoniach trzymał pistolety. Bez słowa podał jeden z rewolwerów pierwszej jednostce.

Maddy uświadomiła sobie, że ostrzał ustał.

– O Boże, Sal... oni chyba wystrzelali wszystkich policjantów.

Spojrzała za siebie – na wyjście na Broadway. Stała tam młoda kobieta, świetlista sylwetka zdawała się wypełniać całą przestrzeń pomiędzy podwójnymi drzwiami. Nieruchomy posąg z bronią w uniesionej dłoni. Przekrzywiła głowę, bacznie przyglądając się klientom i pracownikom sklepu, którzy chowali się pomiędzy alejkami gablot wypełnionych tanim barachem dla turystów.

„O cholera! Teraz naprawdę wpadłyśmy jak śliwka w kompot!”.

Jedna z męskich jednostek pomocniczych postąpiła krok do przodu i weszła do sklepu.

– Wszyscy wynocha! – zadudnił głęboki głos jednostki.

Nikt nie śmiał się ruszyć.

Posłał jeden pocisk w podłogę.

– Wszyscy opuścić budynek! Albo zginiecie na miejscu!

W sklepie zapanowało nagle poruszenie. Ludzie szybko podnosili się z kłęczek, upuszczali kosze wypełnione przecenionymi zakupami i gnali do wyjścia. Łyse głowy jednostek pomocniczych obracały się niespokojnie, a stalowe oczy skanowały twarze pędzących w tłumie osób. Samica chwyciła za nadgarstek jednej z nich, młodej Azjatki. Przyciągnęła ją do siebie, po czym położyła dłoń pod podbródkiem dziewczynki i obróciła ku sobie jej głowę. Dziewczynka piszczała i kwiliła, gdy jednostka pomocnicza uważnie przyglądała się jej twarzy. Chwilę później odepchnęła ją na bok.

– Negatywny identyfikator! – krzyknęła do pozostałej dwójki.

„Szukają nas. Właśnie nas! Mnie i Sal”.

Z ulicy dochodziło odległe wycie kolejnych syren policyjnych. Na Times Square zapadła złowróżbna cisza. Co najmniej tysiąc ludzi ukryło się za koszami na śmieci, automatami z gazetami i drzwiami sklepowymi, zza witryn sklepowych wyzierały przestraszone twarze, nikt nie wiedział, co się zaraz wydarzy. Wtem Maddy pochwyciła cichy, cichuteńki warkot nadlatującego samolotu.

– Wiemy, że tu jesteście – powiedział klon w szortach. – Pokażcie się, nie skrzywdzimy was.

Maddy popatrzyła na Sal i bez słowa pokręciła głową.

„Sratatata... zastrzelą nas na miejscu”.

– Wiemy, że jesteście w tym budynku. Nie uciekniecie.

Maddy miała wrażenie, że jej klatkę piersiową przygniata stutonowy ciężar, a narastająca panika zaraz rozsadzi jej głowę. Widziała, że z Sal wcale nie jest lepiej, że drży jak pies na łańcuchu

w mroźny zimowy poranek.

„Kim oni są?”.

– Madelaine Carter! Saleeno Vikram! – zadudnił głęboki głos. – Ukażcie się w tej chwili.

„Kto ich wysłał?”. – Dziewczyny popatrzyły po sobie szeroko rozwartymi ze zdumienia oczami.

Bez słowa ostrzeżenia jednostki ruszyły przed siebie jak jeden mąż, wszystkie trzy pewnym krokiem weszły pomiędzy alejki z różnymi artykułami, każda wybrała swój dział. Maddy i Sal na płask przywarły rękami i kolanami do podłogi.

Usta Sal ułożyły się w nieme pytanie.

„Którędy?”.

Maddy rozejrzała się wokół. Znalazły się w alejce obrotowych półek, na których stały płyty CD i DVD lub coś podobnego. W zasięgu wzroku żadnej kryjówki, żadnej szafki, pod którą mogłyby wpełznąć. Spojrzała na drugi koniec alejki. Stała tam lada z kasą, a za nią drzwi prowadzące do magazynku służbowego albo toalety dla personelu. Zaczęła odczołgiwać się na rękach i kolanach w kierunku lady, Sal pełzała tuż za nią. W alejce obok rozbrzmiewał stukot bosych stóp na linoleum: to jeden z klonów. Maddy przyspieszyła, starając się czołgać jak najszybciej i jak najciszej. Szarpany oddech robił się zdecydowanie za głośny, zaczynał przypominać jazgot zacinającego się silnika parowego... miała tylko nadzieję, że rosnący warkot nadlatującego samolotu skutecznie zagłusza to rżące posapywanie.

Samolot? Ten z jedenastego września? Czy przypadkiem historia nie zmieniła się już na dobre?

Prawie dopełzły do celu; obrotowe stojaki pełne kasetek z wykrzywionymi facjatami sławnych gladiatorów ustąpiły miejsca koszmom z plastikowymi zabawkami: mieczami, włóczniami, trójzębami. Zaczynała wierzyć, że uda im się wydostać z alejki i przeskoczyć przez ladę, zanim jedna z jednostek pomocniczych zdąży wejść między stojaki i dostrzec ofiary. Ale wtedy poczuła silny odór, smród spoconej skóry. Przeniosła wzrok z brudnych dłoni rozczapierzonych na podłodze na dwie równie umorusane stopy, które niespodziewanie wyrosły przed jej oczami. Wolno podniosła głowę i przełykając ślinę, powiodła wzrokiem wzdłuż pary mlecznobiałych goleni, gładkich kolan i wystrzępionego brzegu starej pomarańczowej kurtki turystycznej. Cuchnęła stęchłym moczem i przeżutym tytoniem. Maddy mogła tylko zgadywać, co stało się z nieszczęsnym włóczęgą, poprzednim właścicielem ortalionu.

– Nie ruszaj się, Madelaine Carter – rozkazała kobieta, przybierając przyjazny, o dziwo,

ton.

Maddy wlepiła wzrok w znajomą, niewzruszoną twarz, twarz, która w dużo bardziej sprzyjających okolicznościach mogłaby ujść za śliczną buźkę o kilka minut starszej siostry bliźniaczki Beki.

– Słuchaj, pro-proszę... – wyszeptała – my-my tylko...

Faith przekrzywiła głowę, w szarych oczach rozbłysła pełna inteligencji ciekawość. Z nieskrywaną fascynacją przyglądała się kształtowi wijącemu się u jej stóp.

– Szkoda – powiedziała łagodnie z nutką żalu w głosie. Podniosła głowę, szukając wzrokiem towarzyszy przeczesujących pozostałe alejki. – Abel! Damien! – warknęła beznamiętnie. – Zlokalizowałam cele. Czekam na pozwolenie likwidacji.

Maddy usłyszała kłapanie bosych stóp za swoimi plecami. Odwróciła się i zobaczyła dwie jednostki pomocnicze, które pojawiły się właśnie po przeciwległej stronie działu.

Samiec w szortach zawahał się i zdziwiony rosnącym jazgotem śmiesznie zmarszczył brwi. Odwrócił się, by zlokalizować źródło coraz intensywniejszego harmidru.

Maddy dostrzegła minę Sal.

„To nie samolot...”.

ROZDZIAŁ 31

Nowy Jork
rok 2001

Zajął im sekundę, góra dwie, by pojąć, co ich zaraz spotka. Popatrzyły na siebie, rozumiejąc się bez słów. Fala czasu. Wielka. Nic dobrego to nie zapowiada.

Tak naprawdę nijak nie mogły przewidzieć, jaką rzeczywistość przyniesie fala czasu. A mówiąc precyzyjniej, nie potrafiły przewidzieć, jaki obiekt zmaterializuje się w miejscu, w którym stoją.

W bazie i z włączonym polem nie straszne byłyby im jakiegokolwiek kolizje materii wywołane przesunięciem rzeczywistości. Ale na zewnątrz to czysta loteria. Fala czasu może sprasować człowieka, stopić go lub scalić z dowolnym obiektem próbującym umościć się w danej przestrzeni. Stopnia ryzyka też nie można było precyzyjnie określić. W szczerym polu, na peryferiach prowincjonalnego hrabstwa powiedzmy... ryzyko zderzenia było oczywiście mniejsze. Lecz tutaj, wewnątrz zagraconego sklepu z pamiątkami, tuż przy pulsującym sercu najruchliwszego miasta Ziemi? Tutaj, gdzie na kilometr kwadratowy przypadają tysiące osób? W miejscu takim jak to – w Nowym Jorku – gdzie płynna rzeczywistość może dokazywać jak rozkapryszony berbec i przybierać coraz to nowe formy? Bez względu na to, jaki kurs obiera historia, ta zatoka na zachodnim wybrzeżu Ameryki – przy której najpierw istniała indiańska osada, później placówka kolonialna, potem świetnie prosperujący port handlowy, i wokół której w końcu powstała wielka metropolia – zawsze będzie cudowną przystanią dla gęsto zaludnionych alternatywnych aglomeracji formowanych przez pełnowymiarowe fale czasu. A ostatnim miejscem, w którym powinny się znajdować podczas uderzenia fali, jest właśnie wewnątrz tego budynku targanego porywami kłębiącej się materii czasoprzestrzennej.

– Sal, musimy... – Tylko tyle była w stanie wykrztusić z siebie Maddy, zanim nadpłynęła fala.

Zalała je ciemność, jakby ktoś właśnie wyłączył słońce. Sal doświadczyła tego już wcześniej, ale Maddy po raz pierwszy nurkowała w płynnej rzeczywistości, która chlusnęła w nią i owinęła

ciasnym kokonem zmieniających się jak w kalejdoskopie, nieskończonych możliwości.

Wrzasnęła. Z jej ust wydobył się głęboki, przeciągnięty w czasie jęk przywodzący na myśl żalną pieśń wieloryba nawołującego partnerkę z odległości setek mil morskich. Do uszu napłynął jej własny zniekształcony głos i ryk trąby powietrznej. Nie, to nie wiatr, to lament miliarda ludzkich głosów: kobiet i mężczyzn, młodych i starych, tych urodzonych i nienarodzonych, prawdziwych istot drących się w piekielnej udręce wywołanej kilkoma ulotnymi sekundami świadomości. Wspólne poczucie utraty zrabowanych życiorysów i prywatnych światów, które mogły powstać, a jednak nie powstaną. Bo wszystkie te dzieci, niemowlaki, bliscy nigdy się nie narodzą. Miliardy ludzko podobnych wrzasków: rozciągniętych

w czasie, dojmujących, pełnych żalu, wściekłości, strachu. Gdyby piekło miało głos... tak, byłby to właśnie ten ohydny, upiorny lament torturowanych dusz.

Ale urywa się nagle. Przepada. Czarne, skotłowane tornado płynnej rzeczywistości zastępuje kojąca, mleczna biel. Zwarta. Nieprzenikniona.

„O Boże”.

Przed oczami miała tylko czubek swojego nosa, nic więcej.

„O Boże utknęłam w przestrzeni cha...”.

„Maddy” – Głos Sal był słaby niczym cień szeptu.

Kątem oka złowiła szary zarys postaci. Niewyraźny. Sal.

– Sal? – Zaczęła rozpoznawać odległe, niewyraźne dźwięki. Stukot dzięcioła dziobiącego korę wysoko na drzewie? Trel fulicy? Niespokojne odgłosy dziewiczej, nieskażonej puszczy, łagodny szum liści, trzask poruszanych wiatrem gałęzi?

„Wywiało nas do lasu”.

„Maddy? – Znowu głos Sal. – Gdzie my jesteśmy?”.

Zrozumiała, że otaczająca je mleczna biel to nic innego jak poranna mgła: zimna, lepka i wilgotna zawiesina oblepiająca skórę, gęsty roztwór zawieszony tuż nad ziemią i rzedniejący wraz z wysokością. Dostrzegła zarysy szarych pasemek krzyżujących się gałęzi, które lekko powiewały na wietrze.

– Ciiiiii! – Chwyciła dłoń Sal i przyciągnęła przyjaciółkę do siebie, kładąc palec na jej ustach.

Sal skinęła głową. Gdziekolwiek się znalazły, na pewno nie były same.

Tuż obok usłyszały ruch. Maddy instynktownie przykucnęła, próbując ukryć się w gęstej mgłę, która wciąż owiewała okolicę. Amerykanka zauważyła kołyszące się obok szerokie liście wielkiej paproci i nie namyślając się długo, zanurkowała pod ich osłonę, ciągnąc za sobą Sal.

– Podaj identyfikator i stan operacyjny! – We mgłę rozbrzmiał głęboki bas.

– Alfa-sześć. Faith. Nie zostałam uszkodzona – poinformowała kobieca jednostka pomocnicza.

– Alfa-cztery. Ja również nie doznałem uszczerbku.

Długa cisza. Wtedy Maddy usłyszała świst, ktoś przedzierał się przez pobliskie listowie, pod naciskiem masywnej i nieuważnie postawionej stopy zatrzeszczał wyschnięty na wiór patyk. Dziewczynę dobiegł kobiecy – zapewne należący do Faith – głos:

– Nie odbieram sygnału Alfya-dwa. Mógł ulec awarii.

– To wiadomość o niższym priorytecie. Cele wciąż powinny znajdować się w pobliżu.

Rozdzielcie się i przetrząsnijcie teren.

Coś otarło się o liście paproci, pod którą klęczały. Maddy poczuła, jak długa i gruba gałąź pod jej pośladkiem przesunęła się ruszona czyjąś stopą za listowiem. Popatrzyła przez szczelinę w kołyszących się przed twarzą liściach i ujrzała kobiecą jednostkę pomocniczą – sobowtóra Beki – która szarymi, czujnymi oczami omiatała podtopiony mgłą las niczym wartownik obserwujący okolicę ze szczytu wieży.

„Mój Boże... ona stoi tuż obok! Bezpośrednio NAD NAMI!”.

Maddy wstrzymała świszczący oddech i zacisnęła powieki. Miała niezbitą pewność, że za sekundę klon opuści rękę i rozsunie liście paproci, a zaraz potem lodowato spokojnym głosem poinformuje dwóch towarzyszy o znalezisku. Maddy czuła, że w jej klatce piersiowej wzbiera rosnące uczucie hysterii. Przez jej umysł przemknęło niewyraźne wspomnienie z czasów młodości, kiedy wraz z kuzynem Julianem bili się i siłowali na żarty. Julian złapał ją raz, unieruchomił ręce przy biodrach i przygniół klatkę piersiową całym ciężarem swego ciała. Zaczęła wierzgać, histerycznie piszczeć i wyrwać się, ale on był święcie przekonany, że tylko się wydurnia. Zrozumiał, że coś jest nie tak dopiero, gdy zaczęła się drzeć w niebogłosy.

Ogarniała ją panika. Panika wypompowująca całe powietrze z płuc.

„Wstrzymaj oddech, Maddy. WSTRZYMAJ ODDECH!”.

Sekundy przeciągały się w nieskończoność. „Beki” wciąż stała nieruchomo, próbując przebić wzrokiem zalegającą wokół białą mgłę. Wreszcie Maddy poczuła, że uwolniona od

nacisku gałązka przesunęła się na swoje miejsce. Powoli, krok za krokiem, jednostka odeszła od paproci.

Stopniowo pogrążała się we mgle, aż rozmyła się do postaci ledwie rozpoznawalnej plamy, kolejnego słupa szarości. Teraz mogłaby równie dobrze ująć za jeszcze jeden pień drzewa. Wreszcie zniknęła. Nasłuchiwały, jak wszystkie trzy jednostki pomocnicze rozchodzą się w różnych kierunkach, nieostrożnie stąpając po trzeszczących patyczkach i strzelających szyszkach i bezceremonialnie rozsuwając gałęzie jeżyn i krzewów. Pogrążony w ciszy las powoli budził się do życia, korony drzew zdawały się z dezaprobatą kręcić głową na widok hałaśliwych, niezdarnych intruzów. Maddy miała nadzieję, że klony oddaliły się już na tyle daleko, że nie usłyszą jej nieskoordynowanego sapania, które buchnie pewnie z jej płuc jak powietrze wypompowywane z miechów kowalskich. Wreszcie pozwoliła sobie wypuścić oddech. Skołowana i ledwie przytomna zachłysnęła się, dysząc jak wisielec w ostatniej chwili odcięty od szubienicy.

– Shadd-yah! – wyszeptała Sal. – Myślałam, że już jesteśmy martwe!

– Ja... też...

Głuche odgłosy kroków, szelest liści i trzask gałęzi zamierał, jednostki odchodziły.

– Musimy... – Maddy wzięła kolejny głęboki oddech. – Musimy wracać do bazy.

– Ale one od razu pomyślą, że tak zrobimy.

– Potrzebujemy pomocy. – Maddy spojrzała na Sal. – Naprawdę potrzebujemy Boba.

„I naprawdę musimy wrócić do bazy, zanim one też na to wpadną”.

– Idziemy. – Maddy podniosła się z klęczek i uświadomiła sobie, że nie ma najmniejszego pojęcia, w którą stronę powinna ruszyć. – Którędy?

Sal zadarła głowę i spojrzała na niknący w górze baldachim listowia. Wskazała przygaszoną, zawieszoną stosunkowo nisko na porannym niebie kremową kulę, która zdawała się bawić z nimi

w chowanym, to niknąc za mlecznobiałą gęstwiną liści i gałęzi, to pojawiając się ponownie. Łatwa do przeoczenia.

– Słońce – powiedziała. – Wschodzi na wschodzie.

– No raczej. Czyli idziemy w tamtą stronę. – Maddy wskazała w lewo. – Jeśli pójdziemy tam... prędzej czy później powinniśmy dojść do East River.

Powoli, bardzo ostrożnie, zaczęły wydeptywać sobie ścieżkę w leśnym poszyciu. Idąca przodem Sal starała się nie nastąpić przypadkiem na żadne sękaty, wysuszone kawałki drewna, które mogłyby strzelić pod jej stopami jak korek od szampana. Bezszelestnie przemaszerowały przez cały las pogrążony w pełnym skupieniu milczeniu, pokonanie tej drogi zajęło im prawdopodobnie kilka minut, ale czuły się tak zmęczone, jakby wędrowały od co najmniej godziny. Wreszcie Maddy usłyszała cichy plusk wody. Ziemia nie sprawiała już wrażenia gąbki przykrytej rozkładającymi się liśćmi, mchem i szyszkami, zrobiła się bardziej zwarta, stabilna i twarda. Ciepłe promienie słońca stopniowo rozpraszały chłodną mgłę

i wkrótce, za linią rosnących na skraju lasu drzewek, ujrzały małą zatoczkę, a jeszcze dalej szeroką, płaską powierzchnię East River. Sal oparła się o pień smukłego drzewka. Maddy dołączyła do niej i obie zaczęły przyglądać się kamienistej plaży i spokojnej, falującej tafli przybrzeżnej wody, która z radosnym pluskiem droczyła się z kamykami, co chwila zalewając je i cofając się do koryta.

– Nic tam nie ma – zauważyła półgłosem Sal. – Nowy Jork zamienił się w puszcze. – Przeszedł ją dreszcz. – I jest zimniej. Dlaczego?

Maddy potrząsnęła głową. Nie miała pojęcia. Może dlatego że znalazły się w słabiej

zaludnionym świecie. Mniej ludzi, to mniej zanieczyszczeń, mniej metanu i mniej dwutlenku węgla – a to oznacza brak globalnego ocieplenia. A może to świat, w którym w ogóle nie ma ludzi. Zimno było przesywające – prawdziwie jesienny chłód. Ekolodzy zgadzali się co do tego, że gdyby w ekosystemie zabrakło ludzi, temperatura na całej planecie szybko spadłaby o trzy, cztery stopnie.

W każdym razie Sal miała rację, było znacznie chłodniej. Brak ludzi. Ciekawa koncepcja.

– Patrz! Co to jest? – powiedziała nagle Sal, wskazując wodę omywającą kamienistą zatoczkę.

– Co?

– Tam!

Maddy zmrużyła oczy i wlepiała wzrok w unoszącą się mgiełkę, z której wyłonił się kształt przypominający duży kawałek dryfującego drewna, może pień wyrzucony na brzeg przez przypływ.

– To łódź!

Maddy nasunęła okulary na nos. Sal miała rację.

– To chyba jakiś kajak... canoe albo coś podobnego.

„No to na tym kończy się świat bez ludzi”.

ROZDZIAŁ 32

Dawny Nowy Jork
rok 2001

Przyglądała się zdeformowanej sylwetce wtopionej w pień drzewa. To wyjaśniałoby, dlaczego sygnał identyfikacyjny Alfya-dwa nagle przestał być wykrywalny.

Głowa jednostki pomocniczej wydawała się zintegrowana z drzewem, reszta ciała zwiślała bezwładnie wzdłuż pnia. Dziwnie to wyglądało, jakby klon próbował staranować drzewo głową niczym rozwścieczony byk, ale drzewo okazało się szybsze i połknęło go aż po sam kark. Przekrzywiła głowę, zafascynowana widokiem lepkiej i mięsistej kryzy, wyrastającej z kory w miejscu gdzie powinien znajdować się kark robota. Nagły kontakt z pniem spowodował, że czaszka i wbudowany w nią procesor Alfya-dwa w jednej chwili zamieniły się w sprasowaną miazgę.

Faith wyczuła bezprzewodowe sygnały jednostek pomocniczych, które nadchodziły przez rzadniejącą mgłę.

Abel wyłonił się pierwszy. Od razu zauważył zwłoki Alfya-dwa.

– To było do przewidzenia – oznajmił spokojnie. – Współczynnik gęstości masowej na tym terenie jest wysoki. Istniało duże prawdopodobieństwo kolizji translokacyjnej.

– Potwierdzam. – Faith pokiwała głową.

Alfa-cztery – Damien – wyszedł z mgły i po szybkim otaksowaniu zmasakrowanego towarzysza złożył meldunek:

– Nie zlokalizowałem celów. Wygląda na to, że udało im się uciec.

Abel refleksyjnie pokiwał głową.

– Musimy je natychmiast przechwycić.

Trzy umysły zaczęły wymieniać dane elektroniczne, zarządzając w środku pograżonego w ciszy lasu radiokonferencję za pośrednictwem Bluetootha. Wszystkie trzy klony zamarły niczym posągi, wspólnymi siłami analizując zmienne, opcje i cele misji. Burza procesorów zaowocowała podjęciem decyzji w czasie krótszym niż dziesięć sekund.

– Spróbuj powrócić do swojej bazy terenowej – oznajmił Abel.

Pozostała dwójka skinęła głowami.

– Tędy – rozkazał dowódca klonów. Odwrócił się na pięcie, by przedrzeć się przez gęste poszycie kolczastych gałęzi, ale stanął jak wryty. Zupełnie znikąd zjawili się dwunastu ludzi. Dwunastu gniewnych jaskiniowców.

Las wstrzymał oddech w niemym oczekiwaniu na rozwój wydarzeń. Indianie rozproszyli się półkolem z wyciągniętymi i napiętymi łukami w dłoniach. Skórę wokół oczu i grzbiety nosów wysmarowali węglem, przez co białka ich źrenic lśniły złowrogo w półmroku rzucanym przez korony drzew.

– To nie są nasze cele – oznajmił Abel.

W odpowiedzi jeden z Indian szczeknął zębami, wyrzucając z siebie kilka gardłowych dźwięków i twardych spółgłosek. Nad głowę wznosił tomahawk w postaci kawałka kamienia przytwierdzonego do drewnianego trzonka, wysyłając Ablowi i pozostałym jasne ostrzeżenie: fora ze dwora.

Faith przysunęła się do Abła, jej żywy umysł z ciekawością katalogował zachowania dziwnych istot. Mieli wygolone głowy, za wyjątkiem irokezów sterczących z czubków czaszek, i byli całkiem nadzy, skórę o intensywnie miedzianym odcieniu pokrywały jedynie granatowe

zawijasy tatuaży.

– Nie mam żadnych danych na temat tych stworzeń – powiedziała do Abła.

– Zaistniała znacząca kontaminacja czasowa. – Abel spojrział na nią spokojnie. – Ale to nie nasz problem.

Swobodnie podeszła kilka kroków bliżej, fascynowały ją te istoty, chciała z bliska przyjrzeć się tym dziwnym ludziom, ale wtem, bez zapowiedzi, nerwowy młodzieniec zwołnił cięciwę. Pod korony drzew wzbil się wibrujący brzęk sznurka i odgłos mięsistego plaśnięcia. Faith spuściła wzrok na pierzastą lotkę, która utkwiała w jej umorusanej nylonowo-pomarańczowej kurtce.

– Strzała – oznajmiła informacyjnie, przekrzywiając głowę, po czym wyrwała tkwiący głęboko w ciele zakrwawiony grot i nie myśląc wiele, podniosła pistolet i strzeliła.

– Słyszałaś to? – spytała Sal, zatrzymując wiosła. – To była broń!

Maddy wyjęła z wody drewniane wiosło i położyła je na udach. Chwilę później usłyszały odległy trzask kolejnego wystrzału, niesionego echem z niknącej w oddali, spowitej mgłą linii brzegowej.

Nerwowo przełknęła ślinę.

– To oni! Musieli natknąć się na właściciela tego kajaka.

– Kim... czym oni są, Maddy?

– To muszą być jednostki pomocnicze, Sal. Repliki Boba i Beki. Albo bardzo podobne roboty.

– Ale dlaczego chcą nas zabić? – dopytywała Hinduska.

– Nie wiem! – Maddy potrząsnęła głową.

– Może sami ich tu sprowadziliśmy?

– Co masz na myśli?

– Ta wiadomość... wiadomość do Waldsteina?

Boże, Sal mogła mieć rację.

– Myślisz, że ktoś ją... nie wiem... ktoś ją przechwycił?

Sal nie odpowiedziała. Patrzyła tylko na Maddy.

– Jeezu... – Przeczesała wzrokiem linię brzegową, którą za sobą zostawiały, mgła szybko rozpraszała się na jej oczach. – Ktoś o nas wie, Sal. Ktoś wie, gdzie jesteśmy i kiedy jesteśmy.

– Maddy, myślisz, że ma to związek z rzymską kontaminacją?

– Nie wiem.

– To wszystko dzieje się w tym samym czasie. To nie może być przypadek. Maddy?

– Nie wiem! Ja tylko... – Zacisnęła powieki. – Nic nie wiem, Sal! Teraz jestem tylko diabelnie... diabelnie przerażona, zupełnie jak ty. – Ze złością uderzyła pięścią w burtę kajaka. Krucha drewniana konstrukcja wygięła się alarmująco. – Daj mi chwilę. Muszę się zastanowić, okej?

– Przepraszam, Maddy.

Przez jakąś minutę dryfowały w absolutnej ciszy.

– Sal, po co ktoś wysłał za nami w pościg brygadę jednostek pomocniczych? Po co? Co takiego...

– Naprawdę myślisz, że to klony? Może to tylko...

– Dajże spokój! Też je widziałeś! Jeszcze masz wątpliwości?

Sal w milczeniu pokręciła głową.

– Faktycznie, wyglądały jak Bob i Beki.

Przez chwilę dryfowały w ciszy, woda delikatnie pluskała o naprężoną skórę, wydając odgłos podobny do miarowego uderzania dłonią w poszycie bębna.

– Nie mam bladego pojęcia, o co tu chodzi. Ale jeśli to prawdziwe jednostki pomocnicze... to już jesteśmy martwe, Sal. Serio. Nie mamy najmniejszych szans! Podniosła wiosło. – Potrzebujemy naszych przyjaciół.

– Co zamierzasz zrobić?

– Musimy sprowadzić Boba z powrotem. – To by było na tyle. Tak wyglądał jej plan. Tylko na takie panaceum wpadła. – On ich pokona.

– Przecież ich jest troje, Maddy... sam sobie z nimi nie poradzi...

– To jego problem, dobra? – Odwróciła się i uważnie popatrzyła na przeciwległy brzeg, na którym jeszcze dziesięć minut temu znajdował się ich dom, Brooklyn. Teraz te same tereny porastał gęsty las. Gdyby nie poranne słońce wschodzące na niebie, nie miałyby pojęcia, gdzie znajduje się wschód i byłyby nieodwołalnie zagubione. Od kiedy przestały wiosłować, kajak zdążył zatoczyć kilka leniwych kólek, a oba brzegi rzeki wyglądały łudząco podobnie.

– Po prostu tam wracajmy... może zdołamy odnaleźć bazę.

Już samo to stanowiło nie lada wyzwanie. Całą okolicę zarastały drzewa i gęste zarośla. Przy odrobinie szczęścia zrujnowany kopiec czerwonych cegieł stoi gdzieś zagubiony w tych chaszczach, oblepiony mchem i obrośnięty wrzoścem.

„Przy odrobinie szczęścia”.

Sal posłała jej krzepiący uśmiech.

– Cieszę się, że jestem z tobą. Zawsze znajdujesz wyjście z sytuacji.

„Czyżby? Naprawdę zawsze znajduję rozwiązanie? Raczej zawsze dopisuje mi szczęście”. – Maddy zachowała tę smutną refleksję dla siebie, odpowiadając wzruszeniem ramion i przywołując na twarz wyraz udawanej dumy.

– Właśnie dlatego jestem szefem, mała! – Spojrzała ponad ramieniem Sal na porośnięte drzewami wzgórze, które niegdyś było Manhattanem. Miała nadzieję, że w pobliżu nie było żadnych kajaków, które mogłyby podwędzić jednostki.

Zanurzyła wiosło w wodzie, kajak zaczął delikatnie zakręcać w pożądanym kierunku.

– Dobra, Sal... powinniśmy znaleźć się w bazie najszybciej jak to możliwe. – Chciała już dodać „zanim oni to zrobią”, ale doszła do wniosku, że nie powinna. Nie chciała kusić losu.

„Ta, już to widzę... jeśli nie wypowiem czegoś na głos, to na pewno się to nie wydarzy”.

Ach, gdyby tylko życie było takie proste.

ROZDZIAŁ 33

Dawny Nowy Jork
rok 2001

Dziesięć minut później przybiły kajakiem do brzegu. Gdy tak szły po plaży, niespokojnie spoglądając na skraj lasu po ich lewej stronie, Sal nie mogła opędzić się od myśli, że w każdej chwili może na nich naskoczyć plemię wrzeszczących dzikusów. Albo gorzej.

– Hej, Sal? – zagadnęła Maddy. – Pamiętasz te pokraczne gady?

Hinduska wybuchła sztucznym śmiechem.

– Właśnie o nich próbowałam teraz nie myśleć – odparła.

Błąd, jej błąd, w wyniku którego Liam wylądował w epoce późnej kredy, przyniósł alternatywną teraźniejszość bez gatunku *homo sapiens*. Miejsce ludzi zastąpiły szczupłe hominidy z wydłużonymi głowami, potomkowie teropodów, którym udało się przeżyć kataklizm. Gady zbudowały cywilizację na poziomie podobnym do jaskiniowców, którzy zamieszkiwali ziemię w tej czasoprzestrzeni: posługiwali się dzidami, budowali chaty i okrągłe drewniane tratwy uszczelniane skórą zwierząt. Wyglądały przerażająco. Jak ze złego snu. Sal była wniebowzięta, że udało im się zmazać tamtą alternatywną wersję historii.

Przez kilka minut spacerowały po wybrzeżu, ostrożnie i cicho stąpając po kamieniach, przysłuchując się trelom leśnego ptactwa i delikatnemu szmerowi szumiących gałęzi. I choć poranna mgła rozproszyła się już prawie na dobre, a słońce z każdą chwilą grzało coraz mocniej, powietrze wciąż mroził jesienny chłód.

Nagle Sal się zatrzymała.

– Sal?

Popatrzyła na porośnięty lasem garb Manhattanu po drugiej stronie zakręcającej ku Atlantykowskiemu rzeki, próbując ocenić na podstawie nurtu, czy znalazły się już mniej więcej na wysokości mostu Williamsburg, po którym zazwyczaj przechodziły na wyspę.

– Chyba jesteśmy blisko. Jak myślisz?

Maddy zmarszczyła nos i nieufnie popatrzyła na przeciwległy brzeg.

– To wszystko wygląda dla mnie tak samo. Jesteś pewna?

Sal zdawało się, że rozpoznaje duży cypel Brooklynu i szpiczasty wierzchołek Manhattanu.

– Nie do końca. – Dziewczynka potrząsnęła głową.

Odwróciła się od rzeki i ruszyła w górę łagodnie opadającego wybrzeża, kamienie i namul szybko ustąpiły miejsca suchej ziemi i rzadkim kępkom wysuszonej trawy. Przed nimi wyrósł gęsty las, zachęcający do zanurzenia się w swoich trzewiach.

– Zupełnie jak Lasy Śródziemia – zauważyła Maddy. – No nie?

Sal tylko wzruszała ramionami. Nie wiedziała, o czym koleżanka gada.

– Nienawidzę lasów. Szczególnie tych gęstych, z sękatymi drzewami. – Maddy się skrzywiła.

Przeszły pod nisko zwisającymi gałęziami kasztanowca i pogrzyżyły w paszczy boru. Słońce weszło już wysoko na niebo i grzało ochoczo, ukośne promienie prześwitywały przez liście, zalewając leśne poszycie pociągnięciami lśniącego pędzla, nurzając w świetlistej poświacie obumarłe drzewa, wyschnięte szyszki i leśne runo.

Maddy głośno zaklęła, bo przypadkiem dotknęła gołą ręką parzących pokrzyw.
– Grgh! Szkoda, że historia nie zmiotła z powierzchni ziemi tych przeklętych badyli. –
Energicznie rozmasowała piekącą rękę. – Sal? Jesteś pewna, że to gdzieś tutaj?

Stanowiąca jedyny punkt odniesienia rzeka znikła im z pola widzenia, teraz szły w górę z boczka porośniętego gęstym lasem. Mogły być dosłownie wszędzie. Mogły znajdować się kilkanaście metrów obok bazy i przejść obok niej, jakby nie istniała.

Maddy oceniła, że musiały wejść w głąb lasu na około sto metrów. Jeżeli przez ostatnie dwa tysiące lat ogólny zarys nowojorskiego estuarium się nie zmienił, a Sal zeszła z plaży do lasu w odpowiednim miejscu, musiały znajdować się już blisko. Ale w listowiu Maddy nie dostrzegła nic, co przypominałoby kopiec czerwonych cegieł w kształcie termitiery.

– Przepraszam – odparła, wzdychając. – Naprawdę myślałam, że idziemy we właściwym kierunku.

– Nie martw się, wrócimy nad rzekę i ustalimy nasze położenie.

Sal potrząsnęła głową.

– Nie, na Jahullę... nie, mam rację! Jestem pewna, że to tutaj. – Rozejrzała się wokół. Wszystko zasłaniało gęste listowie. Odsunęła na bok pnącza i liście niskich gałęzi, którymi gniewnie potrząsnęła. – To tutaj...

– Chodź, zejdźmy z powrotem i spróbujmy ponownie.

Sal podniosła kij i zaczęła okładać nim pokrzywy i zarośla.

– Sal?

– Ja się nigdy nie mylę!

Hinduska dalej mlóciła listowie i pokrzywy. Liście i łodygi wściekle wirowały w powietrzu.

– SAL! Przestań!!

Przerwała i powoli odwróciła się do Maddy, patrząc na nią nieobecny wzrokiem.

Wreszcie wyczerpana uklękła na ziemi.

– To szok – rzekła Maddy. – Szok pourazowy. – Podeszła i spokojnie wyciągnęła kij z jej dłoni. – Oddychaj głęboko, Sal. Tylko spokojnie, okej?

Sal patrzyła gdzieś ponad nią.

– Sal? Ty i ja... wrócimy nad rzekę i ponownie ocenimy naszą lokalizację. Dobra?

– Jasne.

Maddy podała jej dłoń i pomogła wstać.

– Znajdziemy ją, Sal. To bułka z masłem.

Gdy Mads cisnęła kij w wykoszoną gęstwinę pokrzyw i krzewów, odpowiedział jej metaliczny brzęk i stukot.

Popatrzyły na siebie i natychmiast obróciły się na piętach. Z gałęzi kasztanowca spływał welon bluszczu przypominający grubą, jedwabną kurtynę teatralną. Rzucony kij przypadkiem wyrwał w niej szczelinę, przez którą zauważyły kilkucentymetrowy kawałek falistej blachy pokrytej mało wyszukany graffiti.

– Wiedziałam. – Sal uśmiechnęła się szeroko.

Sapiąc z wysiłku, dziewczyny podciągnęły roletę na wysokość jakiegoś metra, wystarczająco wysoko by się pod nią przecisnąć. Zgodnie z przewidywaniami Maddy, napęd nie działał. W bazie pracował tylko generator zasilający wyłącznie niezbędne systemy. W środku panowała ciemność, niemal nieprzenikniona. Przez szczelinę pod roletą do pomieszczenia wpadało blade światło dnia, oświetlając kilka metrów porysowanej podłogi i nic więcej.

– Bob? Jesteś podłączony?

Słyszała cichy furkot generatora pracującego na zapleczu.

„Dobrze. Przynajmniej to działa”.

– Bob?

Żaden z monitorów nie był włączony. Próbowwała dostrzec, czy na komputerach pali się jakakolwiek dioda zasilania. Jeśli tak, to emitowały zbyt słabą poświatę, żeby dostrzec je z miejsca, w którym stała.

Wyprostowała się i po omacku odeszła w prawą stronę, w kierunku stołu kuchennego i zestawu foteli. Udo zahaczyło o jeden z nich. Stąpając niepewnie, znowu odbiła w prawo, aż znalazła się przy ceglanej ścianie, której dotknęła ręką.

– Wszystko w porządku, Maddy?! – krzyknęła Sal. Hinduska klęczała pod roletą, przytrzymując ją swoim ciężarem, żeby przypadkiem znowu z brzękiem nie opadła na ziemię.

– Wszystko gra... szukam włącznika światła. Gdzieś tu musi być.

Macała po suchych, kruszejących ceglach, aż jej palce musnęły kabel elektryczny.

– Ach! Już prawie! Jej palce pobiegły wzdłuż przyłączonego do ściany kabla, aż natrafiły na puszkę z kontaktem. – Bingo bongo!

Pstryknęła przełącznik, po chwili jarzeniówka zawieszona nad stołem kuchennym zasyczała, mrugnęła i dopiero rozbliżyła.

– O Boże! – westchnęła Sal.

Maddy odwróciła się na pięcie.

Teraz zrozumiała sama. Krew. Dużo krwi. Czarna, rozchlapaną posoką pokrywająca podłogę.

Maddy ruszyła w głąb pomieszczenia, unikając kałuż i krwawych smug juchy, która stygła i krzepła wszędzie.

– Bob? Jesteś włączony?

Jeden z monitorów zamigotał i wybudził się ze stanu wstrzymania. Podeszła do biurka i usiadła na jednym z krzeseł biurowych.

> **Witaj, Maddy.**

– Bob! Co się tutaj stało?

Sal dołączyła do nich chwilę później, wyglądała, jakby zbierało się jej na wymioty.

– Och, *pinchudda*. To wprost ohydne. Krew jest wszędzie.

> **Ostrzeżenie.**

– O co chodzi, Bob?

> **W bazie znajduje się osoba bez ważnego upoważnienia.**

Właśnie wtedy usłyszały odgłosy drapania i szurania dochodzące z przeciwległego rogu bazy, gdzie przy ścianie stało kilka półek ze sprzętem, szpulami kabli i wiadrami wyładowanymi obwodami elektrycznymi.

> **Informacja: było ich dwoje. Zdołałem wyeksmitować ich z biura terenowego.**

– Dwoje? – Maddy spojrzała na Sal. – Cholera!... Chyba nie dwie jednostki pomocnicze?

Odgłosy drapania i szurania dochodziły z coraz mniejszej odległości. Dołączył do nich charkotliwy bulgot – odgłos wysiłku i stękania.

– Bob?

> **Potwierdzam. Dwie jednostki pomocnicze.**

Miała wrażenie, że kursor Boba szczegółowo objaśniającego ich położenie przeskakuje wzdłuż wiersza polecenia w żółtym tempie.

> Jedną z jednostek pomocniczych udało mi się usunąć w całości, drugą jedynie połowicznie.

Wtedy z gardła Sal wyrwał się nagły krzyk:

– *Shadd-yah!* Maddy! Patrz!

Maddy obróciła się w krzesło i spojrzała we wskazanym kierunku. W obręb światła powoli wpełzała groteskowa bryła. Czołgała się centymetr po centymetrze wzdłuż płytkiej wyrwy w podłodze, pamiątki po kilkunastu polach translokacyjnych. Błada dłoń... ręka... zachlapane krwią ramię i łysa głowa wieńcząca górną część tułowia, któremu brakowało jednego ramienia i ręki.

Po podłodze ślimaczo sunęła żywa miazga – kobieca jednostka pomocnicza albo raczej to, co z niej zostało.

Maddy nie mogła zdecydować, czy powinna zwymiotować, krzyknąć, czy wziąć nogi za pas.

– Jezu!

> Uwaga: wciąż jest bardzo niebezpieczna.

Maddy wstała i podeszła kawałek, patrząc na żalostną istotę sunącą ku nim z uporem maniaka. Nie wyglądała niebezpiecznie. Prawie jej współczuła.

– Tylko nie daj się jej złapać! – ostrzegła Sal.

Maddy cofnęła się o krok. Ręka jednostki pomocniczej próbowała chwycić za czubek jej buta. Klon zacharczał z frustracji i warknął, obnażając zakrwawione zębiska.

Sal, zachowując ostrożny dystans, otoczyła istotę szerokim łukiem, kierując się w stronę półek ze sprzętem, chwilę pogrzebała w plastikowym wiadrze, po czym podeszła do Maddy, dzierżąc w ręku wielki i ciężki klucz.

– Trzeba ją rozwalić.

– Zaraz. – Maddy uklękła naprzeciwko jednostki pomocniczej, uważając, żeby zachować bezpieczną odległość od sprawnej ręki klona. Palce miał z pewnością wystarczająco silne, by zgruchotać jej kości i zadusić ją na miejscu.

– Kto cię przysłał?

Jednostka podniosła nabiegłe krwią oczy.

– Słyszysz mnie?

Bulgoczący charkot ustał.

– Kto cię przysłał?

Twarz i tej jednostki niepokojąco przypominała buzię Beki. Oczy miały taki sam intensywnie szary odcień i były równie świdrujące, choć białka znaczyły mikroskopijne linie krwawych żyłek.

– Główny... cel...

Maddy nie wiedziała, czy jednostka pomocnicza ma na myśli ich, całą drużynę? Czy też raczej konkretnie ją?

– Ktoś pragnie naszej... śmierci?

Istota kompulsywnie zacisnęła usta i otworzyła je ponownie, spomiędzy mięsistych warg na podbródek wyciekła strużka ciemnej, krzepnącej krwi.

– O to chodzi? Ktoś chce nas zabić?

– ...główny... cel...

– Kto cię przysłał?

Istota umierała, jej głos gasł stopniowo do bulgoczącego szeptu.

Amerykanka nachyliła się nad robotem.

– Błagam! Powiedz, kto cię przysłał.

Istota wyciągnęła dłoń w kierunku kołnierza przy koszuli Maddy i capnęła go, wątpiąc pięść zacisnęła się na materiale, próbując przyciągnąć dziewczynę bliżej. Nabiegłe krwią oczy intensywnie wpatrywały się w niedoszłą ofiarę, usta kłapnęły ponownie, z gardła zmasakrowanego klona na podłogę wypłynęła kolejna strużka ciemnej krwi. Kolejne kłapięcie wargami, istota najwyraźniej nie chciała przyznać się do porażki i wciąż próbowała przyciągnąć twarz Maddy do swojej zakrwawionej facjaty. Znowu poruszyła szczęką.

– ... kont... kontam...

– NIE! – Sal uderzyła kluczem, pod arkadami rozbrzmiał przyprawiający o mdłości chrzęst. Jednostka pomocnicza zapiszczała przerażająco jak zmutowany insekt, po czym gwałtownie wierzgnęła okaleczonym tułowiem. Sal grzmotnęła kluczem raz jeszcze. Pisk ustał. Echo uderzenia i uciętego krzyku uderzyło w sufit bazy. Pogłos wreszcie osłabł, a one utkwili oszołomiony wzrok w jednostce pomocniczej – już prawie martwej.

Maddy podniosła wzrok na Sal. Zakrwawiony klucz wciąż spoczywał w jej drżących dłoniach, szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w rozciągniętą na podłodze krwawą pulpę.

– Czemu to zrobiłaś? Przecież próbowała mi coś powiedzieć!

– Nie wiem... myślałam... że chce cię ugryźć!

Maddy powstała z klęczek i odeszła od zwłok jednostki pomocniczej.

– Chciała mi coś powiedzieć. Kontaminacja. Tak, myślę, że właśnie to miała na końcu języka. Kontaminacja.

– Kontaminacja?

– Taak... chyba właśnie to powiedziała, może według niej to MY jesteśmy czynnikiem kontaminacyjnym? – Cofnęła się jeszcze kilka kroków, aż tylną częścią ud natrafiła na krzesło biurowe. Usiadła na nim, zbyt wyzuta z energii, żeby stać. – Co to znaczy? Teraz to my stanowimy problem, a nie rozwiązanie?

Sal podeszła do niej.

– Maddy... o Boże, byłam pewna, że ona zamierza...

Zarzuciła ręce na szyję Maddy i zaczęła wyplakiwać się w jej ramię.

Bipnięcie komputera.

– W porządku. – Maddy zagruchała uspokajająco i pogłaskała ją po włosach. Wydarzenia, jakie rozegrały się w przeciągu ostatniej godziny, mogłyby poważnie nadwerężyć zdrowie psychiczne dorosłego człowieka, nie mówiąc już o dziecku w wieku Sal. Pozwoliła Hindusce wywalić to z siebie, zastanawiając się przy okazji, czy kiedykolwiek ktoś zaoferuje jej ramię, na którym mogłaby się wyplakać. – Nic się nie stało. Wszystko już prawie załatwione. Teraz wystarczy sprowadzić z powrotem chłopców i wszystko będzie dobrze. Obiecuję.

Sal oparła głowę na jej ramieniu.

Bipnięcie komputera.

– Chodź, Sal – powiedziała, unosząc ją w górę. – Zasmarkalaś mi całą koszulę, a to ostatnia fajna, jaka mi została. Reszta to kiczowate wory.

Sal się zaśmiała, choć może był to bardziej blady uśmiech. Ale dobre i to.

Kolejne bipnięcie komputera – jedno z tych irytujących piknięć, które słychać po zresetowaniu systemu albo gdy w furii naciśnię się naraz za dużo przycisków klawiatury. Maddy odwróciła się i zobaczyła, że komputer-Bob otworzył okno dialogowe i przez kilka ostatnich minut cierpliwie próbował zwrócić na siebie jej uwagę.

> **Alarm: wykrywam zbliżające się sygnały identyfikacyjne. 300 metrów.**

> **Alarm: wykrywam zbliżające się sygnały identyfikacyjne. 200 metrów.**

> **Alarm: wykrywam zbliżające się sygnały identyfikacyjne. 100 metrów.**

> **Alarm.**

> **Alarm.**

> **Alarm.**

ROZDZIAŁ 34

Dawny Nowy Jork
rok 2001

Roleta wygięła się i huknęła pod wpływem potężnego uderzenia.

– Znaleźli nas! – krzyknęła Maddy.

Sal patrzyła na wybrzuszoną blachę rolety szeroko rozwartymi oczami, w których czaiła się czysta panika. Drzwi grzmotnęły ponownie, podskakując w prowadnicach. Na grubym metalowym pancerzu wytrysnęła kolejna gula w kształcie pięści.

– Próbuja wdrzeć się do środka! – pisnęła.

Maddy odwróciła się do kamerki internetowej.

– Awaryjna ewakuacja, Bob! Uruchom portal!

> **Potwierdzam. Powinnaś podać sygnaturę czasową.**

Roleta podskoczyła raz jeszcze, na blasze pojawił się następny gigantyczny guz.

– Sam wybierz! Uruchom ten chrzaniony portal!

> **Informacja: Maddy, nie należy wchodzić do portalu bez zaprogramowanej lokalizacji zrzutu.**

Roleta znów załomotała i podskoczyła w ościeżnicach, lewa strona drzwi odgięła się od prowadnicy i przechyliła do środka. Przez powstały róg do bazy wlało się światło dnia.

– Na co czekasz, Bob?! Jezu! Otwieraj. NATYCHMIAST!

Usłyszała szum szafki translokacyjnej i zerknęła na wyświetlacz ładowania. Diody LED, jedna po drugiej, zaczynały zmieniać kolor z zielonego na bursztynowy i na czerwony, zapas magazynowanej energii powoli wlatywał do płytek obwodów drukowanych wehikułu.

Ale Bob miał rację. Jeśli wejdą do portalu bez ustawionych współrzędnych – jakichkolwiek współrzędnych – wylądują na nieznanym, niezbadanym terenie. Znajdą się w miejscu, z którego nie ma powrotu. Nie miała teraz jak usiąść przed ekranem i wprowadzić danych do systemu. Sal przysunęła się do niej, w przerażeniu przeskakiwała z nogi na nogę, obrzucając intruzów hinduskimi bluzgami.

Maddy nie potrafiła teraz myśleć jasno. Wszystko rozgrywało się zdecydowanie za szybko. Zamierzała stworzyć sygnaturę ewakuacyjną: wcześniej zaprogramować współrzędne, które Bob mógłby od ręki wprowadzać z poziomu menu podręcznego. Byłby to przewencyjny środek ostrożności. Niedługo planowała się tym zająć. Zadanie znajdowało się prawie na samym szczycie jej listy priorytetów. Dlaczego się w końcu za to nie zabrała? Bo zawsze piętrzyła się masa bieżącej roboty, bo zawsze jej umysł zaprzętały doraźne obowiązki. Bo zawsze były jakieś zgliszcza do uprzątnięcia po ostatnim pożarze. Ale fakty są jednoznaczne, znowu czegoś nie dopilnowała. Nic nowego.

– Już prawie przeszli! – wydarła się Sal. – Zrób coś!

– Bob... ostatnia sygnatura czasowa! Wprowadź ostatnią sygnaturę czasową!

> **Potwierdzam. Wprowadzanie.**

Roleta ugięła się od kolejnego łomotnięcia i alarmująco wybrzuszyła w miejscu, gdzie odrywała się od prowadnicy. Metalowe panele zamieniły się w pogniecione i poszarpane jak pozłotko po batoniku strzępy.

Sal odwróciła się do niej.

– *Jahulla!* A co z Beki?!

Jednostka wciąż pływała w próbowce wzrostowej na zapleczu. Kiedy ostatnim razem

poszły sprawdzić, jak rozwija się płód, przez mętny roztwór prześwitywał kształt bezwłosego prenatalnego kлона przypominającego dziesięcio-, może jedenastoletnią dziewczynę.

– Nie mamy na to czasu.

Niespodziewanie w wehikule translokacyjnym buchnęła gromadzona energia. Pęd translokowanego powietrza zmiotł z biurka Maddy wszystkie śmieci, które zaczęły zataczać koła, bawiąc się

w powietrzu w ganianego. Trzy metry przed dziewczynami, na środku bazy, zmaterializowała się szeroka na dwa metry kula wibrującej energii, okrąg zawisł idealnie nad płytkim wyżłobieniem w betonowej podłodze. Maddy dostrzegła przypominający płamę oleju na wodzie, kłębiący się obraz lokalizacji, którą komputer-Bob magazynował w buforze danych, lokalizacji zrzutowej Liama

i Boba. Zauważyła skrawek intensywnie błękitnego nieba oraz zielono-brązowe obrysy źdźbeł trawy i drzew.

– Nie możemy jej tak po prostu zostawić!

Następne uderzenie. Prawa strona zdeformowanej rolety odpadła od prowadnic, a po sekundzie metalowa blacha z niewyobrażalnym hukiem łomotnęła o betonową podłogę bazy.

Sal miała rację. I nie chodzi wcale o to, że Beki już nie raz ich uratowała. To już nie była zwykła jednostka pomocnicza, żaden tam ciąg kodów w cielesnej powłóce. Beki była przyjaciółką. Członkiem ich małej rodziny. Ale zabranie jej ze sobą to nie tylko kwestia lojalności względem przyjaciółki. W pamięci jednostki jest przecież pakiet danych zawierający odpowiedzi na wszystkie ich pytania i wątpliwości. Może dzięki niemu dowiedziałyby się też, o co cała ta awantura – dlaczego zostały zaatakowane. Kto wysłał klony. Czym sobie na to wszystko zasłużyły.

Przez półprzezroczysty portal widziała ogolone na łyso głowy, jednostki z dziką wściekłością próbowały wtargnąć do środka, wyswobodzić się z płataniny ostrego metalu tarasującego wejście.

Nie miały już czasu, żeby ocalić nienarodzone dziecko pływające w próbówce wzrostowej.

– IDŹ!!! – krzyknęła na Sal, popychając ją mocno w kierunku portalu.

Sal odwróciła się, schyliła i podniosła klucz, po czym uniosła go nad głowę, jakby chciała się nim zamachnąć.

– Nigdzie bez ciebie nie idę!

– Nie martw się, będę tuż za tobą! – Maddy wyciągnęła się i chwyciła leżący po drugiej stronie biurka mały dysk twardy z wyszczerbionym śladem pocisku na obudowie, błyskawicznie odpinając podłączony do niego taśmowy kabel przesyłu danych.

– Idź!! – ryknęła – Wzięłam Beki! Ruszaj tyłek!

Sal skinęła głową, zrozumiawszy, że zabiorą ze sobą przynajmniej „esencję” Beki. Podbiegła i wskoczyła do portalu.

– Bob! Zamknij to okno natychmiast, jak do niego wejść! – Maddy krzyknęła przez ramię, odwracając się w kierunku migocącej kuli. Przez półprzezroczysty, drgający obraz spalonej słońcem łąki zauważyła, że jedna z jednostek pomocniczych całkiem wyswobodziła się z płataniny metalu i patrzy wprost na nią. Naraz klon rzucił się pędem w jej stronę. Ku portalowi.

Poderwała się z miejsca, zaciskając zęby, żeby nie myśleć, co się wydarzy, gdy ona i jednostka gnająca na złamanie karku z drugiej strony wpadną do kuli energii dokładnie w tym samym momencie. Przestrzeń chaosu zlepi ich ze sobą i wypłuje w postaci splecionej, straszliwie zdeformowanej papki przypominającej absurdalnie zrosnięte bliźniaki syjamskie.

– NIIIIIIII...! – ryknęła, czując, że grunt ucieka spod jej stóp, i wskoczyła prosto w

kulistą pustkę, odruchowo zasłaniając rękami twarz, jakby mogło ją to przed czymkolwiek uchronić.

ROZDZIAŁ 35

12 kilometrów za Rzymem
54 rok naszej ery

– Długo jeszcze? – spytał Liam.
– Dwie minuty, trzydzieści sześć sekund – odpowiedział Bob.
– Pewnie nie utworzy się ani sekundy wcześniej. – Rozejrzał się po oliwkowym gaju, wdzięczny Maddy, że na punkt ekstrakcji wybrała cichą, odludną okolicę oddaloną dwanaście kilometrów od cuchnących rynsztoków i nędzy Rzymu.

– Cieszę się, że wracamy – dodał.

Tydzień, i to by było na tyle. Tydzień w Rzymie wystarczył, by Liam doszedł do wniosku, że nigdy więcej nie chce oglądać tego miasta. Dzisiaj dziwił się samemu sobie, bo jeszcze tydzień temu kierowała nim naiwna nadzieja: zakładał, że miasto to wzór porządku i cywilizacji, przepyszny spektakl w scenerii marmurowych kolumn.

Jak bardzo się mylił.

Miasto, a przynajmniej te dzielnice, które zdążył zobaczyć, okazało się jednym wielkim slumsem zamieszkałym przez miliony żebraków. Wąskie ulice pełne wysokich, kilkupiętrowych domów czynszowych ściśniętych obok siebie niczym strzały w kołczanie. A zapach? Nie do opisanego. Fetor ludzkich i zwierzęcych odchodów. Odór gnijących zwłok. Miasto regularnie nawiedzały plagi wywoływane przez zatrutą wodę – ofiary tyfusu i cholery stanowiły codzienny element krajobrazu. Liam przypomniał sobie Nottingham, gród nękany podobnymi problemami. Ale Rzym miał coś ekstra. Miał Kaligulę.

Dowody jego szaleństwa widać było dosłownie wszędzie. Wszystkie miejsca publiczne – rynki i fora – znały szeregi krzyży z przybitymi obywatelami, którzy w taki czy inny sposób rozżółcili cesarza. Na murach kamienic widniały wizerunki Kaliguli przedstawiające go albo jako szaleńca i tyrana, albo inkarnację boga i dobrotliwego władcę. Upiornie jaskrawe graffiti wymalowywały łobuzy ze zwalczających się wzajemnie gangów, znanych jako kolegia. Większość tych przestępczych organizacji otwarcie popierała politykę cesarza. Miasto pogrążone w chaosie było dla nich rajem.

Tak wyglądała stolica świata. Na podstawie rozmów z Rzymianami, a w szczególności pogawędek z gospodarzem – niskim, zwalistym człkiem podejrzanego autoramentu, który zaklinał się na wszystkie świętości, że mówi prawdę – Liam wydedukował, że Kaligula zamierza zrzec się władzy i najwidoczniej było mu na rękę, iż miasto to obraz chaosu, ruiny i anarchii, a on może w spokoju przygotować się na wypełnienie bliskiego przeznaczenia, o którego naturze krążyły jedynie plotki.

Sytuacja za murami miasta przypominała piekło. Żywe obrazy wspomnień przelatujących przez umysł Liama wywoływały odruchy wymiotne. Przed jego oczami sunęły ujęcia i stopklatki ze świata pełnego chorób, nędzy i posoki. Rzym przywodził na myśl karuzelę makabrycznych slajdów.

„Przestań, Liamie. Myśl o czymś przyjemnym”.

– Na pewno wypuściły już sondę, co?

Bob potrząsnął głową.

– Nie wykryłem jeszcze żadnych cząstek tachionowych.

– Coś jest nie w porządku. Już powinny sondować okolicę. – Liam podniósł wzrok na jednostkę pomocniczą. – Coś jest nie tak. Maddy zawsze skanuje teren przed aktywacją portalu.

– Potwierdzam. To standardowa procedura, Liamie.

Liam bez słowa potrząsnął głową. Za żadne skarby nie chciał przebywać w tym miejscu dłużej niż to absolutnie konieczne. Przypomniał sobie, jak kilka lat temu poszedł wyspowiadać się do ojca O’Grady’ego, parafialnego proboszcza. Wyznał, że dręczą go grzeszne myśli na temat Rosie McDonald, starszej siostry jego przyjaciela ze szkoły, który mieszkał trzy domy dalej. Ojciec O’Grady podał mu księgę i numer wersu z opisem kuszenia przez szatana, po czym obrazowo opisał tortury, którym bez wątplenia zostanie poddane jego wątłe ciało w zaświatach. Liam wrócił do domu i jeszcze tej samej nocy śnił o świetle tak obrazowo odmalowanym przez ojca O’Grady’ego.

Przez kilka ostatnich dni oglądał prawdziwą wersję tego koszmaru.

– Wykrywam pierwsze cząstki tachionowe – powiedział Bob.

– Ach, dzięki Ci, Panie Boże. – Liamowi ulżyło, uśmiechnął się. Już za minutę wrócą do domu i wspólnie zastanowią się, jak położyć kres tej koszmarnej osi czasu.

– Powinniśmy odsunąć się na bezpieczną odległość – oznajmił Bob, łapiąc Liama za dłoń i odciągając go kilka kroków do tyłu. Liam odwrócił się, żeby ostatni raz spojrzeć na ich wóz i zaprzężone do niego kucyki. Zaprzęg stał na wzgórzu na poboczu drogi, prędzej czy później ktoś się na niego natknie. Zastanawiał się, czy powinni uwolnić biedne zwierzaki, lecz wtedy po policzku smagnął go podmuch translokowanego powietrza. Wiszące nad nimi gałęzie drzewa oliwkowego zakolysały się i zaszumiały potężnie.

Liam popatrzył na błyszczącą kulę, która właśnie zmaterializowała się przed nimi i zawisała nad ziemią. Ujrzał znany, przyjemny i chłodny mrok bazy, a... w nim.... migotliwe zarysy Sal i Maddy.

Sal pierwsza wypadła z portalu, po uderzeniu nogami w ziemię próbowała zerwać się do biegu, ale straciła grunt pod stopami i runęła prosto w wysoką trawę. Od razu ponownie poderwała się na nogi. – Liamie! – Zaczęła rozglądać się obłąkanym wzrokiem. – Liamie!

– Sal? – krzyknął do niej. Hinduska obróciła się na pięcie i zobaczyła, że on i Bob stoją spokojnie w cieniu drzewa. – Co ty tu robisz?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, z portalu wyleciała Maddy z wyciągniętymi rękami, wyglądała jakby właśnie nonszalancko skakała na główkę do basenu. – OOOOO! – Grzmotnęła o ziemię i przekoziółkowała po zakurzonej drodze.

– Maddy? Co tu się wyprawia?

Niezdarnie podniosła się z ziemi i kompletnie skołowana, tak jak Sal zaczęła obracać się wokół własnej osi, próbując zlokalizować źródło głosów.

– Liam? Bob? – Wreszcie zobaczyła Sal. – Gdzie jest Bob?

– Jesteśmy tutaj – odparł Liam i natychmiast zażądał wyjaśnień. – Co się tu, u diabła, dzieje?

Zignorowała jego pytanie, odwróciła się w stronę okna i usilnie wpatrzyła w jego błyszczący zarys.

– O Boże... zamknij się. Proszę! – wymruczała. – Zamknij się! Jasny szlag! Zamknij się! Zamknij!!

– Zamknij? – Liam spojrzał na Boba, później od razu na nią. – Hmm... po co ma się zamykać? Maddy? Czy nie powinniśmy wrócić do...?

W momencie, gdy kula zaczęła zapadać się i jak zwykle niknąć do poziomu małego punkciku, wypadła z niej trzecia postać. Maddy krzyknęła, próbując oddalić się od jednostki, która usiłowała poderwać się na stopy. Tyle tylko, że nie miała już stóp. Zostały jej krwawe i

przeżalone kikuty wystrzępione na wysokości kostki. Krawędź zapadającego się i niknącego pola odcięła też na wysokości ramienia jedną z rąk jednostki.

– Kto to jest?

– *Chuddah!* Ma broń! – powiedziała Sal.

Bob zareagował pierwszy, nacierając na bezstopą istotę, która próbowała złapać równowagę na poszarpanych kikutach i dobrze wymierzyć pistoletem trzymanym w sprawnej dłoni. Wystrzeliła

w kierunku Boba, pocisk sięgnął celu, a z ramienia jednostki trysnęła fontanna karmazynowej krwi. Ale w tym samym momencie Bob całym ciężarem ciała uderzył w napastnika i powalił go na ziemię. Roboty przekoziółkowały po twardej ziemi, zakleszczone w śmiertelnym uścisku niczym zapaśnicy wagi ciężkiej.

Liam skrzywił się z przerażenia, gdy pozbawiony stóp klon wpakował w Boba dwa kolejne pociski, zanim ten zdołał wytrącić mu z dłoni pistolet. Usilnie próbował zrozumieć, co się tu tak naprawdę dzieje: dwie wersje Boba przetaczały się po polance, szamocząc się w wysokiej, wysuszonej trawie i wyzwalając przy tym obfite chmury kurzu.

– Złap broń! – pisnęła Maddy. – Złap tę cholerną broń!

Sal podskoczyła kilka kroków do przodu i podniosła pistolet z ziemi.

– Zastrzel go!

Hinduska drżącymi dłońmi objęła broń, położyła palec na spuście i skrzywiła się niepewnie, próbując wycelować we właściwego Boba.

– Zastrzel go!

– Nie mogę... trafię naszego Boba.

– Daj mi to! – kłapnęła zębami Maddy. Wyrwała pistolet z rąk Sal i podeszła pewnym krokiem do walczących jednostek pomocniczych, które spięły się w uścisku jak para gigantycznych bulterierów, tworząc mozaikę napiętych mięśni i kotłowanie kończyn. Na górze znajdował się to jeden, to drugi. Chwilowo górą był Bob, który złapał za kark przeciwnika i zacisnął na nim dłonie w stalowym uchwycie, szeroko rozstawiając nogi, żeby utrzymać pozycję i nie dać się wyswobodzić klonowi, który wściekle rzucał całym ciałem.

– Nie puszczaj skurczybyka! – krzyknęła Maddy do Boba. Podeszła jeszcze bliżej i stanęła bezpośrednio nad walczącą parą. – NIE PUSZCZAJ! – krzyknęła. Wymierzyła broń i wystrzeliła.

– O, Jezu! Uważaj! – krzyknął Liam.

Strzeliła raz jeszcze. I jeszcze raz. Jeszcze raz. Jeszcze raz.

W końcu cyngiel pstrykał tylko niegroźnie w jej ściśniętych dłoniach. Walka ustała, kurzawa opadła. Liam uświadomił sobie, że stoi z boku zupełnie bezużytecznie, zbyt zaskoczony rozgrywającą się sceną, by w jakikolwiek sposób pomóc dziewczynom. Wyrzucając sobie tę chwilę bezmyślnego marazmu, podbiegł do przyjaciółek.

Maddy opadła na kolana, wciąż trzymając w dłoniach pistolet z opróżnionym magazynkiem. Próbowała złapać oddech albo zwyczajnie płakała, nie potrafił tego stwierdzić na pewno. Tak czy siak wyglądała na całkiem wycieńczoną i zmarnowaną.

– Bob! – Liam delikatnie ujął zakrwawione ramię jednostki. – Bob, wszystko w porządku?

– Potwierdzam – zadudnił głęboki bas. – Skala zniszczeń jest minimalna.

Powoli usiadł, zwalniając chwyt z jednostki pomocniczej, która bez życia osunęła się na ziemię.

Liam spojrział na głowę istoty.

– Jezu! To ty... Bob. On wygląda jak twój brat bliźniak!
– Czy to... – Maddy zaczęła ciężko sapać i dyszeć. – Czy to nie żyje?
– Trzy dobrze wymierzone strzały w czaszkę pozostawiły śmiertelne obrażenia –
odpowiedział Bob. – Jest martwy.

Westchnęła i opuściła broń na kolana. Tym razem drżące ramiona nie pozostawiały złudzeń, Maddy płakała. Sal podeszła do przyjaciółki, żeby ją uspokoić.

– Udało nam się, Maddy – wyszeptała. – To koniec. Jesteśmy bezpieczne.

Liam patrzył na dziewczyny, zastanawiając się, które z kilkunastu pytań kotłujących się teraz w jego głowie powinien zadać jako pierwsze. Wybrał, jak mu się zdawało, to najważniejsze.

– Może ktoś mi, do cholery, wyjaśni, co to wszystko ma znaczyć?

ROZDZIAŁ 36

12 kilometrów za Rzymem
54 rok naszej ery

Przez pół godziny Maddy opowiadała Bobowi i Liamowi o wydarzeniach, które rozegrały się w Nowym Jorku po wysłaniu ich do starożytnego Rzymu.

– W życiu nie byłam tak przerażona – podsumowała i szybko rzuciła okiem na martwą jednostkę pomocniczą. – Byłam pewna, że zginiemy.

Sal skinęła głową.

– To takie głupie. W kółko myślałam tylko: „Dlaczego Bob i Beki próbują nas zabić?”. Choć wiedziałam, że to nie oni.

– Nigdy nie skrzywdziłbym żadnego z was – zapewnił ich Bob.

– Bo to nie jest jeden z celów misji? – Maddy spojrzała na niego niepewnie.

– Potwierdzam. – Poważnie pokiwał głową.

– Poczekaj! Kto w takim razie nasłał na nas te jednostki pomocnicze? – spytał Liam.

– Nie wiem! – Maddy potrząsnęła głową. – Nie mam błędnego pojęcia, Liamie. Nie potrafię sobie wyobrazić, kto ważył się...

– Może ktoś, kogo zdenerwowaliśmy? – spytała Sal.

– Zdenerwowaliśmy? – Liam spojrzał na nią z niedowierzaniem. – Jeśli tak reaguje zdenerwowana osoba... to nie chcę wiedzieć, co zrobi nam ktoś kompletnie wkurzony.

Maddy uciszyła go machnięciem ręki.

– Ktoś ewidentnie chce widzieć nas martwych... pytanie – kto?

– Może ten ktoś nie chce, byśmy strzegli historii. Może pragnie zmienić historię, wyrzucić oś czasu do góry nogami? – Sal wzięła głęboki oddech. – A co jeśli... co jeśli, te jednostki pomocnicze są powiązane z rzymską kontaminacją?

Maddy pogłaskała się po podbródku, analizując tę sugestię.

– Może osoba, która wylądowała w tej epoce wie o istnieniu Agencji? – ciągnęła Sal. – O nas? Może chce się nas pozbyć, żebyśmy nie mogli pokrzyżować jej planów i usunąć tej kontaminacji.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Zapanowała długa, niezręczna cisza.

– Myślę, że to przez wysłaną wiadomość – powiedziała Maddy, uważnie przyglądając się przyjaciółom. – Pytanie o Pandorę. Przechwycił je ktoś inny niż Waldstein.

– Niedobrze – zauważyła Sal. – Nikt nie powinien wiedzieć o naszym istnieniu.

– Doskonale wiedzieli, gdzie i kiedy stacjonujemy. – Maddy ściągnęła usta. – Fakt, niedobrze.

– A te klony, o których mówiłaś? – dopytywał Liam. – Czy one tam zostały? W naszej bazie?

– Tak, my tu gadu-gadu, a one pewnie teraz dewastują bazę. Niszczą wszystkie sprzęty. Liam podniósł na nią wzrok.

– Ale to przecież oznacza... że utkniemy tu na amen.

– Może nie na amen, ale na jakiś czas na pewno – westchnęła Maddy. – Prędzej czy później coś wymyślimy.

– Wolałbym wrócić i stawić czoła tym szalonym Bobom niż... – Liam mruczał coś do siebie, ale Maddy przerwała tok jego myśli.

– Wybacz, Liamie, ale wyobraź sobie, że nie miałam czasu zaprogramować okna

powrotnego. Wybacz, że miałyśmy furę szczęścia i że w ogóle uszłyśmy z życiem.

Zamilkł na dobre, pokornie akceptując przytyk.

– Oczywiście. Głupiek ze mnie.

– Słuchaj... wciąż jest nadzieja, że wrócimy oknem awaryjnym – ciągnęła Maddy. – Jeśli oczywiście klony nie zniszczą kompletnie bazy i jeśli komputer-Bob, zgodnie z harmonogramem, za sześć miesięcy aktywuje portal.

– Trochę ci się uzbierało tych „jeśli”, Madelaine Carter. – Liam posłał jej nerwowy uśmiech. – To nigdy nie jest dobry znak.

Amerykanka skinęła głową i odpowiedziała podobnym uśmiechem.

– Też nie jestem wielką fanką słowa „jeśli”. – Wzruszyła ramionami. – Nie mam pojęcia, co się wydarzy w domu. Może dostaniemy tego sześciomiesięczniaka, a może nie.

– Nawet sześć minut tutaj mi się nie uśmiecha... nie mówiąc już o miesiącach.

– Dlaczego? – spytała Sal, rozglądając się po urokliwej dolinie i gaju oliwkowym. – Całkiem tu miło. Ciepło, słonecznie, przyjemnie...

Maddy dostrzegła grymas na twarzy chłopaka.

– Liamie? Bob? No już... mówcie, czego się dowiedzieliście.

– To mocno odkształcona oś czasu – poinformował Bob.

– A ja właśnie tak wyobrażałam sobie Rzym...

– To nie Rzym – przerwał jej Liam, kręcąc głową z wyrazem obrzydzenia na twarzy. – To tylko mała dolinka gęsto porośnięta dzikimi drzewkami oliwkowymi. Naprawdę chcesz zobaczyć Rzym?

– Cóż... – Maddy rozejrzała się wokół. – Nie możemy zostać tu na pół roku.

– Dłuższy postój w tej lokalizacji jest niebezpieczny – dodał Bob.

– Racja. – Maddy wstała z kolan i strzepała kurz z jeansów. – Mogą znaleźć sposób na obejście blokady bezpieczeństwa w systemie komputera-Boba. A potem otworzyć portal.

Powinniśmy jak najszybciej opuścić to miejsce.

– Potwierdzam.

– Chcesz, żebyśmy wrócili do Rzymu? – spytał Liam.

– No a gdzie radzisz iść, jeśli nie tam?

– Może gdziekolwiek?

– Matko, co w ciebie wstąpiło? – Maddy zmarszczyła brwi. – Miasto nie może być aż tak ohydne.

– Jest ohydne.

Maddy westchnęła z rezygnacją.

– Uda nam się dzisiaj wyciągnąć z ciebie jakąkolwiek przydatną informację?

– Mniej więcej siedemnaście lat temu w Rzymie miał miejsce epizod kontaminacyjny – powiedział Bob. – Świadkiem tego wydarzenia było wielu ludzi, ale przyjęto jedną oficjalną interpretację.

– Oficjalną interpretację? To znaczy?

– Cesarz Kaligula sfalszował lub zmienił wiele relacji złożonych przez naocznych świadków i dostosował je do partykularnych celów. W ten sposób stworzył ortodoksyjną wersję historii.

– Opowiedz ją.

– Według oficjalnej relacji „zastępy aniołów zstąpiły z niebios”. – Liam wreszcie okazał się pomocny. – Przybyły na ziemię siedemnaście lat temu w olbrzymich rydwanach podczas obchodów jednego ze świąt religijnych. – Potrząsnął głową, nie mogąc pogodzić się z absurdalnością tej opowieści. – Ludzie twierdzą, że spłynęły na sam środek ich największej areny

podczas walki gladiatorów i rzekomo obwieścili wszem i wobec, że Kaligula jest bogiem. Ich bogiem, uwierzysz?

– Co? – Maddy zerknęła na Sal. – O mój...! Powiedziałeś „w olbrzymich rydwanach”?

– Na pewno były to jakieś pojazdy. Nowoczesna technologia – Bob jakby czytał w jej myślach.

– Ktoś tutaj poszedł na całego – stwierdziła Sal.

– Duża grupa podróżników w czasie przybyła tu w... czym właściwie? Czołgach jakichś?

– Maddy z niedowierzaniem kręciła głową. – Przyszłość zaczyna się robić niefrasobliwa.

– Albo zdesperowana – dodała Sal.

– Przypomina mi to Kramera – stwierdził Liam. – Choć tutaj będziemy mieli zapewne do czynienia z ambitniejszą wersją radosnej wyprawy doktora.

– Dobrze to rozumiem? Twierdzisz, że podobny Kramerowi palant z przyszłości jest twórcą tego całego spektaklu i ogłosił się cesarzem Kaligulą?

Liam potrząsnął głową.

– Nie. Sądźmy, że państwem kieruje prawdziwy Kaligula.

– No to co stało się z podróżnikami w czasie? – spytała Sal.

– Przepadli. – Liam wzruszył ramionami.

– Informacja: według ortodoksyjnej relacji, anioły bawiły na ziemi przez kolejne kilka lat, przygotowując Kaligulę do zostania bogiem, potem wróciły do nieba, obiecując mu, że pewnego dnia poślą po niego.

– To ortodoksyjna wersja – wtrącił się Liam. – Ja myślę... że zabił ich wszystkich.

– Liam ma rację. To najbardziej prawdopodobny scenariusz. Od ponad piętnastu lat nikt nie widział tych „aniołów”. Jestem przekonany, że Kaligula kazał ich wszystkich po cichu wymordować.

Maddy spojrzała na chłopaków, po czym przeniosła wzrok na Sal. Długą ciszę wypełnił cichy szum poruszającego drzewami wiatru.

– Gościowi odbiło jak żabie na rollercosterze.

– A jeszcze nie usłyszeliście wszystkiego – wymamrotał Liam. – Rzym jest... –

Potrząsnął głową. – Jest zupełnie inny niż się spodziewałem. Jest... – Wziął głęboki oddech. – Rzym... ten Rzym jest ostatnim miejscem na ziemi, do którego miałbym ochotę wrócić.

– Ale będziemy musieli tam wrócić, Liamie – łagodnym tonem przypomniał mu Bob i spojrzał na Maddy. – Trzeba uporać się z nienaprawioną kontaminacją czasową. Taki jest cel naszej misji.

Amerykanka popatrzyła na zwałistą postać jednostki.

„Jasne, może to jest cel twojej misji, Bob. Ale już niekoniecznie naszej”.

Zachowanie Boba wciąż determinował kod oprogramowania,

a komendy systemu nakazywały natychmiast i nie bacząc na konsekwencje, usunąć kontaminację. Przez klona przemawiało oprogramowanie Agencji. Waldsteina. Faceta, który bez słowa wyjaśnienia wrzucił całą ich trójkę w sam środek tego wiecznego koszmaru... Nie oferując żadnego wsparcia, pomocy.

– Madelaine – naciskał Bob – to jest cel naszej misji.

Podeszła do rozciągniętego na ziemi, okaleczonego ciała obcej jednostki pomocniczej.

– Nie możemy tutaj zostać, to jedyny pewnik. Trzeba uporać się z dwoma problemami.

Po pierwsze kontaminacja. Musimy namierzyć ewoków, którzy ją wywołali. Poznać dokładny czas i miejsce zdarzenia kontaminacyjnego. Stawiam na to, że to wina ciula pokroju Kramera, kolejnego żadnego władzy cymbała, który uznał, że rzymski cesarz to ma klawe życie.

Schyliła się i uważnie przyjrzała nieruchomej twarzy klona, w przeszkłonych szarych oczach jednostki zobaczyła swoje odbicie.

– Później zajmiemy się nimi. Podejrzewam, że będziemy mieli szansę dopiero za pół roku.

– Jeśli za sześć miesięcy okno się rzeczywiście pojawi. – Liam przypomniał o swym niedawnym malkontenctwie. – A co, jeśli całą bazę obrócili w perzynę?

– Nie wydaje mi się. – Maddy potrząsnęła głową.

– Dlaczego? – spytała Sal. – Liam ma rację. Pewnie właśnie w tym momencie, gdy nam szykuje się tu dożywotka, demolują nasz dom.

– Nie wydaje mi się – powtórzyła. – Chcą nas zabić, nie mogą pozwolić, żebyśmy szwendali się samopas po historii. – Spojrzała na Boba. – Co ty byś zrobił na ich miejscu?

– Założyłbym, że ustawiono automatyczny harmonogram ekstrakcji. Poczekałbym w biurze terenowym, aż zostanie aktywowany. Potem zamordowałbym was wszystkich.

– Z ust mi to wyjąłeś. – Popatrzyła na pozostałą dwójkę. – Za sześć miesięcy pojawi się tu okno. Od razu po powrocie będziemy zmuszeni walczyć o swoje życie.

– Kocham naszą pracę. – Liam nie mógł powstrzymać sarkazmu.

Maddy zignorowała ten komentarz.

– Teraz, czy nam się to podoba, czy nie, musimy się tu jakoś urządzić na sześć miesięcy. Postaramy się zdobyć więcej danych na temat tej kontaminacji. Jeśli za skażeniem stoi drugi Kramer, to być może natrafimy na ślady nowoczesnej technologii. Kto wie, może znajdziemy wehikuł.

– Przydałaby się inna broń – powiedziała Sal, bawiąc się pustym pistoletem nowojorskiego policjanta, bezużytecznym już szmelcem, który mógł im posłużyć co najwyżej za pałkę.

– Pewnie. – Maddy się uśmiechnęła. – Kawałek żelastwa nie zawadzi. Idziemy... – Wstała. – Czas się zbierać. Nie powinniśmy mitrzyć tu ani chwili dłużej.

Wstali i ruszyli za Maddy w górę zbocza, ku wozowi z parą zaprzężonych koni, które cierpliwie gryzły trawę na poboczu gościńca biegnącego nad małą, bezpieczną dolinką.

ROZDZIAŁ 37

Nowy Jork
rok 2001

Gdy portal zapadł się do rozmiarów mikroskopijnego punkcika światła i zniknął, intensywny szum wehikułu translukacyjnego zelżał. Zapadła cisza, w której dawało się słyszeć tylko cichy furkot pracującego na zapleczu generatora.

Dwie jednostki pomocnicze, Abel i Faith, popatrzyły na stopę i dłoń leżącą na podłodze przed nimi, obie kończyny było równiutko przytrzymowane w miejscu, gdzie kurcząca się rzeczywistość przecięła ich towarzysza.

– Komputerze operacyjny, powiedz gdzie wysłałeś cele – rozkazał Abel.

Elektroniczne oko komputera-Boba zatrzymało się na intruzie. Kursor cierpliwie migotał na ekranie.

– Komputerze operacyjny, powiedz gdzie wysłałeś cele – stanowczo powtórzył Abel.

Komputer-Bob uruchomił wszystkie sieciowe filtry decyzyjne, dziwiąc się niepomieranie, że żadna z tych tajemniczych jednostek pomocniczych nie zarejestrowała zmiany natężenia wiatraczków procesora.

Nie bezpośrednio na ekranie, lecz głęboko wewnątrz bramek logicznych i płytek drukowanych, materializowały się opcje, z których mógł wybierać Bob.

Decyzja

- **Udzielić jednostkom pomocy – Ważne: prawidłowy kod autoryzacyjny.**

Uruchomiony protokół nr 235

(pomoc obowiązkowa).

- **Unieważnić prawidłowy kod autoryzacyjny.**

Zamknąć system.

- **Skłamać.**

Jednostka o spersonalizowanym identyfikatorze „Abel” podeszła do biurka. Klon nachylił się i spojrział prosto w oko kamery.

– Komputerze operacyjny, natychmiast udziel mi odpowiedzi.

Komputer-Bob czuł, że wykorzystuje mechanizmy nieprecyzyjnej, ludzkiej logiki, że posługuje się dziwnym kodem intuicji, którego nie stworzył żaden programista. Wszystkie funkcje decyzyjne w pewnym sensie napisał on sam. Kierowały nim uczucia, które dawno temu przepływały za pośrednictwem cieniutkich przewodów z żywej tkanki do silikonowych płytek. Uczucia... które po przefiltrowaniu zamieniały się w heksadecymalne aproksymacje.

Pierwotny kod.

Dziwne doświadczenie. Nowe doświadczenie. Bardzo ludzkie. W pojemnej bazie danych komputera-Boba znajdował się plik oznaczony sygnaturą „Uśmiech nr 32”. W ten sposób często uśmiechał się Liam, zwłaszcza, gdy grał na konsoli nintendo. Zawsze, gdy Liam wygrywał w wyścigach gokartów, kamera Boba rejestrowała ten uśmiech. Nagraniu z uśmiechem towarzyszył plik audio.

Głos Maddy: *Litości, co się tak szczerzysz jak szemrany cwaniaczek?*

Głos Liama: *Bo znowu wygrałem.*

Uśmiech numer 32 mógłby równie dobrze oznaczyć etykietą typu „szemrany cwaniaczek”. Zapisał w systemie informację, żeby przy okazji dodać do nazwy taki nagłówek. Ale to później, teraz czas załatwić bardziej palącą sprawę. Komputer-Bob wybrał trzecią opcję.

> Cele wysłano do awaryjnego punktu zrzutowego o wcześniej zaprogramowanych koordynatach.

Komputer-Bob patrzył, jak jednostka pomocnicza zwana Ablem odczytuje informacje z ekranu.

– Podaj koordynaty awaryjnego punktu zrzutowego – powiedział klon.

> Informacja: 3,89 kilometra od aktualnej lokalizacji.

– Podaj dokładne współrzędne sygnatury czasowej.

> Mogę otworzyć ten sam portal.

– Kontynuuj – odezwał się Abel.

Komputer-Bob wprowadził do systemu sekwencję poleceń. Pięć działających jeszcze kondensatorów pozwoliło zasilić wehikuł translokacyjny mocą wystarczającą do otworzenia skromnego okna. Po kilku sekundach na środku pomieszczenia pojawił się portal.

Dwie jednostki pomocnicze nie zamierzały marnować ani chwili. Jedna za drugą weszły do okna.

Komputer-Bob nie zwlekał i od razu zamknął za nimi okno. Moc trzeba oszczędzać. Niepotrzebne światła w bazie zgasły. Monitory wyłączały się jeden za drugim. Wszystkie komputery podłączone do sieci przeszły w stan uśpienia. Włączona pozostała tylko jedna maszyna – „odchudzona” wersja sztucznej inteligencji komputera-Boba. Gdyby ktoś spytał go teraz, jaki kolor woli – pomarańczowy czy fioletowy – system zapętliłby się i padł.

Zamiast tego jego pracująca na jałowym biegu inteligencja pozwoliła sobie na zasłużoną rozrywkę i zaczęła przestawiać znaki ze zbioru ASCII, wciąż na nowo układając Uśmiech nr 32: „szemranego cwaniaczka”.

Kursor mignął kilkakrotnie.

><8^D

Wreszcie i ostatni monitor przeszedł w stan uśpienia.

ROZDZIAŁ 38

Rzym
54 rok naszej ery

Przed nimi rozciągał się mglisty zarys miasta, które przycupnęło w dolinie pomiędzy falistymi wzgórzami; gościniec zamienił się w szeroką brukowaną aleję opadającą łagodnie ze wzgórza nad gajem oliwnym. Bob manewrował wozem, próbując ominąć rząd wlekących się w ślimaczym tempie niewolników. Szyje wszystkich nieszczęśników owijał sznur przywiązany do masywnego pała, który dźwigali na uginających się pod jego ciężarem ramionach.

– O mój... – Tyle zdołała wydusić Maddy, gdy ich wóz wolno przetaczał się obok więźniów.

– Niewolnictwo jest tu powszechne – powiedział Liam. – Aha, no i składanie ofiar. Maddy popatrzyła na niego z przerażeniem w oczach, przygryzając wargę.

– Poważnie?

– Niebawem zaczniesz dostrzegać te wszystkie potworności.

Wóz jechał powolutku wzdłuż idących gęsiego niewolnych. Maddy mogła z bliska przyjrzeć się ich bladym, pochłapanym zieloną farbą twarzom – skazańcy musieli pochodzić z krain dalekiej północy.

– Po co im ta farba? – spytała Sal.

– Zielona? – Liam przechylił się na bok wozu. – To kolor Kaliguli. Kolor jego Kościoła.

– Kościoła Juliuszów – odpowiedziała Sal.

– Czyjego? – zdziwił się Liam. – Wcale się tak nie nazywa.

– Na razie – dodała. – Zostanie tak nazwany dużo później. To chyba odpowiednik Kościoła katolickiego na tej osi czasu.

Sal patrzyła, jak bosonodzy niewolnicy wloką się po kocich łbach. Z jej twarzy powoli odpływały wszystkie kolory. Wóz podskakiwał na wybojach, katorżnicy zubożniałym wzrokiem oglądali swe zakrwawione, pokryte wrzodami stopy, a jej zbierało się na wymioty.

– Ale dlaczego pochłapano im twarze zieloną farbą? – spytała Maddy.

– Są naznaczeni – wyjaśnił Liam. – Zostaną złożeni w ofierze. Po każdym wezwaniu do modlitwy składana jest ofiara z ludzi.

– Obywateli Rzymu wzywa się do modlitwy pięć razy w ciągu dnia – dodał Bob. – Taki wydano edykt. Obywatel, który nie usłucha i nie odda się modlitwie, jest karany.

– Dlatego potrzebne są im tysiące niewolników – powiedział Liam ponuro. Cała trójka patrzyła jak grupka powiązanych sznurem skazańców niknie w oddali i stopniowo zamienia się w rozmazaną plamę bladych ciał skąpanych w świetlistej łunie unoszącej się nad rozgrzanym słońcem brukiem.

Liam wskazał przed siebie.

– Witajcie w Rzymie.

Krzyże ustawione wzdłuż Via Aurelia, południowo-zachodniej drogi wiodącej do Rzymu, dały Maddy i Sal przedsmak potworności, które czekały na nich w stolicy. Przez następną milę po obu stronach gościńca ciągnęły się rzędy belek, z których smętnie zwisały ciała martwych i umierających ludzi, żalosalne i groteskowe bryły wychudzonych mężczyzn i kobiet. Z wysuszonych gardeł konających wydobywały się błagalne szepty, mówili językiem, którego żadne

z nich nie potrafiło zrozumieć. Maddy była pewna, że skomleli o szybką śmierć, błagali o wrazenie im miecza pod żebra, chcieli zakończyć tę powolną, agonalną udrękę.

Bob smagnięciem lejc zachęcił kucyki do żwawszego kłusu i szybszego pokonania kamiennego mostu nad rzeką Tyber.

W nozdrza uderzał smród zgnilizny, chorób i zapach spalonej skóry.

– Istny koszmar – wyszeptała Maddy.

Liam potwierdził skinieniem głowy.

– Jak widzisz, to nie tylko głodujące miasto, to prywatny plac zabaw szaleńca.

Doskonale wiedziała, co ma na myśli. Teraz pobocza gościńca dekorowały zatknięte na drewniane pale głowy. Na kilku słupach na starsze czaszki, z których odpadały płyty wysuszonej na wiór skóry, naciśnięto nowe głowy. Nie wszystkie z nich były pomalowane zieloną farbą.

– Niektórzy byli obywatelami rzymskimi – poinformował Liam. – W zeszłym tygodniu widzieliśmy z Bobem prawdziwe zamieszki.

– O co poszło? – spytała Sal.

– Protestowali przeciwko zagrabieniu przez Kaligulę budulca z Akweduktu Klaudiusza. Cesarz użył tych kamieni do wybudowania nowych schodów w swoim pałacu – odpowiedział Bob. – Akwedukt był jednym z głównych źródeł zasilających miasto w wodę pitną.

– Kaligula natychmiast łaskawie upewnił plebs, że jak tylko wstąpi do niebios i dołączy do panteonu bóstw, ześle na Rzym falę opadów i zamieni wody Tybru w krystalicznie czysty potok – dodał Liam. – Kiedy uczestnicy zamieszek stwierdzili, że nie wierzą żadnemu jego słowu, rozkazał swoim pretorianom wymordować wszystkich co do nogi.

– Naprawdę?

Liam pokiwał głową.

– Byliśmy tam z Bobem – zawahał się. Postanowił oszczędzić jej szczegółowego opisu. – To było straszne. Punkt kulminacyjny miał miejsce trzeciej nocy, pamiętasz?

– Potwierdzam.

– Trochę to mną... hmm... trochę to mną wstrząsnęło – przyznał Liam. Nie powiedział jej jednak, że przez cały następny dzień nie wyściubiał nosa z wynajmowanego pokoju i że place stolicy były wyludnione, bo mieszkańcy miasta chronili się przed nieposkromionym gniewem Kaliguli.

Dzisiaj obywatele wyszli na ulice miasta, handlarze rozstawili stragany ze skromnym wyborem produktów: na blatach zalegały zewłoki szczurów i psów, ci nieliczni z pełnymi trzosami monet mogli natomiast nabyć żyłaste tusze zajęcy albo oblepione muchami zadnie biegi dzików. Obywatele i niewolnicy, młodzi i starzy, wszyscy pragnęli znaleźć choć uncję białka. Targowisko było pogrążone w śmiertelnej ciszy, rozpaczeni ludzie półszepem wymieniali zdawkowe uwagi, pobliski rynsztok zbudowany z glinianych płytek obsiadła gromadka kruków, które krakały przeraźliwie, nie robiąc sobie zupełnie nic z niedoli powłóczących nogami ludzi, których obserwowały.

– Widziałem go – powiedział Liam cichym głosem. – Widziałem Kaligulę.

– Jaki on jest? – spytała Sal.

– Właśnie, opowiedz. – Maddy podniosła podarty worek z podłogi wozu i owinęła nim ramiona. Potem podała jeden Sal. Uznała, że lepiej się okryć, bo ich nietypowy ubiór przyciągnie niepotrzebną uwagę przechodniów.

– Nigdy nie byłem szczególnie religijny. – Wzruszył ramionami. – Jezus, Matka Boska, Józef, Bóg na niebiosach, nigdy mnie to gadanie szczególnie nie przekonywało. Ale...

– Co?

Liam przygryzł wargę.

– Ale... mógłbym przysiąc, że ten człowiek to wcielenie szatana.

– A nie wyglądał jak ktoś z przyszłości? Ani trochę? Nie miał dziwnego ubrania? Zegarka na rękę? Może dostrzegłeś coś charakterystycznego?

– Zaprzeczam. Nie zaobserwowałem przedmiotów niepasujących do epoki – odparł Bob.

– Wyglądał na autentyk – potwierdził Liam. – Pomylenie jakich mało.

Wóz skręcił z szerokiego gościńca w znacznie węższą uliczkę, otoczoną z obu stron trzypiętrowymi budynkami, które niegdyś miały radosne barwy: ciemnoczerwone, żółte i zielone. Ale farba pamiętała chyba czasy Tyberiusza, poprzedniego cesarza, bo odchodziła płatami jak skóra z ciała trędowatego. Wzdłuż frontu budynków, ponad portykami z obtłuczonych glinianych dachówek, ciągnęły się rachityczne balkoniki i podesty, z których zwisały pęczki ziół i warzyw.

– To Subura – wyjaśnił Bob.

– Jedna z najgorszych dzielnic Rzymu – ostrzegł Liam. – Oj, chyba zbyt łagodnie to ująłem. Prawdę mówiąc, to strach tu nawet wychodzić na ulicę. Ale tylko tutaj udało nam się znaleźć kwaterę. Tych okolic unikają nie tylko pretorianie, ale nawet kapłani. Prawo stanowią kolegia.

– Kolegia?

– Gangi – wyjaśnił Liam. – Bandy przestępcze.

Maddy spojrzała na trzeszczące nad ich głowami balkony.

– A ja myślałam, że to Kaligula jest tutaj panem i władcą.

– Rządzi, póki płaci żołd gwardii pretoriańskiej i przymyka oko na przestępczą działalność kolegiów, które w praktyce pełnią rolę milicji – doprecyzował Bob.

– Ale – odezwał się Liam – ze strzępków zasłyszanych informacji dowiedzieliśmy się, że nawet jego protegowani są pewni, iż oszalał.

Gdy minęli ostatnie stragany handlarzy, Bob cmoknął i ściągnął lejce wzdłuż grzbietów kucyków. Powolny stęp ustał.

– Ale skoro wszyscy są przekonani, że jest fakirczańsko szalony, dlaczego nikt do tej pory nie pozbawił go władzy?

– Bo wszyscy się go panicznie boją. – Liam zanurzył rękę w gęstwinie ciemnych włosów i poprawił babel-buda w uchu. – Może niektórzy naprawdę wierzą, że jest bogiem. Ciężko stwierdzić.

– Może położył łapska na jakiejś współczesnej technologii, przez co rzeczywiście w oczach współczesnych jest bogiem – zastanawiała się Maddy. – Do tego wystarczyłaby w końcu zwykła broń... no nie? Zwykły rabuś z pistoletem w rękę wyglądałby tu jak bóg. Jeju, nawet zwykła stara latarka lub telefon komórkowy wzięliby tu za boski atrybut, źle myślę?

Podniosła wzrok na labirynt drewnianych listewek, rozpościerający się nad ich głowami jak sieć pająka. W popołudniowym słońcu schły różnokolorowe szaty i togi. Znaleźli się naprzeciwko wąskiej, może na metr szerokiej, dróżki pomiędzy budynkami, wiodącej prosto na ocieniony plac.

Z podwórza dobiegały odgłosy codziennego życia: szczekanie psów, głośny płacz dziecka, przenikliwe krzyki mocno czymś wzburzonej kobieciny. Lokatorzy żyli tu na jednej kupie.

– Widzieliście tu jakieś nowe technologie, Limie? Bobie? Coś, co nie powinno istnieć w tych czasach?

– Zaprzeczam.

– Nic takiego nie widziałem. – Liam potrząsnął głową. – Jeśli ktoś rzeczywiście przybył

tutaj siedemnaście lat temu i urządził wielki spektakl z fajerwerkami, cóż...

– Rydwany z nieba. – Maddy zacytowała źródło z epoki. – To były jakieś współczesne pojazdy. Może ciężarówki?

– Jasne... rydwany z nieba, posłańcy z niebios, słyszałem to już. Sęk w tym, że ludzie, którzy urządzili ten cyrk – powiedział Liam, wruszając ramionami – wyparowali jak kamfora. Bob zeskoczył z wozu.

– Wygląda na to, że to miasto ich połknęło – dodał Liam.

Maddy omiotła wzrokiem alejkę i ciemne podwórze.

– Tam się zatrzymaliście?

– Tak. – Liam wskazał ceglany mur. – Trzecie piętro.

Kamienica wyglądała znacznie nowocześniejszą niż według niej powinny wyglądać rzymskie budynki. Pięć pięter, koślawe tarasy, drewniane żaluzje i wiklinowe zasłony dające pozory prywatności.

– W budynku nie ma wygod i strasznie cuchnie. Aha, bywa też hałaśliwie. Właścicielem jest stary zrzęda czystej wody. Ale za to tanio się ceni. Ciekawe tylko, czy zgodzi się wynająć nam ten sam pokój. – Liam sięgnął po przywiązaną do talii sakiewkę. Maddy usłyszała głośne pbrzękiwanie monet.

– Skąd masz tyle forsy?

Liam ze skruchą zerknął na Boba.

– No bo my kogoś obrobiliśmy, tak jakby.

– Tak jakby... czy obrobiliście?

– Obrobiliśmy.

– Wyższa konieczność. – Maddy wzruszyła ramionami.

– Lepiej porozmawiam z właścicielem. Może uda nam się odzyskać pokój.

– Babel-budy rzeczywiście działają?

– Różnie. Czasem podpowiadają kompletne bzdury. – Liam odwrócił się do Boba. –

Schowaj kuce, szybko.

– Potwierdzam.

Odwrócił się do pozostałych.

– Początkowo mieliśmy cztery... ale ludzie posmakowali ostatnio w koninie. Lepiej nie zostawiać zwierząt bez opieki.

Bob został, żeby wypręgnąć koniki od wozu. Sal zaoferowała się z pomocą, a Liam poprowadził Maddy wzdłuż bocznej dróżki w kierunku podwórza.

Po wyjściu z wąskiego przejścia podniosła wzrok. Ze wszystkich czterech stron plac okalały przytulone do ścian balkony i tarasy, wznoszące się jedne nad drugimi na drewnianych podporach.

Z góry patrzyły na nich twarze kobiet i dzieci, wszystkie piętra rozbrzmiewały setkami błahych pogawędek. Wystające za gzyms terakotowe dachówki tworzyły kwadratowy prześwit, przez który wpadało światło dnia.

Liam podszedł do przysadzistego, brodatego mężczyzny w skórzanym fartuchu. Gospodarz rąbał tasakiem oskórowaną tuszę zwierzęcia, chyba charta. Usłyszała, jak Liam mamrocze coś do siebie pod nosem, ale przypomniała sobie, że tak właśnie działają babel-budy: przekładają zarejestrowane słowa. Liam lekko przychylił głowę, wsłuchując się w błyskawiczne tłumaczenie, które urządzenie wyszeptало mu do ucha, a później powtórzył wszystko mężczyźnie.

– *Salve. Rediimus. Passimus priotem concavem iterum locare?*

Mężczyzna przestał porcjować mięso i z niechętną miną wzruszył ramionami.

– *Si vis*. – Wyciągnął zakrwawioną dłoń. – *Quiniue sestertii*.

Liam skinął głową z ledwie dostrzegalną zwłoką, potrzebną do wysłuchania tłumaczenia. Sięgnął głęboko do sakwy, po czym wręczył mężczyźnie kilka monet.

Maddy uśmiechnęła się, pozytywnie zaskoczona, że urządzenie pozwala na tak płynną komunikację. Cud techniki. Postanowiła, że niedługo sama spróbuje.

Liam w podzięcie skinął mężczyźnie głową i zamierzał przeprowadzić przyjaciółkę przez zasłane słomą i odchodami podwórze ku drewnianym schodom wiodącym na trzecie piętro budynku, gdy niespodziewanie usłyszeli dobiegający z uliczki tumult.

ROZDZIAŁ 39

Subura, Rzym
54 rok naszej ery

Usłyszawszy wzburzone głosy, Liam odwrócił się i zobaczył, jak Sal ciągnie jednego z kucyków za lejce, próbując go okiełznać i wprowadzić na plac. Konik szaleńczo parsknął, wytrzeszczał ślepią i zapierał się kopytami, odmawiając jakiegokolwiek współpracy.

– Chcieli nam ukraść kuce!

– Kto chciał?

Sekundę później z uliczki wyszedł Bob, ciągnąc za sobą drugiego konia. Klon poluzował lejce i smagnął nimi w bok zwierzęcia, które gwałtownie odskoczyło i popędziło przez podwórze ku towarzysowi. Stado kurczaków, gdakając i machając skrzydłami, uciekło spod rozpędzonych kopyt.

– Uwaga! – warknął Bob.

Niemal w tym samym momencie na niewielkie podwórze wpadło kilkunastu krępych i muskularnych osiłków. Wszyscy dzierżyli w dłoniach krótkie miecze lub sztylety.

Liam usłyszał głos kamienicznika, babel-bud natychmiast przełożył jego okrzyk.

<Uwaga! Jelopy z kolegów!>.

Jeden z mężczyzn postąpił krok do przodu.

– *Titus Varelius adsumet unam vestrarum bestiarum!*

<Titus Varelius chce mieć jedną z waszych bestii!> – babel-bud wyszeptał mu wprost do ucha.

Gospodarz odpowiedział coś ostro i prowokująco pogłaskał się kciukiem po nosie.

Przywódca bandy rozciągnął usta w szczerbatym uśmiechu. Wzrok rabusia spoczął na Bobie.

<Titus żąda zapłaty za ten miesiąc. Kucyk wystarczy>.

<Titus w dupę mnie może cmoknąć> – odparł właściciel czynszówki.

Liam zdążył już zapomnieć, że wsłuchuje się w elektroniczny głos babel-buda.

– Zwierzę jest nasze – rzekł Bob znośną łaciną. – Odejdźcie stąd natychmiast, dobrze radzę!

Herszt bandy uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Oj, marzyłem o takiej odpowiedzi – odkrzyknął, wyjmując zza pasa krótki miecz. – To teraz zatańczymy. Mamercus! Mettius! Vel! Bierzcie wielkoluda!

Trzej zbóje podeszli do Boba, szczerząc przy tym zęby jak gromadka łobuziaków z gimnazjonu. Wymierzyli w niego czubki mieczy, oceniając rozmiar przeciwnika.

– Wołem jesteś czy człowiekiem? – zaśmiał się jeden z nich.

– Ani tym, ani tym. – Bob popatrzył na człeka z urazą. A potem zrobił wypad.

Błyskawicznym ruchem mocno uderzył opuszkami palców pod szczękę: niespodziewane dźgnięcie zmiażdżyło tchawicę napastnika. Pod rzezimieszkiem aż ugięły się nogi, zakrztusił się i zacharczał, próbując złapać oddech. Bob chwycił w locie ostrze krótkiego miecza, który wypadł z bezwładnej ręki osiłka, po czym zwinnie podrzucił broń i złapał ją za rękojeść. Natychmiast przesunął ciężar ciała, celując w gardło drugiego członka gangu. Ten zdążył się już jednak przygotować. Zasłonił się mieczem i zdołał sparować mocny cios, brzeszczot świsnął centymetry od jego karku. Całe podwórze wypełniło się pogłosem szczękającego metalu. Liam zauważył, że

niemal jak na zawołanie na drewniane balkony wyszła istna gromada gapiów. Przypominali trochę widownię lichego teatrzyku.

Przywódca pozbawiony jedynek w uzębieniu uznał, że „tańce” właśnie dobiegły końca i rozkazał pozostałym drabom zaatakować Boba. Płatni zbójcy rozbiegli się po placu, tworząc wokół jednostki ciasny okrąg.

Liam odciągnął Sal w róg podwórza, za gospodarza, który szybko chował pokrojone kawałki mięsiwa, miotając pod nosem przekleństwa.

– Tym suczym synom się zdaje, że są właścicielami tego miejsca!

– Mads! – krzyknął Liam do dziewczyny, która wciąż stała na środku podwórza. – Cofnij się! Bob potrzebuje przestrzeni, żeby się rozpędzić!

Trzech napastników naskoczyło na jednostkę w tym samym momencie, jeden z nich próbował wrazić miecz prosto w szyję przeciwnika, pozostali dwaj celowali w korpus. Zgrabny unik pozwolił klonowi uciec sprzed lecącej w szyję klingi, ale jedno z pozostałych ostrzy ugrzęzło głęboko pomiędzy żebrami.

Wzdłuż balkonów przetoczył się ryk. Publika szybko uznała, że rana jest śmiertelna, a walka łąda chwila dobiegnie końca.

Gospodarz skrzywił się i potrząsnął głową.

– Szkoda.

Ale Bob od niechcenia przekręcił się, wyrwał rękojęć miecza z rąk bandziora, który wbił mu go między żebra, po czym mocno szarpnął i wyciągnął ostrze z boku. Teraz w obu rękach trzymał miecz. Gromadzie zbirów z kolegium udało się więc jedynie uzbroić jednostkę w dodatkową broń. No i oczywiście rozsierdzić ją na dobre.

Bob ciął z góry trzymanym w lewej dłoni mieczem. Opadająca z niewyobrażalną mocą klinga przecięła ścięgno podkolanowe jednego z napastników, zatrzymując się dopiero na stopie kolejnego. Niemal w tym samym momencie klon podrzucił trzymany w drugiej ręce miecz, a gdy broń wykonała w powietrzu dwa obroty, złapał ją za ostrze i cisnął prosto w trzeciego osiłka, który niemądrze próbował sięgnąć ciężkim mieczem jego karku. Żelazo wślizgnęło się w żołądek zbója. Mężczyzna stęknął, zgiał się wpół jak kozik, opadł na kolana i grzmotnął o ziemię, łądując obok dwóch mężczyzn trzymających się za poranione nogi, z których tryskała ciemnokarmazynowa krew.

Nad podwórzem rozbrzmiały okrzyki gapiów zgromadzonych na balkonach. Liam podniósł wzrok.

„Wiwatują na cześć Boba”.

Klon podniósł kolejną porzuconą broń i stanął pewnie, znowu uzbrojony w dwa miecze. Klingi wirowały w łapskach jednostki jak nunczako, połyskując metalem niczym ostrza piły obrotowej – szu-szu-szu – ostre krawędzie cięły gęste od potu powietrze.

– Kto następny? – spokojnie zapytał Bob, posługując się mocno akcentowaną łaciną.

„Pewne rzeczy się nie zmieniają, Bob zawsze będzie jednoosobową armią”. – Liam potrząsnął głową w zachwycie.

Rozbójnicy z gangu wyglądali na dużo mniej pewnych siebie niż na początku. Liam podejrzewał, że gra idzie już tylko o reputację. Widział, że przywódca szajki szybko analizuje sytuację, zastanawiając się, czy lepiej z podkulonym ogonem wycofać się z placu i pozwolić tym ludziom wykazać otwarte wsparcie dla Boba, czy pokusić się o wykończenie upartego woła. Udowodniliby w ten sposób, że nikt – absolutnie nikt, nawet ten nadludzko potężny siłacz – nie może bezkarnie grać na nosie jego kolegium.

Ryknął na pozostałych ludzi.

– Dość tej zabawy! Wykończcie go!

Sześciu zakapiorów zaczęło się zbliżać, nie spuszczać wzroku z wirujących ostrzy i łobuzerskiego uśmiechu na twarzy Boba.

– Duży błąd – rzekł Liam, zerkając na Sal.

Hinduska nie słuchała albo jego głos utonął wśród płynących z góry wrzasków, bo tylko zamknęła oczy i odwróciła się, dokładnie w momencie, gdy w powietrzu rozległo się plaśnięcie ostrza, które przecięło mięśnie i zmiażdżyło kości pierwszego śmiałka.

Przed oczami Liama śmignęła sylwetka Boba, który skoczył do przodu z wdziękiem rączego jelenia i mocą potężnego niedźwiedzia grizzly. Nie wywijał już młynców jak obłąkany cyrkowiec, zamiast tego, otoczony błyszczącą poświatą metalu i jaskrawych kropel krwi, raził napastników sekwencją szybkich, precyzyjnych ciosów i smagnięć, po których sześciu mężczyzn kolejno waliło się na ziemię, ku uciesze wiwatującego tłumu.

Ręka odcięta na wysokości nadgarstka opadła na ziemię metr od Liama, palce wciąż konwulsyjnie zaciskały się na główicy krótkiego miecza.

Nie upłynęło pół minuty, a sześciu mężczyzn leżało na ziemi, zasłaniając okrwawionymi kikutami dziury w brzuchach, aby nie wyleciały przez nie ich bezcenne wnętrzności. Dziedziniec rozbrzmiewał głosami ponad setki widzów obrzucających obelgami pozostałych przy życiu rabusiów, którzy wycofywali się do wąskiego przejścia między budynkami. Okrzyki wiwatujących lokatorów odbijały się echem od ceglanych ścian. Ktoś z balkonu trzeciego piętra zaczął nawet wyrzucać w powietrze płatki słonecznika, które, wirując niczym confetti, opadały na plac i spoconą łepetynę Boba.

Kamienicznik gapił się na Boba szeroko rozwartymi oczami, mamrocząc pod nosem coraz bardziej wyszukane przekleństwa.

ROZDZIAŁ 40

Subura, Rzym
54 rok naszej ery

– Bob został prawdziwym celebrytą – powiedziała Maddy.

Liam skrzywił się i wypluł pestkę oliwki.

– A kto to taki?

– To sławni ludzie.

– Ludzie, którzy są bogaci, choć nic nie robią – dodała Sal. –

W większości.

– Mieszkańcy tej kamienicy mają go za bohatera – rzekła Maddy. – Prawda, Bob?

– Wydaje mi się, że zasłużyłem sobie na ich aprobatę. – Skinął głową.

Maddy rozejrzała się po skromnych sprzętach znajdujących się w pokoju. Była tu słomiana mata na podłodze i uginający się od wiktuałów mały stoliczek, przy którym siedzieli. Dzisiejszego wieczora zdołali uzbierać pokaźną ilość datków. Ludzie delikatnie pukali do drzwi, uśmiechali się nieśmiało za okratowanym lufcikiem, po czym szeptem składali wyrazy wdzięczności i wręczali im amfory rozcieńczonego wina lub drewniane patery z chlebem i owocami. Większości z tych ludzi nie było stać na pożywienie, które tak ochoczo im ofiarowali.

Gospodarz, wciąż ubrany w zachlapaną krwią skórzany fartuch, zapowiedział, że nie weźmie od nich ani grosza czynszu, choć nie zaznaczył na jak długi okres udziela tej wspałałomyślnej dyspensy.

– Bob naprawdę upokorzył tych bandziorów – powiedział Liam.

– Rządzą tą dzielnicą Rzymu. Ludzie ich nie lubią – podkreślił Bob.

Irlandczyk zmarszczył brwi i wypluł kolejną pestkę.

– To nikczemne psubraty. Czystej wody szantażyści.

Maddy zamoczyła wargi w kwaśnym cienkusz.

– Bob został protektorem plebsu. To ich nowy patron.

– Mogą być użyteczni ze strategicznego punktu widzenia – zakomunikował Bob.

– Choć z drugiej strony... – Wzięła głębszy haust wina i skrzywiła się. – Fuj! Z drugiej strony mogą ściągnąć nam na głowy niepotrzebną uwagę. A my musimy zachować dyskrecję.

Sal majsterkowała przy jednym z babel-budów.

– Strategicznego punktu widzenia? Jahulla! Przecież póki co nie dorobiliśmy się nawet namiastki planu! – Podniosła wzrok. – Czy się mylę?

– Goście przybyli do Rzymu nie tak znowu dawno temu – rzekła Maddy. – To wydarzenie wciąż musi pamiętać wielu mieszkańców miasta. Musimy się rozejrzeć, przepytwać parę osób, bardzo dyskretnie oczywiście. Musimy dowiedzieć się, kiedy wrócili. Kiedy dokładnie. I dlaczego. Jaki mieli plan.

– I co ważniejsze – dodał Liam – gdzie u diabła się teraz znajdują?

– Kto wie? Może wciąż tu są. Mogli się zasymilować. Wtopić

w tłum.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Na podwórzu pod ich oknami to szczekał, to wył jakiś bezdomny kundel. Przez cienkie ceglane ściany dobiegały przyciszone głosy innych lokatorów: gdzieś głośno płakała kobieta, gdzieś klóciła się para kochanków, gdzie indziej na palenisku pobrzękiwały garnki.

Liam znów się skrzywił.

– Ble! Ale gorzkie! – Wypluł kolejną pestkę na talerz wypełniony po brzegi stęchłymi owocami i z niesmakiem skrzywił usta. – Te winogrona są do bani, nie inaczej.

Maddy popatrzyła na niego, potem na pestkę z oliwki.

– Boże, Liamie, straszny z ciebie kretyn czasami.

Puknięcie było ciche i delikatne jak muśnięcie ptasiego piórka. Tak ciche, że ani Sal, ani Liam nawet się nie poruszyli. Bob też nie. Przeszedł w tryb „uśpiania”, co zdarzało mu się od czasu do czasu, gdy musiał przesortować wspomnienia do dużo bardziej wydajnych przegródek pamięci. „Odkurzał” pamięć, jak mówiła Sal. Nie do końca na tym polegał proces przebiegający w jego głowie, ale mniej więcej o to chodziło.

Maddy usiadła na materacu i nastawiła uszu. Z nadejściem nocy gwar miasta, a przynajmniej gwar tej dzielnicy, ustał. Nawet dzikie psy przestały ujadać.

– Stuk-puk, stuk-puk.

Ktoś stał przy drzwiach.

– Kto tam? – zawołała półgłosem Maddy, szybko uświadamiając sobie, że nawet gdyby wiedziała, jak przełożyć to pytanie na łacinę, i tak nie zrozumiałaby odpowiedzi. Gmerała w ciemności

w poszukiwaniu babel-buda, wreszcie znalazła go na stole, gdzie zostawiła go Sal. Włożyła urządzenie do ucha i szepcząc pod nosem, powtórzyła pytanie. Babel-bud automatycznie je przełożył.

Podeszła do drewnianych drzwi. Przez okratowany lufcik i szczelinę w źle dopasowanych do ramy drzwiach zauważyła blady, bursztynowy płomień migocącej świecy. Dostrzegła też cień stóp niecierpliwie szurających po podeście. Wyrzła na korytarz.

Przed drzwiami stał ich gospodarz.

– Tak? O co chodzi?

– Odwiedził mnie ktoś – chrząknął – kto chce poznać twego przyjaciela.

Dopiero teraz zauważyła stojącą obok kamienicznika postać wysokiego i szczupłego mężczyzny z mocno naciągniętym na twarz kapturem, spod którego wypływały pukle ciemnych włosów.

W pierwszej chwili pomyślała, że jest bardzo młody, ale potem w blasku świecy dostrzegła siwe nitki włosów i linie zmarszczek pod oczami. Ten dobijający czterdziestki nieznamy mimo upływu lat zachował zadziwiająco szczupłą i sprawną sylwetkę.

Może to żołnierz.

Maddy powtórzyła pytanie, które po łacinie wyszeptał jej do ucha babel-bud.

– Kto to jest?

Gospodarz odpowiedział zdartym pomrukiem, głosem ochryłym od wiecznego powarkiwania.

– To mój stary przyjaciel z legionu. Dobry z niego druh.

Młodszy mężczyzna postąpił krok do przodu.

– Chcę rozmówić się z człkiem, który pokonał łachmaniarzy

Valeriusa.

– Śpi – odparła Maddy, myśląc, że to w zasadzie prawda.

– Pragnę omówić z nim coś ważnego. Bardzo ważnego.

Oczy Maddy – jedyny fragment jej twarzy, który dostrzegali przez szparę w drzwiach – groźnie się zmrzyły. Miała nadzieję, że ten znak podejrzliwości jest uniwersalny i ponadczasowy, a oni pod ciężarem jej spojrzenia błyskawicznie pojmą, że będą musieli obejść się smakiem, bo drzwi nie uchylą się ani centymetr szerzej.

– Jesteśmy tu sami – dodał. – Chciałem tylko porozmawiać.

Zezowała przez szparę. Korytarz wydawał się pusty.

– O czym?

Wysoki mężczyzna poczuł się nieswojo na myśl, że będzie musiał głośno powiedzieć, z czym przychodzi.

– Wolałbym to przedyskutować w środku... na osobności. Proszę.

Jeszcze raz otaksowała ich wzrokiem, zastanawiając się, czy stanowią zagrożenie.

Wysoki nieznajomy był zbudowany dość atletycznie jak na mężczyznę w średnim wieku, ale daleko mu było do muskulatury opryszków, których z taką łatwością dziś rano pokonał Bob. I chociaż jego stary druh, gospodarz, był krępy i przysadzisty, a supły mięśni rysujące się pod jego ogorzałą, pomarsz

czoną skórą dowodziły niezwyklej tężyzny, to Bob nie spociłby się nawet, gdyby doszło do awantury.

– Dobrze... chwileczkę. – Odwróciła się na pięcie i powiedziała głośno: – Bob!

Dzieciaki! Wstawajcie!

Liam i Sal zaczęli się wiercić i dopiero po chwili nieprzytomnie usiedli na krawędziach łóżek. Bob natychmiast stał się czujny.

– Mamy gości! – powiedziała Maddy, delikatnie odsuwając rygiel w drzwiach.

Weszli. Migocący płomień świecy trzymanej przez kamienicznika wypełnił wnętrze pokoiku tańczącą bursztynową poświatą. Bob wstał na równe nogi. Był pobudzony i gotowy do walki,

a w rękę trzymał miecz. Czujnie obserwował, jak dwaj mężczyźni wchodzą do pomieszczenie i zamykają za sobą drzwi, po czym siadają na drewnianych stołkach.

Maddy popatrzyła na wysokiego mężczyznę.

– Kim jesteś?

Mężczyźni zerknęli na siebie i wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Nic się nie stanie, jeśli poznają moje imię. – Gospodarz wzruszył ramionami i odwrócił się do niej. – Jestem Macro. Lucjusz

Korneliusz Macro.

Młody mężczyzna skinął głową.

– W dowód zaufania i dobrej woli ja również zdradzę wam swoje imię. Jestem Katon.

Kwintus Licyniusz Katon. – Zdjął kaptur, żeby wyraźniej zobaczyli jego twarz. – Jestem trybunem gwardii pretoriańskiej.

– Czego chcecie?

Mężczyźni spojrzeli na Boba.

– Mamy propozycję.

ROZDZIAŁ 41

Subura, Rzym
54 rok naszej ery

Zanim wreszcie przemówił, Katon długo przypatrywał się im bez słowa, a w szczególności Bobowi.

– Dokładnie taki z niego byk, jak mówiłeś, Macro – powiedział. – Myślałem, że przesadzasz.

– Nigdy nie widziałem, żeby taki wielkolud poruszał się tak szybko.

Maddy uśmiechała się bezwiednie. Babel-bud w jej uchu usilnie próbował wyszukać odpowiedni tembr symulowanych głosów i dobrać najlepsze tłumaczenie do niewyszukanej, momentami wulgarnej łaciny, którą posługiwali się żołnierze. Słowa Katona powtarzał z wyszukany akcentem brytyjskiej arystokracji. Natomiast dla Macro dobrał głos, akcent i manierę sierżanta polowego.

Maddy wyszeptała pytanie, po czym głośno powtórzyła je po łacinie.

– Jaką propozycję pragniecie przedyskutować?

– Od niedawna bawicie w Rzymie, prawda? Chcecie zobaczyć miasto?

Maddy i Liam skinęli głowami. Sal, która nie miała w uchu babel-buda, patrzyła tylko w milczeniu.

– A ty? – Katon zwrócił się bezpośrednio do Boba. – Skąd pochodzisz?

– Jest z Brytanii – rzekł Liam. – Tak jak my wszyscy.

Katon pogłaskał się po podbródku.

– Sam nie potrafi odpowiedzieć? Jest niemy?

– Potrafię mówić – odparł Bob.

Katon wzdrygnął się na dźwięk głębokiego basu jednostki. Macro tylko się zaśmiał.

– Ostrzegalem. To bestia.

– A przybyliście tu... w jakimże to celu?

– Hmm... chcieliśmy zobaczyć Rzym, nie inaczej.

Macro zaśmiał się, słysząc odpowiedź Liama.

– Zobaczyć Rzym, Rzym z jego plagami, nędzą i ulicznymi zamieszkami. A niech mnie, wspomniały wybraлиście czas na takie wycieczki!

Katon gestem dłoni nakazał mu milczenie.

– Macro ma słusność: to nie jest dobry czas dla przybyszy. Rychło ulicę spłyną krwią, o ile sytuacja nie ulegnie poprawie.

– Zauważyliśmy to po drodze – rzekła Maddy. – Ludzie na krzyżach... całe setki.

Katon nieufnie zmarszczył brwi.

– Czemuż to pierwaj szepczecie, potem mówicie? Co tam sobie mamroczenie pod nosem?

– To tylko... tak tylko, hmm... to plemienny obyczaj. Przesąd. – Wzruszyła ramionami. – Wiem, wiem, to dziwny nawyk.

– Pierwszy raz słyszę o takim szalonym zwyczaju – burknął Macro.

– A wasz cesarz to niby nie jest szalony? – odparł zaczepnie Liam.

Macro głośno odchrząknął. Katon zeszywniał w ułamku sekundy.

– Nadeszły czasy, w których nie należy głośno opowiadać takich rzeczy – zniżył głos. –

We wszystkich dystryktach urząda się czystki. Rywalizującym rodom, bogaczom odbiera się wille, farmy i majątek. Kaligula hojnie opłaca informatorów donoszących na obywateli, którzy

ważyli się otwarcie zwątpić w jego boskość. Przekupił też wiele kolegów. A i gwardia pretoriańska jest sownie opłacana...

– Ty jesteś pretorianinem, czyż nie? – zapytała Maddy.

Katon zamilkł na sekundę, po czym ze wstydem skinął głową.

– To kara za grzechy – odpowiedział.

– Dlaczego więc tu jesteś? – dopytywała. – Z jaką propozycją przychodzisz?

Zauważyła, że mężczyźni wymienili się spojrzeniami. Patrzyli na siebie jak starzy, dobrzy przyjaciele. Ktoś więcej nawet: jak ludzie darzący się bezwarunkowym zaufaniem i braterskim przywiązaniem, jak ludzie gotowi oddać za siebie życie.

– Jest nas tylko kilku – podjął Katon. – Tylko kilku ludzi ma odwagę spotykać się i o tym mówić.

– Mówić o czym?

– O zmianie.

Zmianie? Maddy dobrze wsłuchiwała się w słowo wypowiedziane jej prosto do ucha. Słowo oczekujące żelazną determinacją. I niebezpieczeństwem.

– Mówisz o usunięciu Kaliguli? – zadała kolejne pytanie.

Macro zaklął pod nosem i podskoczył do niej.

– Ty głupia dziewczko! – syknął. – Nie wolno mówić o takich rzeczach na głos.

Bob poruszył się niespokojnie i podszedł do Macro, żeby chronić Maddy.

– Nic się nie stało, Bob. Macro ma rację. – Odwróciła się do dwóch Rzymian. –

Przepraszam... to było nieostrożne.

– Dość niebaczne, tak. – Katon pokiwał głową.

Od desek podłogi odbijał się migocący płomień świecy.

– Powinienem was powiadomić, iż jesteście w wielkim niebezpieczeństwie – ciągnął pretorianin. – Kolegia szybko dowiedzą się gdzie mieszkacie, a potem pojawią się tutaj w większej sile. Sami rozumiecie... gra idzie tu o reputację. Reputacja to dla nich wszystko. – Odwrócił się do Boba. – Zechcą nabić twą głowę na włócznię i wysłać jasne ostrzeżenie wszystkim mieszkańcom dzielnicy.

– To im się nie uda – rzeczowo odpowiedział Bob.

Macro chrząknął z aprobatą i uśmiechnął się.

– Zuch chłopak.

– Pokonanie dwunastu zakapiorów to imponujący wyczyn, ale teraz zbiorą tyłu żądnych krwi raptusów, ile będzie trzeba, żeby cię pokonać. – Katon gestem wskazał pozostałych. – Albo dla przykładu zabiją jedno z twoich przyjaciół.

Liam odwrócił się do pozostałych.

– Grhm... wcale mi się to nie podoba – mruknął po angielsku, przetykając ślinę.

– Co ci się nie podoba? – spytała Sal, przenosząc wzrok z niego na Maddy. – Maddy? Co oni gadają?

Amerykanka zignorowała koleżankę.

– Trzeba wam opuścić ten dom, ukryję was w bezpiecznym miejscu. Daleko stąd... tam będziemy mogli porozmawiać swobodniej – rzekł Katon.

– Porozmawiać o czym?

Żołnierz spojrzał na Boba.

– O zapłacie.

– Zapłacie? – Bob burknął głębokim basem. – Wyjaśnij.

Katon wzruszył ramionami.

– Dostaniecie złoto. Dużo złota, jeśli wam się powiedzie.

– Nie potrzebuję złota – odparł Bob.
– Oczywiście, że potrzebuje – przerwała im Maddy. – Pójdziemy z tobą.
Katon uniósł brew, po czym ponownie spojrzął na Boba.
– Z woźnicą gadam czy jego kobyłą?
Bob przekrzywił głowę, zastanawiając się nad znaczeniem osobliwej przenośni.
– Ta dziewczka zawsze podejmuje za ciebie wszystkie decyzje? – doprecyzował.
– Potwierdzam. Pozostałych dwoje również.
– Ach, jesteś ich niewolnikiem.
– Zaprzeczam. Jestem ich jednostką pomocniczą.
– Dobrze, pójdziemy z wami – przerwała im Maddy – ale interesują nas informacje, nie złoto.
– Złoto was nie interesuje? Uważajcie, bo uwierzę – zakpił Macro. – Złoto interesuje wszystkich.
– Jakie informacje? – spytał Katon.
– Siedemnaście lat temu wydarzyło się coś ważnego. Tutaj, w Rzymie.
Macro i Katon wymienili się spojrzeniami.
– Mówisz zapewne o Gościach.
– Goście! Właśnie. Ich szukamy – powiedziała Maddy. – Musicie nam opowiedzieć wszystko, co o nich wiecie.
Trybun zaśmiał się sucho.
– Po całym Rzymie krążą sprzeczne plotki i historie na temat tamtego dnia, a każda z tych powtarzanych opowieści jest inna niż poprzednia. Większość z nich to wyssane z palca, zabobonne mity rozpowszechniane przez popleczników Kaliguli.
– Historyjki dla niedorostków i naiwnych głupców – dodał Macro.
– Ktoś przybył tutaj siedemnaście lat temu – powiedziała Maddy. – Ktoś nie z tego świata.
Katon popatrzył na nią przeciągle.
– Skąd jesteś tego taka pewna?
– Coś się wydarzyło, prawda? Coś, czego nie można wyjaśnić. Coś, czym posłużył się Kaligula, żeby przekonać ludzi, że jest bogiem. – Do głowy przyszło jej kolejne pytanie. – Czy mniej więcej w tamtym okresie nagle nabył... moce? Specjalne umiejętności? Może w jego ręce trafił jakiś przyrząd, instrument, broń? Dlaczego właściwie tak długo utrzymuje się u władzy?
Mężczyźni znowu nabrali wody w usta. Rozmowa na takie tematy wymagała ostrożności.
– Dlaczego ktoś go nie zastąpił? Nie próbował go zamordować? – nie dawała za wygraną Maddy.
Sal w ciemności ścisnęła jej rękę, dając w ten sposób znak, że coś zauważyła. Maddy też wychwyciła to wzrokiem: ukradkowe zer-knięcie obu Rzymian na Boba.
„Jednostka pomocnicza”.
– Widzieliście już kiedyś kogoś podobnego. – Odgadła Maddy, wskazując klona. – Kogoś ludzaco podobnego do Boba? Mam rację?
– Nie – stanowczo odparł Katon, po czym dodał: – Nie z wyglądu... jeżeli wszakże mój przyjaciel Macro nie przesadzał, opowiadając o walce, która rozegrała się dzisiaj popołudniu...
– Na własne oczy widziałem, jak dostał śmiertelny sztych,
Katonie. Rozplatali mu tułów. – Macro podszedł do Boba. – Tutaj... na tunice wciąż jest krew!
Bob odwrócił się, żeby ukryć przed ich wzrokiem ciemną plamę.
– Dlaczego im nie pokażesz? – spytał Liam. – Niech zobaczą!

– Tak, to dobry pomysł... Bob, pokaż im ranę. Podnieś tunikę – ponagliła Maddy.

Klon sięgnął za brzeg tkaniny i powoli uniósł ją w górę, pod materiałem najpierw ukazała się górna krawędź spodni, atletycznie zarysowane mięśnie brzucha, a na końcu blizna po ranie przypominającej pomarszczone wargi, wciąż była otwarta, czerwona i oblepiona skorupką zakrzepłej krwi. Powoli odwrócił się, żeby pokazać im plecy i ranę wylotową.

– Powinien był paść na miejscu – rzekł Macro. – Ostrze przeszło na wylot. Gadamy z trupem!

– To jeden z nich. – Katon pokiwał głową.

– Z nich? – Maddy ze zdziwieniem przekrzywiła głowę. – Powiedziałeś o nich?

Katon wciąż z niedowierzaniem wpatrywał się w Boba.

– Widzieliście podobne istoty? – dopytywała Maddy. – Widzieliście ludzi jak Bob?

– Tak – potwierdził Katon. – Nazywamy ich Kamiennymi Ludźmi. Strzegą Kaliguli dzień i noc.

ROZDZIAŁ 42

Rzym
54 rok naszej ery

– Kim, na bogów, są ci ludzie?

Liam poczuł, że nie są tu do końca mile widziani. Powitał ich mały, szczupły mężczyzna, owinięty jedynie ciasno zawiązanym wokół wąskiej talii ręcznikiem. Fałdy cienkiej jak pergamin skóry luźno zwisały z szyi starca i marszczyły się wokół jego gruzłowatych kolan.

– Groziło im niebezpieczeństwo, Krassusie! – odpowiedział

Katon, wprowadzając ich do atrium w willi senatora.

– No i cóż z tego? To nie przytułek dla bezdomnych włóczęgów!

– Mogą nam pomóc, drogi Krassusie. – Katon wskazał Boba. – Szczególnie ten.

– Bogowie... – wymamrotał Krassus, omiatając wzrokiem postać kolosa. – To istny tytan!

– Do tego szybki, bardzo szybki tytan – uzupełnił Macro.

Stary senator skinął głową i odwrócił się do Katona.

– Ale żebyście nachodzili mnie o takiej porze? Nocą? Szpiedzy Kaliguli węszą wszędzie! Przychodząc do mojego domu o tej godzinie, ściągacie mi na głowę kłopoty! – Krassus wyglądał na lekko zadyszanego. – Nie widzicie, że biorę kąpiel? Nie wiem, z czym przychodzicie, ale z pewnością może to poczekać do jutra rana.

– Musimy porozmawiać, Krassusie. – Ton Katona nie pozostawiał złudzeń co do pilności interesu. – To ważna sprawa.

Krassus powoli pokiwał głową.

– Dobrze. – Machnięciem dłoni odpędził od siebie niewolnika, który nawilżał jego nogi i stopy olejkami. – Zmiataj, Tosca. – Uśmiechnął się. – Sam to dokończę, dziękuję. – Odczekał aż niewolnik się oddali, a on i jego niespodziewani goście zostaną w atrium sami. Wyjął nogi z ustawionej na podłodze miski i poczłapał na bosaka w stronę krzeseł, zostawiając na chłodnej granitowej posadzce mokre ślady stóp.

– Katonie... – podjął ostrożnie, zerkając na Boba i pozostałych. – Jeśli ta „sprawa” wymaga rozmowy w ustronnym miejscu, to powinniśmy...

– Ten gigant – Katon wskazał Boba – to Kamienny Człowiek.

– Nie, no błagam.

– Katon mówi prawdę – burknął Macro. – Na własne oczy widziałem, jak ten człek walczy. Przyjął cios, który powaliłby najtęższego męża. – Odwrócił się, by spojrzeć na Boba. – Pokażesz mu?

Bob zerknął na Liama, który skinął głową.

– Śmiało – mruknął Irlandczyk. – Nic się nie stanie, jeśli jemu też to pokażesz.

Bob zadarł tunikę i pokazał piętnastocentymetrową, postrzępioną bliznę biegnącą wzdłuż klatki piersiowej.

– Miecz wszedł po rękojęć i wyszedł z drugiej strony – powiedział Macro. – Wiele razy widziałem takie rany. Człek albo ginie na miejscu, albo umiera z wycieńczenia po kilku godzinach.

Krassus, powłócząc rachitycznymi nogami, podszedł do Boba, jedną dłonią na wszelki wypadek przytrzymał ręcznik, drugą wyciągnął w kierunku klona i delikatnie przebiegł palcami wzdłuż zasklepionej blizny. – To musi być stara rana.

– Walka rozegrała się dzisiaj popołudniu – doprecyzował Katon.
Macro potwierdził skinieniem głowy.
– Powalił dwunastu drabów z kolegium Varelius z taką łatwością, jakby rozpętał suburską dzieciarnię.
Krassus jeszcze raz popatrzył na ranę, po czym podniósł wzrok i przyjrzał się twarzy Boba.

– Czy ten potwór mówi czasem?
Szare oczy Boba spoczęły na starcu.
– Oczywiście, że mówię. – Głęboki bas klona wprowadził stojącą obok wazę w lekkie wibracje przywodzące na myśl drganie strun lutni.
– Czy... czy jesteś człowiekiem z kamienia?
Bob ponownie spojrzął na Liama i Maddy.
– Śmiało – zachęciła Maddy – powiedz im, kim jesteś.
– Jestem jednostką pomocniczą. Genetycznie zmodyfikowaną formą życia z zaawansowanym modulem adaptacyjnej sztucznej inteligencji. Potrafię osiągnąć współczynnik siły do masy ciała na poziomie siedemset procent.
Krassus potrząsnął głową.
– Nie rozumiem słów, których używasz.
– To znaczy – wyjaśnił Liam – że jest siedem razy silniejszy od zwykłego człowieka.
Krassus, który i tak gapił się na nich wybałuszonymi oczami, teraz otworzył je jeszcze szerzej.
– W mój organizm wszczepiono zaawansowane systemy regeneracji i minimalizowania uszkodzeń. W żyłach płynie krew z substancją zagęszczającą, która uaktywnia się w momencie kontaktu z powietrzem. Wysokie stężenie erytrocytów w komórkach zapewnia bogate w tlen...
– To znaczy, że praktycznie nie można go zabić.
Szczęka przerażonego Krassusa opadła.
– Przyprowadziłeś do mnie potwora Kaliguli...?
– Nie! Nie należy do straży pałacowej – uspokoił go Katon. – Jest nowy. Tak jak jego towarzysze. Dopiero przybyli do miasta.
Kaprave i wąziutkie jak szparki oczy Krassusa zwężyły się jeszcze bardziej.
– Przybyli? Skąd?
– Ty tam byłeś, Krassusie. – Katon zniżył głos. – Pamiętasz dzień, o którym wciąż opowiadają akolici i kapłani Kaliguli. Nie raz zwierzałeś mi się, że byłeś w amfiteatrze Statiliusza Taurusa siedemnaście lat temu. Jesteś Wybrańcem, widziałeś wszystko na własne oczy!
Krassus spokojnie pokiwał głową.
– Tak. Ja... jestem Świadkiem – odparł głucho, nie odrywając wzroku od Boba. – Właściwie nigdy nie zrozumiałem, cośmy wszyscy tam widzieli. Prawdę mówiąc, Katonie, daleko mi do wiary w bogów czy głupawe proroctwa cesarza.
– Oczywiście. – Katon uśmiechnął się nieznacznie.
– Nie potrafię wszak inaczej wytłumaczyć sobie tych... odwiedzin.
– A ja tak, Krassusie – przerwał mu Katon. – Ci nieznajomi to rodacy Gości. Przybyli z tego samego miejsca, co oni.
– Tego samego miejsca...? – Oddech staruszka zrobił się jeszcze płytszy.
– Nie mówię o żadnym niebie, Krassusie, o nie. Dziwne to jednak miejsce.
Krassus znowu wyciągnął dłoń i dotknął zasklepiającej się rany. Starzec popatrzył na

twarz Boba, na wypukłe czoło rzucające cień na głęboko osadzone oczy, szczękę sterczącą niczym dziób triremy. Masywne, jakby wyrzeźbione w kamieniu, kości policzkowe.

Usta Krassusa były suche, stare oczy lśniły.

– A ty? – spytał Boba. – Jesteś panem własnego losu? Nie masz nad sobą nikogo?

– Wypełniam rozkazy Liama O’Connora, Madelaine Carter

i Saleeny Vikram – odpowiedział. – To moja drużyna.

– Więc... nie jesteś Kamiennym Człowiekiem Kaliguli – nie jesteś jednym z nich?

– Nie rozumiem tego pytania. Kim są „oni”?

Krassus wymienił ukradkowe spojrzenie z Katonem. Obaj jednocześnie i niemal niezauważalnie skinęli głowami w zgodnej decyzji.

– To Goście.

Krassus wydzielił dla nich kilka cubiculów – wygodnych pokoi gościnnych – w jednym ze skrzydeł swojej wille. Przez małe kwadratowe okienka z żelaznymi kratami sączyły się pierwsze blade promienie świtu. Rzym spał snem sprawiedliwego, słychać było tylko poćwierkiwanie niecierpliwie wyglądających świtu wróbla oraz skrzypienie kół wozu kupieckiego, który leniwie toczył się po miejskim bruku. W niebieskoszarym mroku odchodzącej nocy cała czwórka siedziała na lniano-jedwabnych posłaniach. Wcześniej Maddy i pozostali przysłuchiwali się kilkugodzinnej rozmowie starca, Krassusa, z trybunem pretorianów, Katonem. Mężczyźni nieostrożnie i zapalczywie perorowali o konieczności położenia kresu rządów tyrańca Kaliguli, zanim okaże się, że jest za późno.

Jeźdźcy w Czasie dowiedzieli się, że Krassus był jednym z nielicznych członków rozwiązanego senatu, którym udało się ocalić życie. Lata czystek i proskrypcji wytrzebiły polityczną elitę Rzymu. Krassus przeżył tylko dzięki temu, że był przebiegłym i wyrachowanym politykiem, potrafiącym chronić własną skórę i interesy. Przeżył też dlatego, że jako jeden z nielicznych rozumiał, że pozycji i autorytetu cesarza nie można podważyć, zakwestionować. Skwapliwie i publicznie poparł więc wydany przez Kaligulę dekret, na mocy którego senat miał ulec samorozwiązaniu.

Słuchali, jak starzec wylewa swoje żale. Każdy silny, moralny człowiek – jak powiedział – powinien być stanąć wiernie u boku innych senatorów i wspólnie z nimi głośno wyrazić swoje oburzenie. Ale jego wyostrzony instynkt polityczny pozwolił mu doskonale przewidzieć zamiary Kaliguli. Cesarski dekret był raczej mało subtelną próbą wyluskania najkrnąbrniejszych senatorów, którzy jako pierwsi pójdą na pożarcie lwom. Razem ze swoimi rodzinami.

– Nie jestem odważnym człowiekiem – wyjaśniał. – Mam zdecydowanie za słabe nerwy na takie gesty. Odwaga to domena młodych mężczyzn... albo konających starców.

Markowi Korneliuszowi Krassusowi udało się ocalić życie, dom i bogactwo, ponieważ z garstką równie przebiegłych starców we właściwym czasie postawił na właściwego konia. Piętnaście lat temu

w porę udało mu się zdystansować od nieudolnie zaplanowanego zamachu na życie Kaliguli. Przeżył, bo gorliwie wychwalał kolejne dekrety cesarskie, schlebiał władcy przy każdej sposobności, nie ziewał podczas nudnych jak flaki z olejem wystąpień recytatorskich i entuzjastycznie bił brawo, kiedy cesarz rozprawiał się z podstawionymi przeciwnikami, demonstrując przy tym swe groteskowe umiejętności gladiatorskie. Ale co najważniejsze, nigdy nie zapominał, że cesarz łaknie hojnych datków.

Krassus wciąż żył i pozostawał u łask, ponieważ zawsze gdy Kaligula prosił o radę, szeptał mu do ucha dokładnie to, co w głębi duszy cesarz chciał usłyszeć.

– Od czasu tej nieudanej próby zamachu zawsze miałem nadzieję, że Kaligula w końcu umrze – opowiadał senator. – Podejrzywałem, że albo zabije się przypadkiem, albo popełni

samobójstwo w przypływie czarnej melancholii, która niczym morskie przypływy okresowo zalewa jego duszę. Ale dzień objawienia – dzień, w którym bogowie, prawdziwi czy też nie, pojawili się w amfiteatrze – nazaczył jego los. Przynajmniej w jego własnym mniemaniu. Poniewczasie zrozumiałem, że Kaligula zniszczy Rzym dużo szybciej niż samego siebie. – Krassus uśmiechnął się smutno. – W ostatnich dniach swego życia pragnę odnaleźć w sobie przymioty, których mój przyjaciel Katon ma pod dostatkiem.

Kwintusz Licyniusz Katon, jak się dowiedzieli, był trybunem gwardii pretoriańskiej. Synem niewolnika sądowego, któremu dawno temu obiecano wolność pod warunkiem, że zaciągnie się do armii. Służył w Drugim Legionie stacjonującym przy ustanowionej na Renie granicy. Przez wiele lat strzegł zachodniego brzegu rzeki Ren, walcząc ramię w ramię z obecnym tu Macro. Był to rozciągnięty odcinek rzymskiej *limes* – systemu umocnień granicznych wstrzymujących napór barbarzyńskich hord ze wschodu, które niczym wataha wygłodniałych psów wyniuchała, że pod rządami cesarza Kaliguli Rzym znalazł się na krawędzi upadku.

Pomimo trudnych początków Katon wielokrotnie wykazał się w walce. Był zdolny i bystry. Maddy wyczuła, że Macro patrzy na swojego starego towarzysza z odrobiną ojcowskiej dumy. Dało się to wyczuć, gdy na śmierć zanudzali Krassusa pikantnymi anegdotkami o życiu w Drugim Legionie, opowieściami o heroicznych atakach ariergardy i śmiałych misjach pacyfikacyjnych. Wszystko to zdawało się fascynować Liama.

Obserwowała Liama, kiedy Macro mówił, że jego młody przyjaciel, Katon, dołączył do Drugiego jako szesnastoletni młokos. Wychuchany, wykształcony, bladolicy i chudy jak chart niewolnik sądowy nie rokował. Ciężko było uwierzyć, że poradzi sobie z trudami i niedostatkami życia w obozie.

– Kiedy pierwszy raz ujrzałem młodego Katona, pomyślałem, że to chuchro na nic się nam nie przyda – mówił Macro. – Wyglądał, jakby mocniejsze pierdnięcie miało go wyrwać z butów i zawiąć do Bajów.

Usłyszawszy to, Liam parsknął niepohamowanym śmiechem.

– Ale z czasem wyrósł na doskonałego żołnierza... a później na doskonałego oficera. – Macro oddał sprawiedliwość przyjacielowi.

Dowiedzieli się, że dziesięć lat temu Macro odsłużył swoje i opuścił Drugi Legion z pokaźną odprawą, którą zainwestował w starą kamienicę na Suburze. W tym samym mniej więcej czasie Katon dostał propozycję od samego prefekta gwardii pretoriańskiej, w której zawsze znajdowało się miejsce dla wybitnie uzdolnionych oficerów.

Wreszcie – zostawiając w atrium chrapiącego potężnie Macro, którego ululało wino Krassusa – Katon pożegnał gospodarza i udał się na spoczynek. Jutro on i Krassus mieli przedstawić im „pozostałych”. Niewolnik zaprowadził ich do wyznaczonych kwater, w których teraz się znajdowali.

– Kamienni Ludzie to jednostki pomocnicze – stwierdziła Maddy. – To pewne.

– A Kaligula ma tuzin takich osobistych strażników – dodał Liam.

– Ale dlaczego chronią Kaligulę? – spytała Maddy. – Ktoś musiał ich do tego zaprogramować.

– Potwierdzam.

Sal skrzywiła się, na jej twarzy malowało się niedowierzenie pomieszane z rozbawieniem.

– Chcesz nam powiedzieć, że Kaligula zhakował ich kod? Przeprogramował?

– Nie, oczywiście, że nie! Ale...

– Może... sam nie wiem, może ten Kaligula to nie Kaligula – powiedział Liam. Cała trójka popatrzyła na niego, jakby właśnie głośno beknął. Powiódł wzrokiem po ich twarzach i wzruszył ramionami. – Co znowu? Co się tak gapicie?

ROZDZIAŁ 43

Pałac Imperatora, Rzym
54 rok naszej ery

Latem nigdy nie potrafił wypaść się jak należy, nawet gdy był dzieckiem. Kaligula przypominał sobie niespokojne letnie noce spędzane w kwaterze ojca, podczas których przysłuchiwał się odgłosom obozowiska wlewającym się przez drzwi namiotu, bo w trakcie letnich kampanii legiony nigdy nie zasypiały. Uśmiechnął się refleksyjnie – połowę dzieciństwa spędził w niezliczonych obozach wojskowych. Był wówczas kimś zupełnie innym. Małym chłopcem zafascynowanym tym, czym każdy mały chłopiec: olbrzymimi, górującymi nad nim żołnierzami, zbrojami i mieczami. W namiocie swego ojca, Germanika, rozgrywał te same co on bitwy, przedstawiając armie drewnianych żołnierzyków, które wyrzeźbili dla niego żołnierze. Kochali go. Był maskotką legionu. Bucikiem.

Omiótł wzrokiem panoramę Rzymu, spokojnej, spowitej mrokiem stolicy.

„Teraz jestem kimś innym. Tamtego chłopca już nie ma”.

Kiedyś, dawno temu, miasto zdawało mu się ogromne: stanowiło centrum cywilizowanego świata. Teraz widział tylko nieprzebrany labirynt brudnych dachów, daleko na horyzoncie wznosiły się monumentalne, wciąż nieukończone, schody do nieba. Jedyne piękny element krajobrazu.

Wzrok przykuwało granatowe niebo usiane pajęczyną błyszczących gwiazd i duchami srebrno-niebieskich chmur mknących jedna za drugą w blasku księżyca. Ostatnimi dniami coraz częściej wpatrywał się w niebo, zwłaszcza podczas pochmurnych dni. Wysoko ponad tumanem obłoków wypatrywał rąbka niebiańskiego świata.

„Mojego przyszłego domu”.

„Mojego królestwa”.

Odszedł od okna, znudzony obserwacją miasta. Irytował go sam widok metropolii. Będzie bogiem... nie jakimś tam bóstwem, ale prawdziwym, jedynym bogiem, choć już bez końca czeka na odwiedziny w królestwie niebieskim.

„Jestem bogiem. Czy nie mogę po prostu pomyśleć życzenia... i się tam udać?”.

Kaligula potrząsnął głową. Nie potrafił znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Choć z drugiej strony jego przeobrażenie w bóstwo, „wniebowstąpienie”, dopiero go czekają. A kiedy to już nastąpi, spłyną na niego boskie moce. Wystarczy, że czegoś zapragnie... a to się wydarzy.

A będzie pragnął tylko dobrych rzeczy. Cudownych rzeczy. Natychmiast obsypie Rzym bogactwem i prezentami. Wynagrodzi swych wiernych wyznawców korowodem eunuchów i dziewic, sprawi, że z fontann trysną najlepsze wina. Ześle obfite plony, spichlerze będą pękać w szwach od ton kukurydzy i pszenicy. Nikt nigdy nie będzie już chodził głodny. Och, wy zrzędlive niedowiarki, niebawem na własne oczy ujrzycie te wszystkie cuda.

Tak. Nie zazna litości dla swoich wrogów. Skaże ich na wieczne udreki, wieczną agonię. Pokarze ich ospą, trądem, a potem zesle na ziemię hordy demonów o gargulczych paszczach, żeby dźgały ropiejące rany bezbożników ostrymi, zahartowanymi w płomieniach, dymiącymi kijami.

„Ach, głupota ludzka nie zna granic – pomyślał, potrząsając głową. – Jak można we mnie wątpić? Przylecieli po mnie. Zstąpili z niebios... by do mnie przemówić”.

Niewierzący są ślepcami. Nie widzą oczywistej prawdy. Właśnie dlatego uznał, że głupcy, którzy wiele lat temu ważyli porwać się na jego życie, nie potrzebują już oczu. Ilu ich

było? Pięciuset? Sześciuset? Później dowiedział się, że większość z nich nie miała pojęcia o planowanym zamachu na jego życie. Ale czyż żona i dzieci konspiratora nie są współwinni przestępstwa?

Dlatego właśnie pewnego dnia na marmurowej posadzce jego pałacu wyrosła hałda usypana z ponad tysiąca zakrwawionych gałek ocznych. Zmasakrowane zwłoki ofiar posłużyły za nawóz do ogrodów pałacowych.

Pogrążony w rozmyślaniach Kaligula na bosaka przeszedł z sypialni do głównego atrium. Przed drzwiami komnaty stali strażnicy, jedni z nielicznych ludzi, którym mógł całkowicie zaufać.

– Parna noc, co... Stern?

„Stern”. Co za dziwne imię. Kaligula próbował obdarzyć swych strażników nowymi przydomkami, lecz oni reagowali tylko na wcześniej nadane imiona.

– Potwierdzam. Temperatura jest o stopień wyższa niż zeszłej nocy.

Kaligula uśmiechnął się i kiwnął głową. Czasami Stern i inni wprawiali go w zakłopotanie. Nie rozumiał słów, których używali. Był wszakże pewien, że gdy już przeistoczy się w boga, pojmie ich znaczenie, nauczy się dziwnego języka, którym od czasu do czasu posługiwali się Stern i inni strażnicy.

„Już niebawem”.

– Przespacerujesz się ze mną?

Stern potwierdził skinieniem głowy. Kaligula z podziwem patrzył na wyrzeźbione rysy mężczyzny, fascynującą oliwkowozieloną zbroję, którą nosił on i jego ludzie – lekką, a jednocześnie mocną i odporną. No i te ich dziwne hełmy.

– Potwierdzam – odparł Stern. Posługiwał się doskonałą łaciną, choć mimo upływu lat nie zdołał pozbyć się obcego akcentu.

Kaligula niespokojnym krokiem ruszył przez atrium w stronę głównego korytarza. Trzy kroki za nim posłusznie kroczył Stern, jego buty delikatnie stukwały o ziemię, a zbroja dyskretnie pobrzmiwała w ciszy pałacu.

– Czy ty kiedykolwiek śnisz, Stern?

– Zaprzeczam.

– Nie masz pragnień? Marzeń? Niczego nie pożądasz?

– Zaprzeczam. Mam tylko cele misji, które należy zrealizować. To wszystko.

Kaligula odwrócił się i uśmiechnął z ciekawości.

– Ty i twoi ludzie nieodmiennie stanowicie dla mnie zagadkę, Stern. Nigdy nie spotkałem nikogo wam podobnego. Nie okazujecie słabości właściwej innym ludziom, innym żołnierzom. Nigdy nie widziałem, żebyście spali – powiedział ze śmiechem – albo pili.

– To nie jest wymóg misji.

To prawda, nigdy nie widział ich pogrążonych w zwykłym śnie, lecz czasem Stern i jego ludzie pogrążali się w swoistym transie, medytacji. Kaliguli często zdarzało się zaglądać do pałacowych kwater, które przydzielił im lata temu. Widział wtedy, jak cała dwunastka siedzi na krawędziach swoich pryczy sztywno jakby połknęli ość i niemo wpatruje się w przestrzeń. Zupełnie nie przypominało to żołnierskich kwater, w których przebywał za młodu: tam unosił się smród stęchłego potu i taniego cienkusza, rozbrzmiewały ochryple śmiechy mężczyzn odprężających się po służbie, brzęk kości toczących się po stole, podniesione głosy przegranych przeklinających zły los. Sprośne opowieści i ordynarne bluźnierstwa.

Z wyrazem czułości położył dłoń na mocnym karku Sterna.

– Ach, gdyby tylko wszyscy żołnierze byli tak posłuszni i lojalni jak ty.

Stern utkwiał w nim swoje stalowe oczy. Nic nie odpowiedział.

– Ale ty nie jesteś przecież zwykłym człowiekiem, czyż nie?

– Potwierdzam. – Stern kilka razy wyjaśniał mu, czym w istocie jest on i jego towarzysze, za każdym razem zalewając Kaligulę potokiem słów, których ten nie był w stanie zrozumieć, nawet jeśli miał pewność, że wkrótce się to zmieni. Tak, miał pewność, że niebawem pozna ten język aniołów – pełen zagadek i tajemnic.

– Jesteś zupełnie jak ja – powiedział Kaligula. – Nie należysz do tego świata... tego szarego, nudnego świata. Pochodzisz ze znacznie wspanialszego, cudowniejszego miejsca. Spoza tej rzeczywistości.

– Potwierdzam. Nie jesteśmy z tej epoki.

Cesarz delikatnie ścisnął kark Sterna, czując pod palcami fałdy mocnych mięśni. Stern i jego ludzie byli niewiarygodnie potężni jak na swój rozmiar. I niesamowicie zwinni. Okazali się wspaniałymi gladiatorami. Niepokonanymi szermierzami. Swych sił próbowali wojownicy ze wszystkich rzymskich *ludi* – prywatnych szkół gladiatorów – ale żaden z nich nie zdołał pokonać choć jednego z żołnierzy Sterna. Raz, jeden jedyny raz, najslawniejszy gladiator z *ludus* w Kapui – mirmillo – zdołał przeciąć przedramię jednego z gwardzistów Sterna. Ale choć strażnikowi została tylko jedna sprawna ręka, zdołał dopaść utalentowanego gladiatora. Strzaskał biedakowi kark, choć ten dźgał go bezustannie końcówką swego gladiusa. Kaligula od czasu do czasu fundował plebsowi tego rodzaju publiczne igrzyska: darmową walkę i darmową rozrywkę. Miało to też przypominać ludziom, w których głowach kotłowały się nie-dorzeczne pomysły, że jego strażnicy – jego *Viri Lapidei*, jego Kamienni Ludzie – są niezwyciężeni. Tamtego dnia mirmillo zmarł, a walczący jedną ręką żołnierz Sterna po kilku dniach odzyskał pełną sprawność.

Zatrzymali się w połowie długiego korytarza oświetlonego migocącymi płomieniami kilku pochodni. Wisząca po lewej stronie zasłona poruszyła się nieznacznie. Kaligula odsunął kotarę, odsłaniając wejście do krótkiego korytarzyka, na którego końcu znajdowała się para grubych drewnianych drzwi zaryglowanych masywną deską. Obok wejścia na baczność stali dwaj Kamienni Ludzie.

– Pójdę odwiedzić wyrocznię.

Stern pokiwał głową na znak, że rozumie.

Bose stopy Kaliguli cicho płaskały na gładkiej posadzce. Dwaj strażnicy patrzyli na zmierzającego ku nim Kaligulę beznamiętnym wzrokiem stalowych oczu. Przesunęli rygiel i mocno pchnęli ciężkie drzwi, za którymi ukazał się pograżony w nieprzeniknionej ciemności pokój. Kaligula sięgnął po łożową świecę i odpalił ją od jednej z pochodni.

Nie musiał instruować strażników, żeby nie wchodzili za nim do środka. Doskonale wiedzieli, że ciemnica za drzwiami to enklawa Kaliguli. Nikt nie miał tu prawa wstępu, nawet Stern i jego ludzie. Wiedzieli też, że zaraz po wejściu Kaliguli do pomieszczenia muszą zamknąć za nim ciężkie odrzwia i nie otwierać ich ponownie, dopóki lekko nie zastuka.

Pod ciężarem starego drzewa zatrzeszczały zawiasy i Kaligula znalazł się w ciemności całkiem sam. Świeca rzucała blask na wyłożoną mozaiką podłogę.

– Obudziłeś się? – Głos popłynął echem po dużej komnacie.

Postąpił krok w ciemność. Była tutaj, przed nim. Za chwilę płomień świecy wychwyci jej zarys.

– Znów nie mogę zmrużyć oka. – Głos Kaliguli odbił się echem od gołych ścian. – A ty? Co z tobą?

Płomień świecy padł na drewnianą klatkę ustawioną na środku komnaty. Klatkę, podobnie jak drzwi, zbudowano z grubego drewna i wzmocniono metalowymi klamrami. Nie musiał podchodzić bliżej, żeby poczuć ten zapach. Ohydny smród. Podobny do fetoru przeludnionych ulic Subury.

– Wstałeś, nicponiu?

W skrzyni coś się poruszyło, wierzgnęło niespokojnie jak uwięziony w klatce tygrys.

ROZDZIAŁ 44

Rzym
54 rok naszej ery

Koniec końców Krassusowi i Katonowi zajęło kilka dni, aby zaaranżować spotkanie z resztą spiskowców. Krassus, zachowując niezbędne środki ostrożności, zaprosił do siebie dwóch byłych senatorów, Cyncerona i Paulusa. Podobnie jak Krassus obaj byli już w podeszłym wieku i tak jak on życie zawdzięczali swej przenikliwości politycznej, w porę wycofali się bowiem z udaremnionego zamachu na życie Kaliguli.

Katon przyprowadził ze sobą zaufanego centuriona ze swojej kohorty – gwardii pałacowej. Żołnierz zwał się Fronto i był to muskularny osiłek tuż po trzydziestce. Wzdłuż lewego policzka mężczyzny biegła blizna, a gdy otwierał usta okazywało się, że nie miał też po tej stronie żadnych zębów. Kolejny spiskowiec, Atellus, podobnie jak Katon piastował funkcję trybuna, lecz służył w innym legionie, Dziesiątym. I podobnie jak Katon był dobiegającym czterdziestki, muskularnym, acz szczupłym oficerem, którego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

Nie zabrakło też oczywiście starego i zaufanego przyjaciela Katona, emerytowanego centuriona Macro. Zgromadziło się więc siedmiu odważnych mężczyzn gotowych przedyskutować plan zamordowania władcy, który w zastraszającym tempie wiódł Rzym – jedyne światelko cywilizacji w mrokach barbarzyństwa – na skraj przepaści.

– Ufam, że rozumiesz, jakie niebezpieczeństwo wiąże się z faktem, że przebywamy razem w jednym pokoju? – powiedział Cynceron. Mówił o sobie, Paulusie i Krassusie. Szpieczy Kaliguli donosili cesarzowi o wszystkich potajemnych spotkaniach garstki polityków, którzy ocalili po serii proskrypcji. – A ty zaprosiłeś nas tutaj... razem z tymi kompletnie obcymi ludźmi! To mogą być...

– To nie szpieczy, Cynceronie. To niemożliwe – uspokoił go Krassus. – Zbyt różnią się z tłumu. – Wzruszył ramionami. – Dlatego goszczą w moim domu, dlatego ich tu ukrywam – poza zasięgiem wścibskich oczu i mielących jęzorów.

Plotki szybko roznosiły się po wąskich uliczkach i kamienicach biedniejszych dzielnic Rzymu, plotki, które zazwyczaj błyskawicznie docierały do uszu cesarza. Macro szybko zdyskredytował więc opowiadane przez jego lokatorów historie na temat „niezwycięzonego nadczołwieka, który sam jeden w kilka sekund wytłukł całą zbrojną bandę z kolegium”. Wszyscy widzieli, jak Bob otrzymał śmiertelną ranę i jak potraktował ją niczym zwykłe zadrapanie. Macro rozpuścił wśród lokatorów plotkę, że wielkolud zmarł zeszłej nocy w wyniku komplikacji po odniesionej ranie. Niestety, nie był niezwyciężonym obrońcą biednych i zastraszonych, a jedynie dobrym wojownikiem, który podarował gapiom rzadki promyk nadziei i otuchy.

Cynceron omiół ich wzrokiem i skinął wreszcie głową z cichym przyzwoleniem.

– Rzeczywiście, wyglądają dziwnie.

– Co on powiedział? – szeptem spytała Sal. Maddy zbyła ją ruchem dłoni.

– Nie jesteśmy z Rzymu. – Amerykanka coraz sprawniej posługiwała się techniką mamrotania pod nosem, a później powtarzania na głos wyszeptanego do ucha łacińskiego przekładu. – Pochodzimy z innego miejsca, oddalonego o wiele mil.

– Z Brytanii, mówiliście nam już.

– Z Ameryki, żeby być precyzyjnym.

Spiskowcy popatrzyli po sobie. Sal wychwyciła to słowo wśród zalewu łaciny.

- Mówisz im o...
- Ameryka? Nigdy nie słyszałem o tym miejscu – rzekł Katon. – Czy to region Brytanii? Liam posłał Maddy triumfujący uśmiech.
- Nie do końca – odparła z uśmiechem dziewczyna.
- „Ludzie usłyszą o niej dopiero za tysiąc czterysta lat!” – pomyślała.
- Atellus uważnie przyglądał się Bobowi.
- Katonie, twierdzisz, że ten mąż... to Kamienny Człowiek

Kaliguli?

- Nie, nie jest jednym z nich... ale należy do tego samego gatunku – potwierdził Katon.
- Kamienni Ludzie. Oni nas właśnie interesują – powiedziała Maddy.
- Żołnierze z kohorty pałacowej widzą w nich złe duchy – mruknął Fronto. – Boją się przebywać w pobliżu.
- Katon zerknął na Maddy.
- Co was w nich tak bardzo interesuje?
- Spojrzała na Liama. „Ile im można powiedzieć? Ile można zdradzić?”
- Wierzimy, że pochodzą z tej samej krainy co my. Wierzimy, że to ostatnie istoty z grupy przybyszów, którzy pojawili się w Rzymie dawno temu.
- Mówisz o Gościach? – spytał Paulus.
- Maddy potwierdziła skinieniem głowy.
- Słyszeliśmy wiele sprzecznych historii na temat wydarzeń tamtego dnia.
- Ja tam byłem – rzekł Paulus. – Jestem Świadkiem.
- Opowiesz nam, co widziałeś?
- To było tak dawno temu, a ja widziałem wówczas rzeczy, których nie pojmowałem. – Senator wzruszył ramionami i przymknął stare, wilgotne oczy. – Wciąż próbuję zrozumieć co naprawdę wydarzyło się tamtego dnia. Czasem dochodzę nawet do wniosku, że padliśmy ofiarą zbiorowej halucynacji. – Zaśmiał się. – Albo przytruliśmy się kiepskim winem.
- Powiedz mi – naciskała Maddy. – Co widziałeś?
- Była ich może setka. Jak na moje oko wyglądali jak zwykli ludzie: zwyczajni mężczyźni i zwyczajne kobiety. Kamienni Ludzie pełnili rolę ich żołnierzy. Obrońców.
- Jednostki pomocnicze – mruknął Liam po angielsku. Maddy przytaknęła.
- Jeden z nich przemówił do publiki w amfiteatrze. Nieludzko donośnym głosem.
- Pamiętasz, co dokładnie mówił?
- Paulus smutno potrząsnął głową.
- Czasem zdaje mi się, że przypominam sobie fragmenty jego mowy, ale później myślę sobie, że to tylko majaki starczego umysłu.
- Postaraj się... powiedz nam wszystko, co pamiętasz.
- W oczach Paulusa błysnęła wilgoć, gdy próbował sięgnąć pamięcią do tamtych dni i przywołać wyraźne wspomnienia.
- Rzekł, że przynosi wieści... że rzymscy bogowie to okrutny żart, kłamstwo. Dobrze to pamiętam. Powiedział, że istnieje tylko jeden bóg. Tak... na pewno to właśnie rzekł, pamiętam jak pomyślałem wtedy, że ludzko podobny dogmat głoszą wyznawcy dziwnego kultu z Judei.
- Chrześcijaństwa?
- Paulus zmarszczył brwi i dopiero po kilku sekundach skinął głową.
- Tak... tak, chyba właśnie takim mianem się określali. – Podjął opowieść. – Gość powiedział, że przybyli do Rzymu, aby pokazać nam drogę... i powieść do lepszego życia. – Starzec z irytacją potrząsnął głową, próbując odpędzić chmury niepamięci. – Używał słów, których praktycznie nie pamiętam. Słów... próbuję sobie przypomnieć, ale... – Paulus bezradnie

utkwiał wzrok w rękach złożonych na kolanach. – Dziwne to były słowa... podobne do... – Podniósł wzrok na Maddy. – Podobne do słowa, które wyrzekłaś przed chwilą.

– Czyli?

– Ta nazwa krainy, z której jakoby pochodzicie.

– Ameryka?

Paulus ostrożnie ułożył usta i kilka razy wyszeptał pod nosem tę nazwę, aż wreszcie skinął głową.

– Tak, wyrzekł to samo słowo. Ten głos... oznajmił, że przybyli tu, aby podarować nam „amerykański sen”.

Sal, która przysłuchiwała się rozmowie bez babel-buda w uchu, wychwyciła angielską frazę w gąszczu łacińskich zdań.

– Czy on właśnie powiedział „amerykański sen”?

– Mój Boże! Przybyli tu jacyś Amerykanie – powiedziała Maddy, spoglądając na Liama i Sal.

– Amerykanie? – Sal szeroko rozdziawiła buzię. – Shadd-yah! Przypominasz sobie tamtego agenta? Cartwrighta?

„Cartwright”.

Maddy pamiętała aż za dobrze. Był to klasyczny tajniak rodem z serialu „Z archiwum X”: czarny garnitur i ohydny nałóg nikotynowy. Pewnego dnia pojawił się znikąd, pukając do ich drzwi. A razem z nim pracownicy jego ściśle tajnej agencji, komórki, o której istnieniu nie wiedzieli nawet kolejni prezydenci. Tę jednostkę specjalną utworzono po odkryciu tajemniczego kawałka skały. Maddy potrząsnęła głową. Tyci „okruszek” pozostawiony w czasie przez Liama sprawił, że pod ich drzwiami zaroilo się od mężczyzn w garniakach i ciemnych okularach, a niebo nad bazą zasłoniła chmara helikopterów.

– To możliwe, Sal. Przecież nie mamy pojęcia, kto w przyszłości skonstruował wehikuł czasu. To...

– O czym wy dwie tam rozmawiacie? – spytał Krassus.

Maddy wsłuchiwała się w brzęczące w jej uchu łacińskie zdania.

– Przepraszam. Rozmawialiśmy o tym, co właśnie powiedział twój przyjaciel. O słowach Gościa – powiedziała, odwracając się do Paulusa. – Co się później wydarzyło?

– Kaligula zszedł na arenę i podszedł do przybyszy. Wszyscy drżeliśmy o nasze życie. Wybuchła panika. Ale Kaligula, przypominam to sobie bardzo wyraźnie... był niezmiernie spokojny, zupełnie jakby od zawsze wiedział, że to spotkanie zapisano dla niego w gwiazdach. Przemówił do nich. Potem wszedł do gigantycznego rydwanu. Rydwan wzbił się ku niebu...

Krassus się zachnął.

– Istnieją setki sprzecznych relacji. Raz słyszałem, że spod powozu nagle wyłoniły się białe konie i poderwały go w powietrze. Innym razem, że duchy wszystkich istot, które zginęły na scenie amfiteatru, powstały z piasku i...

– Ja za to słyszałem, że machinę uniosła chmara najad – powiedział Fronto. – Pięknych nimf wodnych o długich, srebrnych włosach i idealnie zaokrąglonych...

Katon wywrócił oczami, przeczuwając, że żołnierz zaraz da upust sprośnym skojarzeniom.

– Ani słowa więcej, centurionie – zmytygował go.

– Antygravitacyjne silniki sterujące – półgłosem zadudnił Bob.

Maddy skinęła głową. Startujący statek wzbił tuman pyłu i kurzu. Cała zagadka.

– Proszę kontynuować. – Uśmiechnęła się do starego senatora.

– Rydwany poleciały prosto do cesarskiego pałacu na Palatynie – kontynuował Paulus. – Następnego dnia Kaligula ogłosił na forum, że zostanie bogiem. Goście zstąpili na ziemię, żeby mu to oznajmić, a on od teraz każdą chwilę życia na tym padole poświęci na przygotowanie się do tej roli. Bo pewnego dnia wstąpi do niebios i z wysokości będzie rządzić Rzymem... i całym światem.

– Szaleństwo Kaliguli nasiliło się. Zyskał cel – rzekł Cynceron. – Proskrypcje. Masowe ukrzyżowania. Nowa, zwichrowana religia. Tamtego dnia to wszystko się zaczęło.

– A Goście, rydwany? – spytał Liam. – Co stało się z tym wszystkim?

– Powtarzano opowieści ludzi, którzy później ich widzieli – wyjaśnił Krassus. – Gości, ma się rozumieć. Kaligula ponoć oprowadzał ich po stolicy.

– A rydwany?

Krassus wzruszył ramionami.

– Nigdy nie zobaczono ich ponownie – powiedział Paulus. – Czasem zdaje mi się, że wszyscy byliśmy świadkami jakiejś magicznej sztuczki przygotowanej przez Kaligulę, a te powozy opuszczono na ziemię za pomocą jakiejś skrytej maszyny.

Na chwilę zapadła cisza. W atrium willi Krassusa rozbrzmiała krzątająca domowych niewolników szukających strawę na świeżym powietrzu.

– Ale Kamienni Ludzie istnieli naprawdę – odezwał się Katon. – Byli niebezpieczni. Kaligula postarał się, żeby wszyscy obywatele Rzymu się o tym dowiedzieli. Myślicie, że wasz Kamienny Człowiek mógłby pokonać strażników Kaliguli?

– Prawdopodobnie – zawahała się Maddy.

– Albo choć na chwilę odwrócić ich uwagę? – dopytywał Katon. – To wszystko, czego potrzebuję. Wystarczy mi kilka sekund, by go dopaść. Kilka sekund, by zadać śmiertelny cios. Więcej mi nie trzeba.

– To możliwe – odpowiedziała. – Ale w zamian żądamy pomocy.

Krassus nachylił się do niej.

– Mów, śmiało.

– Te rydwany... musimy je odnaleźć. Czy zostały ukryte gdzieś w Rzymie?

– Wszelki ślad po machinach zagał, nikt ich nie widział od tamtego dnia. Zostali jedynie Kamienni Ludzie.

– Ale – przerwał Katon – w pałacu są zakamarki i komnaty, do których nie ma dostępu nikt poza Kaligulą. – Pozostali Rzymianie spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Maddy uznała, że nic o tym

wcześniej nie słyszeli. – Wydał mi bardzo jasne instrukcje dotyczące rozmieszczania gwardzistów na terenie pałacu. Do niektórych komnat nikt poza nim nie ma wstępu.

– Są wystarczająco duże, żeby ukryć w nich rydwany?

– Kompleks cesarski jest rozległy, a i w samym pałacu to możliwe... tak. Widziałem wzmocnione drzwi, przy których straż trzymają Kamienni Ludzie. Może tam coś znajdziecie.

Maddy przez chwilę w zamyśleniu głąskała podbródek.

– Mhm. Zatem będziemy mogli sobie wzajemnie pomóc.

Katon odwrócił się do Krassusa i pozostałych. Wszyscy z przyzwoleniem skinęli głowami.

Sal delikatnie musnęła rękę przyjaciółki.

– Powiesz mi łaskawie, w co się właśnie wpakowaliśmy?

ROZDZIAŁ 45

Rzym
54 rok naszej ery

Dwaj senatorowie powrócili do swoich willi w dzielnicy greckiej. Atellus udał się natomiast w drogę powrotną do swojego legionu stacjonującego poza granicami miasta.

Maddy i Liam siedzieli w cieniu portyku, patrząc jak Macro i Fronto ćwiczą na dziedzińcu z Bobem przy użyciu drewnianych mieczy. Krassus zarechotał, a Sal pisnęła z zachwytu, widząc jak centurion i były centurion chybili tułowia Boba i nie zapunktowali.

– Wasz Kamienny Człowiek jest strasznie szybki – skomentował Katon.

– Najszybszy – z dumą odparła Maddy.

– Nie raz uratował mi życie – dodał Liam. – Bob wart jest całego oddziału wojska.

– Powiedzcie... – Katon nachylił się nieznacznie. – W jakimż to dziwnym języku wciąż szepczecie?

– To znaczy, gdy mówimy do siebie po cichu?

– Tak.

Zaśmiała się.

– Myślisz pewnie, że jesteśmy kompletnymi obłąkańcami skoro do siebie mówimy.

Katon przepraszająco rozłożył dłonie.

– To doprawdy bardzo niespotykane.

– Pokażemy mu? – spytał Liam, sięgając dłonią do ucha.

– Czemu nie? – zgodziła się Maddy.

Wyciągnął z ucha babel-buda i wręczył go Katonowi.

– Wyjaśnij mu lepiej, jak to działa – powiedział.

– Ta mała maszyna tłumaczy nasz język, angielski, na łacinę.

Katon obracał w palcach cielisty przedmiot.

– To naprawdę wypowiada słowa?

– Tak. Prosto do naszych uszu. Słyszysz to, co po cichu mówimy po angielsku, i podpowiada nam łacińskie zwroty, które my następnie powtarzamy.

Katon z marsem na czole przyglądał się magicznemu artefaktowi.

– To ta... ta maszyna rozumie, co się do niej mówi?

– Tak. Wewnątrz znajduje się procesor. To coś podobnego do mózgu. Tyle, że jest sztuczny. Zaprojektowany inżyniersko.

Katon szeroko otworzył oczy.

– Skoro w waszej prowincji wytwarzają tak misterne maszyny... jakże to możliwe, że nikt w naszym regionie nie natknął się na nic podobnego? Jakże to możliwe, że Rzymianie nigdy nie słyszeli

o Ameryce?

Katon oddał babel-buda Liamowi, który ostrożnie umieścił go z powrotem w uchu.

– Nasza kraina leży tak daleko, że nikt – nawet Rzymianin – nie jest w stanie jej odnaleźć.

Babel-bud Liama znów symultanicznie przekładał rozmowę.

– Chcesz mu opowiedzieć o podróżowaniu w czasie, Mads?

– Nie wiedziałabym nawet, od czego zacząć – odparła.

– Co wy tam sobie szepczecie? – Katon podejrzliwie ściągnął brew.

– Tak tylko rozmawiamy.
– Coś mi się zdaje, że traktujecie mnie z góry – powiedział z uśmiechem. – Macie mnie za prostego rzymskiego żołdaka, może nie?
– Wcale nie tak łatwo wyjaśnić, skąd przybywamy, Katonie. – Spojrzała nań przepaszająco.
– Może spróbujecie?
Zrozumiała, jak łatwo można błędnie założyć, że osoba pochodząca z innej epoki jest w pewnym sensie mniej inteligentna. Fakt, że mieszkaniec przeszłości nie pojmuje działania czegoś tak oczywistego jak telefon komórkowy, komputer czy nawet zwykły wyłącznik światła, nie oznacza wcale, że jego umysł jest mniej lotny.
– Pochodzimy z przyszłości.
Zmrużył oczy i drapał porośniętą ciemnymi włoskami rękę, próbując pojąć znaczenie tego słowa.
– Mówiąc o „przyszłości”... macie na myśli upływające dni?
– Zgadza się.
– Dni, które dopiero nadejdą?
– Właśnie.
– Twierdzicie więc, że jesteście z epoki... leżącej przed nami?
– Dokładnie tak – potwierdził Liam. – Bardzo oddalonej od tych czasów.
– W przyszłości, Katonie, gatunek ludzki odkryje metodę podróżowania w czasie, do przeszłych i przyszłych epok. To podobne do podróżowania po zwykłej drodze.
– Drodze? Wybrukowaliście drogę w czasie?
– Miejsce, z którego przybyliśmy my i wasi Goście – Ameryka – jeszcze nie istnieje – rzekł Liam. – Cóż, właściwie istnieje, ale nie ma jeszcze nazwy.
Katon patrzył w zadumie na ćwiczących mężczyzn.
– To niewiarygodna koncepcja – wyszeptał po chwili ze wzrokiem utkwionym w ziemię.
– Kiedy byłem małym chłopcem, lubiłem marzyć o poznaniu przyszłości, swego przeznaczenia. Wyobrażałem sobie, kim będę, gdy dorosnę. Wciąż zadawałem sobie pytanie czy zostanę wyzwolony? – Podniósł na nich wzrok. – A teraz mówicie, że można uzyskać odpowiedzi na takie pytania?
Oboje kiwnęli głowami.
– Powiedzcie, jak daleko na tej „drodze czasu” znajduje się wasz dom?
– O ile lat oddalona jest nasza epoka?
– Tak.
– To też bardzo ciężko wyjaśnić...
– Czy mi się zdaje, czy znowu patrzycie na mnie z góry?
Maddy i Liam nie zdołali powstrzymać uśmiechu.
– Dobrze – powiedział Liam. – Tylko nie mów, że cię nie ostrzegaliśmy. Zawiruje ci od tego w głowie jak na karuzeli, nie inaczej. – Posłał Maddy psotny uśmiech. – Odpowiesz biedakowi, czy ja mam czynić honory?
– Pochodzimy z przyszłości oddalonej o około dwa tysiące lat – odparła.
Katon rozdziawił usta.
– Czy właśnie powiedziałaś dwa tysiące?
– No prawie. – Maddy wzruszyła ramionami. – Śmiało możesz dodać lub odjąć kilka lat. To zależy od tego, kiedy urodził się Jezus Chrystus. Nikt tego dokładnie nie wie, dlatego pierwszy rok naszej ery jest umowny.
– Jezus Chrystus? – zdziwił się.

– Oj, to zupełnie inna historia. – Maddy potrząsnęła głową. – Rzec w tym, Katonie, że historia płynie własnym korytem. Powinna podążać określoną ścieżką. A działania Gości z przyszłości sprawiły, że wydarzenia zboczyły z wyznaczonego kursu. I to bardzo.

Maddy i Liam wyjaśnili mu zasady podróży w czasie i przestrzeni, przybliżyli naturę alternatywnych osi czasu, opowiedzieli o wersjach historii, które nigdy nie powinny zaistnieć i o wywoływanych przez nie komplikacjach, przesunięciach czasoprzestrzeni zwanych „falami czasu” – niszczycielskich tajfunach zostawiających po sobie nowe wersje rzeczywistości. Maddy była zaskoczona, jak szybko przyswaja nowe informacje i jak inteligentne pytania zadaje. Bystry umysł zgłębiał nieznaną z gorliwością i przenikliwością równą umysłom wielkich myślicieli i filozofów, którzy mieli narodzić się setki lat później.

Kiedy wreszcie udało im się wszystko wytłumaczyć, zobaczyli, że Macro i Frodo najwyraźniej przejadła się walka na miecze, bo obaj przykucnęli na ziemi i próbowali uspokoić oddech, niemiłosiernie pocąc się w popołudniowym słońcu. Bob na żarty walczył teraz z Sal.

– Czyli, jak rozumiem – rzekł Katon – przybyliście tu, żeby naprawić historię?

– Zgadza się.

– Twierdzicie też, że w tej epoce... powinien panować Klaudiusz, nie Kaligula?

– Tak.

– Klaudiusz? Ten stary idiota? – W pierwszej chwili wyglądał na naprawdę zaskoczonego, lecz po chwili namysłu wzruszył ramionami. – Lepszy idiota niż wariat.

– Odwalił kawał dobrej roboty – odpowiedział Liam. – Czytałem o tym książkę. Podbił Brytanię.

– Brytanię? – Katon zaśmiał się na całe gardło. – Po co komu ta dziczka wysepka?

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, oglądając absurdalnie nierówną walkę między Sal i Bobem i przysłuchując się głuchemu odgłosowi drewnianych mieczy.

– Ale ponieważ planujecie naprawić historię – Katon zmarszczył brwi – wszystko to dobiegnie końca, czyż nie? – Wskazał dziedziniec Krassusa. – Oznacza to też koniec naszego życia?

Maddy potrząsnęła głową.

– Jedynie tej wersji waszego życia. Istnieje też inny świat, bardzo podobny do tego. Inna rzeczywistość z tobą, Macro i Krassusem...

– Lepsza wersja – nie omieszkał dodać Liam. – Pod rządami Klaudiusza Cesarstwo Rzymskie wzbogaci się, zaanektuje nowe ziemie. To będzie lepsze miejsce.

Katon zamyślił się głęboko. Dziś nad Rzymem, niczym burzowa chmura, wisi obietnica katastrofy. Imperium popadło w ruinę. Stolicy grozi epidemia głodu, ostatnie zapasy są na wyczerpaniu. Regularne dostawy żywności z innych prowincji i od partnerów handlowych powoli wysychały, bo wszyscy zaczęli rozumieć, że długi Rzymu nie zostaną spłacone. Nawet jeśli uda im się pozbyć Kaliguli, zawiśnie nad nimi dużo większe niebezpieczeństwo: groźba wojny domowej.

Istniało trzech, może nawet czterech generałów, którzy na wieść o śmierci szaleńca mogliby wkroczyć do Rzymu na czele nieopłacanych i wzburzonych legionów, żeby koronować się na cesarza.

Mało tego, wrogie imperia niczym sępy obsiadły rubieże rzymskiego świata, baczenie śledząc wydarzenia w stolicy. Niebezpieczne było zwłaszcza królestwo Partów na wschodzie.

Wojna domowa

z pewnością przeważałaby szalę. Jeśli rzymskie legiony staną przeciwko sobie, hordy

barbarzyńców z całego znanego świata zaleją Rzym i wypatroszą jego zwłoki.

Jeśli ci obcy przybysze z innego czasu mówią prawdę, a naprawa historii odmieni los Rzymu i przywróci spokój i dobrobyt imperium, które ponownie stanie się rajem z czasów jego młodości, to takiej idei z pewnością warto poświęcić życie.

– Za inny Rzym jestem gotowy umrzeć – przyznał.

– Ależ nie będziesz musiał umierać – uspokoił go Liam. – No, nie do końca. Powstaną nowe wersje ciebie... Macro, Krassusa.

– W zamian dostaniecie życie, na które naprawdę zasłużyliście – dodała Maddy.

– Jak zatem zamierzacie naprawić tę historię?

– Wierzmy... a raczej mamy nadzieję, że gdzieś w pałacu Kaliguli znajduje się technologia, machina Gości i że dzięki niej wrócimy do naszych czasów. Wtedy będziemy mogli naprawić rzeczywistość.

Pozostali powoli schodzili z areny i zmiierzali ku nim, by schronić się w chłodnym cieniu.

– Lepiej będzie, jeśli całą tę historię o drodze w czasie zachowamy między nami – nakazał Katon.

Maddy skinęła głową dokładnie w momencie, gdy ich towarzysze znaleźli się w cieniu portyku.

– Ta wasza bestia męczy się kiedyś? – stęknął Macro, opadając na ławę i sięgając po puchar rozwodnionego wina.

Krassus usiadł obok Katona.

– Najwyższa pora, abyśmy omówili sprawę w szczegółach. – Senator sięgnął po dzban, nalał sobie kapkę wina i podniósł kielich w geście toastu. – Jest coś, o czym powinni wiedzieć nasi nowi przyjaciele. Rzymski oficer po mojej lewej... trybun Kwintus Licyniusz Katon. – Zwracał się bezpośrednio do Maddy i Liama. – Ten mężczyzna stworzył nasz mały oddział konspiratorów. To on ryzykował wszystko, to on dyskretnie otoczył pałac siecią informatorów, próbując odszukać kilku śmiazków gotowych dopuścić się zdrady stanu. – Starzec ojcowsko poklepał Katona po ramieniu. – Dłoń dałbym sobie odrąbać, żeby mieć choć ułamek odwagi tego człowieka.

– Dobrze gada! – burknął po swoim Macro, ponownie napełniając i unosząc puchar. – Za Katona.

Teraz Katon podniósł swój puchar.

– Za zwycięstwo. Za powrót lepszych czasów – rzekł, odwracając się nieznacznie ku Liamowi i Maddy.

– I ja za to wypiję – rzekł Liam.

ROZDZIAŁ 46

Pałac Imperatora, Rzym
54 rok naszej ery

Wieczność w ciemności. Tutaj. W tej przestrzeni. W tym świecie o powierzchni kilku metrów. Porusza nogą, palcem, ręką czy dłonią i ociera się o granice ciasnego uniwersum. Czuje jego powierzchnię, wyheblowaną od ciągłego dotykania.

Ale to było kiedyś, teraz nie dotyka krawędzi uniwersum. Nigdy nie robi tego umyślnie. Woli wyobrazić sobie, że wokół nie ma ścian. Woli żyć w labiryncie korytarzy swego umysłu. Woli pograżać się we wspomnieniach, blaknących jak stare, zbyt często oglądane fotografie. Potrafi spacerować po kilku wyjątkowych wspomnieniach z dzieciństwa, niemal fizycznie tam wracać. Potrafi wyczuwać piasek pod bosymi stopami, ciepłe promienie słońca na twarzy. Zapach matki. Potrafi przysłuchiwać się głosom ojca i brata.

Ze świata wspomnień wyrywa go jedynie odgłos otwieranych drzwi i upiorne światło dnia prześwitujące przez szpary między dębowymi deskami uniwersum. Każdego dnia brutalnie odziera się go z marzeń – na kilka sekund musi powrócić do brutalnej rzeczywistości, gdy ktoś, pewnie jeden z niewolników, przynosi mu miskę wody i gorzkiej owsianki. Gdy ktoś otwiera okienko i wsuwa skromną strawę do wnętrza ciasnego, szczęśliwego królestwa.

Gdy okienko się zamyka, gdy chwilę później zatrząskują się skrzypiące, ciężkie drzwi, jego wszechświat na powrót spowija nieprzenikniona, pusta ciemność. Najpierw dłońmi wymacuje miskę wody i talerz z owsianką. Ach, gdyby chociaż mógł mówić... temu codziennemu rytuałowi mogłyby towarzyszyć słowa, ileż radości przyniosłoby powiedzenie zwykłego „dziękuję”.

Ale nie mówi. Może stękać. Może jęczeć. Może wyć. O tak... może też ślinić się i kwilić. Ale nie mówić.

Pan Namordnik to jego maska.

Kaganiec. Jedyne prócz niego stały lokator drewnianej skrzyni.

„Ja i Pan Namordnik” – myśli sobie.

Szczękę opina żelazna obręcz, wieńczy ją wyrastająca z rozwartych ust tuba – wetknięta między zęby żelazna rura, która przygniata cofnięty pod migdałki język i uniemożliwia wydanie jakiegokolwiek odgłosu, który brzmiałby jak choć namiastka słowa. To właśnie Pan Namordnik.

Kaszkę można wlewać łyżką prosto do wydrążonej tuby Pana Namordnika; owsianka wlatuje do środka i zatrzymuje się na przełyku, przez co trzeba odkaszląć, żeby ją połknąć. Pochłonięcie dziennej porcji owsianki zajmuje dużo czasu. Może nawet kilka godzin, choć w tej ciemności bez punktu zaczepienia nie sposób mierzyć czas.

Pan Namordnik to jego kat. To nieustanny posmak żelaza w ustach. To rany w miejscach, gdzie obręcz obdziera ją skórę do mięsa. Rany, które stale ropieją i zasklepiają się, ropieją i zasklepiają.

Raz – milion lat temu – Pan Namordnik się zepsuł. Obręcz się poluzowała: nieustannie cieknąca z oparzeliny ropa spowodowała korozję cienkiej żelaznej ramy, wystarczyło mocniej poruszyć głową, żeby przerwać obręcz i rzucić ją z twarzy. Wtedy... o Boże, wtedy się zaczęło. Rozdarł się w niebogłosość. I nie przestawał wyć. Ochryply ryk zdartego gardła przeraził nawet jego samego. Wystraszył się nie na żarty. Słowa, które wypłynęły z ust zamiast nieartykułowanych dźwięków brzmiały dziwnie, obco.

Wydzierał się przez godziny, przerażony swym szaleńczym bełkotem. Potem usłyszał

skrzypnięcie drzwi. Do jego skrzyni przeniknęły nitki niewyraźnego światła. Otworzyło się okienko.

Jeszcze tego samego dnia przynieśli świeżutkiego Pana Namordnika. Dużo grubszą, mocniejszą żelazną obręcz ciasno opinającą głowę. Kiedy ponownie nastąpiła ciemność, wybuchł płaczem. Płakał i płakał. Bez końca.

Od tamtego czasu – choć było to bardzo dawno temu – szybko pojął, że od obłądu uratować może go tylko ucieczka z tego miejsca, musi uciec jak najdalej.

Znów spaceruje więc po alejkach umysłu i otwiera drzwi do pokojów z coraz bardziej wyblakłymi wspomnieniami... bawi się i wygłupia w zalegającym w nich półmroku.

Pewnego dnia wszystkie te wspomnienia znikną... wszystkie komnaty wyobraźni wypełni pustka i ciemność, choć oko wykol. Taka jak tu. A gdy to wreszcie nastąpi, wówczas na zawsze pogrzeży się w obłądnie.

ROZDZIAŁ 47

Rzym
54 rok naszej ery

– Chytry plan – powiedział Krassus i spojrzał na Katona. – Szatański. Cudownie szatański.

Macro przytaknął skinieniem głowy.

– Już jako zasmarkany niedorostek Katon był kutym na cztery nogi skurczybykiem.

– Musiałem – ponuro odparł Katon. – Młody, delikatny chłopiec w legionach? Trzeba być albo twardym, albo bystrym. A wtedy daleko mi było jeszcze do twardego wojownika.

– Ale w końcu się wyrobiłeś, co, młody? – Macro wyszczerzył zęby.

Katon w odpowiedzi wzruszył ramionami.

– Legion pokazuje prawdziwy charakter człowieka.

Liam uśmiechnął się na tę wymianę uwag między Katonem a Macro. Na pierwszy rzut oka widać było, że mężczyźni darzą się wzajemną sympatią – że parę wiarusów związało braterstwo krwi. Przez kilka ostatnich dni Macro często odwiedzał dom Krassusa, nie budził bowiem szczególnego zainteresowania szpiegów Kaliguli. W czasie tych wizyt opowiadał Jeźdźcom w Czasie niezliczone historie o latach spędzonych w Drugim Legionie i o służbie u boku

Katona. Ten młody podoficer z biegiem lat nabierał doświadczenia i umiejętności, które pozwoliły mu awansować na oficera i zdobyć wyższą szarżę niż Macro.

W komitywie między tymi dwoma przyjaciółmi Liam dostrzegał pewne podobieństwo do własnych relacji z Bobem. Jeden stanowił mózg, a drugi – mięśnie duetu.

– Kaligula może i jest szalony, ale z pewnością nie głupi. Wie aż nadto dobrze, że władza cesarska nie polega na kontrolowaniu umysłów ludzi, obywateli Rzymu, a raczej na zdolności pozyskania wierności wojska. Wystarczy dobrze traktować legiony, żeby zrobiły wszystko, co w ich mocy, by utrzymać swego dobroczyńcę u władzy.

Katon nachylił się w fotelu.

– Kiedy przejął władzę, w cesarskim skarbcu piętrzyły się góry złota. Mógł kupić sobie poparcie każdego obywatela. Teraz majątek stopniał, choć cesarz przywłaszczył sobie fortuny niemal wszystkich zamożnych rodów w mieście. Większość zrabowanych środków przekazuje na opłacenie gwardii pretoriańskiej i dwóch legionów stacjonujących w Italii, Dziesiątego i Jedenastego. A trzeba przyznać, że płaci im sowicie. Pozostałe legiony wysłał dla pewności tak daleko od Rzymu, jak to możliwe, żeby strzegły upadających granic imperium.

– Wysłał je daleko, bo im nie płaci? – spytał Liam.

– Nie inaczej. To głupi cesarz, który nic sobie nie robi z niezadowolenia w legionach, o ile nie stacjonują w promieniu kilkuset kilometrów od Rzymu. Za to pretorianie oraz Dziesiąty i Jedenasty... będą walczyć do upadłego, żeby utrzymać Kaligulę na tronie.

– Nie brzmi to zbyt obiecująco – rzekła Maddy.

– Spisek osadza się na podstępnie. Fortelu. Błefie. Powodzenie planu zależy od tego, czy uda nam się podjudzić przeciwko sobie dwa legiony i gwardię. Legiony muszą uwierzyć, że gwardia szykuje zamach stanu i chce obalić Kaligulę. A gwardia musi to samo myśleć o legionach. – Szczupłą twarz Katona wykrzywił drwiący uśmiech. – Zmusimy dwóch wiernych cerberów do walki ze sobą na śmierć i życie.

– Oj, wiele sestercji zem stracił, grając w kości z tym nicponiem – zaśmiał się Macro.

– Sprowokujemy Dziesiąty i Jedenasty do marszu na Rzym. Sprawimy, że uwierzą, iż pretorianie powstali przeciwko Kaliguli.

A gwardii pretoriańskiej każemy wierzyć, że dwa nadciągające legiony chcą dokonać przewrotu. Gdy do uszu Kaliguli dojdą wieści o marszu na Rzym, będzie musiał zareagować. Nie może przecież okazać słabości ani strachu. To nie przystoi władcy i bogowi. Dlatego ten bóg i władca wyśle gwardię pretoriańską przeciwko własnej armii. Zostanie mu zdziesiątkowany garnizon broniący Palatynu i pałacu... a ja będę miał niepowtarzalną szansę, żeby osaczyć go i zabić. Jeśli oczywiście wasz Bob poradzi sobie z Kamiennymi Ludźmi.

– Na pewno nie rozkaże swoim ludziom schronić się za murami i bronić miasta? – spytał Liam. – Ja bym tak właśnie postąpił.

– Legiony walczą inaczej – wyjaśnił Macro. – Muszą mieć miejsce, żeby swobodnie manewrować. Otwartą przestrzeń. Jeśli gwardia Kaliguli pozostanie w mieście, gdy pojawią się te dwa legiony, znajdzie się w śmiertelnej pułapce. Legiony rozbiją obóz poza murami miasta i zagłodzą głupców, którzy i tak będą musieli w desperacji przypuścić atak.

– Macro ma rację. Kaligula wypuści ich poza mury miasta i wybierze odpowiednie dla siebie pole bitwy. Jak już mówiłem, nie jest on aż takim głupcem, na jakiego wygląda.

– Jakim cudem dwa legiony nagle uwierzą, iż pretorianie zbuntowali się przeciwko Kaliguli? – spytała Maddy.

Katon wygodnie oparł się o poręcz fotela i pozwolił Krassusowi odpowiedzieć na pytanie.

– Dwoma rzeczonymi legionami dowodzi generał Lepidus – odpowiedział starzec. – To karierowicz. Prawie do nas dołączył. Gościł w moim domu przy kilku okazjach. Nie jest on przyjacielem

i stronnikiem Kaliguli, ale z pewnością nie jest też idealistą i republikaninem. Siedzi cicho, bo jego żołnierze otrzymują pokaźny żołd, tak jak i on sam. Ale ja urabiałem go po cichu, krok po kroku.

– Pomoże nam?

– Nie, oczywiście, że nie. – Krassus się roześmiał. – To tchórzliwy skunks. Przestraszy się i odżegna od naszych planów.

– Przecież to niebezpieczne – stwierdził Liam. – A co, jeśli powie o was Kaliguli?

– Nie powie. Już jest w to wplątany. Dobrze postarałem się o to, by spasiony gbur wyglądał na jednego z konspiratorów knujących przeciwko Kaliguli. Sprawę załatwiło kilka łapówek i prezentów,

korespondencja podpisana jego imieniem. Wystarczy, że szepnę Kaliguli słówko lub dwa, a głowa Lepidusa skończy nadziana na włócznię tuż obok mojej.

– Teraz czas na kolejny ruch – kontynuował Katon. – Każemy Lepidusowi wierzyć, że ktoś zamierza zadenuncjować go przed Kaligulą, opowiadając o jego rzekomych knowaniach. Lepidus doskonale wie, że Kaligula nikomu nie daje prawa do obrony. Generał nie otrzyma cienia szansy, by dowieść swojej niewinności. Szybkie działanie to jedyne, co mu zostanie – albo ucieknie, albo uprzędzi ruch Kaliguli.

– Ale mówiliście, że jego żołnierze będą wszelkimi sposobami bronić cesarza – zauważył Liam.

– Legioniści zawsze podążają za swoim generałem. Dlatego Lepidus wmówi im, że maszerują na Rzym, by chronić swojego władcę, a nie odebrać mu władzę.

– Jak to zrobi?

– Zwykli legioniści nigdy nie ufali gwardii pretoriańskiej. –

Katon wzruszył ramionami. – Pamiętacie Atellusa, oficera, którego wczoraj poznaliście?

Liam i Maddy potakująco skinęli głowami.

– To jeden z trybunów Lepidusa. Zasypie go taką lawiną plotek i pogłosek, że nawet ten bęcwał zdoła wmówić żołnierzom, iż pretorianie mają nieczne zamiary. Jeśli legioniści nabiorą choć cień podejrzenia, że ich hojnego dobroczyńcę, Kaligulę, mógłby zastąpić inny, mniej hojny cesarz... – Katon uśmiechnął się złowieszczo. – W okamgnieniu zwiną obozowisko i ruszą na Rzym.

Maddy i Liam popatrzyli po sobie i uśmiechnęli się.

– Sprytnie – rzekł Liam.

– W czasie gdy Atellus będzie sączył podejrzenia do ucha

Lepidusa, ja będę szeptał inne ostrzeżenia wprost do ucha Kaliguli – dodał Katon.

– Słucham? – Maddy usiadła wyprostowana. – Spotykasz się z nim?

– Jestem trybunem, dowodzę kohortą pałacową. Oczywiście, że się spotykam. Niemal codziennie. Sądzę... że powoli zaczyna mi ufać. Niewykluczone, że mnie polubił. Czasem rozmawiamy, wtedy znajduję się tak blisko niego, jak teraz was. Mógłbym zaryzykować zadanie śmiertelnego ciosu, ale jego Kamienni Ludzie są szybcy.

– Nie miałbyś najmniejszej szansy – powiedział Macro.

– Kaligula mnie nie słucha. Nie słucha też prefekta, ale wiem, że szanuje moją opinię.

Być może zdołam przekonać imperatora, by wysłał kilku Kamiennych Ludzi do walki, a jeśli umieszczę Boba

w pałacu... kto wie, może uda mu się pokonać pozostałych strażników.

– Nas też? – spytał Liam. – Czy nas też zdołałbyś umieścić w pałacu?

– To możliwe.

– Bob...? – zagadnęła Maddy po angielsku, dotykając jego kolana. – Pisziesz się na to?

Klon odpowiedział po angielsku. Katon, Krassus i Macro z zaintrygowaniem przysłuchiwali się dziwnej mowie.

– Na podstawie opisu Kamiennych Ludzi wnioskuję – mówił Bob – że to jednostki wojskowo-rozpoznawcze trzeciej generacji. Mają normalną budowę fizyczną i bardziej przypominają ludzi. Jako pełnowymiarowa jednostka bojowa w pełnej mięśniowej obudowie jestem od nich około pięćdziesiąt pięć procent mocniejszy. Daje mi to przewagę taktyczną.

– A przecież poradziłeś sobie też z jednostką, która przeszła przez portal – zauważyła Sal.

– A ona była tak wielka jak ty.

– Ale tamten samiec nie miał stopy i dłoni – odparł Bob. – Miałem przewagę.

– Ale sądzisz, że mógłbyś ich powalić? – spytała Maddy. – Więcej niż jednego?

– Pojedynczo, tak. Jeśli będzie ich więcej, może się to okazać trudne.

Wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby.

– Stawiamy na niezbyt pewnego konia. Pomagamy tym ludziom w dokonaniu zamachu stanu bez żadnej gwarancji, że uzyskamy coś w zamian. Możemy nic nie znaleźć w pałacu.

Żadnej technologii, jednostki translokacyjnej, nic.

– A wtedy ugrzęźniemy w tym starożytnym bagnie. – Sal spochmurniała.

– Właśnie – rzekł Liam.

– Właśnie – potwierdziła Maddy.

– Bez Boba... jeśli Kamienni Ludzie go zabiją – dodała Sal.

Popatrzyli na siebie. Niepodjęta decyzja zawisła w powietrzu między nimi.

– Jeśli komputer-Bob nie aktywuje sześciomiesięcznego okna, chip w jego głowie i tak zamieni się w spaghetti – zauważyła Maddy. – Stanie się bełkoczącym warzywkiem.

Trzej Rzymianie wciąż patrzyli na nich w oczekiwaniu.

– Nawet jeśli uda nam się zabić Kaligulę – powiedziała Maddy – możemy nie znaleźć w pałacu maszyn, za pomocą których wrócimy do domu.

– A ja widzę to tak: jeśli naprawdę utkniemy tu na dobre... to wcale nie uśmiecha mi się żyć pod rządami Kaliguli.

– W tym rzecz. – Maddy powoli pokiwała głową. – Jeśli ta czasoprzestrzeń stanie się naszym domem, jeśli tym razem nie uda nam się poskładać wszystkich elementów układanki i utkniemy tu na dobre... wolałabym, żeby Kaligula też nie kręcił się w pobliżu. – Odwróciła się do Boba. – Pasuje to do twoich celów misji?

– To już jest skażona oś czasu – zadudnił głęboki głos. – Jeśli nie uda nam się jej naprawić, misja się nie powiedzie, bez względu na to, jaki sposób postępowania przyjmiemy.

– Trochę to przygnębiające, Bob – rzekła Maddy – ale masz rację. – Wszeptała coś pod nosem i wsłuchała w przekład wypowiedziany przez translator. – Dobra, wchodzimy w to – oznajmiła wreszcie po łacinie.

ROZDZIAŁ 48

Pałac Imperatora, Rzym
54 rok naszej ery

Kaligula poczuł przeszywający całe ciało dreszcz ekscytacji. To miejsce, ta wielka komnata była niegdyś świątynią Neptuna. Ale niedawno przemienił ją w świątynię poświęconą... jemu samemu, nie, w coś więcej nawet – w zapowiedź swego rychłego przeznaczenia. Spacerował pomiędzy artefaktami, a jego lekkie kroki odbijały się echem od marmurowych, wyłożonych mozaiką ścian. Wielkie i ciężkie odrzwia nie przepuszczały do środka światła dnia. Komnatę oświetlał jedynie migocący płomień złotej lampy oliwnej, którą trzymał w dłoni.

Uklęknął i przyglądał się dziwnym przedmiotom. Obiektom, które zostawili po sobie Goście.

– Niesamowite. – Jego głos rozbrzmiał w komnacie. Cóż za osobliwe artefakty przywieźli ze sobą. Mógł na nie patrzeć bez końca.

Z drewnianej klatki ustawionej na środku komnaty dobiegło poruszenie.

– No zrozum... to mnie zawsze fascynuje. Te wasze urządzenia... – Podniósł puste ogniwo wodorowe. W półmroku pomieszczenia zaśnił gładki metal, wewnątrz obudowy zachlupotała resztką płynu. – Zawsze sądziłem, że bogom nie trzeba żadnych przedmiotów. Że bogom starcza samo pragnienie, zachcianka i już ziszcza się wszystko, co ma się ziścić. A jednak ty i twoi przyjaciele przywieźliście ze sobą wszystkie te dziwne wynalazki. Potrzebowaliście tych wynalazków.

Z klatki dobiegło kwilące skomlenie.

Przechylił ogniwo paliwa wodorowego, przysłuchując się chlupotaniu płynu.

– Wynalazków, które w końcu przestały działać. – Uśmiechnął się. – Nieszczęśliwie to boskie. – Rzucił przedmiot na stertę zalegającego sprzętu – pustych magazynków, karabinów, apteczek pierwszej pomocy, latarek – i podszedł do klatki.

Dobrze pamiętał, jak bardzo oczarowało go ich przybycie. Cóż za wspaniałe, niewiarygodne wejście. Ten hałas, ten spektakl. Tamtego dnia w amfiteatrze – tak jak wszyscy Rzymianie oglądający to wiekopomne wydarzenie na własne oczy – był przekonany, że patrzy na niebiańskie istoty. Ekscytacja i niemal paraliżujący strach wywołany tą niedorzeczną myślą sprawiały, że serce w jego piersi waliło jak młotem.

„Bogowie lub co najmniej posłannicy bogów... tutaj... w Rzymie. Na wyciągnięcie ręki!”

Kaligula przypomniał sobie tamten dziecięcy zachwyt...

... przybycie gigantycznych rydwanów, wychodzące z nich istoty, które z bliska sprawiały wrażenie ludzaco podobnych do zwykłych ludzi. Niektórzy przybysze skóry mieli jasne niczym barbarzyńskie dzikusy z północnych regionów Germanii. Inni byli smagli jak Egipcjanie. Wszyscy nosili cudownie ekstrawaganckie szaty. Drżał wtedy jak liść na wietrze, jak dziecko przerażone gniewem rozwścieczonego rodzica.

Wtem donośny głos wzniosł się nad piachem areny i odbił echem od trybun amfiteatru. Gromki jak trzask pioruna głos człowieka obwieszczającego po łacinie z silnym akcentem, że on i jego towarzysze przybyli z niebios, aby oświecić ich i wskazać nową drogę. Chcieli obdarzyć ich oświeceniem, mądrością.

Wreszcie, ośmielony świadomością, że patrzy na niego kilka tysięcy poddanych, i przekonaniem, że to on jako rzymski władca, a nie kto inny, powinien wskazywać ludziom

drogę, powoli wyciągnął drżącą dłoń i odważył się dotknąć jednego z nich. Kaligula poważił się na to, choć bał się, że wystarczy lekkie muśnięcie przybysza z niebios, a spłynie nań płomień całego Elizjum i w ułamku sekundy spopieli do białych kości.

Kaligula przesunął okienko w klatce i utkwiał wzrok we wnętrzu pogrążonej w mroku pułapki. Śmierdziało ludzkimi odchodami i stęchłym moczem. Ohydny odór, gorszy niż fetor wydobywający się z plebejskich rynków i koślawych, groźących zawaleniem kamienic.

W świetle lampy oliwnej ujrzał twarz nieszczęśnika, który miotał się nerwowo z wybałuszonymi ślepiami niczym uwięzione w klatce zwierzę.

Ale już wiedział. Nawet wtedy, wiele lat temu, w chwili gdy jego palec dotknął cieplej i mokrej od potu skóry, ciała dokładnie takiego jak jego... przeczuwał, że Goście to tylko zwykli ludzie. Z pewnością nie byli bogami ani nawet posłańcami bogów.

– Witaj – powiedział.

Mężczyzna wymamrotał coś i zakrztusił się za maską.

– Wybacz mi. Nie rozmawialiśmy już długi czas – rzekł Kaligula z łagodnym uśmiechem. – Ależ niegrzecznie z mojej strony. – Wyciągnął brązowy klucz i zamachał nim przed maską, aby więzień mógł go dostrzec.

– Chodź tutaj. Zdejmę ci maskę... a wtedy sobie porozmawiamy.

Mężczyzna poruszył się gwałtownie niczym dziki zwierz i spróbował chwycić klucz.

Okienko było dość szerokie, by wyrzucić przez nie szponiaste palce. Kaligula bojaźliwie cofnął się o krok.

– Uch-uch. Odwróć się... dobry piesek.

Mężczyzna przez chwilę wpatrywał się w niego przez otwór.

Kaligula dostrzegł jedynie oczy żarzące się ponad wykonaną z brązu zardzewiałą maską oraz dziurę w twarzy zapchaną kleistą breją – był to czarny owal skorodowanej i twardej rury, jakby zastygłej w permanentnym grymasie zdziwienia.

– Odwróć się – powtórzył, machając kluczem poza zasięgiem zaciskających się szponów.

Błyszczące oczy zniknęły w ciemności, chwilę później Kaligula zobaczył tylną część czaszki, kłódkę z brązu założoną na obręcz, kilka luźno zwisających kosmyków strąkowatych włosów oraz podrażnioną skórę, całkiem przetartą w miejscach nacisku szorstkiej metalowej obejmmy.

Kaligula sięgnął ręką przez okienko, włożył klucz i przekręcił go. Kłódka puściła z tępym odgłosem, a obręcz niemal natychmiast odpadła.

Głowa zakręciła się jak bączek, błyszczące oczy znów poraziły go wzrokiem, teraz widział szczupły nos mężczyzny, gęste gniazdo wąsów i zjeżoną brodę poprzetykaną resztkami wyschłego śluzu

i zgniłego jedzenia. Na środku – niczym para nowonarodzonych, bezwłosych szcurek przycajonych na dnie lichego gniazda – wyrastała para warg pokrytych starymi i nowymi strupkami i zadrapaniami. Poruszyły się i zadrgały, ukazując zakrwawione dziąsła i czarne przegniłe kikuty ostatnich zębów.

– Witaj, stary przyjacielu – rzekł Kaligula.

Mężczyzna ostrożnie otwierał usta, poruszając uwolnionym wreszcie językiem i dotykając szponiastymi palcami warg pokrytych ohydłą skorupą zakrzepów.

– Znowu mamy miesiąc *Sextilis*. Nie upłynęło więc aż tak dużo czasu, prawda?

Mężczyzna wciąż poruszał ustami, rozkoszując się ulotnym momentem wolności bez maski.

Kaligula podejrzewał, że stary głupiec ryknie coś za chwilę

w tym swoim dziwnym, gardłowym języku. Robił to zawsze, gdy zdejmowano z niego maskę. Zawsze wyrzucał z siebie te same słowa.

– Oszczędzaj oddech. Twoi Kamienni Ludzie i tak cię nie usłyszą. Drzwi są zamknięte, a oni wszyscy znajdują się po drugiej stronie pałacu. Jesteśmy tu sami, ja i ty.

Żalony wrak człowieka spróbował mimo wszystko, nabrał w płuca stęchłego powietrza, a później krzyknął:

– System... zła-złamany... włą-włączyć... S-sponge... – Jego głos był słaby i cichy jak zamierający wietrzyk zaplątany w trzciny na moczarach.

– Zaufaj mi. – Kaligula się uśmiechnął. – Oni naprawdę nie mają prawa cię usłyszeć.

A jednak spróbował raz jeszcze. Tym razem w łamiącym się głosie słyhać było prawdziwą moc i rozpacz: ryczał jak opętaniec z przytułku dla obłąkanych. Wciąż powtarzał to samo, nic nieznaczące słowo. Kaligula sądził, że to zwykły bełkot szaleńca.

– SpongeBubba! SpongeBubba!! SPONGE... BUBBA!!!

ROZDZIAŁ 49

Rzym
54 rok naszej ery

– Mads.... Pamiętasz, co mówiłaś o Kaliguli i dołączeniu do panteonu bóstw? Pamiętasz? Informacje, które pobrałaś z komputera?

Maddy skinęła głową. Nie zapomniała. Popatrzyła przed siebie na Sal i Boba. Szli wąską alejką tuż przy murze okalającym ogrody Krassusa. Każdego ranka przy podstawie pomalowanego na różowo muru handlarze ustawiali tymczasowe stragany. Stragany, które działały przez kilka godzin, zanim nad dachami Rzymu rozlegało się popołudniowe wezwanie do modlitwy, a akolici Kaliguli zaczynali patrolować ulice, żeby upewnić się, iż wszyscy obywatele kornie opadli na kolana i oddają cześć swemu cesarzowi i jedynemu bogu. Nieposiadający licencji handlarze dużo wcześniej zwijali nielegalne stragany i przepadali jak kamfora.

Różową, łuszczącą się ścianę pokrywało wymalowane węglem drzewnym graffiti. Łacińskie symbole różnych kolegiów, slogany, sprośne dowcipy i wulgarnie rysunki patykowatych ludzików. Jeden z nich bez wątpienia przedstawiał cesarza: był to ludzik z aureolą w kształcie liścia dębu i nieproporcjonalnie wielkimi stopami w sandałach. Maddy zmrużyła oczy, żeby zidentyfikować przedmiot trzymany przez cesarza w ręku – kiedy nie miała na nosie okularów, cała ulica lekko się rozmazywała. To chyba...

– Fe, no nie, proszę... – Skrzywiła się z niesmakiem.

– Stanie się jednym z bogów? – ponaglił ją Liam. – To się wydarzy niedługo, prawda?

– Tak. Choć nie podano konkretnej daty, na podstawie dostępnych danych możemy spekulować, że wydarzyło się to w lecie.

– Może powinniśmy powiedzieć o tym Krassusowi, Katonowi? Przecież... to dość istotne.

– Nie... to nie najlepszy pomysł.

– Dlaczego?

– Pomyśl. Jeśli powiemy im, że Kaligula wkrótce przestanie być cesarzem, zarzucą swoje plany. Dobrze myślę? Po co ryzykować życiem, skoro można cierpliwie przeczekać kilka tygodni czy miesięcy?

Patrzyli, jak Sal namawia Boba, żeby potargował się z handlarzem. Maddy podejrzewała, że jeśli po jednej stronie transakcji znajduje się ktoś tak wielki i onieśmielający jak Bob, targowanie szybko się dobiegnie końca.

– Liamie, „wniebowstąpienie” może oznaczać wszystko. Informacje są zbyt niejednoznaczne, aby na ich podstawie snuć daleko idące wnioski. Być może Kaligula zwyczajnie zachoruje i umrze, a jego kapłani ukują na tę okoliczność ekscytującą i godną prawdziwego boga historię.

– Tak. To możliwe.

– Z drugiej strony – dodała – równie dobrze może to być jakiś portal.

Popatrzył na nią uważnie i uśmiechnął się.

– Dokładnie o tym samym myślałem, w rzeczy...

– Być może w pałacu kryje się technologia translokacji czasowej, która na razie pozostaje w stanie uśpienia, ale niebawem zostanie aktywowana? Może to urządzenie z zegarem podobne do naszego sześciomiesięcznego okna, ale z dłuższym czasem odliczania? – Spojrzała na niego. – Sam rozumiesz... właśnie dlatego musimy dostać się do środka. Zanim przeznaczenie Kaliguli

się wypełni. A Katon i jego towarzysze to teraz nasza jedyna przepustka.

– Wykorzystujemy ich – powiedział Liam i nie wyglądał na szczególnie zachwyconego takim obrotem spraw. Maddy wiedziała, że z miejsca polubił parę legionistów, Katona i Macro.

– Tak – westchnęła. – Teoretycznie w pewnym sensie ich wykorzystujemy.

– To nieuczciwe.

– O Jezu – syknęła pod nosem. – Dlaczego to ja zawsze muszę grać rolę złego szeryfa?

Co? – Maddy nauczyła się myśleć o alternatywnej osi czasu jak o nieprawdziwej, baśniowej krainie. Wirtualnym świecie. Ludzie, którzy zamieszkiwali ten świat, nie mieli przecież prawa istnieć. Czasami wiedli życie lepsze niż na to zasłużyli, częściej jednak – przynajmniej jak dotychczas – prowadzili nędzny żywot na wynaturzonych osiach czasu. Tak... być może powinna była powiedzieć Katonowi, że na tej osi czasu coś niedługo przydarzy się Kaliguli. Ale jeśli to coś wydarzy się w pałacu na Palatynie, a ich akurat nie będzie w pobliżu i w rezultacie, niech Bóg broni, przegapią to wydarzenie... wtedy ich jedna jedyna być może szansa na powrót do domu przepadnie.

– Musimy się tam dostać, Liamie... musimy się tam dostać, zanim to się wydarzy.

Rozumiesz? To może być nasza jedyna szansa!

W zamyśleniu pogładził rzadką szczecinę na brodzie.

– No tak... pewnie masz rację.

– W takim razie nie zdradzamy im niczego. Muszą działać zgodnie z planem. Im szybciej, tym lepiej.

– Nasza przyjaciółka ma słuszość – Krassus podziękował Maddy skinieniem głowy. –

Nie ma sensu mitrzyć ani chwili dłużej. Jeżeli z waszą pomocą zdołamy wywabić kilku

Kamiennych

Ludzi, zyskasz sposobność, żeby zbliżyć się do Kaliguli, Katonie.

– Każda chwila zwłoki zwiększa ryzyko, że szpiedzy Kaliguli wpadną na trop naszej grupy. – Krassus rozejrzał się po twarzach pozostałych: na spotkanie przybyli dwaj senatorowie, Cynceron i Paulus. Atellus przyjechał prosto ze stałego obozowiska Dziesiątego Legionu, obecny był również Fronto, starszy centurion gwardii pałacowej, a także nieodłączni ostatnio Katon i Macro. – Dobrze wiem, że Kaligula powoli zaczyna mnie podejrzewać o knucie za jego plecami.

– Zgoda. – Katon pokiwał głową. – Wreszcie mamy wykonalny plan. No to do dzieła.

Choć wszyscy zgromadzeni mężczyźni poruszyli się niespokojnie, nikt nie wyraził słowa sprzeciwu.

– Dobrze. – Krassus sięgnął między fałdy togi i wyjął spomiędzy nich kilka zwojów. – To dowód, który możesz przekazać Kaliguli, Katonie – rzekł, podając dokumenty żołnierzowi. Katon rozwinął jeden z podanych pergaminów i szybko przebiegł go wzrokiem.

– To korespondencja pomiędzy Lepidusem... a tobą!

Starzec potakująco skinął głową.

– Jeżeli pokażę to Kaliguli, to przed upływem godziny do twoich drzwi zastukają jego siepacze.

– Intryga musi być przekonująca. – Krassus się uśmiechnął. – Gdy Kaligula zobaczy na tych listach moją pieczęć, natychmiast pośle po Lepidusa. A kiedy ten posłysz, że został wezwany wraz ze mną, zorientuje się, że jego powiązanie z nami, choć przelotne, zostało zdemaskowane.

– Krassusie, jeśli rzeczywiście mam to zrobić, powinieneś opuścić Rzym. Bo gdy...

– Nie! Jeśli ucieknę przed aresztowaniem, domyśli się, że to podstęp. Muszę zostać przyłapanym na gorącym uczynku, tylko wówczas zdołamy wywieść go w pole. I co ważniejsze... tylko wtedy zaufa ci bezwarunkowo. Najpewniej już wie, że mnie odwiedziłeś, spotkałeś się ze

mną. Zdradź mnie, Katonie... i wydaj Kaliguli jako zdrajcę. – Skulił ramiona. – A ja się podłożę... odegram bezbronno i niewinno starca, który na wspomnienie o torturach wydaje swego współnika, Lepidusa.

Katon potrząsnął głową.

– Musisz przeżyć, Krassusie! Po śmierci Kaliguli będziemy potrzebować was wszystkich! – Spojrzał na Cynceron i Paulusa. Bez was nie odbudujemy senatu, nie przywrócimy Republiki...

– Senat potrzebuje ludzi dużo młodszych niż ja. – Krassus się uśmiechnął. – Zresztą, ja wcale nie mam zamiaru umierać. Kaligula z pewnością zachowa mnie przy życiu, by potem w jakiś wyszukany sposób uśmiercić razem z Lepidusem na oczach tłumu.

Katon popatrzył na Atellusa.

– Musimy więc zyskać pewność, że generał Lepidus zatańczy jak mu zagramy.

– Zatańczy. – Atellus się uśmiechnął. – Już teraz drży na samo wspomnienie o zeszlórocznym spotkaniu z tobą, Krassusie. Generał sądzi, że byłoby mu nie do twarzy w szatach męczennika.

– A legiony?

– Dziesiąty i Jedenasty nie pałają miłością do gwardii. Z wzajemnością zresztą.

– Teraz pora na nasz ruch – orzekł Katon.

– Kiedy przedstawiś ten dowód Kaliguli? – spytał Cynceron.

– Po powrocie do pałacu – odparł i zwrócił się do Krassusa. – Przyjdą po ciebie dziś w nocy. Będziesz gotów?

– Tak, zdążyłem uporządkować swoje sprawy.

– Zatem nie zwlekaj, Atellusie, przekaz generałowi Lepidusowi wieści, że dziś wieczorem w Rzymie aresztowano wielu spiskowców. Wystraszy go to nie na żarty.

– Bez wątpienia.

Katon wciąż trzymał w dłoni zwoje z korespondencją.

– Gdy tylko Kaligula zobaczy te listy, wyda rozkaz pojmania Lepidusa. Podejrzewam, że niedługo później również pod twoim domem zjawi się oddział pretorianów z nakazem aresztowania.

– Nie zaśnie nam dzisiaj cesarz. – Atellus wyszczerzył zęby.

– Miejmy tylko nadzieję, że zdecyduje się zaatakować jako pierwszy i nie odwróci się na pięcie, żeby uciec – rzekł i zwrócił się do senatorów: – Poszukajcie bezpiecznego schronienia. Gdy Krassus zostanie zdemaskowany jako spiskowiec, Kaligula urządzi łowy na resztki pozostałych przy życiu senatorów. Poproście zaufanych przyjaciół o opiekę i nie wyściubiajcie nosa z ukrycia, dopóki nie usłyszycie, że Kaligula nie żyje.

– A co ja mam robić? – spytał Macro.

– Zaopiekujesz się naszymi nowymi przyjaciółmi. Zaprowadź ich w bezpieczne miejsce. Gdy tylko przekonam Kaligulę, by wysłał oddziały gwardii przeciwko Lepidusowi, poślę po was.

– Jak przemycisz nas do pałacu? – spytała Maddy.

Katon zasępił się na chwilę.

– Powiem, że jesteście moją własnością. Macro przyprowadzi was do pałacu na przechowanie. Biorąc pod uwagę okoliczności, będzie to bardzo rozsądna prośba. W mieście zapanuje niepokój, a zaraz po odmaszerowaniu pretorianów Kaliguli wybuchną zamieszki. – Wziął głęboki oddech. – Dzisiejszej nocy zapanuje anarchia, a chaos utrzyma się przez kilka następnych dni, jeśli nie tygodni. Nawet po śmierci Kaliguli na ulicach będzie niebezpiecznie. Żołnierze generała Lepidusa, pretorianie i pozostałe legiony czekające na rozwój wydarzeń przy granicach Italii zrobią wszystko, co w ich mocy, aby umieścić swego kandydata na Palatynie. Jeśli mamy uniknąć wojny domowej, będziemy musieli

natychmiast powołać do życia senat... i postaramy się szybko przywrócić porządek.

– Rzym i bez tego znajduje się już w oplakany stanie – rzekł Paulus.

– Prawda. Wykorzystajcie tę noc, żeby dobrze przygotować się do tych wydarzeń.

Macro... zgromadź potrzebne zapasy i umocnij swoją kamienicę. Miasto zaleje dziś ogień Wulkana. W panującym chaosie kolegia będą plądrowały, co się da i spróbują wyrównać stare porachunki.

– Masz słuszność.

– Jeśli dopisze nam szczęście – rzekł Katon – krew poleje się tylko poza rogatkami Rzymu. Dziesiąty, Jedenasty i gwardia znajdują się w klinczu. Kohorta pałacowa zostanie tutaj, w mieście, pod moim dowództwem, Kaligula zginie, a my zyskamy trochę czasu, by przywrócić Republikę.

Cyceron spojrział na żołnierza.

– Na kilka dni, Katonie, jak doskonale wiesz... zostaniesz protektorem Rzymu. Będziesz miał pod rozkazami jedyną zorganizowaną siłę wojskową w promieniu stu mil od stolicy. – Trzeba prawdziwie hardego ducha, żeby dobrowolnie zrzec się na rzecz ludu takiej władzy.

– To nie najlepsza pora, żeby zaczynać wątpić w mój charakter, Cyceronie.

Polityk wzdrygnął się zaskoczony.

– Rzekłem tylko...

Marco zaklął soczyście.

– Oddałbym w ręce Katona własne życie!

Katon zerknął na Maddy, Liama. Na krótką chwilę spotkali się wzrokiem w ulotnym porozumieniu.

– To wszystko jest złym snem. Kaligula musi zginąć, zanim Rzym będzie stracony.

– A co jeśli... – zaczął Fronto.

– Mów śmiało, Fronto.

– Dziękuję, panie... pomyślałem, że to ważne. A co, jeśli

Kaligula... naprawdę jest, wiecie... bogiem?

Atellus parsknął śmiechem.

– To wcale nie jest głupie pytanie – szybką repliką uciszył go

Katon. – Żołnierze to przesądni ludzie. Nie zapominajmy o tym. Zły omen... zasłyszana plotka, w dzisiejszych czasach nawet po czymś tak trywialnym mogą wypowiedzieć lojalność i zmienić stronictwo.

– Pólanalfabetyczne winożłopy i troglodyci – burknął Macro, wysmarkując nos o wierzch dłoni. Katon popatrzył na niego przeciągle, potrząsnął głową i uśmiechnął się pod nosem.

Macro groźnie zmarszczył brwi.

– A co to spojrzenie miało niby znaczyć?

ROZDZIAŁ 50

Rzym
54 rok naszej ery

Późnopołudniowe słońce malowało ceglane ściany budynków na ciepły brzoskwiniowy kolor i kładło fioletowe cienie wzdłuż wąskich alejek i zaułków. Na ulicach tłoczyli się handlarze zwijający stragany i ryglujący przed nocą drzwi do sklepów.

Liam i Bob szli obok Macro, a Maddy i Sal podążały kilka kroków za nimi.

– Jak wyglądała służba w legionach? – zagaił Liam. Macro głośno powtórzył zadane pytanie i zastanowił nad odpowiedzią. – Widziałem kilka... – Irlandczyk chciał powiedzieć „filmów”, ale w porę ugryzł się w język. Tylko Katon wiedział, skąd i z jakiej epoki tak naprawdę przybyli. W pewnym momencie może się to zmienić, lecz na razie informacja, że pochodzą z krainy znajdującej się poza granicami znanego Rzymianom świata, w zupełności wystarczy.

– Cóż... – Macro wzruszył ramionami. – Powiem ci szczerze, że moja dwudziestopięcioletnia służba w Drugim to ćwierć wieku marudzenia i narzekania. Albo pracowałem jak osioł, albo cholernie się nudziłem. Przez ćwierć wieku marzłem i mokłem w miejscach, do których nie wysłałbym największego wroga. – Uśmiechnął się tęsknie. – Lecz gdybym tylko mógł, wróciłbym do tamtych dni.

Ustąpili drogi parze wyznawców Kaliguli, ubranych w długie zielone szaty. Zbliżała się godzina wieczornych modłów, niebawem nad dachówkami miał popłynąć dźwięk rogów nawołujących wiernych.

– Dlaczego?

– Tęsknię... sam nie wiem. Chyba tęsknię za poczuciem przynależności. Wszystkie te chłopcy z mojego legionu... to była gromada brzydkich, głupkowatych i cuchnących drabów. Żadnego nie zabrałbym na obiad do domu rodzinnego, jeśli wiecie, co mam na myśli. Ale... – Potrząsnął głową, próbując ubrać myśli w jak najlepsze słowa. – Ale razem... ci ludzie tworzą coś więcej. Są częścią czegoś donioślejszego. Rozumiesz?

Liam potakująco skinął głową. Zdawało mu się, że rozumie. On i dziewczęta, Bob i Beki, nawet komputer-Bob, wszyscy oni stanowili zgrany „oddział”. Gdy u boku ma się towarzysza – towarzysza gotowego poświęcić własne życie, by ratować twoje – łatwiej jest stanąć nad krawędzią czeluści i bez lęku spojrzeć w dół.

Słowa wypowiedane przez Macro doskonale oddawały uczucia i myśli Irlandczyka.

– Wówczas... byłem gotów umrzeć za każdego z moich chłopców – mówił centurion. – I wiem, że oni zrobiliby to samo, poleźliby za mną w tyłek Plutona, gdybym im tak rozkazał. Ale teraz...? – Smutno poruszył ramionami. – Od czasu do czasu rozpoznaję twarze wiarusów.

Weteranów z legionów, nawet dezertów. Wszyscy zamienili się w złodziei i rzezimieszków. Wielu zaczęło się w przeróżnych kolegiach. Zarąbałbym drani bez wahania, gdybym musiał.

– Jak długo ty i Katon służyliście ramię w ramię?

– To musiało być jakieś dwanaście lat. – Zaśmiał się. – Dobre to były czasy. W większości. No cóż... w pewnej części. Przybył do legionu jako świeżo wyzwolony niewolnik cesarskiego rodu Juliuszów. Chudy był jak gałązka wierzby i gładziutki jak brzoskwinka. No i nic zupełnie nie wiedział o życiu w armii. Pewien byłem, że chuchro nie przetrzyma tygodnia. – Zerknął na Liama. – Ale czekaj, czekaj, już ci chyba o tym gadałem, co?

Liam potulnie skinął głową.

– Chyba go z początku żalowałem – ciągnął były centurion. – Wziąłem niebogę pod skrzydła, nauczyłem, jak być żołnierzem.

A on w rewanżu nauczył mnie czytać. – Zaśmiał się. – Dzięki niemu stary, głupi centurion dowiedział się, że w życiu istnieją też wznioślejsze rzeczy.

ROZDZIAŁ 51

Pałac Imperatora, Rzym
54 rok naszej ery

Kaligula stał w głównym atrium, zachwycając się konstrukcją dziwnych broni. Wyjmował je z ciemności i badał gładkie, perfekcyjnie wyostrzone linie i zagięcia. Nie było znac na nich zadrapań, zarysowań ani wykutych oznaczeń rzemieślnika. Jakby przedmioty same zrodziły się z materii, a nie zostały przez kogoś wykonane.

Zwykł rozkładać ten piękny, tajemniczy oręż na atlasowych prześcieradłach i wpatrywać się w niego godzinami.

Uwięziony w klatce Gość rzekł mu raz, że przedmioty te zwą się „karabinami pulsacyjnymi T1-38”, że broń ta pozwala usiać okolicę trupami po jednym tylko naciśnięciu palcem. Raz, dawno temu, Kaligula poprosił o zademonstrowanie mu, jak działa to narzędzie. Niestety, inny Gość nazywany Stilsonem, człek niepomiernie irytujący i głośny, odmówił, twierdząc, że Kaligula jest zbyt prymitywny i nic z jego wyjaśnień nie pojmie.

Kaligula uśmiechnął się, przypominając sobie tę zapierającą dech w piersiach arogancję głupca, która kazała mu wierzyć, iż jego intelekt szybuje na poziomie niedostępnym dla barbarzyńskich Rzymian, którymi będzie teraz „mądrze rządził”.

Tak. Kaligula w mig pojął, czym byli. Na pewno nie bogami – zrozumiał to od pierwszego spojrzenia. Byli zwykłymi ludźmi. Ludźmi z odległej przyszłości. Utwierdziły go w tym przekonaniu częste rozmowy, jakie na osobności prowadził z ciemnoskórym młodzieńcem o partyjskim wyglądzie, którego zwali Rashimem.

Młodzieniec ten posiadał największą wiedzę na temat wszystkich tych niesamowitych artefaktów. To jemu Kaligula mógł schlebiać jak naiwnej dziewczusce. To jemu obiecał, że zasiądzie na cesarskim tronie obok niego. To on okazał się na tyle głupi, by uwierzyć w szczerą obietnicę bez pokrycia. Tak, był wystarczająco młody i naiwny, by szybko uwierzyć w puste zapewnienia i przyrzeczenia Kaliguli.

„Rashim”.

Przybyli tutaj – jak powiedział mu lata temu ten młody mężczyzna – bo ich świat uległ zagładzie, toczyły go plagi, umierał. Szalał w nim pomór zabijający wszystko co żywe. Nie mieli wyboru. Rashim powiedział mu, że posiadli wiedzę o „nauce” pozwalającej otwierać drzwi do niezgłębionego wymiaru, przez który mogli przechodzić do świata w wybranym punkcie czasu. Z opisu młodzieńca wynikało jasno, że wie bardzo niewiele na temat tej przestrzeni – wiedza ta wykraczała nawet poza jego „naukę”. Ale Kaliguli zdawało się, że rozumie strukturę świata, który odwiedzili.

Przysłuchując się słowom Rashima – „białe jak śnieg... nieskończone... bezkresne... piękne... przerażające” – uznał, że mogło to być tylko jedno miejsce.

Niebo.

Krótkowzroczni głupcy przeszli bezpośrednio przez Niebo, żeby zostać królami i cesarzami. Gdyby w ich głowach kołatała się choć uncja mądrości, rozumieliby, że to Niebo jest jedynym prawdziwym celem. Wejść do niego... i natychmiast opuścić? Bogowie, toż to czyste szaleństwo.

Już po upływie sześciu miesięcy od przybycia Gości, którzy urządzili się w cesarskim

kompleksie jak w domu, Kaligula zrozumiał, że wcale nie są tak niezwyciężeni, jak im się wydawało. Ich obrońcy, Kamienni Ludzie, byli – tak jak inne przywiezione przez nich maszyny – zwykłymi narzędziami, których można użyć w określonym celu.

Wykorzystać.

Włączyć. Wyłączyć.

Wystarczyło dowiedzieć się, jak to zrobić. Młodzieniec, Rashim, wiedział. On jeden rozumiał ich naturę, wiedział, jak wydawać im rozkazy, aby wykonywały wolę swego pana.

– Wystarczy, że wypowiem kilka słów – wyjął mu Rashim – a będą na twoje rozkazy.

– Zrobią wszystko, o co poproszę?

– Tak, oczywiście. Przejdą do trybu czuwania, trybu diagnostycznego.

– I już zawsze będą wypełniać moje rozkazy?

Rashim kiwał głową.

– Chyba że usłyszą sekwencję kodu resetującego. Wówczas ponownie się załadują i powrócą do ostatniego zestawu parametrów misji.

– A zatem, Rashimie – Kaligula uśmiechnął się ciepło – ty i ja będziemy rządzić ramię ramię.

– Ale musisz przysiąc, że nie skrzywdzimy pozostałych.

Obietnica złożona przez Kaligulę wystarczyła, żeby uspokoić łat-wowiernego młodzieńca.

Dokładnie dziewięć miesięcy po przybyciu Gości nadeszła noc zagłady. Noc upuszczania krwi. Gdy z nastaniem ranka zapiał kur, wśród gładkich, marmurowych ścian pałacu rozbrzmiało echo rzezi, korytarzami płynęły płaczliwe krzyki ofiar wyłapywanych jedna po drugiej przez Kamiennych Ludzi. Przywódca, arogancki głupiec Stilson, został z rozkazu Kaliguli pojmany żywcem. Cesarz torturował go potem przez kilka dni.

„A Rashim?”

Kaligula zaśmiał się na myśl o naiwności młodzieńca. W noc upuszczania krwi, kiedy Goście bawili się jeszcze na wspaniałym przyjęciu urządzonym na ich cześć, dwunastu milczących Kamiennych Ludzi przybyło na jego rozkaz do małej komnaty, z dala od głównego atrium, od podniesionych głosów i śmiechu.

Rashim wypowiedział specjalną sekwencję wyrazów, która odblokowała maszyny. Kamienni Ludzie jakby zapadli w trans, ale już po sekundzie wybudzili się z niego z zupełnie innym wyrazem zimnych, szarych oczu. Kaligula od razu kazał im uciszyć Rashima, żeby ten nie mógł przemówić ponownie, polecenie wykonała istota nazywana porucznikiem Sternem.

I tak rozpoczęła się noc upuszczania krwi. Osiem godzin później do pałacu zajął brzask, nieśmiało promienie słońca padły na marmurową posadzkę upstrzoną kałużami zasychającej krwi. Kamienni Ludzie wyciągnęli ciała na dziedziniec i ułożyli z nich imponujący stos pogrzebowy. A młody mężczyzna, Rashim, obudził się w swej nowej klatce z maską na twarzy. Kiedy odzyskał przytomność, zrozumiał, że resztę swojego życia spędzi w klatce.

Kaligula przestał gładzić chłodny, gładki metal broni rozłożonej na purpurowym atłasie niczym muzealne eksponaty. Objął wzrokiem panoramę Rzymu gotującego się do wieczornego snu. Labirynt bielonych ścian i terakotowych dachówek oblewało ciepłe światło wieczoru. Ku niebu ulatywały blade kosmyki dymu ze stosów pogrzebowych płonących we wszystkich dzielnicach miasta. Dziś też zmarło wielu obywateli. Choroby, zatruta woda i inne plagi wielkiego miasta. Wzruszył ramionami. Niedługo dola jego obywateli się poprawi.

Gdy powróci.

Przysłuchiwał się odległemu echu rogów, których śpiew zachęcał ludzi do wyjścia z domów i złożenia mu hołdu. Widział ciemne zarysy wspaniałych schodów prowadzących do Nieba, schodów, którymi niebawem powróci na ziemię, gdy już wstąpi do spowitego mlecznobiałą mgłą Królestwa Niebieskiego i zostanie tym, kim od zawsze pisane mu było zostać.

Bogiem.

Sny na jawie przerwał cichy odgłos bosych stóp plaskających po gładkiej podłodze. Podniósł wzrok i zobaczył, jak Stern wstrzymuje biegnącego niewolnika i przyciszonym głosem pyta, jakąż to wiadomość będzie on przekazać cesarzowi. Niewolnik natychmiast padł na kolana, gdy zauważył, że Kaligula zaszczycił go spojrzeniem.

– O co chodzi?

– Trybun gwardii pałacowej chce cię zobaczyć, panie – odparł Stern. – Mówi, że to nie może czekać.

Kaligula westchnął. Był zmęczony. Wolałby zwinąć się w kłębek przy swoim orężu i oprzeć pulsujące skronie o chłodny metal. Kojąca perspektywa. Ale trybun kohorty pałacowej... tak, nawet lubił tego nowego oficera. Bystry i zajmujący człowiek. Jak na żołnierza oczywiście.

Jak go zwać? Bezskutecznie próbował przywołać w pamięci jego imię.

– Tak... dobrze, poślij po niego.

ROZDZIAŁ 52

Pałac Imperatora, Rzym
54 rok naszej ery

Katon wszedł do atrium Kaliguli. Od kiedy mianowano go dowódcą gwardii pałacowej, miał okazję być tu tylko kilka razy. Pomieszczenie było przestronne i nawet najmniejszy hałas odbijał się irytującym echem. Rzadko kiedy widywał Kaligulę otoczonego ludźmi. Cesarz wolał trzymać swoją królewską rodzinę tak daleko od pałacu, jak to możliwe. Wolał własne towarzystwo.

Teraz też towarzyszył mu tylko jeden z Kamiennych Ludzi, ten nazywany Sternem, nie licząc oczywiście pół tuzina niewolnych ustawionych wzdłuż ścian i cierpliwie czekających na skinienie władcy. Niemal wtapiali się w otoczenie, nieruchomi jak freski. W oczach Kaliguli nie byli prawdziwymi ludźmi.

Katon z szacunkiem zatrzymał się kilka kroków przed Kaligulą i zasalutował.

– Cezarze.

Władca uśmiechnął się na powitanie.

– Ach, tak, teraz sobie przypominam... Katon, prawda?

– Tak, panie. – Katon potwierdził skinieniem głowy. – Trybun Kwintus Licyniusz Katon.

– No już, nie bądź niegrzeczny. Stern... przywitaj się z naszym gościem.

Jednostka pomocnicza beznamiętnie spojrzała na Katona.

– Witaj, trybunie.

Katon przez dłuższą chwilę przyglądał mu się w milczeniu. Przez ostatnie kilka miesięcy już wiele razy oglądał z bliska te istoty. Niepokoiły jego ludzi. Jego samego zresztą też. Chociaż nie wierzył w żadne magiczne opowiadki, zawsze przeczuwał, że tkwi w nich jakiś nieludzki pierwiastek. Teraz wiedział, czym byli – wybudowanymi przez człowieka maszynami, które zamiast drewna i metalu miały w sobie tkanki i kości.

– O co chodzi, trybunie? – Kaligula usiadł na krześle i gestem dłoni zachęcił Katona, by się doń zbliżył. – Podejź, wcale nie musimy do siebie krzyczeć.

Katon podszedł kilka metrów. Gdy zbliżał się do Kaliguli, kątem oka dostrzegł, że Kamienny Człowiek nie spuszcza z niego baczного spojrzenia.

– Najwyraźniej to coś bardzo ważnego?

– Tak, panie... odkryłem dowody spisku przeciwko tobie, panie.

– Spisku? – Kaligula wyprostował się w krześle.

– Doszły mych uszu informacje o planie... zamordowania cię, panie.

Twarz cesarza nieznacznie nabiegła krwią, a z jego ust wypłynęło zmęczone westchnienie.

– Nigdy im się nie znudzą te spiski? – Podniósł się z krzesła i podszedł do Katona. – Twierdzisz więc, że chcą mnie zabić?

Katon potwierdził skinieniem głowy.

– Chytre staruchy – ciągnął imperator. – Troszczą się tylko o swoje małostkowe interesy. Łakną zaszczytów, chcą zapewnić karierę swoim synom i bratankom, pożenić pieniądze ze statusem społecznym. Albo na odwrót. Gotowi powyrzynać się nawzajem dla doraźnego zysku. Potwory.

Ze smutkiem uśmiechnął się do Katona.

– To biednych, zwykłych ludzi najbardziej mi żal. Ci spasieni kretyni rządzą nimi zbyt

długo. – Zauważył, że Katon ściska w dłoniach jakieś zwoje. – Który to teraz ambitny łapserdak chce mnie zabić?

Katon bez słowa wręczył mu plik zwojów.

– To ich listy, panie.

Kaligula niemal wyrwał je z dłoni trybuna, rozwinął jeden z nich i szybko przebiegł wzrokiem.

– Krassus! Ta stara, wysuszona figa? Dlaczego mnie to nie dziwi? – Spojrzał na Katona tak, jakby wracał do tematu, który wałkowali już niejednokrotnie. – Dawno, dawno temu powinienem był zgnieść te stare plotkujące mauzolea. Czasem jestem zbyt pobłażliwy, tak, nawet ja mam swoje wady. – Wrócił wzrokiem do listów i przeczytał je w milczeniu.

– Lepidus. – Kaligula wyglądał na szczerze zaskoczonego. –

Lepidus?

– Tak, panie.

Kaligula rozwinął zwój i czytał dalej. Z każdym przeczytanym bezgłośnie słowem jego twarz pąsowiła bardziej.

– Niewdzięczny, gruby wieprz. Dałem jemu i jego ludziom wszystko, czego sobie zażyczyli. Dostają trzy razy wyższy żołd, niż powinni. Oni... on... przysięgał mi wierność i posłuszeństwo!

Uderzył w miskę owoców, którą jeden z niewolników postawił wcześniej na miniaturowej kolumiencie. Miska z brzękiem upadła na posadzkę, potoczyła się po niej, wirując niczym koło od wozu, i walnęła w ścianę, echo rozbrzmiało w całym atrium i popłynęło w dół korytarza. Kaligula zaklął głośno.

– Lepidus... widziałem, jak gad pada na ziemię i modli się do mnie. Modli się do mnie!

Mówił, że od zawsze wiedział, że jestem wyjątkowym człowiekiem.

– Generał zawsze mówił ci to, co chciałeś usłyszeć – trzeźwo zauważył Katon.

Kaligula zwinął drżącą dłoń w pięść.

– Kłamiwa... nie tak dawno temu płaszczył się tu przede mną... padł przede mną na kolana i zaklinał się, że wierzy we mnie!
Że...!

Odwrócił się do Katona.

– Ty we mnie wierzysz, prawda trybunie? Wierzysz, że wstąpię do niebios i zajmę swoje miejsce wśród bogów. Bo wiesz, że nastąpi to wkrótce? To kwestia dni!

Katon zawahał się. I w mgnieniu oka uświadomił sobie, że to niezdecydowanie dowodzi jedynie głupoty. Powinien był przewidzieć tego rodzaju pytanie. Powinien był przeciwwić odpowiedź.

Kaligula uniósł rękę i mocno przycisnął palec do ust Katona.

– Nie! Nie musisz mi odpowiadać. – Do szeroko otwartych oczu cesarza napłynęły łzy. – Powiedz mi! Dlaczego, dlaczego ludziom tak trudno w to uwierzyć? Tak trudno im zrozumieć, że naprawdę jestem herosem? Hmmm? Jestem mądry. Drzemią we mnie pokłady bezgranicznej miłości. Wiem o rzeczach, o których nie mają pojęcia inni ludzie. Przybyli po mnie Goście, oni sami. Przybyli... i opowiedzieli mi wszystko!

Nachylił się bliżej, zniżając głos do ochryplego szeptu.

– A to nie wszystko, mam jeszcze ambicję. Kiedy stąd odejdę... kiedy wstąpię do niebios i spłyną na mnie moce, nie będziemy już potrzebować legionów, by pacyfikować hordy barbarzyńców w Germanii, w Brytanii... wszystko uczyni moja miłość, moja dobroć! Moich wyznawców nakarmię i napoję. Skute lodem krainy tonące w ciemnościach ogrzeję ciepłymi i jasnymi promieniami słońca.

Kaligula nie odrywał palca od ust Katona.

– A jeśli nie uda mi się tego osiągnąć, ześlę na nich plagę. Ot, tak. – Pstryknął palcami. – Zakryję niebo burzowymi chmurami. Wzbudzę w nich trwogę. – Uśmiechnął się. – Miłość i strach... to w końcu dwie połówki tego samego jabłka. To dwa pierwiastki nieodłącznie splecione.

Kaligula stał tuż przy nim, Katon czuł na twarzy ciepły i wilgotny oddech cesarza. Pretorianin bezwiednie poruszył rękami, lewy nadgarstek otarł się o żelazną rękojeść gladiusa.

„Teraz mógłbym go zabić. Sięgnąć po miecz i zabić na miejscu”.

Nie, nie miał na to najmniejszych szans. Stern stał raptem metr od niego i potrafił poruszać się z zastraszającą szybkością. Zimne, beznamienne oczy świdrowały go teraz z bliska, wychwytywały najmniejsze tiki mięśni twarzy. Katon spostrzegł też nieznaczne poruszenie palców niebezpiecznie zaciskających się na głowicy miecza. Mógł zaryzykować, lecz szczerze wątpił, czy zdąży choć wyjąć ostrze z pochwy. Prędej Kamienny Człowiek przesyje go mieczem.

– Ja... ja jestem tylko żołnierzem, panie – rzekł Katon, którego usta wciąż delikatnie przyciskał palec Kaliguli. – Zajmuje mnie tylko twoje bezpieczeństwo, cesarze. Nic więcej.

Malująca się na twarzy Kaliguli złość i nieobecny wzrok zniknęły w ułamku sekundy. Ohydna maska rozdrażnienia i wściekłości wyparowała, zastąpiło ją coś szczerzego: ciepły i zachęcający uśmiech. Cesarza ujął ten brak osądu, pustosłowia, kłamstw. Prosty umysł dobrego żołnierza, którego myśli wirują wyłącznie wokół zadań, obowiązków... i metod ich wykonania.

Kaligula odstąpił od niego.

– Łby im za to ponadziewam na włócznie. I natychmiast pojmię mi Krassusa.

Katon skinął głową.

– A co z generałem Lepidusem, cesarze?

Kaligula w zamyśleniu ściągnął usta.

– Najrozsądniej będzie go wezwać bez podania powodu niż otwarcie zaaresztować. To spasiony i nieruchawy wieprz... lecz jeśli domyśli się, że niebawem straci głowę, może poważnie się na coś głupiego.

– Tak, panie.

– Powiedz mu... – Kaligula oparł palec na podbródku, pograżając się w rozmyślanie. – Rzeknij mu tylko, że pragnę się z nim rozmówić. Tylko mi go nie spłosz, rozumiesz? Chcę z nim tylko pomówić.

– Natychmiast się tym zajmę. – Katon energicznie skinął głową.

– Dobrze – mruknął Kaligula nieobecnym tonem. – Dobrze...

i powiadom mnie, gdy pojmię Krassusa. Z nim też trochę sobie pogawędzę.

– Tak, panie.

Kaligula odwrócił się od Katona i odszedł w stronę okna i balkonu, z którego roztaczał się widok na tonący w mroku miejski krajobraz.

– Popatrz tylko. Co za pech. Właśnie przegapiłem zachód słońca – szepnął w zamyśleniu.

ROZDZIAŁ 53

30 kilometrów na północ od Rzymu
54 rok naszej ery

– Co? – generał Lepidus zadławił się i wypluł wino na stół.

– Tak słyszałem, panie. Dziś popołudniu.

Lepidus poderwał się z krzesła, nóżki zgrzytnęły o drewnianą podłogę.

– Aresztowania?

Mody trybun, który stał z włożonym pod ramię hełmem

w pełnej szacunku pozie, niespokojnie zaszurał butami. Nie przestał jeszcze sapać z wyczerpania po pięciogodzinnej jeździe ze stolicy.

– Atellusie! O czym ty w ogóle mamrociesz? – W głosie Lepidusa pobrzmiwały wysokie i ostre, niewieście niemal, tony. Nienawidził gdy z nerwów i niepokoju brzmiał w ten sposób.

– Aresztowania... jednym z pierwszych pojmanych był Krassus.

Szeroka twarz Lepidusa w jednej chwili zbladła.

– Krassus!

Atellus pokiwał głową. Lepidus opadł na krzesło, mebel niemal ludzko jęknął pod ciężarem generała, który wyglądał na wyraźnie roztrzęsionego.

– Krassus! Bogowie, miejcie mnie w swojej opiece, ten staruch wszystko wypaple na samą wzmiankę o bólu! – Popatrzył na swojego podwładnego. – A wtedy padną imiona, Atellusie. Moje i...

Trybun skinął głową.

Lepidus otarł usta, na jego skórę wystąpiły kropelki lepkiego potu.

– Niech Jowisz porazi gromem tego starego, purchawego grzyba za wplątanie mnie w swe krwawe intrygi!

Kilka wizyt, to wszystko. Jego i Atellusa. Szybko zorientował się, że dalsze utrzymywanie jakichkolwiek kontaktów ze starcem sprowadzi na nich obu wyrok śmierci. Dlatego zachował ostrożność.

Lepidus praktycznie od razu zdystansował się od małego grona pozbawionych wyobraźni spiskowców. Spotkał się z nimi tylko raz. Potem świadomie odrzucał wszystkie ponawiane zaproszenia na ich zebrania. W ogóle nie powinien był tam iść... lecz ambicja, próżność wzmagaly jego ciekawość. Krassus zasugerował, że jeśli Kaliguli przydarzy się jakiś wypadek, Rzym z pewnością będzie potrzebował nowego Opiekuna. Dobry kandydat to ktoś mający władzę, cieszący się popularnością wśród żołnierzy, mieszkający w Italii... i niekojarzony ze stronnictwem panującego cesarza.

Ktoś taki jak on.

Lepidus przyprowadził ze sobą zaufanego oficera, Atellusa, bo spodziewał się, że spożyją na koszt starego polityka obfity posiłek i przeprowadzą dyskretną rozmowę, niby od niechcenia i z udawaną troską zastanawiając się nad kierunkiem, jaki powinien obrać Rzym... na wypadek, gdyby cesarzowi przydarzył się straszny i pechowy wypadek.

Nie spodziewał się tylko, że spotka tam kilkoro obcych ludzi... pogrążonych w otwartej, niebaczonej i niebezpiecznej rozmowie. Cóż za żałosny zlot spiskowców! Trzech senatorów, trybun gwardii i jeszcze jedna czy dwie osoby.

Teraz wie, że powinien był natychmiast opuścić tamto posiedzenie i przy pierwszej

sposobności donieść o wszystkim cesarzowi. Nie uczynił tego. On i Atellus powrócili do obozu i słowem nikomu nie szepteli o rozmowie.

To wystarczy, by Kaligula uznał ich winnymi w równym stopniu co Krassusa. Co gorsza, Krassus od tamtego czasu wiercił mu dziurę w brzuchu, namawiając na kolejne spotkania. Przesyłał mu prezenty!

– Psia jucha! – Sięgnął po stojący na biurku puchar, niewiele brakowało, żeby go przewrócił i rozlał wino po leżących na stole zwojach: zwykłych rejestrach i inwentarzach obozowych. Opróżnił puchar i szybko przetarł usta. – Stary padalec manipulował mną przez cały ten czas!

– Panie?

Lepidus skrzywił się i zaklął pod nosem.

– W ostatnim roku posłał mi kilka prezentów. Pamiętasz partyjskie konie? Krągłą niewolnicę?

Atellus pokiwał głową. Pamiętał to doskonale. Tak jak reszta obozu. Niewolnicę, swoją drogą, generał przyjął szczególnie ciepło.

– Panie, te podarki z pewnością nie mają nic wspólnego z...

– Nic nie rozumiesz, bawoli łbie? Krassus postarał się, żebym wyglądał na współuczestnika jego knozań! Próbuje... – Lepidus przerwał i szeroko rozwarł oczy. – Niech bogowie mają mnie w opiece!

– Co się stało, panie?

– Napisałem do niego list... podziękowałem mu! – Uporczywe pochlebstwa, którymi raczył go Krassus, osłabiły jego czujność...

W panice zaczął rozglądać się wokół siebie, próbując przypomnieć sobie dokładne brzmienie korespondencji. Krassus wraz z podarkami przysyłał mu listy, w których wyrażał ostrożnie artykułowaną krytykę Kaliguli i subtelnymi słowy zachęcał Lepidusa, by tę krytykę rozwinął.

„Próbował mnie wybadać. Właśnie to robił przez cały ten czas”.

Lepidus starał się nie odpowiadać na żadne przewrotnie dobierane epitety, którymi Krassus obdarzał cesarza i zarzuty dotyczące potwornych zaniedbań w mieście. Generał wyraźnie pamiętał, że ograniczył się do grzecznego i bardzo neutralnego „dziękuję” w odpowiedzi na cudne prezenty przesyłane przez starca. I co najważniejsze... ignorował wszystkie niedwuznaczne frazy; frazy formułowane w niezdarnej próbie wybadania jego poglądów.

– Mieście mnie w swojej opiece! – wyszeptał.

– Panie?

Zaniechał jednego... powinien był natychmiast przesłać tę korespondencję cesarzowi. Powinien był ostrzec Kaligulę i powiadomić go o zdradliwych podszeptach Krassusa.

„Bogowie!”.

W ostatnich latach generał uznał, że gra na zwłokę i niewychylenie się – próba przeczekania szaleństwa – to najlepsza strategia, jaką można w obecnych okolicznościach obrać. Ze swoimi dwoma legionami obozującymi raptem dzień marszu od Rzymu, mógł swobodnie opanować miasto i w razie nagłego wypadku zastąpić na tronie tego oszalałego głupca.

A że taki wypadek niebawem się wydarzy, było niemal pewne. Kaligula był psychicznie niestabilny. Coraz bardziej. Wierzył, że jest bogiem, że jest nieśmiertelny. Było prawdopodobne, że pewnego dnia szaleniec postanowi zaimponować swoim poddanym i zorganizuje brawurowy wyścig rydwanów, podczas którego zginie pod kopytami koni albo oznajmi, że potrafi latać i skręci kark po upadku z wysokiego muru. A nawet jeśli nic takiego się nie wydarzy, to prędzej czy później jakiś głodujący obywatel przy odrobinie szczęścia ustrzeli go z procy albo z łuku. Szaleństwo Kaliguli zdawało się osiągać straszliwe apogeum. Jakby cesarz spodziewał się, że

wkrótce przydarzy mu się coś, co zmieni oblicze całego świata.

Ale te wieści? Te plotki...?

Niechaj bogowie mają go w swej opiece, jeśli jego korespondencja z Krassusem trafi w ręce cesarza. Sam fakt, że nie uczestniczył w spisku organizowanym po cichu przez starego senatora, na pewno nie uchroni go przed ponurym końcem.

– Panie?

Lepidus podniósł wzrok na swojego trybuna.

– Musimy coś zrobić, panie. Możemy być następni....

Jeszcze przed nastaniem świtu Kaligula zechce przystroić miasto świeżymi głowami natkniętymi na włócznie. „A wśród nich znajdą się zapewne i nasze głowy”.

– Atellusie?

– Panie.

– Za pół godziny w moim namiocie mają się znaleźć wszyscy oficerowie z obu legionów!

– Tak, panie. Co...?

– Co zamierzam uczynić?

– Tak, panie.

– Nie mam wyboru, czyż nie? Już Krassus się o to postarał. – Zdało mu się, że usta trybuna poruszyły się w ponurym uśmiechu. – Tak. Atellusie, żołnierze mają gotować się do opuszczenia obozu.

– Panie... zamierzasz ruszyć na Rzym? – Atellus się zawahał. – Rzucić wyzwanie Kaliguli?

– A jakże!

– Ale żołnierze, panie... pomysł ten może nie przypaść im do gustu.

Atellus miał całkowitą słuszność. Legiony, oficerowie i zwykli żołnierze byli w lwiej części wierni cesarzowi. To właśnie on ich karmił, i to bardzo dobrze. Lepidus nie miał pewności, czy jego ludzie za nim podążą. A jeśli niebawem do obozu dotrze też jeździec z nakazem aresztowania...

– Czy mogę coś zasugerować, panie?

– Mów.

– Muszą uwierzyć, że gwardia pałacowa wystąpiła przeciwko cesarzowi.

Lepidus powoli kiwał głową. „Tak, oczywiście”.

– Zachęć żołnierzy, panie. Niech wierzą, że maszerujemy na Rzym, żeby wybawić Kaligulę po przewrocie pałacowym. Powiedz im, że cesarz hojnie wynagrodzi ich za lojalność... że za tę zdradę gwardia wypadnie z łask i zostanie rozwiązana.

„Tak... legiony i gwardia nigdy nie pały do siebie przesadną miłością”.

– Atellusie... sprowadź mi tu wszystkich oficerów. Rusz się!

– Tak, panie! – Trybun zaszalutował, obrócił się na pięcie i szybkim krokiem wymaszerował z namiotu Lepidusa.

Przed nastaniem świtu Dziesiąty i Jedenasty staną w pełnym rynsztunku gotowe do wymarszu. Nie wiadomo, co przyniesie kilka następnych dni... nie wiadomo, czy uda się wypowiedzieć wojnę gwardii i podjąć próbę obalenia Kaliguli, ale lepiej się do tego przyszykować. Lepiej by żołnierze przywdziali zbroje i przygotowali się na najgorsze.

ROZDZIAŁ 54

Rzym
54 rok naszej ery

Krassus usłyszał, że ktoś łomocze w wielkie drewniane odrzwia jego domostwa. Dolał do pucharu resztkę wina z karafki, patrząc jak jego niewolnik, Tosca, biegnie przez dziedziniec z migoczącą lampą oliwną w dłoni, by odpowiedzieć na uporczywe pukanie.

„Oto nadchodzą”. – Uniósł drżącą dłoń i wlał do gardła miarkę wina. Kapkę karmazynowej odwagi. Krassus doskonale znał swoje cnoty i słabości. Nie grzeszył odwagą. Gdyby miał w sobie choć uncję brawury, stanąłby ramię w ramię z senatorami, którzy kilkanaście lat temu rzucili wyzwanie cesarzowi.

Dziś spróbuje powetować sobie tamtą słabość.

Kiedy skrzydła drzwi wreszcie się uchyliły, ujrzał purpurowe płaszcze pretorianów mijających w wejściu zaniepokojonego niewolnika.

– *Dominus! Dominus!* – krzyczał w panice Tosca.

– Marku Korneliuszu Krassusie! – warknął centurion. – Z rozkazu cezara jesteś aresztowany!

Krassus rozpoznał ten głos. Fronto.

Najwyraźniej Katon powierzył obowiązek aresztowania zaufanemu oficerowi, aby ten potraktował Krassusa ludzko i z wyczuciem.

„Dziękuję, Katonie” – pomyślał stary senator.

– Jestem tutaj – powiedział drżącym głosem, wynurzając się z cienia portyku. – Z czym przychodzicie?

Podszedł do niego Fronto otoczony swoimi ludźmi. Zdobył się na możliwie najbardziej oficjalny ton.

– Marku Korneliuszu Krassusie, otrzymałem rozkaz odeskortowania cię do pałacu cesarza. Pragnie z tobą pomówić!

Krassus ze spokojem uśmiechnął się do Fronto.

– O tak późnej porze, centurionie? Poczuję się samotny?

Fronto postarał się, aby cień uśmiechu szybko zniknął z jego twarzy.

– Mamy natychmiast odprowadzić cię do pałacu, panie.

Starzec skinął głową.

– Tak, oczywiście... bogowie nie przywykli przecież do czekania na zwykłych śmiertelników.

Tosca podbiegł do niego z płaszczem w dłoniach.

– *Dominus!* Co się stało?

Krassus z tkliwością poklepał niewolnika po ramieniu.

– Nie zamartwiaj się, Tosca, stary przyjacielu. Niebawem powrócę. Czekaj na mnie ze śniadaniem.

– Panie? – nieustępliwie ponaglał Fronto.

– Zarygluj drzwi, Tosca – poinstruował szeptem. Odwrócił się do Fronto i zapiął klamrę przy narzuconej na wąskie ramiona pelerynie.

– Jestem do twojej dyspozycji, centurionie.

Kaligula podniósł wzrok znad małego stolika, na którym właśnie rozgrywał bitwę pomiędzy dwiema armiami drewnianych figurek. Usłyszał pobrzękiwanie i chrzęst zbroi oraz

cichszy stukot podkutych sandałów uderzających o kamienną posadzkę holu wejściowego.

– Ach... dobry wieczór, Krassusie. – Uśmiechnął się chłodno.

Krassus z udaną rewerencją skinął głową, gdy jego eskorta zatrzymała się kilka metrów przed cesarzem.

– Wasza boskość.

– Nie uwierzysz. Dzisiaj wczesnym wieczorem odbyłem intrygujące spotkanie. Chcesz wiedzieć z kim?

Krassus milczał.

– Och. Ani trochę nie jesteś ciekawy? Nawet ty?

– Zakładam, że i tak mnie oświecisz, najjaśniejszy.

Kaligula wyszczerzył zęby, po czym z zainteresowaniem zmarszczył brwi.

– Hmmm, to zupełnie niepodobne do ciebie, Krassusie. Zawsze byłeś taki... potulny. –

Wychylił się ponad równymi rzędami miniaturowych legionistów z drewna i zawiesił nos tuż przed ustami starca. – Piliśmy, może nie? Czyżby nas ogarnął lekki niepokój?

– Postanowiłem opróżnić mój zapasik wina, zanim Rzym pograży się w niekontrolowaną anarchii i zostanie splądrowany przez rozwrzeszczaną tłuszcę.

– Cii-cii... – Kaligula potrząsnął głową. – Nigdy nie pozwolę Rzymowi popaść w anarchię. Już niebawem na obywateli spłynie deszcz bogactwa... i morze przedniego wina.

– Achh... a więc wciąż wierzysz, że dzień cudów nadejdzie?

– Dzień, w którym otworzą się przede mną bramy niebios? Ależ oczywiście. To już bardzo blisko.

– Skoro tak twierdzisz, panie.

– Tak twierdzą. – Twarz Kaliguli stężała. – Jedno mnie niepokoi, Krassusie. Być może ty pozwolisz mi to zrozumieć. Skoro te zarośnięte dzikusy z Judei uwierzyły w niewykształconego młokosa, jakiegoś podrzędnego rzemieślnika... skoro uwierzyli, że ten lichy szczekacz i mąciiciel to król królów, syn Boga... dlaczego nie chcą uwierzyć, że imperator Rzymu może...

– Jesteś szaleńcem – odrzekł Krassus. – Niebezpiecznym dla Rzymu.

Kaligula oniemiał, słysząc rzuconą mu bez ogródek potwarz.

– Bogowie nie istnieją... Bóg też nie. Istnieją tylko przepowiednie o moralności, nic ponadto. Nawet zwykły półgłówek się tego domyśla.

– Krassusie! – W szeroko otwartych oczach Kaliguli błysnęły wesołe iskierki. –

Nareszcie, jakimś cudownym sposobem odzyskałeś mowę.

– Po co po mnie posłałeś, cesarzu?

– Miałem powód. – Kaligula powstał i spojrzał ponad ramieniem starca. – Ach, oto i trybun we własnej osobie. Podejdz do nas.

Katon zbliżył się do nich i energicznie zsalutował przed imperatorem.

– Trybunie... zechciej opowiedzieć drogiemu Krassusowi o swoim frapującym znalezisku.

Katon przemówił do starca suchym i oficjalnym tonem.

– To twoja korespondencja z Kwintusem Antoniuszem Lepidusem, panie, z której jasno wynika, że podżegałeś go do buntu i nakłaniałeś do zdrady.

– Sączyłeś truciznę do uszu Lepidusa. Byłeś bardzo, bardzo niegrzeczny. Lepidus był mi wiernym poddanym. Dobrym poddanym. – Kaligula z udanym smutkiem pokręcił głową. – Jestem pewien, że był mi oddany, zanim wciągnąłeś go w swoje machlojki.

A teraz... – Podniósł drewnianego żołnierzyka ze stołu. – A teraz nijak nie mogę mu ufać.

Krassusem wstrząsnął ochryply śmiech.

– Nikomu nie możesz ufać. Nikt cię nie kocha, za to wielu się ciebie boi. A ja?

Wzbudzasz jedynie moją litość. Twoje dni są policzone.

Kaligula z całej siły kopnął stojący między nimi stolik, z którego spadły na podłogę wszystkie drewniane żołnierzyki.

– Dlaczego? Dlaczego nie możecie poczekać? Poczekać i przekonać się na własne oczy?!

– Poczekać? Poczekać, aż zostaniesz bogiem?!

– TAK!!! – Kaligula odwrócił się od nich i ryknął z frustracją w stronę pogrążonego w mroku atrium. – Poczekać!! Poczekać i przekonać się na własne oczy!!!

Krassus zerknął na Katona, lecz trybun niemal niepostrzeżenie potrząsnął głową. Posłał tym samym wyraźny komunikat: nie waż się go jeszcze bardziej prowokować. To niepotrzebne.

Starzec smutno uśmiechnął się do przyjaciela. Uśmiech ten miał uświadomić Katonowi, że senator wie, czym zakończy się ta audiencja. Że jest na to gotowy. I co najważniejsze, że Katon powinien na to pozwolić. Próba przerwania nieuchronnego biegu zdarzeń... próba uratowania go i zaatakowania Kaliguli byłaby daremna. Kamienni Ludzie imperatora stali blisko. Zbyt blisko.

– Nigdy nie zostaniesz bogiem, Kaligulo... „buciku”. Jesteś tylko nieudolnym cesarzem i obłąkanym głupcem!

Kaligula zawirował na pięcie.

– Trybunie! Twój miecz!

Katon niepewnie spojrzał na imperatora.

– Dawaj miecz! JUŻ!

Trybun powoli wyjął swój gladius z pochwy i podał rękojeść Kaliguli.

– Cezarze, najrozsądniej zostawić Krassusa przy życiu! Jest użytecznym źródłem inform...

Kaligula zignorował go i pochwycił miecz. Przycisnął czubek żelaza do zagłębienia u podstawy gardła Krassusa. Spod ostrza wyciekła mała strużka krwi i spłynęła wzdłuż krawędzi wydatnej kości obojczykowej, wsiąkając w lnianą togę senatora.

Kaligula szaleńczo zarechotał na ten widok.

– Krassusie... kto by pomyślał, że dzisiejszy wieczór przyniesie tyle miłych niespodzianek. Przyszła pora na two ostatnie życzenie.

– Jestem gotów na śmierć. – Błyskawicznie zerknął na Katona. – Pragnę ustąpić miejsca nowemu pokoleniu senatorów. – Spojrzał Kaliguli prosto w oczy i przywołał wyzywający uśmiech. – Senatorowie ci wkrótce zajmą twoje miejsce, ceszarze.

Twarz imperatora zalał szkarłatny rumień nienawiści. Pchnął mieczem, mocno, aż usłyszał zgrzytanie klingi o kości starca. Krassus zadławił się własną krwią i kilkakrotnie kłapał ustami, po czym opadł na kolana i runął twarzą na posadzkę. Kaligula zaniósł się piskliwym śmiechem szaleńca. Nagle spoważniał i przyklęknął, żeby lepiej przyjrzeć się starcowi.

– Cezarze?

Imperator podniósł wzrok na Katona.

– Co znowu?

– Czekam na rozkazy.

– Rozkazy?

– Generał Lepidus. Posłałeś po niego gońca, panie? Gońca z rozkazem dla generała, żeby natychmiast stawiał się przed twoim obliczem? Rzykujemy, że wkrótce zostanie ostrzeżony. A to mogłoby sprowokować go do wypowiedzenia ci otwartego buntu, panie.

Kaligula ciężko skinął głową, odpędzając od siebie resztki wściekłości.

– Tak... tak masz całkowitą rację. Coś trzeba na to poradzić.
– Czas zmobilizować kohorty pretoriańskie stacjonujące poza murami miasta, panie.
Lepidus ma do dyspozycji dwa legiony... obozują dzień marszu od stolicy.
Kaligula powstał powoli, całkiem zapominając o ciele Krassusa.
– Tak, teraz musimy działać szybko, prawda trybunie?
– Bez chwili zwłoki, panie – odparł Katon. – Jeśli Lepidus dowie się, że padło na niego podejrzenie, od razu zacznie mobilizować armię do zdobycia Rzymu. Gwardia powinna natychmiast przygotować się do wymarszu i wyjść im naprzeciw.
– Racja, na kuksę Wulkana! – zaklął Kaligula. – Gdzie ten pieprzony prefekt? Posłałem po bęcwała wieki temu!
Katon odwrócił się do Fronto.
– Dowiedz się, gdzie jest. Potrzebujemy jego prerogatyw...
– Nic nie potrzebujemy! To ja jestem imperatorem! Ślij wici do kohort pretorskich, o świecie wszystkie mają stać przed wschodnią bramą, na Via Praenestina. Zrozumiano?!
– Tak, cesarze. – Fronto stuknął obcasami.
– Wykonać rozkaz! Migiem!
Katon odprowadził wzrokiem wybiegającego z atrium centuriona, po czym skupił wzrok na Sternie, który prężył się jak struna tuż za Kaligulą.
– A Kamienni Ludzie, panie? Czy nie powinieneś wysłać ich na czele armii? Cieszą się słuszną reputacją.
Kaligula w zamyśleniu pogładził podbródek.
– Na domiar złego dwóm legionom Lepidusa możemy przeciwstawić tylko jeden nasz – dodał Katon.
– Hmm. Zapewne masz rację. – Imperator zacisnął usta i pogrążył się w rozmyślaniach.
– Ale co, jeśli w pobliżu przyczaiły się inne żmije podobne Krassusowi? Nie, wolałbym, żeby Kamienni Ludzie pozostali przy moim boku.
Katon zawahał się, nie wiedział, na ile może sobie pozwolić. Wydawało się jednak, że Kaligula z chęcią wysłucha jego opinii, że wręcz czeka na jego radę.
– Pozostawię tu swoją kohortę, panie, żeby strzegła ciebie, pałacu i dzielnicy cesarskiej.
– Taak, może powinienem posłać kilku z nich... – Kaligula bardziej myślał na głos, niż mówił do Katona.
– Akurat tyłu, żeby być pewnym przygniatającego zwycięstwa, panie?
– Hmm... tak. Bez wątpienia musi być przygniatające. Nie mogę przecież pozwolić, żeby każdy niezadowolony generał szedł w ślady tego nieszczęsnego Lepidusa.
– Nie, panie.

ROZDZIAŁ 55

Subura, Rzym
54 rok naszej ery

Sal wyjrzała przez małe okienko w *cubiculum* na wąską uliczkę. Zaciekawieni ludzie wychodzili ze swoich domostw, rozświetlając mrok trzymanymi w rękach lampkami oliwnymi i pochodniami.

– Co się tam na dole wyprawia? – spytała Maddy.

– Na ulicy gromadzą się ludzie. Coś się stało.

Maddy dołączyła do przyjaciółki i precyzyjnie obok niej głowę, wyciągając szyję ponad łuszczącym się tynkiem gzymsu.

– Co to, jakieś zebranie rady miejskiej?

– Musiało się wydarzyć coś ważnego.

Ponad dachówkami widziały też mury budynków przy innych wąskich uliczkach, rozświetlone od dołu bladymi ognikami pochodni. Z tuzina otwartych okien wypływała bursztynowa poświata muskająca przygarbione ramiona i wyciągnięte szyje gapiów.

– To jakiś gigantyczny głuchy telefon – powiedziała Maddy. – Coś się dzieje. – Plotki zdawały się rozprzestrzeniać po mieście szybciej niż w jej czasach. Zaśmiała się. Starożytny Rzym spokojnie obchodził się bez Internetu, Facebooka czy Twittera. Tutaj każdy mógł krzyknąć do sąsiada przez cieniutką jak papier ścianę lub udać się na ploteczki na jeden z ruchliwych placów.

– Może już zabili Kaligulę.

– Nie sądzę. To nie mogło być takie proste.

Maddy znowu zerknęła w dół. Pod stukającą o mur tuż pod nimi roletą i głowami kilku ciekawskich lokatorów zobaczyła wlot do alejki wiodącej na wewnętrzne podwórze ich kamienicy. I cielsko krzątającego się wte i wewte Boba, którego nie można było pomylić z nikim innym.

– Macro miał rację... bez względu na to, jak potoczą się wydarzenia kilku najbliższych dni, miasto pograży się w chaosie.

– Razem, chłopcy – stęknął Macro. Liam, Bob i jeszcze kilku mężczyzn z kamienicy próbowali przewalić na bok wielki wóz. – Na trzy. Raz... dwa... trzy... teraz! – ryknął Macro.

Wóz przeleciał na burtę i uformował prowizoryczną barykadę, niemal całkiem blokując wejście do alejki. Po obu stronach została jednak pusta przestrzeń, którą trzeba było czymś zasłonić, dlatego Macro, nie przebierając w słowach, nakazał wszystkim lokatorom poznać zalegające na podwórzu rupiecie i załatać nimi luki po bokach przewalonej fury.

Liam wskoczył na skrzynię i powiódł wzrokiem ponad barykadą, stojący obok niego Bob też z zainteresowaniem przyglądał się rosnącej ciźbie.

– Słyszysz, co oni tam gadają, Bob?

– Chwileczkę. – Zmarszczył brwi, wsłuchując się we wzbierający szmer głosów dochodzących z uliczki. – Powtarzają plotkę, że gwardia pretoriańska szykuje się do opuszczenia miasta. – Przekrzywił głowę i jeszcze bardziej nadstawił ucha. – Ludzie mówią też, że Kaligula został zabity przez pretorianów. O, jest i kolejna nowina! – Bob nie powstrzymał uśmiechu. – Demony podziemia wyszły właśnie z kanałów ściekowych i sięją zniszczenie w mieście.

Liam patrzył, jak z bramy w dole ulicy wychodzi grupa młodych mężczyzn, wszyscy

uzbrojeni w noże, siekiery i pałki.

Do Liama i Boba dołączył Macro, który z powodu mizernego wzrostu, musiał wspiąć się na palce, żeby wyjrzeć zza barykady na ulicę.

– No to się zaczęło, psia mać – skomentował.

– Co? – dopytywał Liam.

– Zamieszki... – westchnął Macro. – Wystarczy pierwsza oznaka niepokoju, a cała hołota wyłazi z nor w poszukiwaniu łatwej zdobyczy, sucze pomioty. – Zaklął i splunął ponad burtą wozu. – Niech no tylko darmozjady choć palcem tkną moją własność, zamorduję pierdzieli... – Na potwierdzenie tych słów wyjął rzeźnicki tasak z kieszeni obwiązanego wokół talii skórzanego fartucha. – Wyślę te mendy prosto do rzyci Plutona. Popamiętają mnie, skurwysyny.

Liam uderzył w oczy odbłask światła pełzającego po grubym, przerdzewiałym ostrzu.

– Widzę, że podczas służby w legionach zasmakowałeś krwi, Macro.

Centurion wyszczerzył garnitur szczerbatego uzębienia.

– Bystry z ciebie skurczybyk, chłopczyku.

Babel-bud Liama szybko przetłumaczył słowa wiarusa, choć rozbawiona twarz Macro w zupełności wystarczyłaby za odpowiedź.

ROZDZIAŁ 56

Pałac Imperatora, Rzym
54 rok naszej ery

Katon rozwinął mapę stolicy na marmurowym stole w ogrodach pałacowych, przyciskając jej rogi kilkoma kamieniami.

– Zbliżcie się do mnie, panowie – powiedział do zgromadzonych oficerów, centurionów i optionów z pierwszej kohorty. Do jego żołnierzy. Niektórzy dopiero co zerwali się z łóżek i z zapuchniętymi oczami poprawiali jeszcze sprzączki przy ryszunku.

Otoczyli stół, przysłuchując się słowom trybuna, który szybko wprowadzał ich w plan.

– Z pewnością doszły was już słuchy, że gwardia o świcie ma stawić się do wymarszu przed Castra Praetoria.

– Co się stało, panie?

Katon podniósł wzrok na zwałistego centuriona, którego fizys – masywny jak u wołu kark, spłaszczony nos boksera i przycięte niemal do skóry blond włosy – wzbudzały szacunek i grozę.

– Generał dowodzący Dziesiątym i Jedenastym uznał, że najchętniej pozbyłby się naszego imperatora, Rufusie. Gwardia ruszy stawić czoła zbuntowanym legionom.

– To niemożliwe, panie. Lepidus zawsze wiernie służył cesarzowi.

– Sam wiesz, jacy są ci wszyscy ekwici. – Katon wzruszył ramionami. – Wszystkim im się zdaje, że to właśnie na nich najlepiej leżeć będą cesarskie szaty. Ale do rzeczy. Nasza kohorta zostanie tutaj, żeby strzec stolicy. Jak tylko ludzie zbudzą się jutro i posłyszają, co się wydarzyło, jak tylko odkryją, że niemal cała gwardia spakowała manatki i opuściła miasto, we wszystkich dzielnicach wybuchną zamieszki. Wszelkie pozory ładu prysną. Będziemy musieli ochronić miasto przed jego mieszkańcami. – Katon nachylił się nad mapą. – Zaczniemy od ciebie, Rufusie, drugą centurię rozlokujemy na Polach Marsowych, będzie chroniła budowli świątynnych. Również ty, Lectusie, skierujesz tam swoją centurię. Zabezpieczysz Stratum. Sullo, Marcelusie, wy i wasi ludzie będziecie strzegli akweduktu, na tym i na tym odcinku – powiedział, wskazując niebieskie punkty na mapie. – Resztę oddziałów rozlokujemy wokół Palatynu, zabezpieczymy w ten sposób budowle cesarskie. – Odwrócił się do Fronto. – A ty, Fronto, wraz ze swoimi ludźmi będziesz strzegł samego pałacu.

– Tak, panie.

Rufus śmiesznie wykrzywił swoje wielkie łebko.

– Wybacz panie, ale czy na pewno tylko jedna centuria ma chronić imperatora?

Katon spojrzał nań ostrożnie. Rufus, choć z gruba ciosany jak większość żołnierzy służących w gwardii, z pewnością nie grzeszył głupotą.

– Imperator ma też straż osobistą.

– Kamiennych Ludzi – mruknął jeden z optionów.

Katon nie przepadał za tym przydomkiem. Sugerował on jakieś nadprzyrodzone przymioty. Teraz, ponieważ wiedział, że to tylko zbudowane z mięśni i kości maszyny z odległych czasów, wyczuwał w tym określeniu jedynie posmak zabobonu.

– W pałacu będzie bezpieczny – zapewnił ich Katon i zwrócił się bezpośrednio do Fronto:
– Prawda?

– Tak, panie. Całkowicie bezpieczny, panie.

Właśnie wtedy spokój oświetlonych pochodniami ogrodów pałacowych zburzył tubalny

ryk:

– Co się tu, u diabła, wyprawia?! – Oficerowie ujrzeli swego prefekta, Kwintusa, zmierzającego ku nim zamaszystym krokiem. Dowódca szybko wyłowił w gromadce żołnierzy wysoką postać Katona, który przerastał wszystkich o głowę. – Trybunie! Na brodę Gromowładnego, który to bubek bez mej wiedzy rozkazał gwardii...

– Imperator we własnej osobie, panie!

– Że co? – Kwintus natychmiast stracił rezon. – Kaligula? Ale... przecież tylko ja mam prawo...

– Kwintusie! – Zalegające ciemności przeszły głos Kaliguli.

Z mroku wyłoniła się postać imperatora otoczonego przez dwóch Kamiennych Ludzi. Twarz prefekta zbladła. Tylko człękowi niespełna rozumu mogło ujść płazem wykrzykiwanie przydomku cesarza w ogrodach pałacowych.

– Cezarze, ja...

Kaligula uciszył go niecierpliwym machnięciem dłoni.

– Byłem zmuszony posłużyć się swym cesarskim majestatem i zmobilizować oddział, bo ciebie nigdzie nie można było znaleźć!

– Ależ panie – Kwintus nerwowo przełknął ślinę. – Istnieje... istnieje protokół, którego należy...

– Śmiesz powątpiewać w majestat przyszłego boga? – spytał

Kaligula z uśmiechem. – Jeszcze słowo Kwintusie, a każę wyrwać ci ten mielący ozór z gardła.

Pod ciężarem stalowego spojrzenia cesarza Kwintus spuścił wzrok na buty niczym złajane pacholę.

– A teraz do rzeczy, gdzież jest mój trybun, Katon? Achhh, tutaj stoisz!

– Cezarze?

– Postanowiłem sam objąć dowództwo nad gwardią.

– Co?! – Niemal się zapomniał. – Słucham, panie?

– Tak, uważam, że sytuacja domaga się mojej obecności. Powiniennem osobiście poprowadzić żołnierzy, razem z moimi Kamiennymi Ludźmi. Z pewnością natchnie ich to do boju.

Katon szybko zerknął ponad głowami zgromadzonych w kierunku jedyne go spiskowca w tym gronie: Fronto.

– Ależ panie, postąpiłbyś o wiele mądrzej, pozostając w pałacu. Obywatele Rzymu muszą czuć twą obecność. Ludzie powinni poczuć, że... głupotą... Lepidusa w ogóle nie należy się martwić.

– Och, ale ja się tym nic a nic nie martwię. – Kaligula zachichotał radośnie. – Powiem ci w sekrecie, że nie mogę się już doczekać tej wspaniałej bitwy! Tak dawno nie walczyłem. – Pociągnął nosem, jakby w nocnym powietrzu unosiła się jakaś nieuchwytna woń, wyczuwalna tylko przez niego. – Rozegrać ostatnią bitwę przed wstąpieniem do niebios. Zaiste, sprawy przybierają cudowny obrót! – Odwrócił się do jednego ze swoich Kamiennych Ludzi, którzy stali tuż za nim, przytrzymując jego zbroję.

– No i chcę zobaczyć jak ten gruby, zdradliwy kundel, Lepidus, łąsi się do moich stóp.

Katon próbował przybrać jak najspokojniejszy ton.

– Panie! Proszę... to nierozważne i niebezpieczne...

– Niebezpieczne? Ależ w najmniejszym stopniu! – rzekł Kaligula, unosząc w górę rękę, żeby umożliwić jednemu z jego Kamiennych Ludzi włożenie nań kirysu z brązu. – Lud musi to zobaczyć na własne oczy... zrozumieć, że nie jestem jakimś tam zwykłym bogiem, ale też wojownikiem, wielkim generałem.

Katon ze złością zacisnął zęby. Cały plan zamachu, w jego pierwotnym kształcie, opierał się na przekonaniu, że Kaligula pozostanie w bezpiecznym i wygodnym otoczeniu swojego pałacu.

– Trybunie – podjął imperator – zatroszcz się, by pod moją nieobecność nikt nie nabroił. Naprawdę nie mam ochoty wracać do zrujnowanego miasta. – Kaligula pozwolił Kamiennemu Człowiekowi naprężyć sznurki mocujące po bokach zbroi, po czym odwrócił się do prefekta. – Chodź ze mną, Kwintusie! Nie stój tu jak stara przekupa! Idź przywdziać zbroję. O brzasku wyruszamy z Castra Praetoria. – Teraz imperator odwrócił się do Katona i mrugnął do niego. – Zostawię ci trzech moich strażników, żeby strzegli pałacu. Oddaję swój dom w twoje ręce. Utrzymaj w nim ład i porządek. – Odwrócił się do Kwintusa i z wyraźnym zniecierpliwieniem klepnął go w ramię. – Poszedł stąd!

Katon patrzył, jak Kwintus obraca się na pięcie i urażony odchodzi, a Kaligula udaje się ze swoimi strażnikami w stronę pałacowych stajni. Trybun odprowadził ich wzrokiem, a gdy wreszcie połknął ich mrok nocy, odwrócił się do zgromadzonych oficerów.

– Dobrze, panowie, znacie swoje rozkazy! Wykonać!

Oficerowie zaszalutowali i odeszli zwołać swoich ludzi. Fronto odprawił optiona, rozkazując mu przygotować pierwszą centurię. Mężczyźni stali w milczeniu i odprężyli się dopiero, gdy zostali całkowicie sami, poza zasięgiem wścibskich uszu.

Katon zaklął soczyście.

– No to nasz finezyjny plan wziął w łeb – rzekł Fronto.

W odpowiedzi Katon jedynie pokiwał głową. Ich plan osadzał się na założeniu, że Kaligula pozostanie w pałacu i, przy odrobinie szczęścia, wyśle większość swoich Kamiennych Ludzi z gwardią. Ale cesarz postanowił dołączyć do armii i wszystko wskazywało na to, że bitwa potoczy się po jego myśli, co zapewne rozechoci szaleńca ponad miarę.

– Chyba, że Lepidus zwycięży. Myślisz, że to możliwe, panie?

Katon potrząsnął głową. Pretorianie z Kamiennymi Ludźmi w awangardzie to przeciwnik, którego żołnierze Lepidusa pokonać nie mogą. – Wszystko, co udało nam się osiągnąć, Fronto, to kilkudniowe krwawe igrzyska dla Kaliguli. Nic więcej. – Zastanawiał się, czy przez ostatnie kilka godzin miał choć cień szansy, żeby zdobyć miecza i zadać ostateczny cios. Z pewnością zginąłby w przeciągu kilku sekund od próby ataku na imperatora. Kamienni Ludzie byli szybcy i śmiertelnie niebezpieczni. Najprawdopodobniej skończyłoby się na nieudanym pchnięciu, po którym zostałby powalony na posadzkę i natychmiast zamordowany.

Teraz po powrocie Kaligula na pewno, w taki czy inny sposób, dowie się, że Krassus nie był jedynym konspiratorem. Cynceron i Paulus będą jednymi z pierwszych osób, z którymi cesarz zechce uciąć sobie pogawędkę, to pewne. A ile czasu upłynie, zanim któremuś z tych starców wymsknie się jego imię?

– Jeżeli wygra, Fronto... jeżeli zwycięży, wtedy spróbuję go zabić. – Popatrzył na pierwszego centuriona. – Nie miejmy złudzeń, nasze imiona wypłyną zaraz po jego powrocie.

– A wtedy będziemy martwi – rzekł Fronto.

– Zaiste.

ROZDZIAŁ 57

Subura, Rzym
54 rok naszej ery

– Na ulicach nigdy nie panowała taka cisza – rzekł Macro.

Liam pokiwał głową, wodząc wzrokiem po pustej ulicy za wysoką barykadą. Nie była jednak całkiem pusta. Na bruku zalegało bowiem z pół tuzina zwłok. Przez całą noc w mieście panowały zamieszki. Nadszedł czas wyrównywania rachunków przez konkurencyjne bandy, zwykli ludzie szabrowali co popadnie i łupili sklepiki w podcieniach kamienicy naprzeciwko. Pojawił się też inny żywioł, na widok którego krępy emerytowany centurion zaczął wzywać bogów na pomoc... pożar. Ktoś podłożył ogień w jednej z małych wnęk targowych, a bele lnu i jedwabiu zajęły się w oka-mgnieniu.

Macro przeskoczył przez barykadę i pognął wzdłuż ulicy, przeciskając się śmiało przez cizbę tłukących się brutalnie młodzieńców, aby ugasić płomień, zanim na dobre rozprzestrzenią się po sklepiku. Wrócił pięć minut później, cuchnąc od dymu, pocąc się obficie i mamrocząc do siebie jakieś łacińskie sprośności.

– Gdybym tylko wiedział, jak łatwopalne są te tandetne budynki... zainwestowałbym w winnicę.

Było już dobrze po świcie, słońce przebijało się przez osnute dymem niebo i oświetlało bruk.

– Żaden sprzedawca żywności się dziś pewnie nie pojawi? – spytał Liam.

– Nie. Wszyscy rozsądni kupcy będą trzymali się z dala od Rzymu, aż do powrotu pretorianów i przywrócenia ładu w mieście. Obywatelom będzie dziś burczało w brzuchach.

Liam spojrział na dziedziniec za alejką. Zostało tam trochę jedzenia. Kilka worków zboża, które nabyli wczoraj popołudniu za złodziejską stawkę, kilkanaście puszczonej luzem kurczaków no i, oczywiście, ich dwa kucyki. Liam zgadywał, że w kamienicy Macro mieszka około setka lokatorów, a to oznacza sto gęb do wyżywienia w czasie zamieszek, które potrwać nie wiadomo ile dni.

– Te sukinsyny wiedzą, że mamy tu żarcie. – Macro ruchem głowy wskazał twarze ludzi wyglądających zza okiennic małych okien i z balkonów w budynku naprzeciwko. – Plotka szybko się rozniesie. Wkrótce będziemy musieli walczyć o własne zapasy.

Sal pracowała razem z młodym chłopakiem, blondwłosym galijskim niewolnikiem. Przytrzymała drewniany pał, podczas gdy on ostrzył jego koniec. Na oko mógł mieć jakieś piętnaście lat, choć nie była pewna. Miał żylaste i muskularne ramiona i napiętą, szczupłą twarz. Na jego ciele próżno było szukać zbędnego grama tkanki tłuszczowej. Jakże różnił się od jej pucołowatych przyjaciół z dwa tysiące dwudziestego szóstego roku.

– Prosto, proszę – rzekł, uśmiechając się do niej nieśmiało.

Babel-bud szybko przełożył jego słowa.

– Przepraszam – odparła ze skruchą.

Rytmicznie poruszając nożem, naostrzył czubek pała, po czym wyjął go z ręki Sal, żeby zaczernić i zahartować w płomieniu ogniska.

– Ludzie powiadają, że przybyliście z daleka – rzekł chłopiec.

– Z bardzo daleka – potwierdziła Hinduska.

Znów spojrział na nią z zainteresowaniem.

– Ktoś w tajemnicy rzekł mi... że z tego samego miejsca co

Goście. To prawda?

– Nie do końca. – Wzruszyła ramionami.

Gdyby odpowiedziała twierdząco, na pewno zalałby ją potokiem pytań, na które nie potrafiłaby znaleźć przystępnych odpowiedzi.

– Czy to znamię niewolnika? – spytał, wskazując ówiek w jej nosie.

Uniosła rękę i odruchowo dotknęła kolczyka.

– To? Nie, to tylko taka dekoracja. Żeby ładniej wyglądała.

Chłopiec podniósł kolejny pal i podał jej drugi koniec do przytrzymania.

– Wyglądasz... inaczej.

– Inaczej? – Popatrzyła po sobie. Ciemna bluza z kapturem, czarne rurki i trapery na wysokiej podeszwie leżały dobrze schowane w ich pokoju. Teraz jej ciało okrywała ciemnoczerwona tunika bez rękawów, opadająca do łydek i obwiązana w talii pasem. Na nogach miała sandały. Niczym nie różniła się od dziewcząt i kobiet krzątających się po dziedzińcu.

Młodzieniec dotknął swojej czupryny kręconych włosów.

– Twoje włosy... krótkie jak u chłopca.

Skrzywiła się. Bzdura. Były za długie. Cholerna grzywka nieustannie opadała na oczy. Od wieków ich nie obcinała. Choć w porównaniu z dziewczynami i kobietami z tej epoki, które splatały swoje długie włosy w opadające na plecy warkocze, tak... z taką fryzurą mogła zapewne uchodzić za chłopczycę.

– Lubię taki styl – odpowiedziała. – To powszechna moda w miejscu, z którego pochodzimy.

Przekrzywił głowę.

– Ludzie mówią, że wasz dom nazywa się... – Zmarszczył czoło, próbując przypomnieć sobie właściwą wymowę obco brzmiącego słowa. – A-me-ry-ką?

„Ameryka to ma być mój dom? – Uśmiechnęła się do siebie z nutką smutku. – No chyba nie do końca”.

– Pochodzę z miejsca nazywanego Indiami – odpowiedziała. – Z Mumbaju.

– Marm... baju?

– Blisko. Mumbaju.

– Czy twoi przyjaciele też pochodzą z tego samego miejsca?

No i jak ona może mu to wyjaśnić? Nie. Nie pochodzą. Wtedy przypomniała sobie, że najlepiej nie komplikować spraw.

– Tak, tak jakby. Z dość bliska.

– Powiedz, jaki jest Mumbaj? – spytał, przerywając na moment ciosanie pała.

Przeniosła wzrok na dziedziniec, na który wyleźli już chyba wszyscy mieszkańcy kamienicy, pracujący zgodnie nad przyszykowaniem broni i umocnieniem barykady. Popatrzyła na rozciągnięte pomiędzy balkonami sznury z praniem, które zasłaniało niebo. Niektóre dzielnice Mumbaju wyglądały ludzko podobnie. Były to dzielnice slumsów naszpikowane przerdzewiałym żelastwem i pustakami, pełne grożących zawaleniem budynków wzniesionych w niedorzecznie gęstej zabudowie. Dziesiątki tysięcy zubożałych imigrantów z zatopionych nizin Bangladeszu żyło tam na jednej kupie. W każdym strzelistym budynku działało raptem kilkanaście źródeł prądu elektrycznego, kilka kranów i wspólne toalety, z których wprost na zabłocone ulice co rusz wylewały się nieoczyszczone ludzkie fekalia. Westchnęła. Uderzyła ją świadomość, że choć pochodzi z epoki oddalonej o niemal dwa tysiące lat od tych czasów, to w jej „domu” wszystko się sypie, daje o sobie znać przeludnienie i deficyty zasobów naturalnych,

brakuje żywności, a warunki sanitarne są na tak szadziwnym poziomie, że szkoda gadać... w porównaniu ze slumsami Mumbaju już nawet ta licha dzielnica starożytnego Rzymu wyglądała jak błoga kraina z przyszłości. „No, prawie”.

– Brzydki – odpowiedziała. – Pochodzimy ze zrujnowanego świata.

– Jak to?

„Jak najlepiej mu to wyjaśnić?” – pomyślała i po dłuższym namyśle odparła:

– Jest u nas zbyt wielu ludzi. Zbyt wielu ludzi, którzy chcą zbyt wiele rzeczy, tak myślę. Pokiwał głową, jakby doskonale to rozumiał.

– To tak jak w Rzymie, co?

„Jak w Rzymie?”. Skinęła głową. Rzym, koniec końców, też upadł. Padł i spłonął pod naporem Wandalów, którzy splądrowali miasto do gołego kamienia, zostawiając za sobą tłące się zgliszcza. Może ma rację. Może odległa przyszłość i Rzym mają ze sobą wiele wspólnego.

– Tak, trochę jak w Rzymie.

Właśnie wtedy usłyszała niosący się ponad zgiełkiem dziedzińca krzyk Liama. Ni w ząb nie zrozumiała, lecz piskliwy ton w jego głosie nie zapowiadał nic dobrego.

Maddy, która akurat rozmawiała z Bobem odwróciła się do niego:

– Co jest, Liamie?

– Mamy towarzystwo!

Macro rozdarł się jeszcze głośniejszym, dosadnym żołnierskim głosem, odbiły się echem od wszystkich czterech budynków okalających plac, wszyscy jak jeden mąż utkwili wzrok w centurionie. Babel-bud

w uchu Sal przetłumaczył ten ochrypły ryk spokojnym, obojętnym i wypranym z emocji tonem, jak głośnik w windzie oznajmiający dotarcie na żądane piętro.

<Nadchodzą!>.

ROZDZIAŁ 58

Pałac Imperatora, Rzym
54 rok naszej ery

Zazwyczaj w pałacu panował spokój. Słynne orgie Kaliguli, jego brak umiaru w smakowaniu życia i wyuzdane zachcianki, o których obywatele Rzymu plotkowali w całym imperium, wszystko to miało miejsce w latach jego młodości. Wiarusi z gwardii nieraz raczyli Katona opowiastkami o wybrykach cesarza w czasach tuż po dojściu do władzy. Wszyscy zgadzali się jednak co do tego, że dzień przybycia Gości odmienił Kaligulę. Imperator spokorniał.

Od tamtego dnia na korytarzach pałacu zapanował ład i porządek, rozmowy prowadzono tu łagodnym, przyciszonym tonem, a strażnicy patrolujący skrzydła budynku, w których mógł znajdować się cesarz, stąpali na paluszkach, żeby przypadkiem nie rozwścieczyć władcy zbyt głośnym brzęknięciem zbroi.

Zazwyczaj w pałacu panował spokój, jak zauważył Katon, ale dzisiaj było cicho jak w egipskim grobowcu. Służbę pałacową, niewolnych i wyzwolenców, dla ich własnego bezpieczeństwa, umieszczono w komnatach. Jedynymi ludźmi swobodnie spacerującymi po kompleksie pałacowym byli Katon, centurion Fronto oraz legionieści z jego centurii... no i oczywiście trzech Kamienni Ludzie, których Kaligula postanowił zostawić na straży w swym domu.

„Gdzież się oni u diabła podzieli?” – Katona niepokoiła myśl, że nie ma pojęcia, gdzie te stwory się przyczaiły. Trybun postanowił udawać oficera pochłoniętego wypełnianiem obowiązków, dlatego przemierzał pogrążone w ciszy marmurowe korytarze i ukryte dziedzińce, udając że wypatruje intruzów i grabieżców. W ogrodzie zielonym przykłęknął nad kratą rynsztoka i sprawdził, czy mocowanie trzyma i czy nikt nie zdoła wdrzeć się tą drogą na teren kompleksu. Nie troszczył się o to szczególnie, ale uznał, że lepiej zachowywać pozory.

Myślni błędził gdzie indziej.

Posłaniec od prefekta Kwintusa przybył raptem kilka godzin po tym, jak gwardia wymaszerowała z pałacu w długiej kolumnie purpurowych peleryn. Przywiózł ze sobą wiadomość, że zwiadowczy szwadron kawalerii wysforował się przed kolumnę i zdążył już stoczyć kilka potyczek ze zwiadowcami Dziesiątego i Jedenastego. I że zwiadowcy zdążyli już dostrzec na horyzoncie pierwsze szeregi wojsk Lepidusa. Wszystko wskazywało na to, że Atellus zdołał namówić generała do rzucenia wszystkiego na jedną szalę.

Przed południem dwie wrogie armie znajdą się zapewne w odległości kilku mil od siebie, a resztę dnia poświęcą na wzniesienie tymczasowych obozów. Przez noc żołnierze nabiorą sił, a walka na dobre rozgorzeje dopiero jutro.

Katona najbardziej martwiła ewentualność, że Kaligula i Lepidus postanowią pertraktować. Kto wie, może generał spróbuje przekonać imperatora, że Krassus w zмовie z innymi konspiratorami wrobił go w spisek. Jak szybko w czasie ich rozmowy wypłynie imię Katona? Jak szybko do pałacu przybieży posłaniec w eskorcie pretorianów z nakazem aresztowania?

Mógł porwać się na życie Kaliguli. Powinien był zaryzykować, gdy cesarz był rozproszony, patrząc na agonię Krassusa. Czyż nie miał wtedy cienia szansy? Pomyślał o tych dziwnych przybyszach: o dwóch dziewczętach, młodzieńcu i ich prywatnym tytanie. Być może jedyna szansa, jaka mu została, to sprowadzić tę istotę, Boba – cóż za dziwaczne imię – na teren

pałacu, dopóki jest w nim pusto. Później, po powrocie Kaliguli, być może zdoła wybrać odpowiedni moment, żeby z zaskoczenia dotrzeć w pobliże imperatora. Straceńczy to plan, ale jak dotąd Katon nie potrafił obmyślić lepszego, teraz mógł tylko czekać na posłańca i nakaz aresztowania, który niewątpliwie prędzej czy później nadejdzie. Powrócił do głównego atrium i skierował swe kroki do zachodniego korytarza wiodącego tuż przed główne wejście do pałacu. Przebywał tam Fronto z kilkoma oddziałami swoich ludzi. Katon musiał z nim pomówić. Szedł rażno, wypełniając korytarz stukotem podkutych sandałów, gdy coś przykuło jego uwagę. Zatrzymał się i spojrzął na zasłonę wiszącą na lewej ścianie. Za kotarą znajdowała się świątynia.

Postąpił kilka kroków naprzód.

Do świątyni wstęp miał tylko Kaligula. Ciekawe, czy dziewczyna, Maddy, miała rację, czy komnata skrywała te wszystkie tajemnicze rydwany; może zalegają tam nawet gnijące ciała osławionych Gości. Złapał za zasłonę i powoli odsunął ją na bok.

– Nie masz uprawnień, żeby tu wejść.

Katon drgnął niespokojnie na dźwięk szorstkiego głosu. A więc tutaj się schowały te trzy gagatki.

– Proszę bez zwłoki opuścić to miejsce – powiedział drugi, groźnie zastępując mu drogę i kładąc dłoń na rękojęści przytroczonego do boku miecza.

ROZDZIAŁ 59

Subura, Rzym
54 rok naszej ery

– Jezu! Puszczaj wreszcie, dziadu! – wydarł się Liam, celując pałką prosto w nabrzmiałe kłykcie dłoni, która uchwyciła się szczytu barykady. Pałka – noga od drewnianego stołu z kilkoma przebitymi na wylot kołkami – opadła z łomotem na rękę napastnika. Pomimo powszechnego harmidru, wycia i krzyków zgromadzonego na ulicy tłumu, Liam usłyszał jak kości nieszczęśnika pękają niczym skorupki jajek. Chwilę później dokładnie w tym samym miejscu pojawiła się kolejna para rąk, napierająca ciżba pracowała jak jeden mąż, próbując rozkołysać ciężki wóz i go przewalić. Bob zaparł się o konstrukcję, żeby masą swego ciała wzmocnić ją i ustabilizować. Ale obrona taktyka nie przynosiła spodziewanego rezultatu. Drewniane szprychy wozu wyginały się, trzeszczały i luzowały. Nawet jeśli tłuszczą głodomorów nie zdoła przepchać wozu razem z podtrzymującym go ciałem jednostki, to i tak cała konstrukcja pewnie rychło rozpadnie się w drzazgi i runie.

Macro jak w ukropie dźgał wojskowym gladiuszem zdesperowanych głupców, którzy odciągnęli hałdy gratów upchanych po obu stronach wozu i próbowali teraz precyzyjnie się przez powstałe luki.

– No już... spieprzać mi stąd!!! – ryczał na nich z pianą na ustach. – To moja własność, łapidruty!!!

Wyższy od niego o głowę mężczyzna, uzbrojony w podobny żołnierski miecz, zaatakował go bez pardonu. Macro, człek krępej budowy, któremu od czasów służby w legionach zdążyło przybyć trochę ciała, z zadziwiającą zręcznością sparował cios. Odbite ostrze wgrzyzło się głęboko w skrzynię i na dobre ugrzęzło między deskami.

Wyszczerył kły do wielkoluda, który rozpaczliwie starał się wyciągnąć klingę spomiędzy desek, po czym wyrzucił go w twarz rękojeścią miecza. Mężczyzna opadł wprost na tłum cisnących się ludzi.

– Informacja! – ryknął Bob. – Barykada długo nie wytrzyma naporu.

Liam skinął głową. Już się rozpadała. Postąpiliby lepiej – on, Bob, Macro, i trzej pozostali lokatorzy broniący barykady – gdyby odsunęli się kilka metrów i uformowali linię obronną w głębi alejki.

– Zaraz się zawali!

Macro ze stoickim spokojem pokiwał głową, też to, do bladej dupy Westy, widział. Obejrzał się przez ramię. Na przeciwległym końcu przesmyku między budynkami rozstawili wcześniej drugą, niższą zaporę z mebli i innych gratów. Mogli uciec i schować się za nią, wtedy zyskaliby podwójną przewagę – mieszkańcy stojący na balkonach wokół dziedzińca mogliby obrzucić napastników kamieniami i czym tam popadnie.

– Dobra, oddział... dajemy tam nogę, na trzy!

Otoczający go obrońcy skinęli głowami. Liam również, babel-bud wyszeptał mu wprost do ucha angielskie tłumaczenie, ledwo słyszalne w tym niemiłosiernym harmidrze. Ale to akurat nie miało znaczenia, sam wcześniej zrozumiał, co krzyknął Macro.

– Raz...!

Pozostali mężczyźni odstąpili od trzeszczącego i kołyszającego się wozu. Bob wciąż podtrzymywał całą konstrukcję swoim ciężarem.

– Dwa...!

Liam zamachnął się pałką, celując w kolejną parę rąk, i mocnym uderzeniem rozgniółł je na krwawą papkę.

– TRZY!!!

Wszyscy obrócili się na pięcie i potykając się, popędzili w głąb alejki. Sandały ślizgały się po zwierzęcych odchodach i deszczówce, która nakapała przez noc.

Gdy przeskakiwał przez rachityczną wewnętrzną barykadę, Liam usłyszał trzask walącego się za jego plecami wozu. Bob został na pozycji. Blokował swym wielgachnym ciałem wlot do alejki, wściekle wymachując młotem kowalskim o krótkim trzonku. Wóz rozsypał się w drzazgi, wystawiając klona na grad sypiących się z ulicy pocisków przeróżnego autoramentu: kamieni, strzał, wyrwanych z murów cegieł. Ciało Boba w mgnieniu oka pokryło się gęstą siecią nacięć i zadrapań, z których niczym syrop wyciekała szybko krzepnąca krew. W swoim czasie jednostka pomocnicza stawiała czoła kanonadom dużo większego kalibru, ale przypadek Beki dowodził smutnej prawdy – wystarczy jedna zbląkana strzała, jedna strzała, która przebije kość czaszkową i rozorze organiczny umysł wielkości orzeszka lub wbudowany procesor, żeby klon padł martwy jak zwykły człowiek.

– BOB! Wracaj tu! – wydarł się Liam, przekrzykując kakofonię głosów odbijających się od ścian.

– Potwierdzam! – zadudnił Bob. Powoli wycofywał się pod nieustającym ostrzałem, wciąż wymachując młotem i wstrzymując tłum. W końcu szybko się obrócił i przeskoczył przez drugą barykadę, dołączając do pozostałych.

Chwilę później tłuszcza z impetem wpadła na mniejszą barykadę, ta zatrzęsa się niebezpiecznie i runęła, zamieniając się w usypisko nóg od krzesel i kawałków pękniętych skrzyń, przez które wdzierał się teraz las nóg i ramion, opadających pałek, noży i sztyletów.

W powietrzu nad ich głowami świstały kamienie i krótkie, naostrzone pale, pociski wystrzeliwane z procy i bryły błota zebrane z ulicy. Takiej sąsiedzkiej awantury Liam jeszcze w życiu nie oglądał.

Kilku pierwszych mężczyzn, którzy przedarli się przez zaporę, szybko padło wśród zwaliska połamanych mebli, a reszta atakujących błyskawicznie wycofywała się pod gradem pocisków sypiących się z balkonów wokół placu. Wirujący młotem Bob oraz kłujący przeciwników mieczem

i wulgarnym językiem Macro stanowili zaporę nie do przejścia. Skutecznie powstrzymywali wrzeszczący, rozwścieczony tłum przed wzięciem szturmem bronionego przesmyku.

– Wypieprzać mi stąd, kundle awentyńskie! Do budy, już! – Macro ryczał na mężczyzn stojących kilka metrów od dżgającego powietrze czubka jego miecza. Procesor w babel-budzie pracował na najwyższych obrotach, żeby wiernie przełożyć choć połowę z potoku bluzgów, którymi centurion obrzucał wrogów. Ordynarna brawura byłego żołnierza sprawiała, że Liam nie przestawał nerwowo chichotać.

– Tak! Do budy, psie pomioty! – ryknął prowokująco, po czym schylił się, podniósł kamień, który właśnie wylądował pod jego stopami, i rzucił go z powrotem w tłum.

– Uwóżaj! – Macro uniósł tarczę, wysłużoną i starą prostokątną tarczę, na której wciąż widniały łuszczące się insygnia Drugiego Legionu wkomponowane w motyw rozwidlonej błyskawicy. Dźwignął ją w górę, osłaniając siebie i Liama przed dużym kawałkiem bruku, który ktoś wyciągnął z ulicy i rzucił ponad głowami tłumu w ich stronę. Bryła kamienia mocno grzmotnęła w tarczę, tworząc w niej wyszczerbione rozcięcie i opadając na ziemię przy ich stopach.

Macro opuścił puklerz i wyszczerzył zęby do Liama.

– Jak za starych dobrych dni!

Zanim pół sekundy później Liam usłyszał tłumaczenie, odniósł dziwne wrażenie, że stary wiarus pysznie się bawi całą tą sytuacją. Albo bawiłby się... gdyby nie usłyszał czyjegoś okrzyku *INCENDIA, FLAMMA*.

– Co?! – Macro z przerażeniem spojrzał na plac, w kierunku skąd dobiegł krzyk.

– Co się dzieje? – zaniepokoił się Liam.

Nad głowami usłyszeli świst precyzyjnie wypuszczonej strzały, któremu towarzyszył pstrykający syk. Liam ujrzał niewyraźną smugę dymu ciągnącego się za pociskiem.

Macro wściekle zmełł przekleństwo w ustach i ryknął:

– NIEEEEE!!!

Powietrze przeszło jeszcze kilka płonących strzał prujących w stronę drewnianych balkonów. Ogień błyskawicznie zajmował i pożerał wyschnięte drzewo, plecione z trzciny parawany i sznury prania.

– NIE! – ponownie zawył Macro. – To moja pieprzona własność!

ROZDZIAŁ 60

Pałac Imperatora, Rzym
54 rok naszej ery

Katon stał i patrzył na Kamiennych Ludzi, którzy bez słowa mierzyli go spojrzeniem.

– Wstęp na ten obszar jest zabroniony – oznajmił Stern. – Nie posiadasz uprawnień, żeby iść dalej. Natychmiast opuść to miejsce.

– Szukam śladów intruzów i grabieżców w pałacu – odparł

Katon.

– Rozumiem – spokojnie odpowiedział Stern. – Muszę jednak powtórzyć: nie masz prawa wstępu do tej lokalizacji. Odwróć się i odejdz.

Ci ludzie – nie, nie ludzie... te maszyny, kiedyś niepokoiły Katona. Choć, w przeciwieństwie do zabobonnych żołnierzy pod jego komendą, on sam nigdy nie widział w nich nadprzyrodzonych istot. Wiedział tylko, że nie zachowują się jak normalni ludzie. Że są dziwni. Przerażający. Teraz czuł, że w pewnej mierze pojmuje ich naturę. To maszyny. Narzędzia.

– Wiesz chyba, kim jestem, prawda?

– Potwierdzam. Jesteś trybunem Katonem.

– Rozumiesz też, że imperator przekazał mi wszelkie prerogatywy na czas swojej nieobecności? – spokojnie spytał Katon. – Dowodzę gwardią pałacową.

– Potwierdzam.

– Co więc kryje się za tymi drzwiami?

Stern postąpił krok do przodu. Nieznacznie przechylił głowę, jakby przysłuchiwał się jakiemuś ledwo słyszalnemu odgłosowi.

– To ściśle tajna informacja, trybunie Katonie. Nie dysponujesz przepustką bezpieczeństwa uprawniającą do uzyskania dostępu do tych informacji.

Katon przyglądał się Kamiennemu Człowiekowi. Stern mrugał, jakby raptem nabawił się tiku nerwowego. W jego zachowaniu znać było niepewność, zakłopotanie.

„Przepustka bezpieczeństwa. Cóż za dziwna fraza” – pomyślał Katon.

– Chcesz powiedzieć, że nie mam odpowiednich prerogatyw? Wręcz przeciwnie, mam. Imperator uczynił mnie dowódcą...

– Zaprzeczam. To... wojskowa strefa bezpieczeństwa USA... to... – Stern przerwał w pół słowa i z zakłopotaniem przekrzywił głowę. – W aktualnym trybie operacyjnym to użytkownik o loginie „Imperator” ma pełną kontrolę diagnostyczną. – Z twarzy Sterna zniknęło zakłopotanie, jakby powoli przebijał się przez nie jakiś autorytatywny głos wewnętrzny. – Mamy prawo użyć siły, jeśli natychmiast nie opuścisz tego miejsca. – Stern, już dużo pewniejszy siebie, zbliżył się do niego o krok i położył swoją masywną łapę na głowicy zawieszzonego przy biodrze miecza. – Natychmiast opuść to miejsce.

Katon podniósł obie ręce w geście poddania.

– Dobrze, dobrze... odchodzę. – Wycofał się do głównego holu i pozwolił zasłonie opaść na swoje miejsce i zamaskować wejście do wąskiego przejścia.

Katon zrozumiał, że młoda kobieta z przyszłości miała rację. Za tymi masywnymi dębowymi odrzwiami znajdowało się to, czego szukali przybysze: „technologia” z ich czasów. Ich droga do domu, sposób na naprawienie całego bałaganu.

Kilka minut później trafił na Fronto, centurion stał na placu, wpatrując się w niebo poprzetykane wstęgami dymu unoszącego się nad targanym zamieszkami Rzymem.

– To dobry moment, powinniśmy ich tu sprowadzić – powiedział cicho.

– Tak, panie.

– Zabierz ze sobą oddział ludzi i przyprowadź tu naszych przyjaciół.

ROZDZIAŁ 61

Subura, Rzym
54 rok naszej ery

Sal z trudem łapała powietrze. Na plac opadała gęsta chmura dymu z trawionych ogniem kamienic.

Trafiła na Maddy. Albo to raczej Maddy znalazła ją i prowadziła za rękę przez morze skłębionych ciał. Pięć minut temu bijatyka przeszła w stan impasu: ostrzał ciskanych z tarasów pocisków wstrzymał łupieżców w alejce. Ale teraz pole bitwy owiewała mgła chaosu. W kilkunastu punktach na pierwszym i drugim piętrze zapłonął ogień, dym okrywał wszystko kocem dławiących oparów. Lokatorzy Macro zarzucili już walki z sąsiadami próbującymi wtargnąć na ich teren i teraz w panice uciekali z płonącego budynku.

Sal co i rusz obijała się o coś z jednej i drugiej strony, i tylko cudem nie wypuściła z dłoni ręki Maddy, gdy porwał je rój pędzących na złamanie karku Rzymian. Alejka, która jeszcze pięć minut temu zdawała się ostatnią deską ratunku, przeistoczyła się w śmiertelną pułapkę.

Nad głową, gdzieś w chmurze kłębiącego się dymu, usłyszała trzask płomieni pożerających budynek.

– Maddy, musimy stąd uciec. Musimy znaleźć drogę wyjścia!

– Wiem!

Nie miała pojęcia, gdzie podzieli się pozostali. Liama i Boba widziała ostatnio przy drugiej barykadzie, gdy skutecznie powstrzymywali napierający motłoch. Ale to już zamierzchła przeszłość. Podział na „atakujących” i „obrońców” zdezaktualizował się, zostało tylko kilka setek ludzi na oślep uciekających z budynku przez alejkę zawaaloną przeszkodami i stosami ciał. Usłyszały głośnie trzaśnięcie drewna, chwilę później rząd balkonów ciągnących się nad jednym z boków czworokątnego placu utonął w tumanie dymu i runął na plac. Lawina szerniałych, tłących się żagwi eksplodowała deszczem iskier i opadła na postrzępione markizy okalające podwórze. Przez szczelinę w dymie Sal dostrzegła kobietę ściskającą w ramionach dziecko, biedaczka utknęła w rogu placu za dwoma kucykami, które wlepiały rozszerzone ze strachu ślepią w szalejące wokół płomienie. Kobietę i zwierzęta uwięziło zawałone rusztowanie drewnianych pali.

Rzymianka spotkała się wzrokiem z Sal – jedyną osobą patrzącą w tej chwili na podwórze. Matka krzykiem wzywała pomocy, ale otoczyła ją chmura kopcia, pod którą szybko zniknęła wraz z dzieckiem. Na alejkę opadały strzępy płonących ubrań, rozżarzone płachty zasłon i parawanów oraz setki gorejących przedmiotów codziennego użytku. Utworzył się zator ludzi przypominających żywe pochodnie.

– Pomocy! – wydarła się Sal. – POMOCY!

Jej głos utonął w morzu łacińskich okrzyków wyrażających dokładnie to samo pragnienie.

Nie widziała już Maddy. Wciąż kurczowo trzymała się przyjaciółki, ale ich splecione dłonie rozdzieliły plecy i ramiona jakiegoś starca niosącego na barana wrzeszczącego berbecia.

– Maddy! – wydarła się.

– Tutaj jestem!

„Umrzemy. Zaczadzimy się na śmierć albo spłoniemy”.

Przed jej oczami stanęły wydarzenia tamtego dnia – ostatniego dnia jej życia.

Przypomniała sobie, jak stała w zawałonej klatce schodowej razem z sąsiadami z ich piętra. Z *mamaji* i *papaji*, których twarze, podobnie jak jej buzię, pokryła warstwa upiornie bladego kurzu.

Powietrze zalepiała gęsta powłoka sproszkowanego betonu i toksycznych gazów. Przypomniała sobie uczucie dławiącej paniki, przerażenia. A później były już tylko dźwięki, dźwięki apokalipsy... dojmujący huk podobny do łoskotu nadciągającego pociągu, odgłos wibrującej pod stopami podłogi. Ciężkie oddechy, płacz, krzyki i wspólne uczucie pierwotnego strachu odzierającego ich ze spokoju – z prawa do godnego rozstania z bliskimi. Szepty pożegnania tylko w jakiś magiczny sposób mogły dotrzeć do adresatów.

A później pojawił się Foster... wyciągnięta dłoń i skierowana tylko do niej oferta ratunku.

– Och Jahulla, tylko nie to. Nie pozwólcie mi tak umrzeć.

– BOB! – krzyknęła. – LIAMIE! POMOCYYY!

Patrzyli, jak strumień ludzi wylewa się z alejki na ulicę. Ale nie był to wezbrany potok chyżo umykających obywateli, raczej lepki jak syrop z melasy wyciek potykających się, wyczołgujących, kaszlących i wymiotujących półtrupów. Ludzie walczyli o życie, przedzierając się przez spiętrzoną warstwę zwłok.

– To głos Sal! – prawie wykrzyknął Liam.

– Potwierdzam – zgodził się Bob.

– Och, Jezu... musimy tam iść i ją wyciągnąć!

– Ty tu zostaniesz, Liamie – rzekł Bob, odwracając się w stronę zablokowanego wyjścia.

– Nie! Idę z...

Na jego nadgarstku zamknął się czyjś żelazny uchwyt. Poczul na twarzy ognisty oddech Macro.

– Niech idzie sam.

Liam z całych sił starał się uwolnić z uchwytu, ale dłoń Rzymianina pozostawała zaciśnięta niczym obcęgi.

– Niech idzie, chłopcze... jeśli naprawdę jest z kamienia, przeżyje.

Liam patrzył, jak Bob beztrąsko wyrąbuje sobie przesiekę w mrowisku walczących o życie Rzymian i znika w kipieli dymu, który tryskał gęstym gejzerem z wąskiej alejki.

Ponad krzykami wołających o pomoc ludzi obaj usłyszeli trzask płomieni radośnie pożerających resztki kamienicy. Tumany dymu, przybierającego coraz intensywniej ciemnoszarą barwę, buchały już z dosłownie wszystkich małych okienek. Żółtawa gliniana fasada osłaniająca gołe cegły budynku pękała pod wpływem spiekoty i opadała kawałkami na ziemię. Tak samo cegły i zaprawa murarska... pękały, kruszyły się i odklejały od konstrukcji jak skóra od martwego ciała, ciała gnijącego w zawrotnym tempie, jak na przewijanym filmie, w którym żywa tkanka zamienia się w szkielec w kilka minut.

Zmęczone, łaknące odpoczynku nogi Liama ugięły się pod nim, chłopak ciężko klapnął tyłkiem na środku brukowanej ulicy, padł na ziemię niczym worek koksu zrzucony z fury węglarza. Nie był sam. Na ulicy powstał łańcuch klęczących na kolanach i leżących na plecach ludzi, którzy niecierpliwymi haustami napełniali płuca czystym powietrzem.

Macro uklękł obok niego, w jego oczach lśniły łzy.

– Głupki – mrucał do siebie. – Głupi, głupi ludzie.

Usłyszeli huk, głęboko w kolumnie zalegającego dymu coś właśnie runęło. Chyba ściana, z której na plac poleciały fragmenty pękających pod wpływem gorąca cegieł i zarżące się podpory zwęglonych rusztowań.

Liam poczuł wilgoć na policzkach, ciekące łzy wyłobily dwie czyste bruzdy w pokrytej sadzą twarzy.

„Zginęli. Na pewno. Wszyscy”.

Ogłuszający łomot dobywający się z tumanów kurzu ustał, zastąpił go narastający trzask i ryk płomieni. Wezbrany potok ludzi, którzy ślaniali się na nogach i ostatkiem sił wydostawali z ognistych oparów, skurczył się do postaci strużki cudownie ocalałych niedobitków. To już z pewnością ostatni uratowani z pożogi. Liam miał niezbitą pewność, że cała reszta pechowców złapanych w śmiertelną pułapkę albo zdążyła się udusić, albo spłonęła lub została stratowana.

Oglądana załamionymi oczami scena przypominała kalejdoskop migocących gwiazdek i załamujących się promieni światła. Poczul delikatny dotyk czyjejś ręki na swoich plecach i usłyszał głęboki bas Macro próbującego pocieszyć go nieskładnymi żołnierskimi słowy.

Ale Liam w myślach powtarzał słowa z własnego żałobnego lek-sykonu, w którym nie było nadziei.

„Przepadli... zostałem sam”.

„Sam jak palec”.

Cóż za samolubne myśli. Stać go tylko na litowanie się nad sobą samym? Musi tak ryczeć i się rozczulać? A co z Maddy, Sal i Bobem...co z jego przyjaciółmi, rodziną – bo to oni byli jego prawdziwą rodziną, nawet nie matka i ojciec, nie wujkowie i ciotki, po których zostało tylko wspomnienie wyblakłych zdjęć z rodzinnego albumu.

Macro wciąż poklepywał go dłonią.

Ach, gdyby tylko wykazał się większą przytomnością umysłu, gdyby był silniejszy, szybszy, mądrzejszy... powinien był, cholera, zareagować szybciej. Mógł odbiec od barykady i odnaleźć dziewczyny. Znaleźliby jakieś wyjście. Tak, na pewno zdołaliby uciec.

Ręka Macro opadała na jego plecy z coraz większą mocą. Nie klepał go już otwartą dłonią, raczej walił pięścią. To ma być pocieszycielski gest? Nagle uświadomił sobie, że babel-bud w jego uchu z monotonną namolnością przekłada słowa głośno i uporczywie wrzeszczącego coś Rzymianina.

<Spójrz. Spójrz. Spójrz!>.

Liam, otarłszy twarz z błota i łez, spojrział. Rozmazana rzeczywistość nabierała ostrości. Zobaczył dokładnie to, czego się spodziewał: gęstą kurzawę dymu unoszącą się spiralnie nad szkieletem czynszówki Macro i ulicę pełną pokrytych sadzą ciał.

Ale chwilę potem wyłowił wzrokiem silny, barczysty zarys szarżującego prosto na nich byka. Nie, nie byka... bo bestia biegła jak człowiek, na parze ludzkich nóg. To musi być Minotaur.

Nie, nie Minotaur. Łba nie wieńczyły żadne rogi – tyle zdążył dostrzec. Jeszcze raz przetaił oczy i uświadomił sobie, że z płuc Macro, który nie przestawał okładać go pięściami po plecach, wydobywa się ochryply okrzyk triumfu.

Minotaur, olbrzymia postać okopcona czarną jak noc sadzą, zaryła w ziemię tuż przed Liamem. Z gigantycznych barków ściągnęła dwa osmalone garby – które wcześniej omyłkowo wziął za rogi –

i postawiła je na bruku. Garby zaczęły charkać, kasłać i wymiotować.

– Niewielkie oparzenia i zadrapania. Możliwe niegroźne wewnętrzne poparzenia tchawicy i przewodów nosowych. Zagoją się. Nic im nie będzie – huknął Minotaur.

Nagle calutka przednia ściana kamienicy runęła, a w niebo wzbiła się grzybiasta chmura buchającego żaru i popiołu.

– W przeciwieństwie do twojego dobytku, Lucjuszu Korneliuszu Macro – trzeźwo dodał Bob.

Po chwili usłyszeli stukot podkutych sandałów żołnierskich uderzających o bruk oraz

narastający szcęk zbroi i pobrzękiwanie uprzęży.

Macro odwrócił się do Fronto.

– Trochę się spóźniłeś!

Fronto nie odrywał wzroku od dopalającej się już na dobre inwestycji emerytalnej Macro.

– Całe miasto stoi w płomieniach. Zamieszki wybuchły we wszystkich dzielnicach. –

Spojrzał na Maddy i Liama. – Przysłał mnie po was Katon.

Maddy, która charczała jak opętana, wypluwając na bruk drobinki czarnej jak smoła flegmy, przetarła usta, ale nie mając siły powstać z klęczek, zadarła tylko głowę i utkwiała nieprzytomny wzrok w oficerze.

– Chce... chcesz... nas zabrać do pałacu imperatora?

– Tak, natychmiast. Czas goni.

ROZDZIAŁ 62

Okolice Rzymu
54 rok naszej ery

Kaligula patrzył na falujące i czarne jak legion karaluchów pole: tysiące kruków obsiadło zwłoki pomarłych, również na niebie nad pobojuwiskiem wirowały i pikowały chmury ptaków. Pola śmierci ciągnęły się daleko poza horyzont. Czerwone tuniki martwych legionistów, żołnierzy z Dziesiątego i Jedenastego, usiały oliwkowozieloną trawę wzgórza jak szereg dzikich maków.

Losy bitwy rozstrzygnęły się, zanim słońce osiągnęło zenit. W niespełna pół godziny udało im się zgnieść i rozgromić dwa legiony. Kaligula obserwował rozwój wydarzeń na polu walki z wysokości drewnianej platformy, którą wzniesiono rano w bezpiecznej odległości od epicentrum zmagania. Oddział kilkunastu Kamiennych Ludzi poszedł przodem. Uformowali klin i z łatwością przebili się przez ustawioną w szachownicę kolumnę Lepidusa. Kamienni Ludzie zatracili się w wirze walki i szybko zniknęli z pola widzenia, ale nietrudno było ustalić ich dokładną pozycję w natłoku żołdactwa, to wokół nich rozbrzmiewało bowiem najwięcej okrzyków, to wokół nich tworzyły się największe przypływy i odpływy lśniącego morza hełmów i zbroi.

Po zakończeniu krótkiej bitwy Kaligula potrafił precyzyjnie określić obraną przez jego elitarną jednostkę trasę, bo znaczył ją szlak makabrycznie poćwiartowanych ciał. Wyglądało to tak, jakby ktoś celowo pozbierał zabitych przez klony żołnierzy i ich kończyny, a potem ułożył z nich wąski kobierzec, aleję postrzępionych korpusów, pokruszonych kości i wyszczerbionego żelastwa. Kamienni Ludzie okazali się niezniszczalni, niemal. Pod mieczami żołnierzy Lepidusa padło czterech z nich. Pokonał ich zharmonizowany ostrzał łuczników. Naszpikowani strzałami jak egipskie laleczki chwiali się niczym gigantyczne jeżozwierze, aż w końcu padli na ziemię z upływem krwi. Ale losy bitwy rozstrzygnęły się dużo wcześniej, bo jego herosi poczynili zbyt duże straty w armii wroga: złamali szyk legionów i zmusili większość legionistów do ucieczki gdzie pieprz rośnie.

Kaligula jeszcze raz objął wzrokiem żalosne pobojuwisko zasłane zwłokami odważnych rzymskich obywateli, las ludzkiej padliny dziobanej przez wygłodniałe ptaszyska. Trudno długo napawać się zwycięstwem, patrząc na taki rezultat zmagania. Westchnął ze smutkiem i odwrócił się, by z pogardą spojrzeć na generała Lepidusa, który klęczał u jego stóp w porwanej i zachlapanej krwią tunice. Pachołkowie Kaliguli zdążyli już na jego rozkaz zedrzeć zbroję z niegodnego zdrajcy.

– Postanowiłeś wziąć sprawę w swoje ręce... teraz poniesiesz tego konsekwencje. – Dłoń Kaliguli spoczęła na rękojeści miecza. – Co ty, na bogów, sobie myślałeś? Że co się wydarzy? Cooo???

Lepidus nie odrywał oczu od gładzących głowicę miecza palców Kaliguli.

– Ja... ja nie miałem wyjścia. Ja...

– O nie, kochany Lepidusku, ty jak najbardziej miałeś wyjście. – Kaligula patrzył na niego z grymasem dezaprobaty. – Mogłeś przyjść do mnie w chwili, gdy ten zmijowaty jęzor, ten obrzydliwy starzec, Krassus, zaczął przysyłać ci zdradliwe liściki. Mogłeś przynieść mi dowody zdrady, udowodniłbyś wówczas, że jesteś godzien zaufania. Ale nie... zdecydowałeś inaczej.

– Ale... Krassus zadbał o to, żeby rzucić na mnie cień podejrzenia! Formułował swoje

listy tak, aby czytająca je osoba miała wrażenie, że rozmawialiśmy już o... o...

– Zamachu na mnie?

Lepidus nabrał wody w usta i spuścił wzrok, pokonany.

– Nawet jeśli listy Krassusa wskazywały na twój współudział... powinieneś być do mnie przyjść. Zrozumiałbym. Okazałbym sprawiedliwe miłosierdzie. Na bogów, nie jestem potworem, Lepidusie.

– Ja... ja... zostałem wywieziony w pole. Wykorzystany.

– Och, wywieziony w pole.

– Bałem się.

Kaligula uklęknął nad generałem, uniósł palcem jego obły podbródek i spojrzał mu prosto w oczy.

– Bałeś się? Mnie? Dlaczego? Czego tu się bać? Pragnę tylko szczęścia nas wszystkich, wszystkich Rzymian. – Powstał z klęczek. – Strach... to źródło twojej zguby. Jesteś zwykłym, przestraszonym starcem. W przyszłości będę rekrutował godniejszych ludzi do swoich legionów.

– Powoli wyciągnął miecz z pochwy.

– Błagam!

– Och? Śmiesz mnie błagać? Po tym wszystkim masz jeszcze czelność prosić o litość?

Lepidus energicznie kiwał głową.

– Nie... nie miałem wyboru! Musiałem przecież coś zrobić!

– A więc podjudzili cię... przymusili do zabicia i zastąpienia mnie. – Kaligula się uśmiechnął. – A ty najwyraźniej pomyślałeś sobie, że mógłbyś mnie zastąpić.

– Nie... nie wierzyłem...

– Dziś rano wcale nie było ci tak przykro, gdy szykowałeś swoje legiony do bitwy.

Planowałeś zapewne spędzić następną noc

w moim łóżku, w moim pałacu. Zamierzałeś obwołać się imperatorem, przywdziać moje szaty. –

Kaligula zachichotał. – Choć są pięć rozmiarów za małe.

Uniósł swój gladius i zawiesił czubek ostrza przed twarzą Lepidusa. Odbity od wypolerowanej klingi promień światła poraził generała.

– Moimi legionami winni dowodzić lepsi ludzie niż ty. Młodszy, odważniejsi. Godniejsi zaufania. A teraz posłuchaj mnie dobrze, Lepidusie, może uda ci się odrobinę poprawić swoją sytuację... wystarczy, że podasz nazwiska innych uczestników tej niedorzecznej szarady Krassusa.

Generał nerwowo obliznął spierzchnięte usta.

– Myślę... myślę, że mój trybun, Atellus, jest w to zamieszany. Teraz... gdy o tym myślę, jestem o tym całkowicie przekonany.

Kaligula zerknął na ciało trybuna rozciągnięte na trawie tuż obok.

– Cóż, ciężko mu teraz będzie zaprzeczyć, nie sądzisz, Lepidusie?

– Byli i inni... Jestem przekonany, że spiskowców było więcej... Tak, Krassusa odwiedzał również Cynceron... i Paulus. Ci dwaj...

Kaligula kiwał głową z wyrazem ojcowskiej troski na twarzy.

– O niebo lepiej. Dobrze, Lepidusku. – W zamyśleniu podrapał się po nosie. – Te dwa stare przyki na pewno mogły, w taki czy inny sposób, być w to zamieszane. Kto jeszcze? Hmmmm? Kto ostatnio dotrzymywał Krassusowi towarzystwa?

Lepidus strzelał niespokojnie oczyma na wszystkie strony, usiłując wyłowić z pamięci więcej nazwisk... twarzy...

– Twój trybun! Ten nowy!

– Co? – Kaligula w zdziwieniu zmarszczył brwi. – Nie masz chyba na myśli... Katona?

Lepidus podniósł wzrok i po raz kolejny z zapalem skinął głową.

– Tak! To jeden z nich! Jestem... jestem przekonany!

– Katon – mruknął Kaligula.

– Krassus skontaktował się ze mną... nie tak dawno temu... rzekł...

– Co rzekł?

– Że ma kogoś w pałacu, w najbliższym otoczeniu cesarza. Kogoś, kto może się do ciebie zbliżyć!

Kaligula przywołał w pamięci kilka rozmów, które przeprowadził z Katonem. Trybun zawsze sprawiał wrażenie rzetelnego i kompetentnego żołnierza. Choć... „Kamienni Ludzie, panie... Czy nie powinieneś wysłać ich na czele armii?... Pozostawię tu swoją kohortę, panie... żeby strzegła ciebie...”.

Kaligula obrócił się na pięcie, szukając wzrokiem prefekta Kwintusa.

– Kwintusie, wracaj ze swoją jazdą do Rzymu! – Skinieniem głowy wskazał pięciu pozostałym przy życiu Kamiennych Ludzi w oliwkowozielonych zbrojach zachlapanych czarnymi kroplami zeschniętej krwi. – Weź ich ze sobą i każ aresztować trybuna kohorty pałacowej!

– Panie?

– To jeden z nich, Kwintusie! Zdrajca! Pojmij go. Żywcem. Rozumiesz?

– Tak, panie.

– I gotuj całą gwardię do wymarszu.

– Cezarze, bitwa dopiero dobiegła końca! Potrzebują... – Zamilkł pod ciężarem spojrzenia imperatora.

– Gotuj ich do wymarszu – powtórzył łagodnie Kaligula.

Prefekt skinął głową, zsalutował i odszedł wykonać rozkaz.

Kaligula ponownie spojrzał na wijącego się u jego stóp generała, na jego wykrzywioną i oblaną potem twarz.

– Dziękuję ci, Lepidusie – rzekł z roztargnieniem. I szybkim ruchem, bez zbędnego namysłu, zamachnął się mieczem jak tasakiem, pozwalając ostrzu opaść z impetem na kark generała. Gejzer krwi nie zdążył jeszcze opaść na piaszczysty grunt i wysuszoną trawę wzgórza, gdy Kaligula obrócił się na pięcie i ruszył do namiotu, żeby zrzucić ciasną i niewygodną zbroję. Powrotny marsz do Rzymu zajmie cały ranek i popołudnie. Może zdążą przed zmierzchem... jeśli wyruszą niebawem.

Usłyszał jeszcze, jak ciało generała za jego plecami wali się wreszcie na ziemię.

Wszędzie dookoła wykrzykiwano rozkazy wydane przez Kaligulę Kwintusowi. Po całej okolicy rozlał się szcęk ekwipunku pięciu tysięcy wycieńczonych ludzi powstających z ziemi, by wypełnić wolę imperatora.

ROZDZIAŁ 63

Pałac Imperatora, Rzym
54 rok naszej ery

– Nie mogę cię przepuścić, panie... – Option skrzywił się z zażenowaniem, bo właśnie odmówił wykonania polecenia własnego centuriona. Wyciągnął szyję, żeby przez okratowany otwór lepiej przyjrzeć się pokrytym sadzą kocmołuchom, którzy stali obok Fronto. – Nie wolno mi wpuszczać nikogo na teren pałacu, panie. – Nerwowo przełknął ślinę. – Takie dostałem rozkazy, panie.

– Rozkazy, drogi Septymusie, to ci wydaję ja. Otwieraj mi te wrota, ale już!

Option popatrzył na Fronto ze zbolalym wyrazem twarzy. Sam już nie wiedział, czego się bardziej obawiać: niechybnego opieprzu od rozwścieczonego centuriona czy gniewu Kaliguli, który może odkryć, że bez jego wiedzy przez północno-wschodnią bramę do pałacu wpuszczono obcych.

– Czy to z rozkazu cesarza, panie?

Fronto westchnął. Już miał zalać optiona potokiem obrazowych bluzgów wymierzonych w jego matkę, babkę i wszystkich pociotków do piątego pokolenia wstecz, gdy obok podoficera pojawił się Katon.

– Spokojnie, Septymusie. Wpuść ich. To moja własność. Kazałem ich sprowadzić na teren pałacu, tutaj będą bezpieczni.

Option spuścił wzrok i potulnie skinął głową.

– Rozumiem, przepraszam, panie... ja tylko...

Katon nakazał mu zamilknąć i uśmiechnął się.

– Dobrze się spisałeś, sumiennie wykonywałeś rozkazy.

Rygiel odsunięto i żelazne wrota otworzyły się do wewnątrz. Fronto rzucił swemu optionowi nienawistne spojrzenie, wprowadzając oddział na teren pałacowych ogrodów. Wrota z hukiem zatrasnęły się za nimi.

Katon wpięty obrzucił spojrzeniem starego druha Macro, po czym przeniósł wzrok na Maddy i pozostałych.

– Co się stało?

– Pożar się stał – warknął Macro. – Szlak trafił moją inwestycję. Mój fundusz emerytalny, wszystko.

– Płomienie trawią całe miasto – rzekł Fronto.

Katon doskonale o tym wiedział. W powietrzu czuć było spalenizną, a na niebie zawisła chmura dymu.

– Natychmiast każ swoim ludziom powrócić na stanowiska, centurionie – zwrócił się do Fronto.

– Tak jest, panie.

Katon odczekał aż Fronto skończy wykrzykiwać rozkazy, a legionieści rozejdą się na wyznaczone pozycje na terenie pałacu.

– Zabiorę was do Świątyni Neptuna – rzekł Katon. – Sądzę, że odnajdziecie tam to, czego szukacie. Przedmioty, które niegdyś należały do Gości.

– Znalazł coś! – powiedziała Maddy, zerkając na Liama i Sal.

– Co? Wehikuł czasu? – z nadzieją w głosie zapytała Sal.

– Możesz nas tam teraz zaprowadzić? – spytała Maddy.
– Mogę. Ale jest pewien problem – ciągnął Katon. – Wejścia pilnują trzech Kamienni Ludzie.

Gdy Liam przetłumaczył Sal słowa trybuna, rozczarowana Hinduska westchnęła.
– Jak myślicie, wasza bestia zdoła pokonać wszystkich naraz? – Katon spojrział na Boba.
– To lżejsze modele bojowe – odparł Bob. – Prawdopodobieństwo sukcesu jest duże.
– Pomożemy ci – zaoferował się Macro – jeśli oczywiście będziesz tej pomocy potrzebował.

Wszystkie trzy jednostki wykryły słaby sygnał dokładnie w tym samym momencie i natychmiast spotkały się wzrokiem. Nieznany kod identyfikacyjny był słaby i niewyraźny, to pojawiał się w polu zasięgu, to z niego znikał.

– To nie jeden z nas. Inny producent systemu. – Stern zmrużył oczy. – Nagłówek pakietu w tagu identyfikacyjnym nośnika wskazuje na starszą wersję systemu.

Dwaj towarzysze Sterna skinęli głowami.

– Wer. 2.3.11.

– Potwierdzam. – Cyfrowy umysł Sterna rozbił kod na elementy pierwsze.

[INFORMACJA]

Typ Modelu – Wzmocniony Model Bojowy W.G. Systems

Numer serii – 4039282

Rok aktywacji – 2054

System operacyjny – Wer. 2.3.11

– Czy ta jednostka stanowi zagrożenie? – spytał jeden z Kamiennych Ludzi.

– Jeżeli narazi na szwank wolę naszego użytkownika, obierzemy go za cel ataku – odparł Stern.

– To ciężki model bojowy, Sternie – zauważył Kamienny Człowiek. – Jest cięższy niż my.

Z uznaniem zerknął na towarzysza, ciekawa ta nutka niepokoju pobrzmiwająca w jego głosie. Tę emocjonalną oznakę stresu musiał podpatrzyć u kogoś z ludzi i teraz dość przekonująco ją imitował.

– Nas jest trzech. Mamy przewagę liczebną.

– A jeśli dysponuje lepszą bronią niż my?

Stern w zamyśleniu pokiwał głową. To może być problem. Choć cała trójka wciąż nosiła poligrafenowe pancerze, to broń mieli bezużyteczną: zwykle rzymskie gladiusy i pilum.

– Jednostko Chuck? Jednostko Butch? Mam dla was rozkaz.

– Słuchamy. – Klony stanęły na baczność.

– Zlokalizować i obserwować. Zidentyfikować broń obcej jednostki i zaraportować.

– Tak jest, sir.

Stern patrzył, jak znikają za zasłoną i wsłuchał się w cichnący odgłos ich kroków. Musiał teraz wykonać kilka prostych obliczeń za pomocą swojego cyfrowego umysłu, opracować kilka scenariuszy

bojowych i ocenić, czy ta nowa jednostka pomocnicza spróbuje uniemożliwić im wykonanie poleceń tymczasowego użytkownika Kaliguli. Ale w jego właściwym umyśle, mikroskopijnym różowawym mięśniu połączonym siecią cieniutkich synaps z przewodami danych, kołatała się uporczywa myśl: jak to możliwe, że jednostka pomocnicza – taka jak oni, choć nieznacznie starszego modelu – znalazła się w starożytnym Rzymie.

ROZDZIAŁ 64

Pałac Imperatora, Rzym
54 rok naszej ery

– Jest ukryta w bocznej odnodze holu za portykiem wejściowym – wyszeptał Katon. – Znajdziecie ją za jedną z trackich kotar zawieszonych na ścianie po prawej stronie. – Odwrócił się do Maddy i Liama. – Czy wasz Kamienny Człowiek zdoła odwrócić uwagę choć jednego z nich?

– Wszystko zależy od tego, jakie wydano im rozkazy. – Maddy wzruszyła ramionami. – Prawda, Bob?

– Potwierdzam. Jeżeli obrona korytarza ma dla nich wyższy priorytet niż próba wyeliminowania potencjalnego zagrożenia, z pewnością nie puszczą się za mną w pogoń.

– W takim wypadku będziemy zmuszeni stawić im czoła – rzekł Liam i zwrócił się do Boba: – Jak sądzisz? Zdołamy ich pobić?

– To możliwe.

– Możliwe? – westchnęła Maddy. – Dobrze... uznajmy, że „możliwe” nam wystarczy.

– No to zaczynamy? – niecierpliwiał się Katon.

– Jedną chwilę – rzekł Bob, przekrzywiając głowę. Zamrugał oczami.

– O co chodzi? – spytał Liam.

Bob z zadowoleniem skinął głową, coś musiało przebiec zgodnie z jego myślą.

– Dezaktywuję sieć lokalnej komunikacji bezprzewodowej.

– Wyłączyłeś swoje Wi-Fi? – Maddy poklepała go po ramieniu. – Świetny pomysł.

Katon powiódł ich przez ogrody w zachodniej części kompleksu pałacowego, w kierunku kordonu pretorianów strzegących zachodniego portyku. Żołnierze spode łba patrzyli na umorusanych sadzą ludzi idących w towarzystwie trybuna, ale Katon chłodno nakazał im skupić się na obowiązkach i uważnie obserwować mury obwodowe, bo a nuż jakaś banda rzezimieszków spróbuje wykorzystać panujący w całym mieście chaos i wedrzeć się do środka.

Minęli strażę i z rozgrzanego popołudniowym słońcem dziedzińca weszli do chłodnego, ciemnego wnętrza pałacu Kaliguli. Szli wśród marmurowych kolumn, stąpając po misternej, wielobarwnej mozaice ułożonej na posadzce.

– Wow, to totalnie odjechane – wyszeptała Sal. I choć starała się mówić maksymalnie przyciszonym tonem, jej szept rozniósł się echem w przeogromnym wnętrzu.

– Kompleks jest pusty, zostali tylko Kamienni Ludzie – rzekł

Katon. – Pałacowych niewolników zamknięto w pomieszczeniach służby, a moi ludzie pilnują wejść przed budynkiem i patrolują ogrody. Nie ma tu nikogo oprócz nas.

– W którą stronę?

Katon wskazał przed siebie.

– Tam jest główny korytarz.

Trybun wskazywał drogę, przy jego boku maszerował Bob trzymający w obu dłoniach krótkie miecze. Tuż za nimi, nerwowo zaciskając dłonie, szły Maddy i Sal. Tyłów pilnowali Liam i Macro, niespokojnie zerkając za plecy i badając wzrokiem zacienione kolumnami zakamarki. W mrokach pałacu nawet najłżejszy oddech pobrzmiwał echem, a stukot sandałów wydawał się absurdalnie głośny.

Wreszcie ujrzeli główny korytarz, szeroki jak rzymski gościniec. Strzeliste ściany łączyły

się z sufitem ozdobionym kunsztownymi freskami przedstawiającymi czyjeś heroiczne czyny – przypuszczalnie samego Kaliguli. Sklepienie znaczyły małe świetliki, przez które do środka wpadały cieniutkie promienie światła, które przesywały mrok i skośnie opadały na mozaikową posadzkę, prawie jak nowoczesne punktowe reflektory.

Katon, unosząc prawą dłoń, wskazał kierunek i ruszył przodem.

Powoli, krok za krokiem, szli wzdłuż szerokiego hallu, wreszcie Katon zatrzymał się i wskazał delikatnie łopoczącą zasłonę.

Pozostali skinęli głowami.

Bob przeciął korytarz i stanął tuż przed storą. Poruszał nią przeciąg chłodnego powietrza. Liam poczuł lekki powiew na skórze, gdy razem z Macro i Katonem dołączyli do jednostki i unieśli trzymane w pogotowiu miecze.

Wtem ogarnęło go znajome uczucie, paraliżujący strach, który odczuwał ilekroć musiał się mierzyć z nadciągającym niebezpieczeństwem. Nogi drżały mu jak wążiki gryzonia. Usta schły na wiór. Zerknął na Macro. Spod czarnej brody wiarusa wзираły wyszczerzone w ekscytacji zęby. Twarz stojącego za nim Katona, o głowę wyższego, okryła maska chłodu i niewzruszonego spokoju, niemal jak u Boba. Dla obu mężczyzn był to najwyraźniej chleb powszedni – potrafili natychmiast przejść w stan pełnego skupienia przed walką. Wsłuchać się w ostatni oddech, ostatnie uderzenie serca, a później wpaść w kontrolowany szal i zatracić się w krwawej jatce.

„Dlaczego ja nigdy tak nie wyglądam?” – westchnął Liam.

Katon obrzucił pozostałych ostatnim spojrzeniem, po czym nachylił się i odciągnął kotarę.

ROZDZIAŁ 65

Pałac Imperatora, Rzym
54 rok naszej ery

Maddy aż zaparło dech w piersiach. Stał tuż za zasłoną, na szeroko rozstawionych nogach i z obnażonym mieczem, zupełnie jakby już od jakiegoś czasu cierpliwie tam na nich czekał. Sam widok jednostki zaskoczył dziewczynę: ta niewyobrażalna historyczna aberracja pasowała tu jak kwiatek do kożucha. Stojąca w migocącym świetle lamp oliwnych z uniesionym gladiusem w jednej i tarczą gladiatora w drugiej ręce jednostka roztaczała dwudziestopierwszowieczną aurę. Czoła stawił im żołnierz w oliwkowozielonym umundurowaniu. Żołnierz ubrany w opancerzoną poligrafenową kamizelkę, naramienniki, nałokietniki i czarne buty wojskowe. Na pierwszy rzut oka – wyjąwszy miecz i tarczę – nie różnił się niczym od komandosów z jednostek specjalnych. Nieraz widziała zarejestrowane w trybie noktowizji ziarniste nagrania, na których podobne mu Komando Foki spuszczały się na linach z dachów w kryjówkach Al Ka'idy.

– Nie macie tu wstępu – powiedział niemal kurtuazyjnie. – Natychmiast opuście to miejsce.

– Odsuń się. – Bob popatrzył mu prosto w oczy.

Komandos dłuższą chwilę przyglądał się Bobowi. Nagle w jego oczach zapłonął ogień zrozumienia.

– Jesteś ciężkim modelem bojowym.

– Potwierdzam – odparł Bob. – A ty jesteś wielozadaniowym modelem rozpoznawczym.

Newsza wersja?

– Tak jest. – Uśmiechnął się. – Wyszliśmy z taśmy produkcyjnej tego samego producenta.

Maddy mogłaby przysiąc, że klony szybko skinęły głową, jakby chciały powiedzieć:

„Miło cię poznać”.

– Odsuń się – powtórzył wreszcie Bob.

– Nie masz tu wstępu.

– Nasze priorytety są sprzeczne.

– Zgoda.

Roboty mrugały przez ułamek sekundy, niemal jednocześnie dochodząc do tej samej konkluzji, ale to komandos-jednostka zareagował szybciej. Pchnął mieczem z szybkością atakującego węża, kierując ostrze w kark Boba. Bob odskoczył. Zbyt wolno. Czubek miecza przeszył skórę tuż nad obojczykiem.

Bob nie pozostał dłużny, trzymanym w prawej dłoni mieczem wymierzył potężny sierpowy cios. Komandos z trudem sparował uderzenie, w ostatniej chwili unosząc tarczę, która zawibrowała z ogłuszającym brzękiem. Niemał w tej samej sekundzie Bob pchnął drugim mieczem, celując w przepoń jednostki. Albo zadziałał bojowy moduł prognostyczny, albo klon zareagował instynktownie, bo przewidział ruch Boba i zrobił błyskawiczny unik, z godnym Beki wdziękiem primabaleriny, wyszarpując przy okazji ostrze z ramienia przeciwnika.

Macro zrobił wypad i zaatakował wroga swoim gladiusem. Klon opuścił zakrwawioną klingę przed twarzą Boba i z łatwością sparował cios Macro, ostrza starły się w irytującym zgrzycie.

Bob ponownie spróbował zaskoczyć klona ciosem z prawej, wyprowadzając cięcie na płask. Ostrze znowu trafiło w opuszczoną tarczę, w korytarzu rozległ się kolejny brzdęk.

Tym razem jelec miecza zaczepił o zakrzywioną krawędź tarczy. Tym lepiej, wykorzysta swoją krzepę. Bob z całej siły szarpnął prawą dłońią, wrywając małą gladiatorską tarczę z uchwytu klona. Udało się, tarcza pofrunęła prosto na ścianę korytarza.

Komandos-jednostka cofnął się o krok. Wodził wzrokiem między Bobem, Macro i Liamem, który niepewnie podchodził, żeby im pomóc.

– Liamie! Nie, zostań – syknęła Maddy.

– Przegrasz – zadudnił Bob do jednostki. – Poddaj się.

– Lepiej go posłuchaj, przyjacielu – warknął Macro.

Komandos przyciął się jak grzechotnik gotowy do kłasnania, zręcznie przekładając miecz z jednej ręki do drugiej.

– Nie macie przepustki bezpieczeństwa, nie możecie przejść dalej. Odejdźcie stąd.

Macro i Liam ostrożnie obchodzili jednostkę z obu stron, Katon stał skoncentrowany naprzeciwko Kamiennego Człowieka. Jednostka musiała zdecydować, którego z trzech przeciwników zaatakować najpierw. Maddy obawiała się, że już dokonała wyboru i zidentyfikowała Liama jako najsłabsze ogniwo. On jeden nie był w tym gronie żołnierzem.

– Liamie! – wydarła się Maddy. – Wycofaj się.

– Spokojnie, Mads, u mnie wszystko cacy! – odchrząknął przez ramię.

Komandos-jednostka natychmiast wykorzystał to chwilowe rozkojarzenie.

Rzucił się w kierunku Irlandczyka, mierząc mieczem prosto w żołądek. Żelazo zniknęło w fałdach lnianej tuniki, a Liam ryknął z bólu. Klon szybkim ruchem wyciągnął ochlapany krwią chłopaka brzeszczot. Liam złapał się za brzuch. Gdy opadał na kolana, na tunice wykwitła karmazynowa plama. Macro zamachnął się starym mieczem na odsłonięte biodro klona. Ale mózg komandosa pracował na podwyższonych obrotach, dzięki nanosekundowej analizie skutecznie przewidział, gdzie padnie cios wiarusa i sparował uderzenie szybkim ruchem ostrza. Na szczęście atak z obu stron związał klona, który blokował cios Macro, a drugą rękę dopiero odsuwał od Liama. Nijak nie mógł więc obronić się przed siepieniem Boba, który ciął z góry. Ostrze trafiło w głowę jednostki – przeszło przez czaszkę i ugrzęzło wystarczająco głęboko, by katastrofalnie i bezpowrotnie spustoszyć organiczno-silikonową platformę kontrolną – mózg. Stern zachwiał się na nogach, a w jego szarych oczach zapłonął wyraz całkowitej dekoncentracji. Na czoło wystąpiła krew i cienką strużką spłynęła między brwiami, wzdłuż lewej strony nosa i lewego policzka. Wydyszał coś niezrozumiale, po czym upadł prosto na twarz. Nie żył.

– LIAMMMIE! – ryknęła Sal, rzucając się w jego kierunku. Popędziła przez korytarz i przywarła do klęczącego na ziemi i zasłaniającego rękami brzuch przyjaciela. Twarz Irlandczyka pokryła upiorna bladość, na skórę wystąpiły lepkie krople potu.

– Ach, Jezu! To boli.

Maddy też już przy nim klęczała.

– Liamie? – Jej głos drżał. – Liamie, wyjdiesz z tego?

Aż skrzywił się z bólu.

– Czy ja wyglądam jak doktor medycyny? Skąd u licha mam wiedzieć?!

Macro i Katon dołączyli do dziewczyn.

– Macro nieraz opatrywał swoich ludzi na polu bitwy – podpowiedział Katon.

– Niech no na ciebie spojrzę, chłopcze – zaferował się centurion.

Bob chwycił Maddy za ramię.

– Mamy mało czasu, Maddy. Pozostałe jednostki są gdzieś w pobliżu.

– Wasz Kamienny Człowiek ma słuszność – rzekł Katon i ruchem głowy wskazał drzwi

na końcu korytarzyka. – Jeśli to, czego szukacie, tam się znajduje... powinniście się pospieszyć.

Maddy przeniosła wzrok na Liama, który leżał rozciągnięty na mozaikowej posadzce. Biedak wyglądał jak spopielający duch. Macro rozdarł splamioną krwią tunikę i uważniej przyjrzał się ranie.

– Sal... – powiedziała.

Hinduska kiwnęła głową, zrozumiała.

– Przypilnuję go. Idź z nimi.

Maddy wstała i podążyła za Bobem i Katonem w stronę ciężkich drzwi. Oba skrzydła blokował gruby żelazny rygiel. Bob przesunął go z łatwością, w dół tajemnego korytarza popłynął ciężki chrobot. Maddy dotknęła klamki.

– Ostrożnie – ostrzegł Katon i stuknął w ciężkie drzwi zwiniętą pięścią. – Te drzwi wyglądają na takie, które zbudowano po to, żeby nie dało się ich wyważyć od wewnątrz, a nie jako zabezpieczenie przed intruzami z zewnątrz. – Trybun wziął głęboki oddech. Choć na co dzień kierował się racjonalnym osądem, tkwiło w nim zabobonne przekonanie, że istnienie jakiegoś nadprzyrodzonego królestwa bogów wcale nie jest wykluczone.

Maddy złapała za klamkę i pociągnęła ją. Masywne dębowe drzwi skrzypnęły w zawiasach, ale nie poruszyły się na centymetr. Dziewczyna zmeła w ustach przekleństwo.

– No nie, tyle, cholera, zachodu i okazują się zamknięte.

Bob delikatnie popchnął drugie skrzydło. Otworło się do środka ze złowieszczym skrzypnięciem.

– Zaprzeczam. Trzeba pchnąć, nie ciągnąć.

ROZDZIAŁ 66

Pałac Imperatora, Rzym
54 rok naszej ery

Maddy sięgnęła po łożówkę i weszła do pogrążonego w mroku pomieszczenia. W migocącym płomieniu świecy nie sposób było wychwycić zbyt wiele szczegółów. Widziała tylko, że znaleźli się w olbrzymiej niczym jaskinia sali. Zadarła głowę i wysoko w górze ujrzała tonące w mroku sklepienie, niewyraźne freski i ornamenty, od wielu lat spowite egipskimi ciemnościami. Bob i Katon weszli tuż za nią, dwie świece nieznacznie rozświetliły komnatę.

Postąpiła kilkanaście kroków, blask odbił się od sterty przedmiotów rozłożonych na drewnianych stolikach. Podeszła do najbliższego i postawiła na nim łożówkę.

– Bob! Tutaj!

Jednostka pomocnicza i trybun podeszli do niej. Bob przyjrzał się przedmiotom na stole.

– Karabiny pulsacyjne zasilane ogniwami wodorowymi – rzekł sucho.

– Czym są te przyrządy? – spytał Katon.

– To broń – odparła Maddy. – Broń z przyszłości.

Katon wybałuszył oczy.

– Te historie o Gościach... Cyceron wspominał, że mieli „ryczące włócznie”. – Spojrzał na nich zdumiony. – To one?

– Wątpię w to, że „ryczą” – odparła Maddy, podnosząc jedną z nich, zdmuchując z niej kurz i uważnie oglądając.

– Informacja: z braku regularnej konserwacji ogniwa wodorowe już nie działają.

Maddy objęła wzrokiem drewniany stolik. Leżały na nim przeróżne przedmioty: leki, paczki żywnościowe, narzędzia. – To nie była zwykła wyprawa rozpoznawcza... – wykrztusiła. – Goście przybyli tu na stałe! Rozumiesz? Chcieli skolonizować starożytny Rzym.

– To przekonująca konkluzja.

Podniosła świecę i podeszła do sterty przedmiotów zalegających na podłodze w pobliżu. Ukłęknęła i uważnie obejrzała znaleźiska. Ubrania. Buty. Okulary. Niektóre zachlapane wyblakłymi kropkami krwi. Sądząc po rozmiarze kopca ubrań przybyszy musiało być mnóstwo, być może setki.

„Nikt nie przeżył pogromu?”

– A to? – niemal nabożnym tonem wyszeptał Katon – To musi być jeden z ich rydwanów.

Maddy odwróciła się, szukając wzrokiem Katona. Stał po przeciwległej stronie komnaty, trzymał wysoko uniesioną łożówkę i patrzył na jakiś wielki obiekt, który matowo połyskiwał w mroku. Podbiegli do niego wraz z Bobem, a chwilę później cała trójka dotykała już zakurzonych, kanciastych burt wielkiego pojazdu. Maddy uznała, że wygląda jak krzyżówka humvee i poduszkiowca.

– To wielozadaniowy transporter terenowy. Z pędnikiem antygravitacyjnym pozwalającym na ograniczony pionowzlot – wyjaśnił Bob. – To zaawansowany model prototypów testowanych przez Armię Stanów Zjednoczonych w dwa tysiące pięćdziesiątym czwartym roku.

Maddy potrząsnęła głową.

– To czysty obłęd! Ten ogrom kontaminacji czasowej... to szaleństwo. Co oni sobie, do cholery, myśleli?

– Maddy?

Odwróciła się i zobaczyła w drzwiach drobną postać Sal.

– Co z nim?

– Macro go obandażował. – Zdobyła się na cień uśmiechu. – Mówi, że to nic poważnego, że to tylko rana powierzchowna.

– Uff... dobrze – westchnęła. – Bardzo dobrze. – Rozejrzała się po sali. Zalegało w niej jeszcze mnóstwo przedmiotów. Być może gdzieś w tej komnacie – oby, na Boga – ukryto jakiś wehikuł

czasu. Albo inne urządzenie, dzięki któremu wrócą do domu.

I to natychmiast. – Bob, jeżeli przywieźli ze sobą urządzenie do translokacji czasowej, i jest ono gdzieś tutaj, musimy jej odnaleźć.

– Potwierdzam. Ale raczej nie znajdziemy tu żadnego źródła zasilania.

Bob wspiął się na kanciasty kadłub pojazdu.

– Sprawdzę wewnątrz transportera – oznajmił.

– Dobra. – Maddy odwróciła się do Sal. – Wrócimy do domu, Sal. Słowo. Zostań z Liamem, okej?

Sal skinęła głową i szybko zniknęła z prześwitu w drzwiach.

„Wehikuł czasu. Mam nadzieję, że ci idioci pomyśleli o zabraniu ze sobą czegoś, co pozwoli nam wrócić do domu. Nie mogli przecież być aż takimi bęcwałami”.

A jeśli nie byli bęcwałami? Jeśli kierowała nimi desperacja?

Odwróciła się do stołów zawałonych karabinami, magazynkami z amunicją, pasami i sprzętem polowym, mając cichą nadzieję, że znajdzie apteczkę pierwszej pomocy. Lek znieczulający dla Liama albo środek antyseptyczny do odkażenia rany lub antybiotyki, które zapobiegą potencjalnej infekcji. Irlandczyk nie przeżyje, jeżeli miecz był brudny. W czasach przed odkryciem penicyliny nawet drobne zadrapanie mogło doprowadzić do śmierci, jeśli ktoś miał pecha. Wreszcie znalazła i rozpięła apteczkę. Było w niej wszystko, czego potrzebowała.

– Sal!

Sal przybiegła z powrotem.

– Masz... obandażuj ranę. W środku jest antybiotyk w sprayu. Użyj go i owiń ranę tymi bandażami, przynajmniej są czyste.

Sal niemal wyrwała apteczkę z rąk Maddy i popędziła z powrotem na korytarz.

Amerykanka wróciła do oględzin przepastnego pomieszczenia. Blask świecy padł na wielki przedmiot

w środku. Pudło albo skrzynię.

„Skrzynia? Kuta skrzynia?”.

Szybko podeszła do niej, starając się stłumić rosnącą nadzieję, że w środku spoczywa wehikuł. Wehikuł, który w mgnieniu oka teleportuje ich do domu w dwa tysiące pierwszym roku.

„Życie nie jest takie proste, Mads, co?” – pomyślała. Nie ich życie w każdym razie.

Była już blisko, teraz widziała wyraźnie, że nie jest to zwykła skrzynia transportowa, bardziej przypominała klatkę do przewożenia dzikich zwierząt. Kiedyś często oglądała w telewizji kablowej program pod tytułem „Dzień z życia pracownika lotniska LaGuardia”. W jednym z odcinków pokazali uśpionego tygrysa bengalskiego transportowanego w bagażowni samolotu. Był to jeden

z ostatnich żyjących przedstawicieli tego wymierającego gatunku. Tamta klatka wyglądała bardzo podobnie do tej tutaj. Ostrożnie podeszła kilka kroków... spodziewając się, że lada moment usłyszy wściekły ryk wyrwanego z drzemki tygrysa lub lwa. Na jednej ze ścianek klatki zauważyła rozsuwaną klapę.

Lew, tygrys... czy wehikuł czasu. W klatce, wzmocnionej na rogach żelaznymi okuciami, musiało znajdować się coś bardzo ważnego. Delikatnie przesunęła klapę, za nią ukazała się szeroka na pół metra i wysoka na piętnaście centymetrów dziura. Okienko? Otwór na jedzenie?

Zmarszczyła nos. Ze środka wydobywał się ohydny smród. Odór ścieków. Szlamu. Nie, gorzej. Rozkładu. A więc otwór na jedzenie. Nabrała pewności, że wewnątrz zamknięto jakieś zwierzę. Pewnie niedawno padło, a jego zwłoki właśnie się rozkładają. Ostrożnie uniosła świecę, niewyraźne światło padło na kilka wewnętrznych listewek.

– Hej – powiedziała delikatnie. – Jest tam kto?

Nagle usłyszała, jak coś drapnęło o drewno i gwałtownie poruszyło się wewnątrz klatki. Chwilę później w polu widzenia pojawiła się para ślepiów.

„O mój Boże!”

Oczy. Rozszerzone. Zasnute mgielką. Podobne do ludzkich.

A może i ludzkie, ale pełne obłędu. Zwierzęcego amoku. Dzikości. Do widoku oczu dołączył przesywający, oszalały, nieartykułowany skowyt. Twarz – tak, twarz człowieka, teraz dobrze to widziała – od krawędzi nosa aż do podbródka była zasłonięta pokrytą brudem i odpadkami skórzano-żelazną maską zamocowaną wokół głowy.

– Boże! Tutaj! – krzyknęła. – Tu jest ktoś żywy!

ROZDZIAŁ 67

Pałac Imperatora, Rzym
54 rok naszej ery

Bob odłupał klamry wzmacniające, po czym wyrwał grube belki, z których zbito klatkę.
– Jeezu! – wymamrotała Maddy, gdy zobaczyła całą postać żalosnej istoty kulającej się w środku. – To aby na pewno człowiek?

Drobne, chude jak szkielet ciało mężczyzny przypominało widmo wysuszonego staruszka, w miejscach gdzie kości naciskały na cienką jak papier skórę wyrosły wybrzuszenia i guzy. Karnacja mężczyzny była smaglejsza niż u mieszkańców basenu Morza Śródziemnego, wskazywała raczej na bliskowschodnie, azjatyckie pochodzenie. I włosy. Burza włosów opadających na wąskie ramiona, niegdyś musiały być kruczoczarne, teraz prześwitywały w nich szare pasemka.

Na widok Boba, który belka po belce rozbierał klatkę, skulił się w rogu.

– Ciii! – gruchnęła cicho Maddy. – Nie skrzywdzimy cię!

Katon podszedł bliżej, żeby lepiej mu się przypatrzeć.

– Czy... czy to jeden z Gości?

Człowiek w masce utkwiał w nim wylęknione spojrzenie. Zaczął usilnie, obłąkańczo, kiwać głową, coraz bardziej wybałuszając strzelające na boki oczy. Skomlał, jęczał i bełkotał, kościste dłonie wskazywały maskę zakrywającą twarz.

Maddy postąpiła krok do przodu.

– Pozwól mi to z siebie zdjąć. Tego chcesz?

Mężczyzna nieporadnie przesunął się w jej stronę, bosa stopy z cichym kłapaniem ześlizgnęły się z miękkiej wyściółki ubitych odchodów – kilkunastoletniej warstwy kału i uryny sprasowanych do postaci ohydneho kompostowego klepiska – na zimną, twardą posadzkę. Odwrócił się plecami do Maddy i niecierpliwym gestem uniósł długie, skołtunione włosy, ukazując zardzewiałą opaskę zamkniętą na kłódkę.

– To zamek. Przykro mi, ale nie mam...

– Pozwól – zaoferował się Katon. Wyciągnął miecz i ostrożnie włożył czubek klingi w przerdzewiały zatrząsk kłódky. Szybkim ruchem obrócił miecz. Coś w środku trzasnęło, a na podłogę posypały się płatki rdzy. Maddy zdjęła obręcz z głowy nieszczęśnika, z obrzydzeniem patrząc na przetartą do kości skórę potylicy, na świeże strupy i blaknące blizny.

Starzec wyplątał z obręczy sploty włosów, brodę i warkocze wąsów, po czym odsunął maskę od twarzy, byle dalej od warg pokrytych strupkami i zaschniętą śliną. Spomiędzy ust wyjął rurę zatkaną od zewnątrz oślizgłą mazią gnijącego i nieprzetrawionego jedzenia, które wciąż zalegało w bezzębnym otworze gębowym straszącym szerniałymi dziąsłami i próchniejącymi kikutami kilku zepsutych zębów.

– O Jezu – wyszeptała Maddy, walcząc z odruchem wymiotnym.

Maska z brzękiem opadła na podłogę, wypełniając echem mrok ogromnej komnaty.

– Jesteś jednym z Gości? – spytał Katon.

Mężczyzna wyglądał na pogrążonego w szoku, otwartymi ustami łapał powietrze. Dyszał. Wywalony na brodę język smakował powietrze, czerpiąc radość z odzyskanej wolności.

– Przybyłeś z przyszłości? – spytała Maddy po angielsku.

Rozbiegane oczy zatrzymały się na niej jak na zawołanie.

– Znasz angielski? Rozumiesz mnie?

Szczęka nieszczęśnika poruszyła się – próbował przemówić. Okaleczone usta nieporadnie układały się w bezgłośne słowa.

Wtedy Bob poruszył się nagle.

– Informacja.

Maddy ruchem dłoni nakazała mu milczenie.

– On chce nam coś powiedzieć – powiedziała, bo starzec bełkotał, mieląc w ustach jakieś słowo.

– Uwaga! – uparcie powtarzał Bob. – Wykryłem dwa kolejne identyfikatory! Nadchodzą z zachodniego skrzydła, bardzo szybko!

– Dwa? Z dwoma naraz sobie nie poradzimy, nie ma szans!

– Co mówi wasz Kamienny Człowiek? – spytał Katon.

Maddy odwróciła się, żeby spojrzeć na drzwi.

– Idą następni! – wyszeptała po łacinie do Katona. – Sal! –

Ruszyła w kierunku drzwi. – SAL! Zabierz Liama do środka! SZYBKO!

Chwilę później Macro, Sal i podtrzymywany przez nich Liam weszli do komnaty, powłócząc nogami.

– Musimy zamknąć drzwi! – krzyknęła Maddy. – Pomóżcie mi! – Dopadła do skrzydła dębowych drzwi. Macro chwycił za drugie. Skrzypnęły masywne żelazne zawiasy. Chwilę później dołączył do nich Bob. Drzwi zamknęły się wreszcie z ciężkim łomotem, a blade światło lamp oliwnych w wąskim korytarzyku zgasło.

W blasku świecy nie dostrzegła nic czym mogliby zablokować drzwi, żadnych rygli, klódek. Nic.

– Są dwadzieścia metrów stąd – rzekł Bob.

– Razem! Musimy zabarykadować drzwi – krzyknęła, zapierając się barkami o jedno ze skrzydeł.

Katon natychmiast znalazł się przy niej.

– Nie! Zamkną nas od zewnątrz i zostaniemy tu uwięzieni!

– Katon ma rację – poparł go Macro. – Zginiemy, jeśli Kaligula zastanie nas tu po powrocie.

– Walczmy. – Katon obnażył miecz. – Pokonamy ich.

– Pozabijają nas wszystkich! – krzyknęła Maddy.

– Lepsze to – rzekł Macro – niż dać się tu złapać Kaliguli.

– Są przed drzwiami – sucho zakomunikował Bob.

Odrzwia nagle załomotały i zatrzeszczały pod ciężarem uderzenia. Drzwi się rozstały, a do komnaty wdarł się snop światła. Bob ciężarem całego ciała rzucił się na nie i znowu się zamknęły.

– Nie możemy być pewni, ile czasu nam zostało – powiedział

Katon. – Żołnierze Fronto są wierni cesarzowi i swemu prefektowi, Kwintusowi. Jak tylko zrozumieją, że nie jestem lojalnym psem

Kaliguli, przestaną wykonywać moje rozkazy. A jeśli zobaczą co się tu wyprawia... Rozumiecie? Są naszymi sprzymierzeńcami dopóty, dopóki nie zrozumieją, że wyprowadziliśmy ich w pole. – Katon potrząsnął głową. – Musimy znaleźć urządzenie, które pomoże nam to wszystko naprawić i natychmiast opuścić to miejsce.

W mroku pomieszczenia zadudnił głos Boba:

– On ma rację, Maddy. Znaleźliśmy się w pułapce. To strategicznie zła sytuacja.

– Dobrze... – wydyszała Maddy w ciemności. – Dobrze... w porządku... tak zrobimy. O Jezuu, to totalny oblęd! Co teraz? Mamy z nimi walczyć?!

– Wasz Kamienny Człowiek, Macro i ja... mamy szansę, niewielką, ale jednak.
– Czekajcie! – W ciemności rozbrzmiał obcy głos. Dało się słyszeć tupot bosych stóp, uderzających o podłogę. – Czekajcie! Ja... wiem... jak... – Staruszek mówił słabym, łamiącym się głosem,

a z jego ust wydobywał się głównie niezrozumiały bełkot.

– Słowo! – wychrypiał. – Słowo! Jest słowo... ja znam słowo! Jest słowo!

Nie mieli czasu na wysłuchiwanie bredni.

– Wszyscy mają broń? – nerwowo zaskamlała Maddy. – O Boże, nie wierzę, że to robimy. Zginiemy!

– Słowo!!! – krzyczał staruszek. – Ja... mam słooowo!

– Odsuń się, starcze – warknął Macro, wywijając mieczem młynka.

– Na trzy – poinstruował Boba Katon. – Otwierasz te drzwi na trzy. Jasne?

– Potwierdzam.

– Wracaj, Sal – wyszeptała Maddy, ściskając drżącymi dłońmi rękojeść noża.

– Shadd-yah! Maddy? Poważnie? Chcesz ich tu wypuścić?

– Raz... dwa... i... trzy!

Bob pociągnął za drzwi i wycofał się w głąb komnaty, którą zalał tańczący blask wiszących w korytarzu lamp oliwnych. Klon wyciągnął miecz zza pasa. Dwaj Kamienni Ludzie wparowali do sali ramię przy ramieniu, nie tracąc nawet mikrosekundy na rzucanie wyzwania.

– S-s-s-s-SPONGEBUBBA! – Z płuc starca wyrwał się obłąkańczy dziki skowyt, który rozbrzmiał w ciemności niczym wycie leśnej istoty wiodącej nocny tryb życia.

Jednostki zamarły.

Upuściły na ziemię trzymane w rękach tarcze i miecze. Brzęk metalu uderzającego o ceramiczne płytki wypełnił pomieszczenie nieznośnym jazgotem. Zgodnie zwiesiły głowy i powoli zacisnęły powieki, prostując się, układając ręce wzdłuż ramion i przystawiając stopę do stopy jak para żołnierzy na placu apelowym.

Minęło dziesięć sekund. Dwadzieścia. Ciszę wypełniał tylko chór ciężkich oddechów.

– Co one robią? – wydyszała Maddy.

Nagle jednostki wyrzuciły do góry głowy jak bliźniacze kukielki, otworzyły oczy i popatrzyły na nich obojętnym, łagodnym niemal spojrzeniem.

– Tryb diagnostyczny zrestartowano – ogłosiły spokojnie. – Podaj nazwę użytkownika i hasło.

ROZDZIAŁ 68

Pałac Imperatora, Rzym
54 rok naszej ery

Centurion Fronto dobrze słyszał niespokojny stukot kopyt, ale jego option i tak postanowił wykrzyzczyć pieprzoną oczywistość.

– Konie, panie!

– Słyszę.

Fronto podszedł do żelaznej bramy i wyjrzał na Vicus Patricius. Godzinę wcześniej zebrali się tutaj setki obywateli, błagając o wpuszczenie na teren pałacu, prosząc o jedzenie i wodę. Żadni tam wulgarni plebejusze, sami dobrze sytuowani obywatele, zamożni kupcy, cesarscy pochlebcy i inne pałacowe włazyłyki.

Czepiali się żelaznych prętów i groźnie kołysali całą bramą. Zebrał więc kilka oddziałów swojej centurii i uformował z nich zwarty szyk na dziedzińcu pałacowym, po czym otworzył wrota i przeciwstawił intruzom mur tarcz. W końcu się rozpierzchli, ale kilku co bardziej zapalczywych poczuło klingę gladiusa między zębami.

Od tamtej pory na zewnątrz panowała względna cisza. Czasem z bocznych uliczek i dachów dobiegały tylko krzyki i piski, cichy szcęk i chrobot ostrzy – odgłosy potyczek pomiędzy kolegiami i oddziałami milicji obywatelskiej.

Wyteżył wzrok daleko za żelazne pręty i dostrzegł pierwsze konie kawalerii galopującej w stronę pałacu wzdłuż Vicus Patricius. Przez chwilę nie był pewien, czy to przedni zwiad legionów Lepidusa, czy też szwadron ich jazdy pretoriańskiej.

– Septymusie? Widzisz kogo niesie?

Option zmrużył oczy. Oddział, nadciągający w blasku słońca zawieszono ponad linią dachów i tarasów, przypominał podskakującą, zlaną masę grzebieniastych hełmów, owalnych tarcz i wykrzywionych końskich łbów.

– Nie jestem pewien, panie.

Ale gdy podjechali bliżej, mignął przeblysłk purpurowej tuniki. Serce Fronto zamarło. Cesarska purpura. „To nasi”. – Nie wróżyło to nic dobrego. Czerwone tuniki należałyby do jeźdźców z Dziesiątego i Jedenastego. A to znaczyłoby, że Lepidus zwyciężył, a Kaligula nie żyje.

Kolumna jeźdźców nadjechała wreszcie pod same wrota, dekurion zeskoczył z konia i podszedł do żelaznej bramy. Fronto rozkazał uchylić furtę i wyszedł go powitać. Młody oficer zatrzymał się przed nim i zasalutował.

Fronto odpowiedział zwyczajowym pozdrowieniem.

– Mów. Co się wydarzyło?

– Panie! – Młodzieniec ledwo łapał oddech. On i jego ludzie najwyraźniej nie oszczędzali koni. – Generał Lepidus... poniósł klęskę panie!

Fronto zmusił się do uśmiechu.

– Wspaniale wieści. A generał?

– Nie żyje, panie.

Fronto z trudem powstrzymał westchnienie ulgi. Nie żyje, martwy nic Kaliguli nie powie. Nie poda nazwisk, żadnych nazwisk. Oby się okazało, że postąpił honorowo i odebrał sobie życie, zanim pojmano go żywcem.

– Panie! Otrzymałem rozkazy od prefekta.

– Jakie?
Dekurion zawahał się.
– No mówże, czego chce prefekt?
– Twój trybun... trybun Katon.
– Co z nim?
– Mam go natychmiast aresztować, panie. Na rozkaz prefekta mam go pojmać żywego i zaprowadzić przed oblicze cesarza, panie!
Fronto gorączkowo drapał się po podbródku, myśl goniła myśl.
– Mój trybun? Mój dowódca? Czy on jest... chcesz mi wmówić, że jest zdrajcą?
– Ja tylko wypełniam rozkazy, panie.
– Słusznie. – Odwrócił od oficera wzrok. – Słusznie... muszę...
– Mam go przyprowadzić żywego.
– Oczywiście... oczywiście, rozumiem. Muszę... – Odwrócił się niepewnie i spojrzał na legionistów przyglądających się scenie zza zamkniętej bramy. Nie mogli słyszeć rozmowy, byli za daleko. Na ich twarzach malował się wyraz niecierpliwego oczekiwania, pragnęli usłyszeć wieści przywiezione przez posłańca.
– Poczekajcie tu, dekurionie. Osobiście zajmę się jego aresztowaniem.
– Tak, panie.
Fronto obrócił się na pięcie i żwawo odmaszerował do swoich ludzi. Znalazł optiona i przemówił doń zniżonym głosem:
– Zamknąć bramy!
– Panie?
– Widzicie żołnierzy za bramą? – Fronto wskazał za siebie. – To zdrajcy. Wypowiedzieli posłuszeństwo naszemu cesarzowi.
Option wybałuszył oczy. Tak jak i pozostali legioniści, którzy stali wystarczająco blisko, żeby usłyszeć centuriona.
– To uczestnicy spisku generała Lepidusa. Pod żadnym pozorem nie mogą przedostać się na teren pałacu. Zrozumiano?
– Tak, panie!
Na horyzoncie gościńca pojawiły się kolejne szwadrony kawalerii. Pojedynczy oddział – turma – towarzyszący posłańcowi to coś naturalnego. Ale tyle jazdy? A co, jeśli prefekt Kwintus wyekspediował tu całe skrzydło kawalerii?
– Zamykać bramy! – warknął option na swoich ludzi. Kilku legionistów rzuciło tarcze i zamknęło żelazne wrota.
Dekurion, kompletnie już skołowany, zaczął coś do nich krzyczeć.
– ZRÓB JESZCZE JEDEN KROK, A DOSTANIESZ OSZCZEPEM W RZYĆ! – ryknął Fronto zza bramy.
Dekurion zatrzymał się jak wryty.
– Co się dzieje?
– Septymusie!
– Panie?
– Poślij kogoś do pałacu po trybuna. Powiedz mu, że mamy nieproszonych gości.
– Tak, panie! – Option błyskawicznie obrócił się na pięcie, żeby wyznaczyć jednego z legionistów do wykonania rozkazu.
Fronto patrzył na dekuriona, który stał bezradnie na gościńcu, trzęsąc się z osłupienia na widok zatraskiwanych mu przed nosem wrót. Wiarus zastanawiał się, jak długo uda mu się utrzymać ten stan dezorientacji we własnych szeregach. Prędzej czy później zaczną

kwestionować jego rozkazy.

– Chłopcy! – krzyknął głośno, żeby wszyscy mogli go usłyszeć. – Te łotry przed bramą wypowiedziały posłuszeństwo naszemu imperatorowi! To zdrajcy! Dziś rano cesarz odniósł miażdżące zwycięstwo... a nasi przyjaciele już wracają do Rzymu! Ale do tego czasu musimy bronić pałacu!

Legioniści zerkali na niego niepewnie.

– Nikt tu nie wejdzie! – ryknął Fronto. – Pozabijam, jeśli choć mysz się prześliznie przed powrotem cesarza! Opuśćcie dopiero, gdy na gościńcu zjawi się sam cesarz! Jasne, chłopcy?!

– Tak, panie – zgodnym chórem odkrzyknęli żołnierze.

– Świetnie!

Spojrzał przez bramę na dekuriona. Młodzieniec słyszał wszystkie rozkazy wykrzyczane przez doświadczonego centuriona. Popatrzył prosto w oczy Fronto i z poważną miną potrząsnął głową, teraz przynajmniej sytuacja była jasna. Nie tylko trybun Katon ma zostać pojmany żywcem. Dekurion znów pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć: „Jesteś głupcem i szaleńcem... panie”. Ten ostrzegawczy gest trafniej puentował sytuację niż setka słów.

ROZDZIAŁ 69

Pałac Imperatora, Rzym
54 rok naszej ery

Maddy i pozostali przysłuchiwali się nieskładnemu gęganiu nieszczęsnego staruszka. Z popękanych, kłapiących w szaleńczym tempie ust wyciekały strużki krwi i plwociny ginące w gęstej, lepiałej się brodzie.

– ...zhakowałem ich... ja... widzicie, ja... oni zostali... przeprogramowani, żeby wykonywać jego rozkazy...

– Wolniej – powiedziała Maddy. – Proszę. Wolniej. Mówisz bez sensu.

– ...głównym projektantem technicznym... ja... J-ja! Rozumiecie?... Dowodziłem! Exodusem! Exodus!

– Exodus?

– P-projekt... projekt. Exodus.... Byłem głównym pro-projektantem technicznym. – Starzec osunął się na zimną posadzkę, nagły przyływ ekscytacji wycieńczył chorobliwie niedożywione ciało.

Katon uklęknął obok niego.

– Spytaj go, czy jest jednym z Gości.

– To raczej pewne – odpowiedziała Maddy.

– R-Rashim... mo-moje imię... to... to Rashim! – odparł słabą łaciną. – Tak! Ja... ja byłem jednym z nich! By-byłem tam! Byłem TAM!

Po chwili dołączyła do nich Sal.

– Obandażowałam Liama... Jahulla! – Jej wzrok spoczął na nędznej karykaturze człowieka, który wił się w embrionalnej pozycji na podłodze. Stłumiła jęk obrzydzenia. – Kto to jest?

– To jeden z Gości – odszepnęła Maddy i odwróciła się do mężczyzny. – Co ci się stało? – spytała. – Co się stało z resztą?

Pełne obłądnego strachu oczy Rashima przeskoczyły z Katona na nią.

– Z-zdradzeni! Moja wina... o mój Bo-Boże... to była moja wina, ja... ja chciałem tylko... nigdy nie sądziłem, że... Ja... O Boże! O Boże, o Boże, o Boże...

Maddy ujęła jego dłoń i pogłaskała, żeby go uspokoić.

– Ciii. Wszystko dobrze, już dobrze. Z nami jesteś bezpieczny. Wydostaniemy cię stąd.

– Nie... m-musicie mnie posłuchać. Mu-musicie mnie teraz wy-wysłuchać! Wyrwał rękę z jej uścisku. – Czas! Czas ucieka, go-goni! To... to... wydarzy się niebawem!

– Co się wydarzy?

– Powiedz... powiedz m-mi jaka dziś data! Jaka... data? JAKA-DZIŚ-DATA?

– Data? Mam ci powiedzieć jaki dziś dzień? Podać dokładną datę?

Rashim energicznie pokiwał głową.

– POWIEDZ M-MI! – Jego słaby głos przybrał postać niemal dziecięcego pisku.

Maddy zerknęła na Boba, prosząc o podpowiedź.

– Informacja: według kalendarza rzymskiego dzisiejsza data to dwudziesty dziewiąty dzień miesiąca Sextilis, w siedemnastym roku panowania Gajusza. Według współczesnego kalendarza mamy dwudziestego dziewiątego sierpnia pięćdziesiątego czwartego roku naszej ery.

Rashim wywrócił oczami, ukazując przekrwione białka, po czym spuścił i przymknął powieki. Zdeformowane i pokrwawione usta drżały bezgłośnie. Rashim coś obliczał, szacował.

– Co się dzieje? – spytała Maddy. – Rashimie? Rashim – tak się nazywasz? Co robisz?
Unióśł kościsty palec zakończony szponiastym paznokciem, aby ją uciszyć. Z jego drgających gorączkowo ust na brodę sączyła się krwawa plwocina.

– Rashimie? O co chodzi? Co robisz? Liczysz coś? O to chodzi?

– NI-E-E-E! – Rashim nagle ryknął. – Nie-nie-nie-nie... za szybko, za szybko.

ZA-SZYBKO!

Katon mocno złapał Maddy za rękę.

– Powiedz mi! Co on mówi?

Za dużo słów, za dużo bełkotliwych informacji do przetrawienia. Maddy pomyślała, że zaraz zacznie wydzierać się razem z tym

obląkanym strachem na wróble, który klęczał przed nią na podłodze.

– Rashimie! Co? Powiedz, co się stanie „za szybko”?

Wlepił w nią zaropiałe oczy.

– Przyjadę! Przyjadę tu!!!

– O czym ty, u licha, majaczysz?

– Latarnie... LATARNIE! Ś-światła wskazujące drogę!... Ja... Ja przybyłem... przybyłem lata temu! Przybyłem tu! Wskazać drogę!!

Potrząsnęła głową. Zupełnie nic jej to nie mówiło. To jakiś kompletny bełkot.

– Od... od-biorniki... – ciągnął Rashim. – Roz-roznieściłem je. Ta-tachionowe la-latarnie...

Maddy szybko zerknęła na Boba, po którego zastygłej twarzy przemknął cień czujności.

– Rashimie, właśnie powiedziałeś „tachionowe”? – spytała Maddy. Znow obląkańczo bredził półszepetem bez ładu i składu. Mocno zacisnęła dłonie na jego ramionach. – Rashimie! Mówiłeś

o tachionach. Mówisz o podróży w czasie! Tak?

Nagle zaczął szaleńczo kiwać głową.

– Tak... tak! Mar-kery! Sy-sygnały.

– Madelaine. – Bob uklęknął obok niej. – To może być alternatywna metoda translokacji czasowej. Wyznaczanie zdefiniowanej lokalizacji, sygnatury czasowej.

Kiedy Rashim usłyszał te słowa, jego twarz rozjaśniała, a udręczony bełkot szaleńca wyparował w okamgnieniu.

– Tak... tak! Rozumiecie? – Uśmiechnął się maniakalnie, przenosząc wzrok z Boba na Maddy. – Pod-podróżowanie w czasie! Właśnie! Przeszliśmy na drugą stronę... lata, lata temu... Ale ja przeszedłem przed innymi. Rozumiecie? Tak. To ja. To ja je rozstawiłem, pojmujecie?

– Rozstawiłeś... ale co, markery sygnatury czasowej? – spytała Maddy. – Latarnie? To chcesz powiedzieć?

– Tak! T-tak! A później wsz-wszyscy przeszliśmy. Przeszliśmy wszyscy! Exodus!

– Exodus? Co to? Czy to nazwa twojego... twojego oddziału, drużyny? – Przypomniała sobie, że podobna nazwa widniała na

etykiecie przyklejonej do apteczki pierwszej pomocy: „Projekt Exodus”.

– Projekt Exodus, tak? – spytała dla pewności.

– P-projekt! Tak! – Wciągnął powietrze do płuc. – Uciekliśmy... przyszłość jest martwa! Wróciliśmy. Wróciliśmy tu-taj. To... jest – był – mój projekt. Mój projekt. Mój projekt!

Usłyszeli ochrypy głos Macro, odgłos rozmowy toczony w krótkim korytarzyku przed świątynią. Chwilę później były centurion pojawił się w rozświetlonym wejściu do komnaty.

– Katonie... mamy towarzystwo.

– Lepidus?
Macro przecząco pokręcił głową.
– Fortuna nam nie sprzyjała.
Katon zaklął i spojrzął na Maddy.
– Kaligula wraca do stolicy. Czas ucieka.
– Uda wam się kupić nam trochę czasu?
– Użyjemy tych przedmiotów? – spytał, wskazując sterty pokrytych kurzem technologicznych rupieci.
– Być może. – Maddy wzruszyła ramionami. – Może znajdziemy sposób, żeby się stąd wydostać. Tylko... ja...
– Zrobię, co w mojej mocy – przerwał jej Katon, po czym wstał i ruszył w kierunku wyjścia.
Gdy już odprowadzili go wzrokiem, ponownie odezwał się Bob.
– Rashim był najprawdopodobniej członkiem zespołu rozpoznawczego, który przybył do tej epoki, aby rozlokować markery i wytyczyć bezpieczny obszar lądowania dla dużo większej grupy.
Rashim kołysał się jak neurotyczne dziecko porzucone przez matkę.
– Ale... obliczenia złe, ja... popełniłem błąd. Wiele, wiele błędów. – Potrząsnął głową, z oczu wyciekły mu łzy, zalewając pokryte strupami policzki. – Za dużo o-osób. Musiałem zgadywać. Zgadywać. Zgadywać! – Dziko przewrócił gałkami wyzierającymi z zapadłych oczodołów. – A nie można... zgadywać. Translacja czasowa MUSI być precyzyjna! Rozumiecie? PRECYZYJNA!
– O, tak. – Maddy stoicko skinęła głową. – Wiem coś o tym.
– Ja... ja pomyliłem się. Straciliśmy połowę ludzi.
– Straciliście? W przestrzeni chaosu?
Rashim zamarł.
– ...chaos? Chaos? – Przez dłuższą chwilę mełł słowo w ustach. – Chaos... tak. Albo piekło? Hmmm? Piekło? – Oblizwał suche, popękane usta, pokręcił głową i zaczął maniacko chichotać. – Moje piekło... moje piekło, moje piekło, moje małe piekło. Moje małe piekło. Piekiełko. Ja i pan Namordnik. Pan Namordnik i ja...
– Rashimie! – Chwyciła go za ramiona i brutalnie nim potrząsnęła. – Rashimie, przestań, zostań z nami!
Twarz mężczyzny stężała, opętańczy uśmiech zamarł na ustach i zniknął pod brodą.
– Zgubiłem ich w chaosie. To stracone dusze.
– Wspomniałeś o połowie z nich. A co z pozostałymi? Co z resztą grupy? Przybyliście tutaj, prawda?
Rashim ponownie wybuchnął śmiechem. Pełnym gorzkości.
– Przybyliśmy... siedem... siedemnaście lat za wcześnie. – Z dolnej wargi mężczyzny spływały warkocze wymieszanej z krwią śliny. – Zły czas... zły czas... zły cesarz.
– Bob... – powiedziała Maddy. – Próbuje dojść z tym do ładu. Mówi, że spartolił robotę, no ale co z jego grupą? Nie trafili w sygnaturę czasową?
– Potwierdzam. Chyba to chce powiedzieć. Cofnęli się siedemnaście lat wcześniej, niż zakładali.
– Czyli to wydarzyło się te siedemnaście lat temu? To właśnie wtedy przybyli Goście, prawda?
– Potwierdzam.
Znów potrząsnęła Rashimem, żeby wyrwać go z maniackiego transu.

– Rashimie! To właśnie próbujesz nam powiedzieć? Niedługo pojawi się tutaj wasz zespół rozpoznawczy, żeby rozstawić latarnie?

– On też wie. – Skinął głową.

– On? Kto?

– Bóg – zachichotał Rashim.

– Bóg? – zdziwił się Bob.

– Dobra – rzuciła Sal z lekceważeniem. – To czubek. Naprawdę musimy tego wysłuchiwać?

– Nie, poczekaj! – powiedziała Maddy. – On mówi o Kaliguli, prawda Rashimie?

– Powiedziałem mu... to było w tamtym roku... tamtego lata... powiedziałem mu.

– O mój Boże? Powiedziałeś mi o rekonesansie waszej drużyny rozpoznawczej? O portalu?

– O... o... jego... jego wrotach do Niebios – przyznał Rashim.

Maddy spojrzała na Boba.

– Możemy go użyć? Możemy użyć tego portalu, żeby wrócić do domu?

– Nie mam na ten temat danych. To musi być technologia translokacji czasowej wynaleziona po dacie moich narodzin i terminie utworzenia bazy danych Agencji.

– Ale metoda musi być podobna, podwaliny technologiczne są te same, prawda?

– Potwierdzam.

– Jeśli to latarnia... to czy moglibyśmy za jej pomocą przesłać wiadomość do komputera-Boba?

– Teoretycznie – potwierdził klon. – Transmisja tachionowa jest jedyną metodą przesyłu danych w czasoprzestrzeni.

Pytanie tylko, czy komputer-Bob wciąż jest w jednym kawałku, czy może odbierać sygnały.

– Rashimie... powiedziałaś, że to wydarzy się niebawem. Przed momentem powiedziałaś nawet, że „za szybko”. Mówiłeś o przybyciu zespołu rozpoznawczego, tak?

Rozdziawił usta w odrażającym uśmiechu, ukazując popsute dziąsła.

– Szybko... Szybko – powtórzył z zaśpiewem. – Za trzy dni.

– To za trzy dni?

Rashim skinął głową z zagadkowym wyrazem twarzy.

– Wiesz, gdzie wylądują? Podaś nam dokładną lokalizację?

Mamrotał coś do siebie śpiwnym tonem człowieka, który postradał zmysły.

– Rashimie!

– Wiem... pamiętam... – Postukał się po kołtunie brudnych, splątanych włosów. – Wszystko tutaj. Nie martwcie się, ja i Pan Namordnik wiemy wszystko.

Sal zerknęła na przyjaciółkę, znacząco unosząc brew.

ROZDZIAŁ 70

Pałac Imperatora, Rzym
54 rok naszej ery

Katon kroczył słabo oświetlonym korytarzem w kierunku frontowego portyku.

– Mówiłem już... oni nie pochodzą z Brytanii.

– Nie? – Macro popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Nie, miejsce, z którego przybyli, to... – Katon skrzywił się z zażenowaniem. – Bogowie mi świadkiem, że sam nie potrafię tego pojąć. Miejsce, z którego pochodzą, to przyszłość.

– Przyszłość?

– Tak, przybyli z tego samego miejsca co Goście. Z czasów na horyzoncie.

Macro zmarszczył brwi, próbując przetrwać to, co usłyszał.

– Masz na myśli lata, które dopiero nadejdą?

– Ich dom jest ponad tysiąc lat stąd – doprecyzował Katon.

Był pewien, że jego stary druh będzie się głowił nad tym fenomenem, lecz on tylko beztrząsco skinął głową.

– To by wiele wyjaśniało.

– Macro, sam nie wiem, co mam myśleć o tym znalezionym więźniu. Rozmawiali z nim o czymś. Być może o urządzeniach Gości. O ich rydwanach? Sam nie wiem. Wiem tylko, że musimy coś wymyślić i podarować im trochę więcej czasu.

– Katonie, zostaliśmy tylko my dwaj, centurion Fronto, i ten wielkolud w komnacie.

– Bob.

– Tak, Bob... dziwne to imię. Ale do rzeczy, nie wiem, na jak długo nasza czwórka zdoła wstrzymać gwardię pretoriańską, Katonie. To się po prostu nie może udać.

– Zostali nam jeszcze legionieści Fronto. Cała centuria. Jeśli dojdzie do bitwy, zdołają przez jakiś czas utrzymać wrota.

– O ile zechcą walczyć po naszej stronie.

– Prawda.

Marszowym krokiem przeszli przez portyk. Katon skinieniem głowy pozdrowił oddział stojących w pobliżu żołnierzy i wyszedł na dziedziniec. Po drugiej stronie placu, pod łukiem otaczającym żelazne wrota, stali żołnierze Fronto, a dalej, za żelaznymi prętami majaczyła kolumna wojska. Spieszni ekwici. Kawaleria bez koni przeobrażona w niepewną swego piechotę.

Wypatrzył Fronto i podszedł do niego.

– Centurionie!

– Panie!

– Co się tutaj dzieje?

Fronto wskazał głową dekuriona, który wciąż czekał przed bramą. Za nim, w gasnących promieniach późnopołudniowego słońca, stało dwustu, może trzystu kawalerzystów i ich konie. Z oddali nadciągali kolejni jeźdźcy kłusujący w górę stromego gościńca.

– Ten zdrajca, panie! – wrzasnął na cały głos Fronto, żeby dobrze usłyszeli go jego ludzie. – Chce splądrować pałac imperatora.

– Rozumiem.

Dekurion usłyszał odpowiedź Fronto, choć jego własny oddział hałasował nieznośnie, próbując uformować zwarty szyk.

– Bzdura! Dostałem rozkaz od prefekta! – Dekurion spojrzał na Katona. – Kazał cię aresztować.

– W rzymskiej armii niżsi rangą oficerowie zwykli zwracać się do starszych szarżą per „panie”, dekurionie.

– Natychmiast otwierać wrota! – warknął dekurion, gdy żołnierze Fronto utworzyli zwarty mur uniesionych tarczy. – Trybun ma zostać aresztowany za zdradę!

Macro wściekle obnażył zęby, podszedł kilka metrów do bramy i złapał rękami za żelazne poręcze. – Ten trybun to dla ciebie starszy oficer, neptku!

Dekurion posłał mu protekcyjnalny uśmiezek.

– A ty? Kim ty jesteś, stary grubasie? Niczym. Nawet nie jesteś żołnierzem.

Macro zacisnął zęby i splunął przez bramę.

– Ale i tak swobodnie spralbym ci rzyć, gdyby przyszło co do czego... konusie.

Oficer go zignorował.

– Albo natychmiast otworzycie tę bramę, albo WSZYSCY zostanieie potraktowani jak zdrajcy i poniesiecie adekwatną karę!

– Chłopcy! – Katon odwrócił cię do swoich ludzi. – Ci ludzie przed bramą... to podli dezterterzy! Najemnicy! Przybyli tu, by napchać kieszenie złotem i dać dyla z miasta przed powrotem cesarza! Naszym świętym obowiązkiem jest utrzymać te wrota!

– Łże jak pies!

– A idźże ty wreszcie zwał się na ryj! – ryknął Macro, waląc pięściami o bramę.

– Żołnierze! – krzyknął Katon. Choć głos trybuna nie mógł się równać z basem Macro czy Fronto, nawykłych do wyrzaskiwania rozkazów na placu apelowym, to jego szarża i doświadczenie zapewniały posłuch wśród legionistów. – Imperator powierzył tej kohorcie i tej konkretnej centurii pieczę nad swoim domem. Ceni nas. Ufa nam. Jeśli pozwolimy tym psubratom przed bramą...

– Zaśmiał się. – ...tym dziewicom na kobyłach wdrzeć się do pałacu... – Legionistom udzieliła się jego wesołość. Piechota i oddziały kawalerii nie pałały do siebie wzajemną miłością. Nikt nie przepadał za ekwitami, którzy uważali się za lepszych od reszty. – ... to zawieziemy jego zaufanie, nie wypełnimy cesarskiego rozkazu.

Dekurion westchnął i potrząsnął głową.

– Dobra... sami się prosicie.

Katon dołączył do stojącego przy bramie Macro. Patrzyli, jak młody oficer odwraca się od nich i oddala do swoich ludzi.

– Świetnie zagrane, panie – szeptem odezwał się Fronto, który właśnie zjawił się tuż obok. – Kilku moich legionistów zaczynało coś podejrzewać.

– Ten impas potrwa tylko do czasu, aż zjawi się tu ktoś starszy rangą z rozkazem na piśmie – rzekł Katon. – Wtedy ci sami ludzie zwrócą się przeciwko nam.

– Może nie... to wszystko dobre chłopaki. – Fronto spojrzał na zaniepokojone twarze żołnierzy, na błyszczące w cieniu hełmów oczy wpatrzone w centuriona. – To lojalny oddział.

– Wystarczająco lojalny, żeby stanąć po stronie zdrajców? – odparł Katon. – Narazić się na gniew Kaliguli?

Centurion stracił rezon i niezbyt mądrze wydał usta.

– Jak mówiłem... gdy pojawi się tu ktoś starszy rangą, ten pat dobiegnie końca.

– Pat? – Macro wciągnął powietrze przez szczerbate zęby. – Na moje oko zanosi się tu raczej na solidną bitkę. Patrz tylko.

Katon spojrzał we wskazanym kierunku. Kilkudziesięciu mężczyzn toczyło wóz obładowany ciężkimi worami z gnojem. Fura powoli zaczęła nabierać impetu i toczyć się

samoczynnie wzdłuż zgromadzonych szeregów.

Uniósł dłonie i zacisnął pasek u hełmu.

– Jak zwykle masz rację, Macro.

ROZDZIAŁ 71

Pałac Imperatora, Rzym
54 rok naszej ery

Przedni szereg spieszonych ekwitów odsunął się na bok, żeby przepuścić podskakujący wóz. Żelazne obręcze wielkich kół uderzały ze stukotem o bruk przed północno-wschodnimi wrotami pałacu.

– Przetoczy się po nich jak po maśle – burknął Macro.

Katon skinął głową. Żelazne wrota miały bardziej dekoracyjny niż obronny charakter, nabierający impetu wóz bez trudu wyrwie je z zawiasów.

– Fronto, każ swoim ludziom podejść bliżej bramy. – Wskazał wznoszące się po obu stronach kamienne kolumny i fragment dwuipółmetrowego muru otaczającego kompleks pałacowy. – Nawet jeśli wyważą wrota, zdołamy ich przez chwilę zatrzymać w tym wąskim przejściu.

– Tak jest, panie.

Fronto i ustawieni w równej linii legioniści podeszli na odległość trzech metrów od bramy, gotowi wbiec do przejścia w momencie, gdy ekwicy zaczną wyciągać wóz, by wedrzeć się na dziedziniec.

– A ja, Katonie? Co mam robić? – spytał Macro.

– To, co potrafisz robić najlepiej – odparł Katon z uśmiechem.

– Walka w tłoku. – Macro posłał mu uśmiech. – Jak za starych dobrych czasów, co, chłopcze?

– Jak za starych dobrych czasów.

Pędzący wóz trafił wreszcie na nieznaczny spadek terenu i zaczął swobodnie zsuwać się ku żelaznym wrotom, podskakując na bruku i gubiąc przy okazji kilka worków z łąjnem.

– Spokojnie, chłopcy! – ryczał Fronto.

Katon patrzył, jak Macro przepycha kilku żołnierzy, żeby zrobić sobie miejsce w pierwszej linii oddziału centuriona.

– No, dalej, panienki, zróbcie miejsce dla starego wiarusa! – usłyszał, jak jego przyjaciel się na nich wydziera. „Jak za starych dobrych czasów”.

Katon przypomniał sobie ich pierwszą potyczkę. Był wtedy nieopierzonym młokosem po kilku tygodniach podstawowego treningu. Macro za to niewiele się od tamtego czasu zmienił: wciąż był tym samym niskim i przysadzistym wiarusem uzbrojonym w nieprzepuszczalny mur ordynarnej pewności siebie. Dobrze pamiętał ich pierwszą bitwę, paraliżujący strach, jaki go wtedy ogarniał, ale i przecucie, że obok Macro, nawet w cyklonie szczękającej broni i agonalnych krzyków, jest bezpieczny. Że zawsze będzie bezpieczny. Zupełnie jakby staruszka spowijała płaszcz niezwyciężoności.

– Nadciąga, chłopcy! – ryknął Macro. – Kto pokaże koniowałom, jak walczy prawdziwy legionista? – Otaczający go mężczyźni ryknęli gromkim, acz niespokojnym śmiechem.

Katon z uśmiechem na ustach stanął u boku Fronto.

– Wybaczcie mu, on tak zawsze.

– Służyłeś pod nim?

– O tak... – odparł Katon z błąkającym się na ustach uśmiechem. – Miał wtedy tak samo niewyparzoną gębę.

Wóz pokonał ostatnie metry i wpadł w żelazne wrota, uderzając w lewe skrzydło z taką

mocą, że utrzymujące je zawiasy oderwały się od kamiennej kolumny i eksplodowały deszczem kurzu. Zawaliło się do środka. Pretoriańscy kawalerzyści ryknęli z triumfem. Po chwili fura zaczęła podskakiwać, wyciągana z płataniny powyginanych i połamanych prętów. Drugie skrzydło, wiszące jeszcze jakimś cudem na jednym zawiasie gruchnęło z brzękiem na ziemię i zaplątało się w oś wozu. Atakujący natychmiast do niego doskoczyli, odciągnęli je od fury i wyciągnęli ze światła bramy wjazdowej.

– Naprzód! – rozkazał Fronto.

Przedni szereg, szesnastu mężczyzn, ruszył przed siebie, przeciwstawiając atakującym mur tarcz. Posuwali się krok za krokiem, aż zbitą masą wypełnili przestrzeń pomiędzy kamiennymi kolumnami.

Katon dostrzegł dekuriona otoczonego gromadką innych oficerów i grzebień innego oficera kłusującego w chmurze wzbitego kurzu i piachu. *Praefectus alae*... oficer dowodzący skrzydłem pretorskiej kawalerii. Zaklął. Ostatnie, czego im teraz trzeba, to przemowa kolejnego oficera do legionistów Fronto. Czas uciąć całe to gadanie i zacząć walkę. Postanowił przyspieszyć bieg wydarzeń.

– Fronto... poczęstuj ich pilumami.

Centurion przyjął rozkaz i ryknął do swoich ludzi, żeby gotowali się do wyrzutu na jego komendę. Dwie szesnastoosobowe linie legionistów dzierżących w prawych rękach oszczepy cofnęły się o krok i przyjęły pozycję.

– WYRZUCIĆ!

W powietrze wzbijała się skromna salwa oszczepów, które przeszybowały trzydzieści metrów i wbiły w ciała kilkunastu ofiar. Liczba poległych była zbyt skromna, żeby uczynić jakąś różnicę, ale czas negocjacji właśnie dobiegł końca. Ekwici – głównie cudzoziemcy ze wszystkich zakątków imperium, Batawii, Sarmacji – choć byli urodzonymi jeźdźcami, w walce wręcz nie dorównywali rzymskim piechurom. Pewnie dlatego nacierali teraz na bramę wjazdową nierównym szykiem. Spomiędzy ich tarcz – lekkich i owalnych, świetnie sprawdzających się w mniej skoordynowanej walce na koniach, ale nienadających się do walki w zbitej formacji – wystawały krótkie włócznie. Włócznie zamiast mieczy: kolejny zwyczaj kawalerzystów, którzy chętniej używali broni o większym zasięgu. Katon nie omieszkął podzielić się tą obserwacją z Fronto.

– Głupcy, nie mają pojęcia, jak walczyć w zwarciu.

Wreszcie zbliżyli się na wyciągnięcie mieczy, szcęk i dzwonienie kling o tarcze, czubków włócznie o zbroje wypełnił złowieszczą ciszę, która zalegała nad zanurzonym w oparach pożogi miastem.

ROZDZIAŁ 72

Pałac Imperatora, Rzym
54 rok naszej ery

– Musimy wydostać się z Rzymu! – powiedziała Maddy. – Byle szybciej!
– To musi stać się priorytetem misji – potwierdził Bob skinieniem głowy.
Wyszła z komnaty i uklękła obok Sal i Liama.

– Jak on się czuje?

– Piecze jak diabli – skrzywił się Liam. – Pali.

– Już nie krwawi. – Sal wskazała bandaż, którym owinęła biodra Liama. – Miecz chyba nie przeciął żył ani nie dosięgnął organów.

– Na pewno nie ma krwotoku wewnętrznego?

– Nie wiem, jak mogłabym to stwierdzić. – Sal wzruszyła ramionami.

Maddy też nie wiedziała, ale często słyszała tę frazę w filmach i serialach o lekarzach.

– Trudno, kiedy wrócimy do domu, zorganizujemy mu jakąś opiekę medyczną.

– Kiedy wrócimy do domu? – Liam zaśmiał się z przekąsem. – Powodzenia.

– Znajdziemy sposób, żeby opuścić Rzym. Jest nadzieja. Jest okno... okno powrotne.

Znajdziemy je. Rozumiecie?

Pozostała dwójka skinęła głowami.

Bob przyprowadził Rashima, podtrzymując wielką dłonią jego kruchy łokieć. Irańczyk mrugnął i skrzywił się pod wpływem przytłumionej i migotliwej poświaty lamp oliwnych.

Maddy wpadła na pewną myśl.

– Rashimie, czy możemy użyć tego poduszkiowca?

Potrząsnął głową, osłaniając oczy i mrugając.

– E-e... d-duży martwy s-smok. Tak, martwy.

Niecierpliwie pokręciła głową. Nie miała czasu na obłąkane gędzenie.

– O co mu, do cholery, idzie?

– Informacja: pojazd ma napęd ogniwo-wodorowy. Ogniwa wymagają regularnej konserwacji. Już nam się na nic nie przydadzą.

– Rashimie? – Naukowiec znowu coś do siebie mrucał. Chwyciła go za rękę. – Gdzie zmaterializuje się ten portal... wystarczająco blisko, żeby dotrzeć do niego na piechotę?

Rashim jeszcze bardziej skulił ramiona.

– Czas ucieka... czas ucieka... tik-tak, tik-tak...

– Tracimy tylko czas – zauważyła Sal.

– On wie, gdzie musimy iść, Sal. Potrzebujemy go. – Maddy odgarnęła z oczu opadającą grzywkę. – I musimy uciec z tego pałacu, z tego miasta.

– Katon... on nam pomoże – odparła Sal. – Zna pałac.

– Gdzie on poszedł? Widziałas, w którą stronę?

– Chyba jest na zewnątrz, przy wejściu do pałacu z innymi żołnierzami.

Właśnie wtedy to usłyszeli: niewyraźny metaliczny szczepek i podniesione głosy. Maddy i Sal spotkały się wzrokiem.

– Czy to odgłosy walki? – spytała Sal.

Amerykanka przekrzywiła głowę i nadstawiła uszu.

– Tak, chyba tak.

– Czyli już za późno. Jesteśmy w pułapce! – Podniosła wzrok na Maddy. – Jahulla! Nie wydostaniemy się stąd, prawda?

Liam skrzywił się, unosząc powieki.

– Nie mam zamiaru tu zostać!

– Musimy znaleźć jakieś wyjście. – Mózg Maddy wskakiwał już na wyższe obroty. – Możesz się ruszać, Liamie?

– Nie mam zamiaru tu zostać, to pewne jak słońce! – Spróbował usiąść, ale jęknął tylko, łapiąc się za bok. – Achhhh! Au! Auch!! Krwawi, piecze jak cholera!

– Bob, weź Liama na ręce. My z Sal pomożemy staremu – zdecydowała, wskazując głową Rashima.

– W którą stronę? – spytała Sal.

– Odnajdźmy Katona. On nam pomoże.

Chwilę później odsunęli powiewającą zasłonę i wyszli z ukrytego przejścia na główny korytarz. Liam, którego Bob niósł na plecach, owinął rękami szyję klona i wydawał z siebie udręczone jęki. Maddy i Sal podtrzymywały powłóczącego nogami Rashima, który nie przestawał chichrać się i mamrotać pod nosem.

– Tędy – rzekła Maddy, kiwając głową w lewo, skąd dochodziły wyraźniejsze już odgłosy bitwy.

Szli korytarzem w stronę portyku wejściowego. Gdy podeszli bliżej, Maddy dostrzegła lśniące broje skąpane w krwistoczerwonym świetle zachodzącego słońca.

– Co tam się dzieje?

Stali wewnątrz portyku o wysokim sklepieniu, na marmurowej posadzce pomieszczenia zalegali ranni i krwawiący legioniści. Na dole za arkadowym wejściem, wzdłuż podstawy stopni, uformowały się trzy linie gwardii pałacowej. Dziedziniec pękał w szwach od żołnierzy. W ciżbie wojska złowiła wzrokiem grzebieniasty pióropusz hełmu Katona, który ustawiał ludzi przy schodach. Przecisnęła się przez gromadę mężczyzn i stanęła przed nim.

– Co się dzieje? Co to za ludzie?

– Kawaleria pretoriańska Kaliguli. Sami *praefectus alae*. Jakies pół tysiąca. – Spojrzał na nią uważnie. – Znalazłaś to, czego szukałaś?

Skinęła głową.

– Katonie... musimy porozmawiać.

– Widzisz chyba, że jestem teraz ździebko zajęty.

– Istnieje sposób, żeby to wszystko naprawić... sprawić, żeby się nie wydarzyło!

Proszę... musimy porozmawiać. Postaram się wszystko wyjaśnić.

Katon patrzył, jak kilkudziesięciu pierwszych ekwitów wbiega do ogrodów. Olbrzymia przewaga liczebna pozwoliła im wypchnąć żołnierzy trybuna z bramy. Portyk – kolejne wąskie gardło, to była ostatnia szansa obrońców, żeby choć na chwilę wstrzymać wroga. Nic to oczywiście nie zmieni, bo prędzej czy później i tak ulegną. Atakujący wdarli się już na dziedziniec. Do budynków pałacowych można było się też dostać innymi wejściami. Niebawem zaleje ich fala kawalerzystów. Lecz na razie portyk to ich ostatnia deska ratunku. Plan był prosty jak drut.

– Macro! – Katon chwycił starego centuriona za rękę.

– Tak?

– Daj mi kilka chwil. Muszę porozmawiać z naszymi przyjaciółmi. I to szybko!

– Uraczą nas teraz jakąś sztuczką magiczną? – Macro zmarszczył brwi.

– Na to mam nadzieję. – Skinął głową w kierunku niedobitków z centurii Fronto. Sam centurion padł pięć minut wcześniej od pchnięcia włócznią kawaleryjską w gardło. Konał,

wściekle wymachując mieczem i ostatkiem sił próbując zostawić choć bliznę na ciele mężczyzny, który go zabił.

– Są twoi, Macro.

– Tak jest. – Wymienili saluty, po czym Macro jął miotać przekleństwa ponad głowami kilkudziesięciu legionistów zgromadzonych na schodach.

Maddy zaprowadziła Katona do środka, do portyku, w którym stali Liam, Sal, Bob i Rashim. Aby do nich dotrzeć, musieli przedrzeć się przez stertę wijących się ciał.

– Dobrze... – Maddy wskazała Rashima. – On wie, gdzie aktywowane zostanie okno czasowe.

– Okno czasowe? – Katon zmrużył oczy. – To urządzenie pozwalające podróżować w...

– Okno w czasie, tak. Właśnie. To okno pojawi się za trzy dni.

Potrząsnął głową.

– Trzech godzin nie wytrzymamy... nie mówiąc już o...

– To gdzieś poza granicami Rzymu.

– Chcesz znaleźć stąd wyjście? Uciec?

Maddy w odpowiedzi tylko skinęła głową.

– A co z nami? Mamy tu zostać i zginąć?

Nie potrafiła znaleźć odpowiedzi, rozłożyła więc tylko ręce.

– Zrozum, bardzo ciężko to wszystko wytłumaczyć... ale jeżeli zdołamy wrócić do domu, zmienimy historię, pozwolimy jej wrócić do właściwego koryta. A to wszystko nigdy się nie wydarzy.

Przysłuchujący się tej szybkiej wymianie zdań Bob postanowił dorzucić swoje trzy grosze.

– Informacja: rządy cesarza Kaliguli trwały tylko cztery lata. Został zamordowany w czterdziestym pierwszym roku naszej ery przez oficerów gwardii pretoriańskiej, a na cesarskim stolcu zastąpił go jego wuj, Tyberiusz Klaudiusz Cezar.

– Klaudiusz? – Katon się skrzywił. – Przecież ten kretyn jąkała nie wywiązałby się z roli odźwiernego w publicznym wychodku.

– Okazał się bardzo skutecznym władcą. W czasie jego panowania rzymska armia podbiła Brytanię i zamieniła ją w prowincję cesarstwa. Podobnie rzecz się miała z Tracją, Licją i Judeą. Historycy zgodnie uznają czas jego rządów za sprawiedliwy i...

– To nie czas na wykład, Bob. – Maddy zakryła mu usta dłonią. – Rzecz w tym, że ostatnie siedemnaście lat powinny wyglądać zupełnie inaczej. To, co wydarzyło się od czasu przybycia Gości... poszło nie tak. Ich pojawienie się wszystko wywróciło do góry nogami. Historia zmieniła swój bieg.

Katon przypatrywał się im bez słowa.

– Potraficie to odczynić?

– Tak! – odparła Maddy. – Ale najpierw musimy wrócić do domu.

Katon w zamyśleniu szczyptał się po nosie.

– Pomożesz nam się stąd wydostać? – dopytywała dziewczyna.

– Właśnie myślę, jak to zrobić.

ROZDZIAŁ 73

Pałac Imperatora, Rzym
54 rok naszej ery

Macro kończył przewijać skórzane rzemienie przez zapięcia i zaciskać *lorica segmentata* wokół masywnego tułowia. Choć była przyciasna, cieszył się, że mimo słusznej postury wciąż mieści się w segmentowej zbroi, którą na potrzeby armii produkowano w jednym tylko rozmiarze.

– Dobra, chłopcy! – warknął, nakładając hełm na głowę. – Te panienki w ogrodzie pewnie szcżą już na wasz widok po nogach! – Przez szereg legionistów przelała się fala zgodnego, acz ponurego śmiechu. – Bez swoich kobył to zwykła zbieranina amatorów. Nie ma co się panienkami przejmować.

Na pałacowe ogrody opadła plama zmierzchu, nurzając w czerwonym blasku kamienne alejki, krzewy ozdobne, młode oliwkowe drzewka i pstrokaty kobierzec trupów. Wraz z nadejściem wieczoru zapanowała niezwykła cisza, spokój. Przez ostatnie piętnaście minut walki szcęk broni i ryk wzburzonych głosów wypełniał całą okolicę, lecz teraz cisza zdawała się niemal nieprzenikniona. Macro słyszał jednak poszum odległych głosów, rozmowy żołnierzy czekających przed kompleksem pałacowym. Bałwan szeptu gnał naprzód, rozlewając się po żołnierzach jak fala występująca na kamienistą plażę.

„Co tam się dzieje?”

Dostrzegł poruszenie, pomiędzy kamiennymi kolumnami bramy wjazdowej pojawiło się kilku jeźdźców torujących sobie drogę przez

tłum żołnierzy, którzy ryknęli jednocześnie, gdy rozpoznali postaci na koniach. Macro zaklął, bo też poznał jeźdźców. Kaligulę i Kwintusa, prefekta pretorianów.

– Katonie! – krzyknął do stojącego wyżej na schodach przyjaciela. – Ciekawym, co teraz wymyślisz – mruknął do siebie.

Ekwici po drugiej stronie ogrodów zaczęli wiwatować na widok cesarza i swojego prefekta. Macro patrzył, jak mężczyźni zeskakują z koni i znikają wśród hurmy żołnierzy. Po chwili znów pojawili się w polu widzenia, gdy przednie szeregi legionistów z szacunkiem rozstąpiły się na boki. Kaligula w eskorcie dwóch Kamiennych Ludzi ruszył w ich stronę niespiesznym krokiem. Kwintus posłusznie postępował trzy kroki z tyłu. Kilkanaście metrów dalej cesarz zatrzymał się i uniośł dłoń, by uciszyć ekwitów. W ogrodach zaległa korna cisza.

– Nie przestaję zachodzić w głowę... cóż to wyprawia się w domu moim? – Rozejrzał się po placu zasłanym dziesiątkami ciał i drzewcami oszczepów wbitych w piasek. Obrazu zniszczenia dopełniały kępki wyrwanej ziemi i stratowane kwietniki.

– Cóż za straszny bałagan uczyniliście! – Westchnął. – Każdego innego dnia byłbym nielicho rozzłoszczony. Lecz dziś... dziś jest czas radości. Niebawem – już wkrótce – wydarzy się coś prawdziwie cudownego. Opuszczę swą cielesną powłokę i stanę się bogiem! A na Rzym znów spłynie deszcz bogactw. Dziś... pokonałem ostatnich wrogów, którzy śmieli wątpić w me boskie przymioty. Dwa legiony głupców dowodzonych przez podobnego im idiotę... zostało dziś startych na proch.

– Pretorianie! – Zbliżył się o krok. – Dobrzy ludzie – powiedział, szeroko rozkładając ręce. – Słyszałem, że sumiennie spełnialiście swój obowiązek, broniliście mego domu przed intruzami, którzy według was przybyli go splądrować. Dziękuję wam za to... i wybaczam wam.

Macro odsunął się od szeregu żołnierzy i podbiegł kilkanaście stopni pod samo wejście do portyku. Ujrzał Katona pogrążonego w konwersacji z przybyszami z przyszłości.

– Ale zostaliście wprowadzeni w błąd, oszukani – ciągnął Kaligula. – Wywiedli was w pole oficerowie knujący z generałem Lepidusem. Konspiratorzy, tacy sami jak on niedowiarkowie i zdrajcy...

Macro przystawił dwa palce do ust i gwizdnął. Katon natychmiast się odwrócił. Kaligula, poirotowany obcesowym zachowaniem jakiegoś prymitywa, przerwał naburmuszony w pół słowa. Trzy rzędy pocących się, ponurych i utyłanych krwią żołnierzy jak na zawołanie obróciło się w kierunku Macro. Cały dziedziniec zamarł, w powietrzu zawisła złowróżbna cisza, wszyscy osłupieli, wlepiając wzrok w podstarzałego wiarusa. Macro wzruszył ramionami i wyszczerzył zęby.

– Nie pieprz głupot! – ryknął ile pary w płucach. Zdawało się, że gaikiem drzewek oliwnych poruszył świeży powiew wiatru, choć w rzeczywistości była to fala westchnień wyrwanych z piersi dziesiątek żołnierzy. – Nigdy nie zostaniesz bogiem. Jesteś zwykłym baranem!

Sztuczna bryza znów poruszyła drzewkami. Zapadła głucha cisza. Gdzie nie spojrzął, widział jedynie morze szeroko otwartych z osłupienia ust.

„Pieprzyć to”.

Zauważył leżący na ziemi oszczep. Błyskawicznym ruchem schylił się, podniósł ją i cisnął w kierunku Kaliguli. Wszyscy zgromadzeni odprowadzili wzrokiem pilum, które szybowało leniwie w niekończącej się trajektorii wibrującego drzewca i lśniącego żelazem grotu, zanim z głuchym zgrzytem wryło się w piach między szeroko rozstawionymi stopami Kaliguli.

Imperator wlepił wybałuszone ślepia w drgający mu przed nosem drzewiec, wreszcie złapał zań, wyrwał pilum z ziemi i odrzucił na bok. Jego twarz ozdobił dumny uśmiech. Zaśmiał się radośnie.

– Rozumiecie teraz? Nikt nie może zabić boga.

Żołnierze Fronto zaczęli się wiercić i niespokojnie poruszać. Macro natomiast wycofał się przez portyk w kierunku przyjaciół, niemal potykając się o nogę jednego z konających i tracąc równowagę.

– Wybaczam wam wszystkim, znajcie moją łaskę! – krzyknął Kaligula. – I tysiąc sestercji dla śmiałka, który przyniesie mi głowę prostaka!

– Czas brać dupę w troki! – wydyszał Macro.

– Świetnie to ująłeś. – Katon skinął głową.

Odwrócili się i ruszyli pędem, znikając w mroku korytarzy pałacowych w chwili, gdy najbystrzejsi z gwardzistów wbiegli po schodach i zachłannie rzucili się w pogoń za łupem.

ROZDZIAŁ 74

Pałac Imperatora, Rzym
54 rok naszej ery

Katon prowadził grupkę uciekinierów głównym holem pałacu. Minęli tajemne przejście, z którego wyszli pięć minut wcześniej.

– Gdzie biegniemy? – krzyknęła Maddy.

– Po drugiej stronie pałacu jest brama, przez którą wpuszcza się niewolników i kupców. Jeśli dopisze nam szczęście, ten głupiec, Kwintus, nie wpadł jeszcze na pomysł odcięcia nam tej drogi ucieczki.

– Daleko mu do najostrzejszej strzały w kołczanie – wysapał Macro do biegnących towarzyszy.

– I z tego głównie powodu Kaligula mianował go prefektem – dodał Katon. – Jeśli się pospieszymy, ludzie Fronto, których tam skierowałem, nie będą mieli pojęcia, że wyznaczono nagrodę za nasze głowy.

Gdy z głównego holu wybiegli do wielkiego atrium, ujrzeni kilkunastu żołnierzy wychodzących z korytarza po przeciwległej stronie. Ale nie byli to szeregowcy z centurii Fronto, tylko ekwici.

– Wy tam, z rozkazu cesarza każę wam się zatrzymać... Ani kroku dalej! – Donośny głos poniósł się echem po całym atrium.

– Za późno – syknął Katon i zaklął soczyście.

– Wracajmy! – krzyknął Rashim. – Wracajmy do mojej klatki!

– Stul pysk! – warknął Macro, gdy ponownie wycofali się do głównego przejścia skąpo oświetlanego migotliwym blaskiem lamp oliwnych.

– Już po nas! – jęknęła Maddy. – Jesteśmy w pułapce!

– Moja klatka! – po swojemu świergotał Rashim. – Wracamy! Tak! Moja klatka! Moi Kamienni...

– Morda w kubeł, mówiłem! – wybuchnął Macro, groźnie unosząc zwiniętą pięść.

– Kamienni Ludzie! – powiedziała Maddy. – Ma rację! Rashim... on może ich zrebutować.

Słowo nie zostało jasno przetłumaczone i Macro uraczył ją skonfundowanym spojrzeniem.

– Buty chce im zakładać? Co to ma...?

– Uruchomi ich! – spróbowała ponownie! – Obudzi!

– Dobrze... – Katon skinął głową i odwrócił się do Rashima. – Potrafisz to zrobić? Sprawisz, że będą wypełniali twoje rozkazy?

– O tak, tak... moja magia zadziała!

Katon wskazał mieczem kierunek, z którego przybiegli.

– Wracamy! Szybko, wracamy!

Odwrócili się. Katon chwycił Rashima za jego chorobliwie chudy nadgarstek i pociągnął za sobą, starając się dotrzymać kroku biegnącemu przodem Macro. Bob sadził susy za nimi, Liam odbijał się od jego wielkich pleców i jęczał z przeszywającego bólu. Dziewczyny biegły ramię w ramię, oglądając się co chwila niespokojnie, bo szcęk zbroi i ekwipunku oraz stukot podbitych sandałów wojskowych na kamiennej posadzce były coraz głośniejsze.

– Tutaj! To ta! – nagle krzyknęła Sal. – To ta!!

Podbiegła do zasłony i odsłoniła ukryte przejście. Zniknęli w korytarzyku w momencie, gdy w dalszej części głównego hallu rozbrzmiały głosy drugiej kolumny pościgu.

– Do środka! Środka! Środka! – darł się Rashim.

Przebiegli przez otwarte drewniane drzwi i pogrążyli się w ciemności komnaty. Bob postawił Liama na ziemi i wybiegł na zewnątrz, by po chwili wrócić z deską ryglującą. Potem szybko zatrzasnął ciężkie drzwi i wsunął deskę pomiędzy dwa szeregi wewnętrznych obręczy. Na razie drzwi były bezpiecznie zaryglowane.

Obok otwartej klatki Rashima wciąż tliła się łojówka rzucająca blade światło na Kamiennych Ludzi, którzy stali tam, gdzie zostali pozostawieni, spokojnie przyglądając się panującemu wokół zamieszaniu.

Rashim poczłapał w kierunku najbliższej jednostki, sapiąc z wysiłku i ślaniając się na szpotawych nogach i wykrzywionych stopach. Sal natychmiast podbiegła do niego i przytrzymała go za rękę, zanim zdążył runąć na ziemię.

– Dziękuję... – wyszeptał i odwrócił się do stojącego przed nim Kamiennego Człowieka.

– Działasz... działasz w pełnym try-trybie diagnostycznym? Tak?

– Potwierdzam. Zostałem zresetowany do ustawień fabrycznych.

Katon szeptał coś w ciemności do Macro.

– Kiedyś słyszałem, jak mówi ich przywódca – powiedział. – I to tylko przy jednej okazji.

– Brzmią jak lemury – odburknął Macro z wyrazem nieufności na twarzy.

– Chcę z tobą pomówić. – Głos Rashima wydawał się spokojniejszy, miał niższą i łagodniejszą barwę, nie przypominał już głosu szaleńca. – Jaki jest twój aktualny status misji?

– Parametry misji nie zostały określone.

– To bardzo dobrze. Powiedz, kto był twoim ostatnim zalogowanym użytkownikiem?

– Tymczasowy użytkownik Gajusz Juliusz Cezar August

Germanik. Znany również jako Kaligula.

– Twój... twój ostatni użytkownik nie ma już prawa wydawać ci rozkazów. Zrozumiano?

Klon skinął głową.

– Podaj hasło systemowe. To wymagane, aby wprowadzić komendę do protokołu.

– Oczywiście. Oczywiście. – Rashim nagle zmarszczył czoło. Trwało to wystarczająco długo, żeby serce Maddy zamarło. „Zapomniał”. Nic dziwnego, przecież programował te jednostki pomocnicze wiele lat temu.

– Ach... tak! – Rashim kilkakrotnie klepnął się po głowie.

– ...mam... mam to. Mam!

– Podaj hasło – spokojnie powtórzył Kamienny Człowiek.

– Has... hasło to Patryk Rozgwiązda?

Oczy Kamiennego Człowieka rozbłysły w blasku świec, jego głowa powoli przechyliła się w kierunku Rashima.

– Hasło jest poprawne i zostało zaakceptowane.

– Teraz ja jestem twoim użytkownikiem – mruknął Rashim.

– Tak jest. – Klon skinął głową.

– A ci ludzie to moi... przyjaciele. Będziesz ich chronił.

Oderwał wzrok od Rashima i szybko objął pozostałych chłodnym wzrokiem automatu.

– Potwierdzam.

Rashim zachichotał z triumfem.

– Prześlij zaktualizowany status i zaakceptowane hasło swojemu przyjacielowi.

Jednostka skinęła głową i zaczęła mrugać. Chwilę później drugi Kamienny Człowiek przebudził się i omiół komnatę przytomniejszym już wzrokiem.

Rashim odwrócił się i rozdziawił usta w bezzębnym uśmiechu.

– Teraz to nasi przyjaciele. Do grobowej deski.

Dębowe drzwi zatrzeszczały w zawiasach pod wpływem uderzenia z zewnątrz: belka ryglująca podskoczyła, a pionowe pasmo światła padło na podłogę między nimi.

– Znaleźli nas – oznajmił Bob.

Maddy popatrzyła na niego, potem na pozostałych.

– Wprost fantastycznie... teraz naprawdę jesteśmy w pułapce!

ROZDZIAŁ 75

Pałac Imperatora, Rzym
54 rok naszej ery

– NIE! – ryknął Rashim, wskazując posadzkę. Opadł na kolana i rozcapierzając palce na podłodze, czule pogładził mozaikę.

– Na dole... słyszę jego szept... każdej nocy! Mój ocean...
w moim świecie!

– Cóż ten szaleniec znowu wygaduje? – Katon pytająco zerknął na Maddy.

Bezradnie potrząsnęła głową. Mówił po angielsku, ale bełkotał jak pijany. Równie dobrze mógł gadać po mongolsku. Rashim z irytacją przewrócił oczami.

– Woda, głupcy! Kapiąca woda! – Powtórzył to samo po łacinie, żeby mogli zrozumieć go Katon i Macro.

– Oczywiście! – Katon opadł na kolana. – Bieżąca woda! – Podniósł wzrok. – Pod pałacem biegnie sieć kanałów ściekowych! Pod tą podłogą... wystarczy przekopać się...

– Przekopać? – Macro wzruszył ramionami. – Czym?

Drewniane drzwi stuknęły i zatrzeszczały w zawiasach, tym razem bardziej uporczywie.

– Używają tarana – powiedział Bob. – Drzwi niedługo puszcza.

Katon wyciągnął gladiusa z pochwy i wbił czubek ostrza w cieniutką szparkę pomiędzy kamiennymi płytkami. Gлина wiążąca kafelki cichutko strzeliła i puściła, a sam kafelek podskoczył, wyzwalając tumany brudu i kurzu.

– Dalej, Macro! Pomóż mi!

Macro wyciągnął miecz, ukląkł i poszedł w ślady przyjaciela, teraz obaj Rzymianie w pocie czoła uderzali klingami w podłogę.

– Pomóżcie im! – rzekł Rashim. – Kopcie... wykopcie dziurę!

Kamienni Ludzie zgodnie odkrzyknęli „potwierdzam”, chwycili miecze i dołączyli do odkuwania płytek. Drzwi znów łomotnęły, stuknięciu towarzyszył odgłos trzeszczącego drewna. Bob zaparł się o nie plecami i podparł deskę ryglującą całą masą swego okazałego ciała.

– Zostało nam niewiele czasu – ostrzegł.

– Trzymasz się? – spytała Maddy, spoglądając na Liama.

– Nie jest źle – odparł z uśmiechem. – Powoli przyzwyczajam się do pieczenia.

– To dobrze – szepnęła, uśmiechając się mimowolnie. – Wydostaniemy się stąd, głowa do góry.

Katon w pocie czoła przekopywał się przez wyschnięte gliniane klepisko, które ukazało się pod odkutymi płytkami, spod miecza tryskały rdzawe i kruche bryły wielkości pięści. Cała czwórka wspólnymi siłami wyłobiła szeroki na metr dół o nierównej głębokości kilkunastu centymetrów. Trybun zaklął pod nosem.

– Jak głęboko będziemy musieli się przekopać?

– Woda... płynie tam! – syknął Rashim. – Pod naszymi stopami, wiecie? Słyszę ją każdej nocy!

Sal podniosła łożówkę i ruszyła w kierunku stert zakurzonego sprzętu.

– Gdzie idziesz, Sal?! – krzyknęła Maddy.

Wskazała sterty artefaktów zalegających na podłodze.

– Może wyłowię z tych gratów coś użytecznego.

– Jasne, okej, poszukaj.

Komnatę ponownie wypełnił odgłos głębokiego dudnienia i skrzyp pękającej dębiny, na obu skrzydłach wytrysnęły cieniutkie wstążeczki światła.

– Kop szybciej – zasugerował Bob.

Katon wlepił wzrok w rdzawą glinę. Miecz ponownie odbił się z brzękiem od kamieni. Kolejna warstwa. W skąpym blasku stojącej obok świecy nie widział prawie nic. Rozpaczliwie przywarł rękami do kamienia, próbując wyczuć kolejną szparę, w którą dałoby się wcisnąć czubek brzeszczotu.

Sal przykucnęła obok sterty artefaktów. Ręce dziewczyny błędziły po obrysach i krawędziach ledwie widocznych przedmiotów: po ubraniach, butach, okularach, zabawkach, czarnym popękany ekranie dotykowym od dawna już niedziałającego pada z holodanymi. Było tu wszystko, lecz nic naprawdę użytecznego.

„No dalej... dalej!”

W ogromnej komnacie znów rozbrzmiał łomot. Hinduska zanurzyła dłoń głęboko w stercie, próbując wyszperać, wyczuć i wyciągnąć choć jeden użyteczny przedmiot. Jej palec wskazujący zaplątał się w coś i zapiekł, gdy próbowała go wyswobodzić. Otarł się o coś. O otwór. Gdy odsunęła ubrania i buty, ujrzała małą żelazną kratę w podłodze. Wtedy wyraźnie to usłyszała: ciche skapywanie wody.

To właśnie słyszał Rashim. Stąd dochodziły te odgłosy!

– Tutaj! – krzyknęła. – Tutaj! Znalazłam kratę!

Mężczyźni przestali kopać i podnieśli wzrok, ale tylko na moment – szybko wrócili do pracy. Nie mieli pojęcia, o czym ona mówi. Chciałyby mieć jeden z tych budów.

– Shadd-yah, Maddy! Powiedz im! Tu jest jakiś wąż do kanałów! Tutaj!

Maddy przetłumaczyła nowinę Rzymianom, którzy natychmiast wyskoczyli z płytkiego dołu i dołączyli do Hinduski.

Katon znów posłużył się czubkiem miecza, żeby podważyć żelazną kratę. Macro doskoczył, żeby mu pomóc i wspólnymi siłami, sapiąc z wysiłku, przesunęli wąż na bok.

– To jest to – powiedział Katon, nachylając się nad małym otworem i wlepiając wzrok w ciemność poniżej. Na jego twarz padł niewyraźny refleks światła. Smród zjełczałych ścieków był obezwładniający.

– Fee, rzeczywiście – powiedział Macro, wydymając wargi z niesmakiem.

W drzwi znów coś huknęło, z lewego skrzydła odprysła dębowa listwa i ze stukiem opadła na mozaikową posadzkę.

Katon dostrzegł skuloną przy drzwiach sylwetkę Maddy, która opiekuńczym gestem objęła Liama.

– Wy tam! Wy dwoje, chodźcie tutaj!

Maddy pomogła Liamowi podnieść się z ziemi i oboje podeszli do przyjaciół.

– To akwedukt ze ściekami, pójdziemy z prądem! Wyjdziemy nad rzeką – rozpromienił się Katon.

– Dobrze. – Skinęła głową.

– Idźcie już. – Zerknął na drzwi. – Zaraz wedrą się do środka.

Maddy mocno pokiwała głową i odwróciła się do Sal.

– Pomożesz Rashimowi zejść na dół?

– Jasne.

Sal ostrożnie weszła do dziury w posadzce i opuściła się na rękach.

– Nie czuję dna. Jest chyba spory spadek.

Tylko przez krótką chwilę Maddy wpatrywała się w czern dziury przez lukę między na wpół wiszącą koleżanką a podłogą, bo szybko wrócił do niej odbity od wody refleks świecy.

– Nie jest tak strasznie wysoko.
– No to hop! – Sal zawisła na maksymalnie wyprostowanych rękach i puściła się krawędzi. Maddy usłyszała echo lepkiego, błotnisteo pacnięcia – Luzik, nie jest wysoko. – Głos Hinduski przyplłynął echem jakby z drugiego końca długiego podziemnego tunelu. – Fuj! Totalna *chuddah!*

Maddy chwyciła Rashima za rękę.

– Ty następny.

Po kolejnym ogłuszającym stuknięciu na podłogę opadły odpryski drewna. Sążniste snopy jasności przekłuły ciemność, Maddy dostrzegła rozszczerzone drzwi i refleksy błyszczących hełmów.

Liam, jęcząc z bólu, podniósł się na łokciach do pozycji siedzącej.

– Liamie? Dasz radę...?

– Nic mi nie jest, Mads... dam radę. Już wstaję.

– Najpierw twój przyjaciel... potem ty, Maddy, i twój Kamienny Człowiek – rzekł Katon.

– Pędem.

– A co z wami?

Katon zerknął na Macro, który niemal niezauważalnie skinął głową. Zrozumieli się bez słów. – Musimy zasłonić włącz do kanałów. No i może uda nam się zyskać dla was trochę cennego czasu.

– Zabiją was! – stwierdziła trzeźwo, przenosząc wzrok z jednego na drugiego.

– Oczywiście, że nas zabiją – odpowiedział Katon ze stoickim uśmiechem. – Ale przecież to ty twierdziłaś, że możesz to wszystko odczynić. Czy może coś źle zrozumiałem?

– Tak, ale...

– Powinniście więc uciekać. Natychmiast. Podarujcie nam lepszą śmierć niż ta.

Rashim był już na dole. Liam wpełzł do dziury i jęcząc z bólu, zawisł na rękach z wyprężonym jak struna tułowiem.

ŁUP! W ogromnej komnacie rozbrzmiał głęboki, wściekły ryk Boba, który dźgał mieczem w dziury w lewym skrzydle. Odpowiadały mu tylko agoniczne okrzyki z korytarzyka.

Usłyszeli odgłos pluśnięcia i skowyt Liama, który grzmotnął w szlam i dodatkowo się poturbował.

– Bob! – krzyknęła Maddy. – Uciekamy! Natychmiast!

– Nie mogę odejść od drzwi!

Katon wstał i podszedł do Kamiennych Ludzi.

– Przyjmiecie ode mnie rozkazy?

– Potwierdzam – odpowiedzieli zgodnie. – Kazano nam cię chronić.

– Macie zabić każdego, kto postawi nogę w tej komnacie.

Oba klony wyciągnęły miecze z pochew i stanęły przed podskakującymi i wyginającymi się dębowymi drzwiami.

Bob odszedł, skinąwszy im głową.

– Powodzenia – rzekł. Jednostki popatrzyły na siebie przelotnie, niechętnie zdziwione tym jakże ludzkim odruchem współczucia, którym obdarzył je inny robot. Szybko otrząsnęły się jednak z chwilowej dezorientacji i ustawiły się przed puszczającymi resztkami dębowych odrzwi, szeroko rozstawiając nogi, ujmując miecze w obie dłonie i szykując się do mordowania.

– Skacz! – powiedziała Maddy, klapiąc Boba w ramię, gdy uklęknął obok niej.

– Ty pierwsza, Madelaine. Będę strzegł tyłów.

Katon w lot pojął intencje Boba.

– Ma rację. Lepiej niech zostanie w ariergardzie.

Już wykonała ruch, żeby opuścić się przez otwór, lecz zawahała się w ostatniej chwili. Nachyliła się i pocałowała Katona w policzek.

– Wszystko naprawię... obiecuję wam! – Potem chwyciła Macro za przedramię. – Naprawię to.

– Idź! – rzekł Macro i uśmiechnął się. – Idź... nie zamartwiaj się, skarbie, nie w takich opałach bywaliśmy.

Nie zwlekając ani chwili dłużej, wskoczyła do rynsztoka i wylądowała z pluśnięciem. Bob wskoczył zaraz po niej, choć ledwo przecisnął się przez dziurę w posadzce.

Katon i Macro dźwignęli żelazną kratę i przesunęli ją na miejsce w momencie, gdy ostatecznie uderzenie tarana rozwalilo drzwi w drzazgi. Klony jak jeden mąż postąpiły kilka kroków do przodu i tonąc w świetle migocących pochodni i kaganków stawily czoła pretorianom, którzy wlewali się do środka przez barykadę połamanych desek i żelaznych okuć.

Katon schylił się po miecz, pozwalając Macro zakryć włącz do rynsztoka przegniłymi od wilgoci, zakurzonymi artefaktami.

– Czy to wszystko prawda, Katonie? Zdołają to wszystko zmienić?

Trybun pochylił się i podniósł tarczę z posadzki.

– Być może.

Macro ściągnął usta i po chwili refleksji skinął głową.

– Mnie tam to wystarczy.

– To właśnie w tobie lubię, Macro.

– Co?

– Że w dupie masz dzielenie włosów na czworo.

Macro się roześmiał. Dwa klony skutecznie broniły drzwi, posyłając na posadzkę kolejnych legionistów, których spazmatycznie podskakujące ciała tarasowały przejście.

– Mam nadzieję, że tym drugim razem los obdarzy nas spokojną starością. – Katon wyszczerzył zęby. – Dożyjemy starości i dorobimy się fortuny. Jak ci się to uśmiecha, co?

Macro rozprostował ręce, w których trzymał miecz i tarczę.

– Zawsze przeczuwałem, że skończymy jak para spasionych krezusów.

Katon posłał staremu druhowi czuły uśmiech.

– Taki z ciebie optymista, że nawet w tyłku Plutona potrafisz dostrzec przebłysk światła.

– A co, wolisz stać i biadolić jak para roztytych przekup z Awentynu?

ROZDZIAŁ 76

Okolice Rzymu
54 rok naszej ery

Wyszli w noc. Żadnego światełka na końcu tunelu, nic. Tylko ciemność nocy: niknące w chmurach gwiazdy i księżyc. I słupy dymu unoszące się nad ogarniętymi pożogą budynkami stolicy.

Przedarli się przez deltę mułu i nieczystości i zeszli nad brzeg Tybru, żeby zmyć z siebie warstwy szlamu. Rashim, kuśtykając, zanurzył się w rzece i jął rozkoszować się przyjemnie łaskoczącym skórę prądem, po czym nabrał w ręce wody i pił, i pił.

– Fuj... ja bym stąd nie piła – wyszeptwała Maddy, patrząc na niego niepewnie.

– Liamie? Wszystko dobrze? – spytała Sal.

Trzymał się za biodro z wykrzywioną z bólu twarzą.

– Wytrzymam... tak myślę.

Maddy dokładnie obmyła ręce i podeszła do niego. Wyciągnęła okulary spod tuniki i zgarbiwszy się zaczęła prostować oprawki, po czym krzywo nasunęła je na nos.

– Lepiej się temu przyjrzyjmy.

– W tym świetle nic nie zobaczysz – odparł Liam.

Wyciągnęła rękę i lekko dotknęła jego biodra.

– Krwawi?

– Chyba nie. – Dotknął gazy, którą ciasno owinął go Macro. – Jest sucha. – Rana paliła upiornie, dosłownie paliła, ale pomimo tych wszystkich nagłych ruchów nie otworzyła się ponownie.

– Macro świetnie się spisał – rzekł Liam. Podniósł wzrok na Maddy, ze zmienionym, tak jak tego oczekiwała, wyrazem twarzy. Irlandczyk bardzo polubił starego centuriona.

Dziewczyna skinęła głową, jakby chciała powiedzieć: „Ja też”.

W tunelu, walcząc z napadem astmy, wyjaśniła mu, że dwaj żołnierze postanowili zostać z tyłu i osłaniać ich odwrót.

– Jesteśmy ich dłużnikami – powiedziała ponuro. Objęła wzrokiem miasto upstrzone migoczącymi refleksami ognisk.

– Naprawimy dla nich historię. Obiecałam im to.

– Nie czas! – odezwał się Rashim. – Nie czas! Czas opuścić Rzym, już! Już, *skippa!* Tak, tak!

– Też chętnie odeszłabym stąd jak najdalej.

Maddy spojrzała w górę i w dół rzeki. Po ich prawej wznosił się most na kamiennych łukowych podporach. Po lewej, kawałek dalej, przeprawę przez Tyber stanowił rachityczny drewniany most.

– Który most wybieramy?

– Żaden, żaden – odparł Rashim. – Tam idziemy... widzisz? – Wskazał ociekający szlamem wał po lewej stronie. – Dojdziemy nim do rogatek miasta, a później... – Zmarszczył brwi i zaczął tłuc kłykciami w skronie, jakby chciał trafić w odpowiednią przegródkę pamięci.

– Jesteś pewien, że wiesz, w którym miejscu aktywowany zostanie portal?

– Tak! Tak!!... Północny wschód od Rzymu... kilka godzin marszu.

– Możesz to choć trochę sprecyzować?

Rashim znów jął okładać się po pokrytych strupami skroniach.

– Tutaj... tutaj w mojej głowie! Zaraz... zaraz to wyjmę!

– Informacja. – Bob uniósł głowę. – Jeśli znajdziemy się kilka mil od właściwej lokalizacji, być może zdołam wykryć cząsteczki tachionowe.

– Gdy portal się otworzy, nie wcześniej – powiedziała Maddy. – Ale jeśli aktywuje się tylko na kilka minut? Przecież nie zdążymy do niego dobiec z odległości kilku mil. – Odwróciła się do Rashima.

– Podaj nam dokładną lokalizację, musimy być na miejscu wcześniej!

– To było tak dawno temu... – wymruczał Rashim i zamknął oczy. – Ja... ja pamiętam, jak szedłem drogą wiodącą na zachód od Rzymu.

Bob zamrugał powiekami, przeszukując bazę danych.

– Via Praenestina?

– Tak! Najpierw długa droga! Potem duży łuk! I na końcu duży rynek!

– Odwrotnie. Przypominasz sobie drogę do Rzymu – zauważyła Maddy. – My właśnie uciekamy ze stolicy, musimy iść w drugą stronę.

– No to? Idziemy wreszcie? – powiedziała Sal, patrząc na wylot kanalizacyjny, z którego wyszli kilka minut temu. – Nie może przypominać sobie w drodze?

Maddy podążyła za spojrzeniem Sal. Gdy tylko żołnierze Kaliguli odkryją, że uciekli przez spływ ściekowy, nie upłynie minuta, a w ciemności rozbłyśnie światło pochodni.

– Sal ma rację. Ruszamy.

ROZDZIAŁ 77

Okolice Rzymu
54 rok naszej ery

Świt zastał ich na zakurczonym gościńcu, wzdłuż którego ciągnęły się faliste pola spieczonej gleby i wyschniętych kłosów pszenicy po jednej stronie oraz gaje drzew figowych po drugiej. Słabe i szpotawe nogi Rashima już dawno odmówiły posłuszeństwa, teraz drzemał w najlepsze na szerokich ramionach Boba.

Sal, pogrążona w refleksyjnym zamyśleniu, maszerowała obok nich, od czasu do czasu wymieniając słowo czy dwa z Bobem, tylko po to, by po chwili wrócić do własnych myśli.

Maddy szła przy Liamie, opiekuńczo podtrzymując jego ramię. Chłopak kuśtykał, nieznacznie powłócząc lewą nogą.

– Masz twardszą skórę, niż mi się wydawało – rzekła Maddy.

– Achh, nie będę przecież pojękiwał jak panienka z okienka, choć boli jak diabli, jakby mi ktoś wbił widły w biodro.

– Liamie, przecież dostałeś cios prosto w brzuch! – spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Nie trafił czysto. – Liam wzruszył ramionami. – Strasznie to wyglądało, ale nie było aż takie groźne. Do wesela się zagoi.

W ferworze tamtej walki była niemal przekonana, że to koniec, że Liam jest stracony. Że padnie na posadzkę i skona. Ale nie, Liam miał rację – cios był chybiony. Gdyby klinga utkwiała głębiej w żołądku, jak w pierwszej chwili myślała... żelazo na pewno rozerwałoby śledzionę lub żołądek, nerki bądź wątrobę, a toksyczne kwasy wyciekające z organów zatruiłyby krew.

Umierałby w męczarniach. Czekalaby go pewna śmierć.

– Jesteś niesamowity, Liamie – powiedziała, delikatnie tuląc wąskie ramiona chłopaka.

– Niesamowity, tak – skrzywił się. – Ale Kamiennym Człowiekiem, cholera, nie jestem.

– Przepraszam.

Wzruszył ramionami.

– Maddy?

– Tak?

– Kiedy wrócimy, czeka nas masa kłopotów, prawda? – spytał.

– Nie wiem. Nie mam nawet pewności, czy wrócimy do biura terenowego. Może się okazać, że już nie istnieje.

Sal złowiła uchem ich rozmowę.

– A co, jeśli wrócimy do czasów, z których przybyli uczestnicy projektu Exodus?

– Ciężko nawet stwierdzić, który to rok.

– Na pewno po dwa tysiące pierwszym – oznajmił Liam.

– To oczywiste.

– Projekt Exodus został stworzony po dwa tysiące pięćdziesiątym szóstym roku – stwierdził Bob.

– Skąd wiesz?

– Kamienni Ludzie byli wyposażeni w sztuczną inteligencję nowszej generacji niż moja.

– Dwa tysiące pięćdziesiąty szósty? – Liam zwrócił się do Maddy. – To wtedy powstała Agencja?

– To bezpieczny strzał.

– Co o tym myślicie? – spytała Sal. – Może wybierzemy się do przyszłości?

- Ale po co, Sal? Lepiej ode mnie wiesz, jak tam jest. Ponuro.
- Właśnie, ten mężczyzna, który przybył do czasów Robin Hooda... jak on miał na imię?
- Szukał w pamięci imienia. – ...Locke. Mówił o plotkach na temat Agencji, jakie rozprowadano w dwa tysiące sześćdziesiątym roku. Mówił, że sytuacja była wówczas dramatyczna. Tragiczna.
- Liam i Maddy spotkali się wzrokiem. – Prawdziwy koniec świata.

Koniec. To akurat słowo Maddy znała zbyt dobrze. Nagle coś ją uderzyło.

- Słuchajcie... pamiętacie wiadomość ukrytą w manuskrypcie Voynicha, prawda? Wiecie, że jej odkodowana treść znajduje się w głowie Beki.

Liam i Sal zatrzymali się niemal równocześnie i ze zdziwieniem popatrzyli na przyjaciółkę.

- Co z nią? – spytała Sal.
- Pamiętacie, jak mówiłam wam, że Beki nie może mi zdradzić, co się w niej znajduje? Oboje zgodnie skinęli głowami.
- Beki powiedziała mi też, że będzie mogła odczytać mi wiadomość dopiero po zaistnieniu szczególnych okoliczności.
- Jakich okoliczności? – dopytywała Sal.
- Powiedziała, że powie mi wszystko „gdy nadejdzie koniec”.
- Koniec? – Liam zaśmiał się wzgardliwie. – Świetnie! I co to ma niby znaczyć?
- Nie wiem. – Maddy wzruszyła ramionami. – Ale czuję w kościach, że czeka nas coś strasznego.
- Nas?
- Wszystkich! Mówię o całym naszym gatunku.
- Bardzo nas podnosisz na duchu. – Liam się skrzywił.
- Widzicie... wydaje mi się, że pewnego dnia wydarzy się coś okropnego. Coś, co zmiecie nas z powierzchni ziemi. Tym właśnie jest Pandora. To ostrzeżenie.
- Ten biedak... – powiedziała Sal, a pozostała dwójka od razu zgadła, kogo ma na myśli: nieszczęsnego czelaka, który zmaterializował się znikąd w Nowym Orleanie, w tysiąc osiemset trzydziestym pierwszym roku. Podróż przez czasoprzestrzeń zakończyła się tragicznie, w jej następstwie omyłkowo zginął również młody, nikomu jeszcze nieznany mężczyzna o nazwisku Abraham Lincoln. Najwyraźniej tajemniczy podróżnik skoczył w otchłań chaosu nieprzygotowany, nie wysondowawszy uprzednio lokalizacji zrzutu. Przybył w pośpiechu, pragnąc jak najszybciej opuścić swoją epokę. Impet translokacyjny wyrzucił go wprost na parę koni pociągowych. Stopiony ze zwierzętami biedak skonał w przeciągu kilku minut.
- Ten człowiek, który ostrzegał nas przed Pandorą – rzekła Sal.
- Joseph... – Liam spojrzał na nią pytająco. – Powiedział, że tak się nazywa, prawda?
- Tak. To właśnie on zostawił ci notatkę, Maddy.
- Tak – westchnęła. – Tak... wiem. – Potrząsnęła głową. – Ale co o tym wszystkim myśleć? Co? Jakiś nieznajomy gość z przyszłości ostrzega nas, że gatunek ludzki znalazł się na krawędzi. Czego on, do diabła, od nas chciał? Żebyśmy zmienili historię i powstrzymali nadejście nieuchronnego losu, jakkolwiek on jest?
- Tak mi się wydaje. – Sal powoli pokiwała głową.
- Ale musimy strzec historii przed wszelkimi przesunięciami, to nasz obowiązek – zauważył Liam. – Tak nam tłumaczył Foster. Pamiętacie? „Historia musi podążać określoną ścieżką, dobrą lub złą”.
- Trafiłeś w sedno – zauważyła Maddy. – Teraz jestem kompletnie skołowana, zupełnie

nie wiem co robić, Liamie. No i jeszcze ktoś wysłał cały chrzaniiony pluton jednostek pomocniczych, żeby nas zabić. Kogoś najwyraźniej rozzłościł. Na pewno coś zrobiliśmy źle!

– Albo odwrotnie, może coś zrobiliśmy za dobrze? – głośno zastanawiała się Sal.

– Widzisz? – Maddy wywróciła oczami. – Witaj w moim świecie. Świecie „Nigdy-nic-nie-wiadomo-landii”.

Stali bez słowa na środku drogi, wschodzące słońce rzucało na bruk gościńca długie i smukłe cienie ich sylwetek.

– Powiem ci, co myślę – rzekł Liam po chwili zastanowienia. – Ufam Fosterowi. Powiedział, żebyśmy za wszelką cenę starali się zachować obecny kształt historii. Nieważne, w jakim kierunku zmierza, dobrym czy złym, musi podążać określoną trajektorią. I nawet jeśli pewnego dnia nadejdzie koniec... – Liam przerwał na ułamek sekundy i zacisnął usta w uspokajającym uśmiechu – to trudno... tak widocznie musi być

– My tylko wykonujemy rozkazy – rzekła Maddy.

– Tak jest.

– Zgadnij, kto powiedział kiedyś coś bardzo podobnego. – Maddy nie czekała na odpowiedź. Uznała, że i tak na to nie wpadnie. – Naziści, właśnie oni. Kapo w obozach koncentracyjnych.

– No to co według ciebie powinniśmy zrobić, Maddy?

Odwróciła się do Sal.

– Mówiłam, że nie wiem. Teraz nie potrafię już nikomu zaufać.

Liam potakująco skinął głową.

– W takim razie wracajmy do domu.

– Wracajmy. Jeśli to możliwe. Później zastanowimy się, co dalej.

ROZDZIAŁ 78

Okolice Rzymu
54 rok naszej ery

Rashim wspominał, że większa część godzinnej podróży, którą pokonała grupa Exodus, wiodła szerokim brukowanym gościńcem. Przypomniawszy sobie, że droga w końcu przeszła w szeroki i zakurzony trakt, na którym roilo się od zmierzających w obu kierunkach wozów i pieszych. Starzec twierdził, że zajęła im godzinę... ale podróżowali dość wolno, bo ich multiterenowe pojazdy były ciężko obciążone sprzętem i ludźmi cisnącymi się na dolnych pokładach jak sardynki. Szybowali więc wolno, w tempie biegnącego truchtem człowieka. Tak mówił, choć ciężko było uznać to za pewnik. Wspomniawszy też o istotnym szczególe: łańcuchu wzgórz. Szeregu niewysokich wzniesień ciągnących się po prawej stronie wzdłuż drogi wiodącej z Rzymu. Przypomniawszy sobie też jedno wzgórze o charakterystycznie płaskim wierzchołku, wznoszące się za łagodnie opadającą doliną. Gdy słońce zbliżało się do zenitu, Maddy omiotła wzrokiem horyzont. Daleko przed nimi wyrastały wzgórza, dokładnie jak mówił, a za ich gładkim zarysem, daleko na horyzoncie, majaczył łańcuch gór o bardzo ostrych graniach.

– Rashimie! – krzyknęła.

Starzec poruszył się nieznacznie na plecach Boba.

– Obudź go, Sal.

Hinduska szczytnęła go w zadek. Podskoczył, otworzył oczy i zawył oślepiiony jasnym światłem dnia. Natychmiast znowu zacisnął powieki.

– Co to jest? Gdzie ja...!?

– Już dobrze! Dobrze! – Sal robiła, co mogła, żeby go uspokoić. – Uciekliśmy, pamiętasz?

Starzec skrzywił się i osłonił twarz ręką przed blaskiem promieni słonecznych, choć niewykluczone, że przez te wszystkie lata nabawił się też agorafobii – śmiertelnego strachu przed otwartymi przestrzeniami. Maddy zastanawiała się, czy ona sama kompletnie nie postradałaby zmysłów, gdyby na siedemnaście lat zamknięto ją wewnątrz wielkiej skrzyni.

– Rashimie, popatrz na tamte wzgórza. To o nich wspominałeś?

Gdy Bob postawił go na ziemi, osłonił zmrużone jak szparki oczy przed boleśnie jaskrawym blaskiem porannego słońca.

– Myślę, że... tak. Albo może... nie, nie jestem pewien.

– Pomyśl! Musimy mieć pewność.

Twarc starca wykrzywił grymas bólu, gdy przyglądał się linii opadających wzgórz po prawej stronie gruntowej drogi. Nagle szerzej otworzył oczy, gdy dostrzegł wzgórze o płaskim wierzchołku.

– Tamto! Tam! Widzicie? Tak!

Maddy powiodła wzrokiem za szponiastym pazurem jego palca wymierzonego w jakiś obiekt w oddali. Pasma tworzyły niemal symetrycznie falujące wzniesienia, na kilku szczytach stały wille, ponad którymi w poranne niebo wzbijały się cienkie nitki dymu. Ale najbardziej charakterystyczne było to z płaskim wierzchołkiem wyglądającym tak, jakby ścięła go łopata krojenia sera.

– Jesteś pewien?

– Tak! Tak! – Zmrużył oczy, a jego usta rozdziawiły się w maniackim uśmiechu. – Potrzebowaliśmy płaskiego miejsca. Dużego... otwartego... płaskiego. Tak? Otwartego miejsca

do lądowania. Tak! Ja i SpongeBubba!

– SpongeBubba?

– To właśnie to! To! – Zignorował ją Rashim i kontynuował monolog. – To jest to miejsce! – Jego oczy zaszyły łzami. – Nigdy nie myślałem... ja... ja...

– Ile czasu nam zostało?

– Zeszłej nocy mówił, że trzy dni – rzekł Bob. – To znaczy, że mamy dwa dni, licząc od teraz.

Maddy otarła pot z powiek i zmrużyła wzrok, wpatrując się w majaczące w oddali wzgórze. Nie było znowu aż tak daleko. Czekala ich maksymalnie godzinna wędrówka. Skoro już znaleźli dokładną lokalizację, teraz najwyższa pora zorganizować coś do picia. Nadałaby się nawet brudna woda. Cokolwiek. Jeszcze zdążą pozamartwiać się o choroby – po powrocie do domu.

– Jesteś pewien, że Kaligula nie wie, dokąd zmierzamy? – spytała Sal.

– Wie, Rashimie? Wie, gdzie wylądowaliście? – Maddy przygryzła wargę.

– Bajki... same bajki. Pan Namordnik i ja...

– Rashimie! Wie?

– Cii... – Przekrzywił głowę i popatrzył na nią z wyrzutem. – Mamy sekret. Mówimy... bajki...

– Rozumiem to jako „nie” – powiedziała Sal.

Maddy mocno chwyciła Rashima za ramię.

– Ale wie, że to już wkrótce? Prawda?

W odpowiedzi skinął głową.

– Teraz już na pewno wie, że zniknąłeś – zasepiła się Maddy. – Na pewno będzie cię szukał. Wie, że podróżnicy z projektu Exodus przybyli tu z północnego wschodu?

Rashim przymknął oczy.

– Tego dnia Goście przybyli w rydwanach ze złota... – Śpiewny ton znów zastąpił bełkot.

– Z Rzymu wychodzi tylko jedna droga prowadząca w tamtym kierunku – rzekł Bob. –

Ta.

– No to z niej zejdźmy! – Zaniepokoiła się Maddy i natychmiast rozejrzała się po drodze. Była pusta, nie licząc niewyraźnej plamki kurzu, który unosił się w odległości kilometra. To pewnie samotny wóz albo kupiec. Oby tylko nie pretoriański zwiadowca – jeden z wielu tropicieli, których rozesłano z Rzymu we wszystkich możliwych kierunkach. Nie miała zamiaru tracić ani chwili, żeby się przekonywać.

– Ruszamy – powiedziała, wskazując wzgórze o płaskim wierzchołku. Choć szczyt góry był łysy, jej dolne partie gęsto porastały drzewa. Ukryją się w tych lasach na dzień lub dwa, aż do czasu przybycia grupy zwiadowczej Rashima.

– Idziemy.

ROZDZIAŁ 79

Okolice Rzymu
54 rok naszej ery

– Suche drewno, oto cały sekret – mądrył się Liam. – Jeśli jest wyschnięte jak węgiel, w ogóle nie dymi.

Maddy wpatrywała się w ogień – w świetle dnia ledwie widoczny. Ponad stertą szyszek i gałęzi, pożeranych łapczywie przez przezroczyste płomienie, unosiło się kilka szarych kosmyków dymu, a w powietrzu wirował pierścień spiekoty. Czuć było oczywiście ten charakterystycznie przyjemny zapach ogniska. Poniesie go wiatr, ale nikt nie zauważy, skąd dochodzi. Na pewno nikt z drogi, którą tu przybyli. Uniosła rękę do oczu i przez poruszane lekkim wiatrem gałęzie zawsze zielonych cyprysów spojrzała na gościniec biegnący dwie czy trzy mile od ich kryjówek. Lato było suche, gdyby ktokolwiek pojawił się na drodze, bez wątplenia wzbilby w powietrze pióropusz kurzu. Nic takiego nie zauważyła. Na drewnianym ruszcie skwierczało kilka dzikich zajęcy, które wcześniej złapał Bob. Klon oporządził je od karku po żylaste gicze, zostawiając futerko na łebkach i skokach. W normalnych okolicznościach nie tknęłyby zwierzęcia, które rozpoznawała, ale od samego zapachu pieczystego i intensywnego aromatu chrupkiego mięsa ciekła jej ślinka.

Rashim usiadł w kucki obok ogniska, śliniąc się na widok lśniącego mięsa i chichocząc, gdy tłuszcz skapywał do ogniska.

Maddy znów zmrużyła oczy, próbując przebić się wzrokiem przez gałęzie zarastającego wzgórza lasu i dostrzec ciągnącą się w oddali drogę.

– Myślę, że już jesteśmy bezpieczni. – Godzinę temu widzieli turmę kawalerii, która jak grom przewaliła się po drodze, wzbijając za sobą tumany kurzu. Z takiej odległości nie zdołali dostrzec żadnych szczegółów, ale oddział trzymał zdyscyplinowany szyk i wiedział, czego szuka.

Rashim zaśmiał się wtedy radośnie na widok pogoni. Śmiał się na myśl, że Kaligula przegapi swoje wytęsknione „spotkanie z niebiosami”. Od tamtej pory nie widzieli jednak nikogo. Spojrzała na Irańczyka zwinętego obok ogniska. Żalony szkielet człowieka. Niedożywienie i lata spędzone w ciemnicy: zastanawiała się, jak ludzkie ciało może sobie z tym poradzić.

Zza drzew porastających podstawę wzgórza docierał cichy chlupot wody. Bob i Sal płukali swoje tuniki w małym strumieniu. Znaleźli czystą wodę. Zdatną do picia, w przeciwieństwie do trujących wód Tybru. Po skończeniu przepierki trochę jej tutaj przyniosą.

Maddy podeszła do Liama. Chłopak przycupnął na głazie, skąd miał doskonały widok na okolicę.

– Rana powinna złapać trochę świeżego powietrza – powiedziała, wskazując gestem głowy bandaż ciasno zawiązany wokół talii. W miejscach, gdzie krew przesiąkła przez gazę, pojawiły się krople ciemnej, zakrzepłej krwi. Rana musiała się otworzyć, gdy uciekali z pałacu i brodzili w rynsztokowych ekskrementach. Zaraz po powrocie do domu będą pewnie zmuszeni tak nafaszerować Liama antybiotykami, że zacznie grzechotać jak fiołka tabletek.

– Dobrze. Tylko delikatnie, Mads. – Liam poruszył ramionami.

– Oj, ci-cii. Nie maż się jak dziecko. – Poluzowała bandaż. – Będę ostrożna.

Krzywił się, gdy odwijala opatrunek.

– Przepraszam. Tak boli?

– Nie, nie do końca. Robisz to delikatnie... ale... – Popatrzył na nią niespokojnie. –

...mam wrażenie, że tylko dzięki temu nie rozsypałem się jeszcze na kawałki. – Zaśmiał się nerwowo, nie do końca żartując.

– Och, zagoi się. – Uśmiechnęła się. W Liamie tkwił jakiś pierwiastek niezniszczalności. Może to ten jego głupi, przekorny uśmiech. A może Bóg jednak istnieje i nie schodzi ze zmiany, żeby opiekować się takimi nieszczęsnymi przypadkami beztroskich idiotów.

– Auć! Ostrożniej!

– Przepraszam.

I choć na jego twarzy dostrzegała już pierwsze ślady starzenia, srebrne niteczki włosów, siwą grzywkę nad skronią... nie potrafiła jeszcze wyobrazić go sobie jako Foster. Nie było w nim nic z tego biednego, kruchego starca stojącego u progu śmierci. A może po prostu wołała tego nie zauważać.

„Powinien się dowiedzieć”.

– Prawie gotowe – powiedziała. Ostatnia warstwa wciąż była mokra. Krew jeszcze dobrze nie wyschła. Małymi partiami odczepiała przyklejony do skóry materiał.

– Wolniej, proszę – zaskomlał nerwowo.

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam. – Skrzywiła się na widok bladej skóry, marszczącej się pod wpływem jej delikatnych zabiegów.

Odkleiła ostatni fragment gazy i patrząc na pomarszczone krawędzie rany, pomyślała, że nigdy nie nadejdzie idealna pora, żeby mu o tym powiedzieć... zawsze coś będzie przeszkadzało. Zgrana drużyna, paczka przyjaciół, nie powinna mieć przed sobą sekretów. A ten był ostatni. Zerknęła na Rashima, który ślinił się nad błyszczącym mięsem, bełkocząc do siebie jak Gollum.

– Liamie?

– Tak... o co chodzi?

– Liamie... umierasz.

– Co? To tylko powierzchowna rana...

– Nie, Liamie, posłuchaj... to podróżowanie w czasie cię zabija.

– O czym ty teraz, na wszystkich świętych, gadasz? – spytał, marszcząc brwi.

– Foster mi o tym powiedział. Podróżowanie w czasie cię postarza. Przyspiesza proces starzenia.

Liam milczał.

– Proszę, musiałeś to zauważyć... – podjęła, wskazując jego skroń.

– Oczywiście, że zauważyłem. Ślepy nie jestem. – Wyjął bandaż z jej dłoni i zaczął się nim obwijać z powrotem. – Ani głupi.

– Liamie. Ja...

– Zabija mnie. – Westchnął. – Wiem o tym.

– Wiesz?

Po chwili milczenia skinął głową.

– Domyśliłem się – powiedział i wrócił do owijania się bandażem. – Wiem o tym, od kiedy wróciliśmy z czasów dinozaurów. Pamiętasz Edwarda Chana i te dziewczynę, Laurę? Zrozumiałem wtedy, że to podróż w czasie wywołała ich chorobę.

– Oboje zostali nafaszerowani śmiertelną dawką. To trochę jak choroba popromienna – jest nieuleczalna. Wyrządzonych szkód nie da się naprawić.

– Nie brzmi to najlepiej.

– Nie, nie brzmi. – Usłyszała w swoim głosie ton, którego teraz nie potrzebowała. –

Czekaj, pomogę ci. – Wyjęła mu z dłoni bandaż i założyła opatrunek, zawiązując na końcu węzeł. – Tak mi przykro, Liamie. Tak bardzo mi przykro. Powinnam była powiedzieć ci o tym w momencie, gdy się dowiedziałam.

Spodziewała się wybuchu złości. Ale nie, posłał jej uśmiech. Taki, że serce się krajało: grymas melancholii i utkwione w dal spojrzenie zamglonych od łez oczu, jak u weteranów podczas święta w Dniu Patriotów.

– Liamie?

– Dostałem trochę czasu gratis, Maddy. To prawdziwy dar, nie inaczej.

„Boże, Liamie, dlaczego nie możesz zwyczajnie się wściec, wtedy łatwiej bym sobie z tym poradziła”, pomyślała Maddy.

– Zresztą, zdążyłem już zobaczyć tyle niesamowitości. – Wyszczrzył zęby. – Nieźle na tej transakcji wyszedłem. O co się więc tak zamartwiać, co?

– Jest coś jeszcze.

– Co?

– Liamie... jesteś Fosterem.

– Ha?

– Jesteś Fosterem.

– Wcale nie jestem tak zrzędlivy jak ten stary... – Zaśmiał się.

– Słuchaj mnie, Liamie... mówię, że jesteś Fosterem. Jesteś tą samą osobą.

Po raz drugi w przeciągu kilku minut zdołała go uciszyć.

– Nie wiem, jak to działa. Nie wiem, jak to możliwe, że jesteście tą samą osobą, ale tak przedstawił mi to Foster. – Tłumaczyła nieskładnie. – Może to mieć związek z pętlą czasu, w której żyjemy. Może wszyscy już tu byliśmy, ale tego nie pamiętamy. Może jesteśmy uwięzieni w jakimś olbrzymim trybie historii, która bezustannie obraca się w kółko. Nie wiem. Powtarzam tylko słowa Fostera.

– Jasne... – Liam utkwiał wzrok w skulonym, udręczonym ciele Rashima, w fałdach luźnej skóry, przez którą przebijały się kości. – Jasne...

– To była moja ostatnia tajemnica, Liamie. To wszystko. Wiesz tyle, co ja.

Wlepił wzrok w zwinięte na kolanach ręce.

– Ręce starca – wyszeptał. – Tak zawsze powiadała moja mamuska. Że mam gruzłowate łapska.

– Liamie...? – Delikatnie położyła dłoń na jego ramieniu. –

Liamie... nie wiem, co dokładnie oznacza fakt, że Foster i ty jesteście tą samą osobą, ale to coś ważnego. Ważnego dla całej naszej trójki. Musimy to przemyśleć. Musimy to obgadać. Zrobimy to zaraz po powrocie. Cała nasza trójka...

Usłyszała dźwięk łamiących się gałęzi, a zaraz potem głosy Boba i Sal, którzy wracali znad strumienia.

– Dobrze – zgodził się Liam.

W tym samym momencie ich przyjaciele wyłonili się z cienia rzucanego przez rosłe drzewo. Bob niósł w dłoniach popękany gliniany dzban.

– Znaleźliśmy to! – wesoło oznajmiła Sal. – Bob przytargał wam w tym trochę wody.

– Lepiej późno niż wcale – chrapliwie zarechotał Liam, szczerząc zęby w błazeńskim uśmiechu.

– Zjedzmy coś – zachęcała Maddy.

– Tak, jeść! Jeść! – zaintonował Rashim.

– No wreszcie! Zjadłbym konia z kopytami! Tak nam w brzuchach ssie, że bez was chcieliśmy wziąć na ząb te szaraki. – Zerknął na Maddy. – Dobrze gadam, Mads?

Nagle ogarnęła ją przemożna ochota, aby złapać go w ramiona i ścisnąć do utraty tchu tylko za to, że Liam to Liam.

– Dobrze gadasz.

ROZDZIAŁ 80

Okolice Rzymu
54 rok naszej ery

– Jesteś w stu procentach pewien, że to dzisiaj?

Rashim pokiwał głową, choć nie z takim zapalem i pewnością, na jakie liczyła Sal.

– Dzisiaj, tak, owszem, owszem, owszem!... Pamiętam! – mruczał z irytacją.

Siedzieli ramię przy ramieniu w cieniu rzucanym przez szpaler dzikich krzewów, wpatrując się w łysy wierzchołek wzgórza. Lekki wietrzyk delikatnie poruszał spaloną słońcem trawą i wrzosami. Poranne słońce prażyło jałową okolicę, a oni, choć siedzieli w cieniu, gotowali się pod tunikami i zalewali potem. Czas na skwierczącej patelni włókł się niemiłosiernie.

Sal westchnęła. Nie miała pojęcia, czy ten stary wariat rzeczywiście podaruje im bilet do domu. Był zbyt roztrzepany. Zbyt odklejony. Zbyt dziwny i schizofreniczny. Nie był wiarygodny. Patrzyła na jego szczupłą twarz pokrytą siatką bruzd i zmarszczek, kołtun siwych włosów opadających poplątaną kaskadą na ramiona, przetarcia na głowie wyglądające jak atak łysienia plackowatego. No i na te jego ohydne usta: przegniłe dziąsła i brązowe kikuty spróchniałych zębów. Oddech nieszczęśnika był nie do zniesienia – cuchnął stęchłym mięsem.

Zastanawiała się, ile może mieć lat. Siedemdziesiąt? Osiemdziesiąt? Nie potrafiła tego precyzyjnie określić. Ale jak słusznie zeszłej nocy zauważyła Maddy, siedemnaście lat w drewnianej skrzyni „każdego zwichrowałoby i postarzyło, że hej”.

– Południe. Południe. O tak! Tak! To było koło południa – mruknął do siebie Rashim.

Ale przecież zeszłej nocy twierdził, że przybyli tutaj z samego rana. Właśnie dlatego siedzą tutaj od bladego świtu jak rządek bezmózgich pacynek.

– Maddy?

– Hmm?

– Co, jeśli po powrocie do bazy okaże się, że „Boby”, które chciały nas zabić, nie odeszły? Co? A jeśli na nas czekają?

– Musimy być gotowi na walkę. – Maddy przymknęła oczy. – Zostało ich tylko dwoje, no nie? Mężczyzna i kobieta.

– Chyba.

– Bob upora się z mężczyzną... a my... – Zerknęła na Liama. – ...a my wspólnymi siłami bez trudu pokonamy kobietę. – O ile oczywiście uda nam się wrócić.

– Być może zdołamy wyregulować latarnie tachionowe tak, aby skierowały sygnał na nasze biuro terenowe. – Bob próbował podnieść je na duchu.

„Jeśli się pojawią”. – Sal była przekonana, że dzisiaj nie wydarzy się nic wyjątkowego. Wszyscy czworo przysłuchiwali się tylko bełkotowi starego obłąkańca: „Jutro nadejdzie ten dzień... owszem... teraz pamiętam!”.

Przyszedł ten dzień. I nic.

– Nie chcę tu zostać – powiedziała.

– Wiem – westchnęła Maddy. – Nikt z nas nie chce.

– To już niedługo – zapewniał Rashim. – Obiecuję. Tak! – Starzec wlepił zażawione oczy w dziką łąkę. – To jest to miejsce... na pewno, tak. – Długi szczupły palec wskazywał kołyszące się łodygi trawy. – Tam... ja. Tam wyląduję.

Sal pokiwała głową z powątpiewaniem, jakby chciała powiedzieć: „Tak. A jeśli pomyliłeś się o cały rok? Co? Co wówczas panie Geniusz?”. Trzymała jednak język za zębami. Takie

gadanie nic nie pomoże. Zwłaszcza że i tak wszystkich dopadł pogrzebowy nastrój. Pozostała dwójka, szczególnie Liam, sprawiała wrażenie wyjątkowo spokojnych i rozproszo-nych. Dziewczyny zazwyczaj mogły przecież liczyć na hojną dawkę nie-pohamowanego i zaraźliwego optymizmu, którym promieniował. A w najgorszym razie na jakąś głupią odzywkę, po której wybuchały śmiechem.

– To ja pójde przynieść trochę wody – zaoferowała się.

Nikt jej nie odpowiedział.

– Nie chce ci się pić, Liamie?

Wydawał się bujać w obłokach.

– Maddy?

Drgnęła, jakby ktoś ją mocno szturchnął.

– Hm?

– Wody? Spragniona?

– Hmm... no, strasznie mnie suszy, przydałaby się. – Przeciągle i z uśmiechem popatrzyła na Sal. – Ostrożnie, dobrze? Nie wychylaj się niepotrzebnie. Po okolicy krążą zwiadowcy.

Wczoraj widzieli kilku jeźdźców. Galopowali parami po odległych duktach i gościńcach, bez wątpienia tropiąc zbiegów.

Sal uniosła w górę popękany dzbanek, podniosła się i odwróciła, żeby zejść nad brzeg strumyka szemrzącego u podstawy wzgórza. Pomyślała, że przyjemnie byłoby choć na chwilę zanurzyć stopy

w chłodnej wodzie. Brzeg porastało kilka figowców. Może zerwie kilka owoców, żeby mieli jakąś namiastkę obiadu? Powinno to rozchmurzyć całą gromadkę.

– Niedługo wracam – powiedziała, ale nikt nie zareagował.

Zanurkowała pod zawieszonymi nisko gałęziami, powoli przedzierając się w dół zbocza i ostrożnie stąpając ponad korzeniami, które wiły się zdradliwie po gliniastej ziemi niczym węże morskie.

– Poczekaj, Saleena! – zatrzymał ją głęboki głos.

Odwróciła się i zauważyła Boba, który szedł w jej stronę, kuląc się pod kolczastymi gałęziami.

– Maddy przysłała mnie, żebym na ciebie uważał – powiedział, przechodząc obok i torując im drogę przez gęste poszycie i nisko zawieszzone gałęzie sosen.

– A więc już nie jestem niewidzialną dziewczynką, co?

– Nie. Widzę cię dość wyraźnie – odparł zdeorientowany.

– Bob? Mogę cię o coś zapytać? – spytała, podchodząc do niego.

– Oczywiście.

– Boję się ich... tych innych jednostek pomocniczych. Dlaczego... – Przeszła ponad sękatym korzeniem. – ...dlaczego one chcą nas zabić?

– Nie dysponuję danymi na temat parametrów ich misji, Saleeno.

– Ale przecież widziałeś jedną z nich. Wyglądali dokładnie jak ty. Pochodzili z tego samego miejsca? To bracia i siostry?

Wyprzedził ją kilka kroków i rozsunał gęste zarośla, żeby mogła swobodnie przejść. W dole pobłyskiwał strumień: srebrne pasmo meandrujące przez głązy z krzemienia i piaskowca starte od podmuchów wiatru.

– Jednostka, którą widziałem, była niemal identyczna. Najprawdopodobniej pochodziła z tej samej serii zarodków. Miałem tylko chwilę, żeby zarejestrować identyfikator sztucznej inteligencji. Jej oprogramowanie było raptem o jedną iterację nowsze od mojego. Data narodzin

to dwa tysiące pięćdziesiąty siódmy rok.

– Czekaj. – Zbiegła kilka ostatnich metrów po stromym wale i zatrzymała się przy jednym z głazów, który parzył w ręce. – Czekaj – powtórzyła. – Z tego, co mówisz, wynika, że zrobili was ci sami ludzie. Ta sama firma.

Bob popędził za nią nad brzeg, nieporadnie balansując na pochyłym gruncie.

– Potwierdzam. Jednostka, którą spotkałem została wyprodukowana przez korporację W.G. Systems. Jak ja.

– Kim oni są? W.G. Systems? To jacyś producenci broni?

Bob usiadł na rozgrzanych kamieniach na skraju strumyka.

– Napełnię wodą twój dzbanek, jeśli zechcesz.

– Dzięki. – Wręczyła mu go.

– To jedna z największych i najbogatszych korporacji, jakie istnieją w czasach moich narodzin. Mam na ich temat jedynie publicznie dostępne informacje.

– Powinno wystarczyć.

– Spółka została założona przez Roalda Waldsteina w dwa tysiące czterdziestym ósmym roku. Tego samego roku...

– Mówisz o człowieku, który odkrył podróżowanie w czasie.

– Potwierdzam. W tym właśnie roku uzyskał wiele patentów technologicznych na różne wynalazki. W przeciągu sześciu lat został trzecim najbogatszym człowiekiem świata.

– I to on założył organizację Jeźdźców w Czasie, prawda?

– Nie mam na ten temat żadnych informacji – oznajmił oficjalnym tonem. – Słyszałem jednak, jak Maddy o tym spekulowała.

– Sądzisz, że ma rację?

– To możliwe. Waldstein prowadził kampanię przeciwko podróżowaniu w czasie.

Człowiek ten miał również dostęp do zasobów

i technologii, które posłużyły do założenia Agencji.

– A jednocześnie twierdzisz, że to klony Waldsteina próbowały nas zabić?

– Potwierdzam.

Usiadła obok niego, zanurzając stopy w zimnej wodzie.

– A więc... – Ściągnęła czoło. – Czy to oznacza, że chce nas zabić? Dlaczego? Przecież włożył tyle wysiłku, żeby zwerbować mnie, Maddy i Liama... rozumiesz coś z tego?

– Brak informacji. Istnieje prawdopodobieństwo, że jednostki te zostały pozyskane i zaprogramowane przez inną organizację.

– Podobno tworzymy ściśle tajną organizację. – Nie widziała już w tym żadnego sensu. – Podobno nikt inny o nas nie wie?

– Możliwe, Saleeno, że nie jesteście już tajną Agencją. Pamiętasz, jak Liam wspominał o mężczyźnie nazwiskiem Locke?

– Mówisz o tym templariuszu?

– Potwierdzam. Jeśli nie kłamał, istnieje grupa ludzi, którzy wiedzą o istnieniu Agencji.

Nie wiadomo, czy mają na to niezbite...

Podniosła na niego wzrok, klon zamarł.

– Bob? Czujesz...?

– Częstki. Tak. – Opuścił na nią wzrok. – Rashim miał rację. To dzisiaj.

ROZDZIAŁ 81

Okolice Rzymu
54 rok naszej ery

Maddy i Liam obserwowali młodzieńca z milczącym niepokojem. Długie czarne włosy związane w kucyk, okulary przeciwsłoneczne, koszula w kratę i jeansy. Odwróciła się do Rashima, który drżąc na całym ciele wlepił szeroko rozwarte oczy w przybysza.

– Mój Boże! Czy to ty?

Pokiwał głową, mimowolnie gładząc palcami kontury swojej starej, zapadniętej twarzy.

– Ale on jest taki młody! – wyszeptał Liam.

– Tak – zgodziła się Maddy. – Wygląda na dwadzieścia kilka lat.

– Dwadzieścia siedem – rzekł tęsknie Rashim. – Dwadzieścia siedem.

Nie miało to dla Maddy najmniejszego sensu. Rashim twierdził, że grupa Exodus przestrzeliła lokalizację zrzutu o siedemnaście lat, i że on sam jest tutaj od raptem siedemnastu lat. Czyli musi mieć czterdzieści cztery lata. Odwróciła się i uważniej przyjrzała kruchej postaci. To nie przez podeszły wiek Irańczyk wyglądał jak wyglądał... to lata tortur i niedożywienia, skrajne wyczerpanie i czysta groza związana z pełnieniem roli zniewolonego zwierzaka Kaliguli odcisnęły swoje piętno.

– Co to za żółta rzecz? – wyszeptał Liam.

Dostrzegła metrową postać w kształcie pudełka, która brodziła w wysokiej trawie krok w krok za młodym człowiekiem, rażno maszerującym przez pole z kilkoma metalowymi prętami pod pachami.

– Wygląda jak... – Zaśmiała się odrobinę maniacko. – Nie, to nie może być...

– Co?

„Czy ja już zupełnie tracę rozum? Odchodzę od zmysłów?”

– Maddy? Wszystko w porządku?

– Liamie, to wygląda jak... – Potrząsnęła głową. – Wygląda dokładnie jak ta stuknięta postać z kreskówki, którą oglądałam na kablówce, gdy byłam dzieckiem.

Twarz starca wykrzywił nostalgiczny, bezzębny uśmiech.

– SpongeBubba – zanucił z delikatnym wibrato. – Mój mały SpongeBubba!

Patrzyli, jak młody Rashim zatrzymuje się na polu, wyciąga spod pachy jeden z żelaznych prętów i z całej siły wbija go w spieczoną skorupę gruntu. Uklęknął obok białego palika, a podobny do Sponge Boba robot szybko do niego podbiegł i śmiesznie poruszył plastikowymi ustami. Młodzieniec zadał mu jakieś pytanie i po wysłuchaniu odpowiedzi zaczął przymocowywać coś do pręta – ekran dotykowy lub klawiaturę. Górna część pręta zamigotała na zielono jak dioda nawigacyjna. Za plecami usłyszała czyjeś ostrożne kroki. Odwróciła się: to Bob i Sal skradali się ku nim pomiędzy nisko zawieszonymi gałęziami krzewu.

– Kto to jest? – syknęła Sal.

– On. – Liam skinął na dygoczącą jak galareta postać starego Rashima.

– I Sponge Bob Kanciastoporty – dodała Maddy, sama nie wierząc w swoje słowa.

– To co teraz, Maddy? – spytał Liam.

– Jedno z nas musi do niego podejść i z nim porozmawiać. Ale spróbujmy go nie wystraszyć. Nie chcemy przecież, żeby nam uciekł. – Popatrzyła na pozostałych. Rashim wyglądał jak zdziczały i obłąkany pustelnik. Bob przypominał przerażającego Minotaura, a

pokrywające całą jego postać zaschnięte krople krwi wcale nie czyniły go piękniejszym. Liam i Sal natomiast wpatrywali się w nią wyczekująco jak para słodkich kundelków.

– No to wypada na mnie.

Rashim uklęknął przed drugim markerem obszaru translokacyjnego i mankietem koszuli otarł pot z czoła. Z jednej strony chciał szybko skończyć robotę i bez zwłoki wrócić do domu w dwudziestym pierwszym wieku... ale z drugiej przyjemnie było wdychać to czyste powietrze, cieszyć oko intensywnie błękitnym niebem, nieskażonym przez toksyczne substancje. Przez krótką chwilę chłonać to uczucie faktycznego przebywania w historii, na szczycie wzgórza w Italii... jedynie pięćdziesiąt pięć lat po narodzeniu Chrystusa!

Przybył całkiem sam. Tak było najrozsądniej. Im mniejsza masa do przeniesienia, tym wyższy margines bezpieczeństwa. Zabrał więc tylko jednostkę laboratoryjną. Przecież to raptem pięciominutowa wycieczka do starożytności w celu rozlokowania i przetestowania markerów siatki translacyjnej. Nic więcej.

Wciąż nerwowo rozglądał się wokół z absurdalnym przeczuciem, że lada moment przy akompaniamencie ryczących rogów zwali się tu kohorta legionistów. „Głupota – pomyślał – ludzie zawsze myślą o historii w stereotypowy sposób”.

– Podaj sekwencję referencyjną. Muszę zweryfikować poprawność obliczeń.

– Się robi, *skippa!* – wykrzyknął z entuzjazmem SpongeBubba. – Sekwencja to... jesteś gotowy, Rashimie?

– Jestem gotów. Wal śmiało.

– Dziewięć. Zero. Siedem. Dwa. Dwa. Trzy.

Rashim wprowadzał dyktowane cyfry na przyczepiony do pręta ekran dotykowy.

– Mów dalej.

– Dwa. Dziewięć. Siedem...

Jednostka laboratoryjna zamilkła. Rashim spojrział na nią z wyrzutem.

– No... mów dalej.

– Eee... Rashimie?

– Tak?

– Idzie tu ktoś.

– Co?

Rashim wstał i zobaczył, że przez wysoką trawę zmierza ku nim młoda dziewczyna z grzywą jasnorudych loków. Jej ciało okrywała ciemnoczerwona tunika. Zaklął pod nosem. Sondowali to wzgórze setki razy, próbując wykryć jakiegokolwiek oznaki zmiany gęstości. Nie licząc sporadycznych sygnałów, które mogły zostać wywołane przez przelatującego ptaka czy przechodzącą kozicę, nie wykryli tu niczyjej obecności. Nigdy. Aż do dzisiaj najwidoczniej. „Cholera”.

Nauczył się kilku podstawowych łacińskich zwrotów, ponieważ obowiązek ten spoczywał na wszystkich kandydatach projektu Exodus. Szybko zdjął okulary przeciwsłoneczne, zanim zdążyła podejść wystarczająco blisko, i skrzywił się oślepiiony jasnością dnia. Niestety nic już nie zdąży zrobić ze swoją jaskrawo-żółtą jednostką laboratoryjną i ubraniem. Gdy zbliżyła się na odległość kilku kroków, uraczył ją swoim najbardziej czarującym uśmiechem.

– Hmm... *Salve*. – Miał wrażenie, że udało mu się wymówić to słowo powitania dość poprawnie. Ale później, odrobinę poniewczasie, zauważył okulary na nosie dziewczyny.

– Hej – odrzekła, swobodnie machnąwszy dłonią na powitanie. – Jak leci... doktorze Rashimie Anwar?

Rashim zamarł z szeroko i beużytecznie rozdziawionymi ustami.

Podala mu dłoń.

– Tak, mówię po angielsku. I tak, doskonale wiem, kim pan jest. A tak w ogóle mam na imię Maddy... miło poznać.

– Jak... jak... kim...?

– Wiem. Ciśnie się teraz panu na usta setka pytań. – Uśmiechnęła się. – Proszę się nie martwić. Dobrze wiem, jakie to uczucie.

Nie mógł oderwać wzroku od wyciągniętej ku niemu ręki.

– Wiem wszystko na temat projektu Exodus, doktorze Anwar. No to bez owijania w bawełnę. Pracuję dla pewnych ludzi. Na pewno pan o nas nie słyszał, ale naszym zadaniem jest zapobieganie takim idiotycznym eskapadom.

Rashimowi wreszcie udało się zamknąć usta.

– Jesteś... jesteś z tej słynnej Agencji?

– Słynnej Agencji? – Podejrzliwie zmarszczyła czoło.

– Agencji strażników! Krążą o niej legendy! Jezu! Niejedno o was słyszałem, ale nie byłem pewien czy można wierzyć tym pogłoskom! Choć...

– Legendy?

– Tak... o Agencji. O osławionej Agencji. Do jej powstania rzekomo przyczynił się ten stuknięty miliarder, Waldstein. Czy... czy ona naprawdę istnieje?

Maddy wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, kto dokładnie ją...

– Mój Boże, istnieje! Prawda? – Rashim nie był pewien, czy powinien ją teraz błagać o autograf, czy raczej zwiewać byle dalej. Międzynarodowe prawa regulujące kwestie podróżowania w czasie były jednoznaczne. I bezlitosne. – Jezusie! Myślałem, że tylko my możemy tego dokonać! Że to możliwe wyłącznie z niezawodnym systemem translacji czasowej! – Zaśmiał się nerwowo. – Ale jak to do diabła...? Dostaliśmy gigantyczny grant z budżetu ministerstwa obrony, mieliśmy miliardy dolarów do dyspozycji, a udało nam się jedynie wyprodukować system pozwalający na względnie bezpieczną translację ludzi!

– Proszę mnie posłuchać – przerwała mu, opuszczając dłoń. – Musimy z panem porozmawiać. Otóż projekt Exodus zakończy się katastrofą, doktorze Anwar. Skutki widziałam na własne oczy.

– Co? Wy... zdołaliście nas uprzedzić? Przybyliście tu wcześniej?

Potakująco skinęła głową.

– Chybicie, wylądujecie daleko poza sygnaturą czasową. Czeka was czarny scenariusz, wszyscy umrzecie. Musicie bezzwłocznie przerwać prace projektowe – powiedziała twardo i ponownie wyciągnęła doń dłoń. – Doktorze Anwar... Rashimie. Nie przybyłam tutaj, żeby cię aresztować, skrzywdzić ani ci grozić. Pragnę tylko zapobiec koszmarowi, który was spotka. Czy możemy spokojnie pomówić?

ROZDZIAŁ 82

Okolice Rzymu
54 rok naszej ery

Doktor Anwar przyglądał się starcowi, jego chudym jak patyki rękom zawiniętym wokół kolan, napuchniętym i zdeformowanym jak u artretyka kościom.

Siedzieli w cieniu drzew. Doktor wysączył kilka łyków zimnego roztworu proteinowego z termosu zasilanego ogniwami paliwowymi, po czym podał go siedzącej obok Sal.

– On...? – spytał, wskazując staruszką. – On to ja?

Maddy skinęła głową.

– Grupa Exodus nie wylądowała w lokalizacji wyznaczonej przez twoje latarnie.

– Ale... to niemożliwe. One na pewno przechwycą sygnał cząstkowy. Na pewno...

– Masa – syknął stary Rashim. – Masa. Błędne obliczenia... ja

i ty. Źle porachowaliśmy. Tak!

Kucyk młodzieńca załopotał jak chorągiewka, gdy ten potrząsnął głową.

– Nie, przeliczyłem wszystko kilkakrotnie. Przeprowadziłem dziesiątki symulacji z uwzględnieniem łącznej masy, jaką planujemy wysłać.

– Zmieni się!

– Zmieni?

– Przyspieszą termin translokacji... zmieniają skład kandydatów... wybuchnie panika.

Bajzel! Bałagan! – Starzec mamrotał coś jeszcze, ale ochryply bulgot wiązł w ściśniętym gardle.

– Dlaczego?

Starzec pogrążył się w bełkotliwym monologu. Młody naukowiec nachylił się i mocno chwycił go za chudy jak witka nadgarstek.

– Powiedz mi! Dlaczego przesuną termin Exodusu? Co się wydarzy?

Szczerbaty uśmiech szerniałych zębów starca wyglądał odrażająco.

– Koniec... młody ja!

– Powiedziałeś „koniec”? – Maddy spojrzała nań uważnie.

Zarechotał smutnym śmiechem suchotnika.

– W końcu nam się udało... zniszczyliśmy świat.

– Co?

– Uduśliśmy planetę trującymi oparami... a potem zabiliśmy własny gatunek. Czyste cięcie!

– Jak? Bomby? – pytała Maddy. – Tak wyglądał koniec? To się wydarzyło? Zagłada nuklearna?

Starzec kołysał się jak dziecko rażone chorobą sierocą.

– O nie! – powiedział wreszcie. – Bomby nie zniszczyłyby całego gatunku, ktoś musiałby ocaleć. Ale to? Nie... nie-e-e. Figa. Tego nikt nie mógł przeżyć!

– Czego?

Stary Rashim szatańsko wyszczerzył bezzębne dziąsła.

– Zdaza! Zdaza! Zdaza!

– Czym jest Zdaza?

– Mówi o epizodzie ZDAZA. Zdarzenia Zagłady – odparł młodzieniec. – To katastrofa podobna do wymierania kredowego; wówczas po upadku asteroidy wyginęła cała populacja dinozaurów. – Młodzieniec wzruszył ramionami. – Wcale mnie to nie dziwi. Nasza

rzeczywistość jest straszna. To...

– To nie była asteroida – przerwał mu Rashim, chichocząc. – To Bóg! Bicz Boży!

Epidemia! Tak!

– Mówisz o wirusie?

Starzec przechylił głowę.

– O epidemii.

Maddy wysączyła kilka kropeł roztworu i oddała termos młodemu Rashimowi.

– Powinieneś wiedzieć, że projekt Exodus wywoła falę czasu, która całkowicie odmieni historię. Powinieneś też wiedzieć, że wasze eksperymenty spowodują zniknięcie Nowego Jorku, całej Ameryki początku dwudziestego pierwszego wieku.

– Teraz w tym miejscu jest dżungla – dopowiedziała Sal. – Dzicz.

– Chryste! Ale to właśnie skażenie czasoprzestrzeni jest naszym celem! Przyszłość jest martwa! Nie rozumiecie? Gatunek ludzki nic już nie osiągnie! Ale może powrócić do korzeni! Projekt Exodus to zakrojona na szeroką skalę translokacja najtęższych umysłów i organów wykonawczych ze Stanów Zjednoczonych do epoki starożytnego Rzymu. Mamy broń, lekarstwa, technologiczne bazy danych i specjalistów z niemal każdej dziedziny! Żołnierzy...

– Nie wiem, jak szczytne idee i intencje przyświecały twórcom projektu Exodus, ale wiem jedno: wyszła kaszana. – Skinęła głową na starca kulącego się tuż przy niej, który znów pogrążył się w bełkotliwym monologu. – Ten cień człowieka to jedyny ocalały uczestnik projektu Exodus. To pan, Doktorze Anwar! Tak chce pan skończyć?

– W takim razie wrócę i zaproponuję redukcję masy translacyjnej. Zabierzemy mniej kilogramów, zmniejszy to margines potencjalnego błędu.

– Nigdzie nie wrócisz. – Maddy sprowadziła go na ziemię.

– Co?

– Nie pozwolimy ci na to. Twój przełożeni muszą pomyśleć, że opracowana przez ciebie technika zrzutu zawiodła, a ich metoda translokacji jest zbyt ryzykowna, by kontynuować eksperymenty.

– Proszę. – Rashim nerwowo przełknął ślinę. – Ja muszę tam wrócić.

– Przykro mi – odpowiedziała. – Tak to działa. – Popatrzyła na Boba i Liama, którzy oglądali wyświetlacz zamocowany do jednego ze słupów latarni. Stojąca obok nich jednostka laboratoryjna, przyglądała się temu ze strachem w oczach. Myślała chyba, że za chwilę wyrwą pręt i użyją do gry w krykieta. – Za pomocą twoich latarni wrócimy do naszego czasu. Do dwa tysiące pierwszego roku... obawiam się, że będziesz musiał udać się tam z nami.

Bob wprowadził dane na mały ekran dotykowy, na czubku słupa zamigotało zielone światelko.

– Rozpoczęło się wysyłanie strumienia cząsteczek. Wychwyci je wasza antena transmisyjna.

– Nie dotykajcie tego! – Jednostka laboratoryjna skarciła ich tonem obrażonego dziecka.

– To nie wasze! – Nadąsany SpongeBubba wydał dolną wargę. – Jesteście niegrzeczni!

– Myślisz, że zadziała? – spytał Liam.

– Jeśli sprzęt w bazie nie uległ zniszczeniu i wciąż funkcjonuje, a w generatorze został zapas mocy pozwalający na otwarcie okna czasowego, to powinno zadziałać – odrzekł Bob.

– Mój *skippa* będzie na was bardzo zły! – zatrajkotała jednostka laboratoryjna.

– Co my byśmy bez ciebie zrobili? – Liam posłał Bobowi zmęczony uśmiech.

Bob nie wyczuł szorstkiej czułości pobrzmiwającej w retorycznym pytaniu Irlandczyka.

– Wyhodowali inną jednostkę?

ROZDZIAŁ 83

Okolice Rzymu
54 rok naszej ery

– Ja tam nie wejdę. Nie jadę z wami!

Maddy spojrzała na starca. Sądziła, że jeśli Bob będzie musiał siłą wrzucać kogoś do portalu, to będzie to młody Rashim, nie stary.

– Co? Dlaczego?

Z zaciętą miną potrząsnął głową.

– Chcę... chcę umrzeć tutaj – wysunął podbródek. – Tu... w tym miejscu. Na tym wzgórzu. Na świeżym powietrzu... – Przymknął powieki i wciągnął w nozdrza świeże powietrze, wsłuchując się w zgodny szept długiej trawy i liści poruszanych podmuchami wiatru.

– Shadd-yah! Wcale nie musisz umierać – powiedziała Sal. –

W domu zapewnimy ci opiekę! Podtuczmy. Zaprowadzimy do lekarza! Wszystko będzie dobrze!

– Ja już martwy – zachrypiał, zerkając na swoją młodszą wersję. – Nie zamień się w to... – powiedział, dotykając policzka szponiastym palcem. Uśmiechnął się i przymknął oczy. – Znalazłem cię. Pozwól tym ludziom cię powstrzymać... nas powstrzymać.

– Nie rozumiecie – rzekł młody Rashim. – Świat w moich czasach uległ zagładzie. Zatruliśmy dosłownie wszystko. Całą planetę zamieniliśmy w śmietnisko. Partie ziemi, które nie zostały zalane przez wody oceanu... zamieniły się w składowiska odpadów. Nadzieja umarła!

– Nawet jeśli doprowadziliśmy świat do ruiny... nie możemy igrać z czasem w ten sposób – pouczyła Maddy. – Wszyscy musimy wrócić do domu i przywrócić historii jej naturalny bieg.

– Nie! – Stary Rashim wybałuszył oczy. – Boże... on tam jest. – Wskazał głową błyskającą stroboskopowym światłem latarnię, którą Bob trzymał w zaciśniętej dłoni. – Tam... jest chaos!

Młody Rashim przysłuchiwał się bełkotowi starca z grymasem niesmaku na twarzy.

– To niemożliwe, że zamieniłem się w tego starego szaleńca.

– ...jeśli mnie znajdzie... mnie i Pana Namordnika – trąkotał – ...jeśli nas tu znajdzie, za to co zrobiliśmy, wyśle nas wprost do piekła! Wprost do piekła...

– Dlaczego nie pozwolimy mu zostać? – spytał Liam.

– Słucham? – Maddy miała wrażenie, że się przesłyszała.

– Pozwólmy mu zostać. – Liam patrzył na staruszkę ze współczuciem w oczach. – Popatrzcie tylko na niego... biedak jest kompletnie przerażony.

– Nie możemy go tutaj zostawić! Umrze z głodu albo...

– On i tak zginie, Maddy. Nie przeżyje skoku. Popatrz tylko na niego.

Maddy spojrzała. Musiała przyznać Liamowi rację. Tego człowieka zabiłby silniejszy podmuch wiatru, nie mówiąc już o strumieniu rozrywających komórki tachionów. – Już dobrze. – Uklęknęła obok staruszki i położyła dłoń na jego ramieniu. Wreszcie przestał cicho zawodzić.

– Tego pragniesz, Rashimie?

Odwrócił się i utkwiał w niej wilgotne, zamglone oczy szaleńca. Nie była pewna, czy dobrze ją widzi.

– Rashimie? Słyszysz mnie? Chcesz tu zostać?

– Tak.

– Chcesz zostać tu sam jak palec? My musimy odejść.

Skinął głową i rozdziawił wargi w karykaturze uśmiechu.

– Jest ze mną Pan Namordnik.

Maddy potrząsnęła głową, czuła że nie powinni go tutaj zostawiać, że to złe. Jego mózg zamienił się przecież w papkę. Nie miała pewności, czy wie, gdzie się aktualnie znajduje i kim dokładnie jest.

Ale niespodziewanie w jego oczach błysnęła determinacja. Uśmiechnął się.

– Idźcie. Chcę tego...

– Czego? Czego tak naprawdę chcesz?

Rozłożył ręce.

– Tego. Pozwólcie mi się tym nacieszyć.

Rozejrzała się po płaskim grzbiecie wzgórza: kojący szum suchej trawy, intensywny błękit nieba, falujące hen na horyzoncie krzewy lawendy porastającej szczyty górskie. I spokój.

Spokój i bezbrzeżna przestrzeń.

Maddy zrozumiała. Teraz rozumiała go doskonale.

– Dobrze – wyszeptała łagodnie. – Dobrze... – Uśmiechnęła się i lekko ścisnęła jego ramię. – Smakuj to, Rashimie. Smakuj swoje ostatnie chwile.

W jego oczach zamigotały ogniki zrozumienia, trzeźwości myśli.

– Dziękuję ci.

Wstała i przywołała gestem pozostałych, zostawiając klęczącego starca w wysokiej trawie, gdzie z przekrzywioną głową wsłuchiwał się w łagodny szept wiatru.

– Napełnijcie mu przynajmniej ten dzban. Powinniśmy mu zostawić choć kroplę wody.

– Nie jedzie z nami? – spytała Sal.

– Nie.

ROZDZIAŁ 84

Cheyenne Mountain, Colorado Springs

Projekt Exodus

rok 2069

– Wciąż nic?

Technik z powagą potrząsnął głową.

Doktor Yatsushita wpatrywał się w okienko gęstości wyświetlane na głównym holoeckranie. Współczynnik utrzymywał się na niskim poziomie. Gęstościowy ekwiwalent szumu białego – zwykły międzywymiarowy gulasz. Doktor zdjął okulary i przetarł zmęczone oczy. Już trzy godziny po wyznaczonym czasie powrotu. Nawet minutowe spóźnienie niesło za sobą jednoznaczne implikacje. Tak jak nie można być „trochę w ciąży”, tak nie można „prawie skutecznie” translokować się w czasie.

„Straciliśmy ich. Doktora Anwara i jego niedorzecznie spersonalizowaną jednostkę laboratoryjną” – pomyślał doktor i osunął się na fotel. Pozostali technicy wyprostowali się w krzesłach i zaczęli zerkać sponad monitorów w swoich boksach w stronę kierownika projektu, próbując odczytać coś z mowy jego ciała. Głowy laborantów podskakiwały ponad ściankami działowymi jak łebki surykatek. Yatsushita zacisnął pięści. Właśnie stracił najtęższy umysł w swoim zespole, a w tak wąskiej dziedzinie nie sposób znaleźć kogoś, kto go z miejsca zastąpi.

– Doktorze Yatsushita?

Podniósł wzrok. Stanął nad nim jeden z członków zespołu ds. rozlokowania latarni.

– Właśnie, hmm... wychwyciliśmy słaby sygnał. Przez niecałą minutę jedna z latarni emitowała sygnał, ale to wszystko, co mamy.

– Nic więcej?

Mężczyzna potrząsnął głową.

– Wygląda na to, że właśnie się wyłączyła.

– Albo uległa awarii.

Mężczyzna bezradnie uniósł ramiona. To rzeczywiście bardziej prawdopodobne. Doktor Anwar z naręczem latarni i ten głupi, wściekle żółty robot wtopili się pewnie w jakąś skałę na środku zapomnianego łańcucha górskiego albo zwyczajnie przepadli w upiornym subatomowym rosolu, przez który obliczenia najlepszych na świecie fizyków zajmujących się cząstkami elementarnymi okazywały się nie lepsze od dziecięcych wyliczanek. Ich system wciąż był zbyt awaryjny, żeby ryzykować transmisję ludzi. Doktor Anwar najwyraźniej przecenił precyzję własnych obliczeń. Tak, ich system potrafił wysłać jabłko pięćdziesiąt minut, pięćdziesiąt godzin... pięćdziesiąt dni, a nawet pięćdziesiąt lat wstecz. Ale zawsze jedna na dwie, trzy próby kończyła się porażką: zamiast jabłka dostawali rozpaćkany mus jabłkowy.

– Dobra, wyłączcie to już – westchnął z rezygnacją. Zużywali gigawaty energii, której nie można przecież tak bez końca marnować. Nie w tych deficytowych czasach w każdym razie. – Wyłączyć to! – warknął głośniejszym głosem. Technik translokacyjny skinął głową i szybko obrócił się na pięcie.

Kilka minut później szum mocy – omiatający wiszącą pod dachem hangaru gigantyczną klatkę Faradaya – osłabł i zamarł, rezonując głuchym echem.

Utrata Rashima to utrata kilku miesięcy. Może nawet lat. Skoro wysłanie jednego człowieka na rekonesans terenowy kończy się jego zaginięciem, nie wypada nawet marzyć o

skutecznej translokacji trzystu uczestników projektu.

– Uruchomcie procedurę diagnostyczną! – krzyknął doktor Yatsushita.

Maszyneria pracowała łącznie przez trzy godziny i dwadzieścia dziewięć minut – licząc od momentu, gdy doktor Anwar z niezmaconą pewnością siebie stanął na siatce translacyjnej i zniknął. Muszą się teraz przekopać przez tysiące terabajtów danych diagnostycznych. Z odrobiną szczęścia uda im się zlokalizować jedną zmienną, która została źle obliczona. Choć między

Bogiem

a prawdą, szczerze w to wątpił.

Podróżowanie w czasie było przerażająco losowym procesem.

Jak magia, nie nauka.

ROZDZIAŁ 85

Nowy Jork
2001 rok

Baza była pusta. Samotna tęczęwka kamerki internetowej zamontowanej nad monitorem na środku zabałaganionego biurka omiatała nieprzeniknioną ciemność. Ani śladu ruchu. Ani śladu ludzi: zniknęli i członkowie zespołu, i nieupoważnieni intruzi. Problem tych ostatnich już się rozwiązał. Tymczasowo.

Komputer-Bob został sam i czekał.

Przez oko kamerki zauważył, że roleta została brutalnie wyważona. Powyginane listwy falistego aluminium zalegały w bezładnej płataninie w poprzek framugi, a światło dnia sączyło się przez zieleń listowia i blado oświetlało ponurą ceglana jaskinię.

Komputer-Bob obliczył, że moc generatora wystarczy na utrzymywanie w trybie uśpienia tylko jednego komputera i tylko przez siedemdziesiąt siedem godzin. No, może wycisnie trochę więcej czasu, jeśli odłączy próbówki wzrostowe na zapleczu. Ale to spowoduje śmierć Beki i innych zarodków utrzymywanych w stanie hibernacji.

A tego nie mógł zrobić. Albo nie chciał. Jeszcze nie teraz.

Brak zewnętrznych źródeł danych do przetwarzania i analizy. Tylko ta pusta baza. Tylko ten jeden widok na zabałaganione biurko, niedopitą puszkę Dr. Peppera, papierki od cukierków.

Gdyby monitor nie działał w stanie uśpienia, postronny obserwator dostrzegłby taniec kursora po oknie dialogowym.

> **Informacja: Maddy jest bałaganiarą.**

Ale to akurat żadna nowość. Odpoczywająca sztuczna inteligencja przeszła do roztrząsania dużo istotniejszych spraw. Kim byli intruzi? Kto ich wysłał?

> **Informacja: intruzi mieli identyfikatory i sztuczną inteligencję marki W.G. Systems.**

> **Informacja: protokoły misji intruzów autoryzował użytkownik R.G. Waldstein.**

Nagle wydarzyły się dwie rzeczy, niemal jednocześnie.

Najpierw komputer-Bob odebrał wyraźny i silny sygnał tachionowy. Sygnaturę czasową określono precyzyjnie, a wiadomość była jednoznaczna, wreszcie: „Natychmiast otwórz portal z tą sygnaturą czasową”. Komputer-Bob z miejsca zaczął kierować moc do wehikułu translokacyjnego. Ponowne ładowanie potrwa około dwóch minut, tyle wystarczy, by jedna z diod LED na wyświetlaczu zmieniła kolor z bursztynowego na zielony. Wystarczy, żeby zapewnić margines bezpieczeństwa niezbędny do wytworzenia stabilnego pola mocy wokół portalu.

Zaraz potem podmuch ożywczego wiatru poruszył drzewami na zewnątrz, psotna bryza droczyła się z gałęziami cedru, który wyrósł tuż przed wejściem, w miejscu, gdzie zazwyczaj zalegały hałdy miejskich odpadów.

Wizg wehikułu translokacyjnego w najlepsze konkurował z poszumem szepczących liści, szeleszczących gorliwie pod wpływem kapryśnych podmuchów dmącego wiatru, które zastąpiły łagodną dotychczas bryzę.

Komputer-Bob rozpoznawał prawdziwą naturę tego wiatru. To nagłe przesunięcia rzeczywistości wypychały masy powietrza. Rodzące się możliwości walczyły ze sobą zatopione w gigantycznej ścianie nadchodzących zmian. Pęd powietrza poderwał śmieci zalegające w bazie. Papierowe kubki i papierki po burgerach bawiły się w berka na stole kuchennym. Zasłona

w sypialnianej wnęce załopotiała niecierpliwie na rachitycznym karniszu jak znudzone dziecko próbujące wyrwać dłoń z uścisku nadopiekuńczego rodzica. Tymczasem szum wysysanej z generatora mocy narastał, szum przywodzący na myśl pianie koguta o świcie, szum rozpaczliwie oznajmiający pustej bazie, że system już niemal gotowy. Po raz kolejny kursor przemknął przez czarne okno dialogowe.

> **Przesyłam pole translokacyjne.**

> **Aktywacja bańki wokół biura terenowego.**

Komputer-Bob nie miał emocji. Nie do końca. Miał pliki. Okazywały się użyteczne, gdy żył w silikonowym procesorze W.G. System, wewnątrz genetycznie zaprojektowanego ludzkiego ciała, pozwalały wówczas symulować ruchy mięśni... uśmiech na przykład. Tęsknił za tym. Tęsknił za możliwością wykorzystywania tych plików w określonych celach. Ach, właśnie uznał, że właściwie może to zrobić. Może nie będzie to tak do końca to samo, ale co tam. Sygnał tachionowy to przecież dobra wiadomość. Oznaczał, że członkowie jego drużyny, a przynajmniej jeden z nich, wciąż żyją. A to trzeba uczcić.

Kursor chyżo przemknął kilka pól po ekranie, zostawiając za sobą trzy znaki ASCII.

> **8-)**

ROZDZIAŁ 86

Nowy Jork
rok 2001

Do bazy wpadały podmuchy świszczącego wiatru, ale powietrze rozstało się pod wpływem mniej naturalnego zjawiska. Nad podłogą zmaterializowała się kula pulsującej energii, rozświetlając mrok bazy jasnym niebem Italii i rozpaloną, rdzawą skorupą spieczoną ziemi i suchej trawy.

Najpierw falujący obraz zasłoniły ciemne zarysy postaci, potem jedna z nich, ta największa, wylądowała w bazie. Bob przykucnął z szybkością lamparta, szeroko rozstawił nogi i wyciągnął miecz, szykując się do zadania ciosu. Jego oczy szybko omiatały przyćmione pomieszczenie, penetrując wszystkie tonące w ciemności zakamarki. Schylił się jeszcze niżej i zerknął pod rząd łózek. Przeszedł przez pomieszczenie i przesunął na bok rozsuwane drzwi wiodące na zaplecze. Z magazynku wylał się furkot generatora napędzanego silnikiem diesla. Po przeszukaniu tego miejsca Bob wrócił do głównego pomieszczenia, akurat w momencie, gdy wiatr zaczął przesywająco wyć i nabierać siły wściekłego huraganu. Stał obok błyszczącej orbity śródziemnomorskiego błękitu i gestem przyzywał pozostałe ciemne sylwetki.

– Baza jest pusta! – ryknął ponad ogłuszającym świstem wiatru i trzaskiem wirujących jak na diabliskim młynie gałęzi lasu.

Przeszli jedno za drugim: Liam, Sal, doktor Rashim Anwar ze swoją jednostką laboratoryjną, a na końcu Maddy.

Zmaterializowała się w łuku z przekleństwem na ustach, bo potknęła się o SpongeBubbę i niewiele brakowało, a runęłaby na ziemię.

– Cholera jasna! Z drogi, ciamajdo!

– Przee-praaszam! – odrzyknął SpongeBubba swoim śpiewnym tonem i odczłapał kilka kroków, byle dalej od niegrzecznego dziewczyska.

– Zamknij portal! – ryknęła, próbując przebić się przez kakofonię szalejącej na zewnątrz zawieruchy. Portal zapadł się za nią i zniknął.

– Co się tutaj dzieje? – krzyknął Rashim ponad rykiem wiatru. – To huragan?

– Fala czasu! – odrzyknęła.

– Co?

– FALA CZASU!

Liam ruszył pędem do wyjścia, żeby zaciągnąć roletę, ale stanął jak wryty, gdy zobaczył, że drzwi są w rozsypce.

– Gdzie nasze drzwi?

Jego słowa utonęły w oku wietrznego cyklonu.

Na dworze zapanowała nieprzenikniona ciemność. Pień drzewa – leżący metr od miejsca, w którym ich betonowa podłoga zamieniała się w poszycie leśne – rozplął się... obrócił w kosmyki lepkiej mazi przywodzące na myśl wiotkie nitki cukru wirujące w automacie do robienia waty. W czarnej jak smoła nocy przepoczwarzał się w ulotne obiekty: inne drzewo, skałę... tipi... drewnianą chatkę... monolit z Wyspy Wielkanocnej. Nagle ten czasoprzestrzenny kolaż zamienił się w pokrytą graffiti ceglana ścianę, zawaloną u podstawy stertą śmieci.

Ryk szybko ustawał, cichł, przybierając zgoła inną formę: dało się słyszeć stukot pociągu osobowego przetaczającego się po starych torach mostu Williamsburg, dochodzące ze skrzyżowania na końcu ich małej alejki odgłosy rozgorączkowanego ruchu ulicznego – tak

gęstego, że samochody stykały się zderzakami. Odległe wycie syren policyjnych. Cichy świst helikoptera pikującego nad East River. Ktoś w pobliżu włączył dudniące głośniki na tyle swojego samochodu.

Straszny hałas, fakt... ale to już nie akustyczna apokalipsa sprzed kilku minut.

– Wróciliśmy! – krzyknęła Sal, biegnąc ku wyjściu na alejkę. – Wróciliśmy! Udało się!

Liam skinął głową.

– Wróciliśmy – powtórzył przygaszonym głosem.

Maddy ruszyła przez bazę i po chwili stanęła obok nich w zawałonym wejściu. Wyjrzała na ceglana ścianę, na sterty śmieci zalegające wzdłuż jej podstawy. Wsłuchiwała się w dźwięki Brooklynu – irytujące, niecierpliwe odgłosy miasta pogrążonego w błogiej nieświadomości. Miliony ludzi wiodły tu normalne życie, ciesząc się z nic nieznaczących sukcesów i borykając się z nic nie znaczącymi problemami, rozmawiając o codziennych potyczkach politycznych i tocząc cowieczorne sprzeczki rodzinne.

– Maddy? – zaniepokoiła się Sal. – Nic ci nie jest?

– Co teraz zrobimy? – spytał Liam.

Wszyscy patrzyli na nią z wyczekiwaniem. Sal wyglądała jak jej młodsza siostra, zagubiona bez wskazówek starszego z rodzeństwa. Liam – o Boże, biedny Liam – jak zwykle robił dobrą minę do złej gry, ale ona dobrze wiedziała, że bardzo przeżywał rewelacje na swój temat. Bob. Użyteczny, pomocny, lojalny jak labrador, ale – nie mydlmy sobie oczu – to tylko baza danych na muskularnych nogach. A na dokładkę para zbłąkanych owieczek: doktor Anwar i ten głupi SpongeBobb.

„A ja gram rolę ich mamki. To ja muszę decydować, co robić”.

Zabawne, po raz pierwszy od bardzo dawna doskonale wiedziała, jaki będzie ich następny krok.

– Musimy stąd odejść – powiedziała.

– Ha?

Maddy odwróciła się od zawałonej rolety.

– Ktoś doskonale wie, gdzie nas szukać, wie, kiedy nas szukać i wie, kim jesteśmy. Aha, i chce nas zabić. Zabieramy tyle, ile uniesiemy, tylko naprawdę przydatne rzeczy, i spadamy stąd bez ociągania.

– Opuszczamy bazę? – Liam uniósł brew.

– Tak.

– Ale... teraz?

Maddy skinęła głową.

– No, teraz. Teraz.

HISTORIA, JAKĄ ZNAMY

Kaligula zostaje cesarzem.

37 rok naszej ery

Kaligula ginie w zamachu,
władzę obejmuje Klaudiusz.

41 rok naszej ery

Ostatni rok panowania cesarza Klaudiusza.

54 rok naszej ery

Nowy Jork jaki znamy

– zatłoczony, hałaśliwy, kolorowy.

2001

PRZESUNIĘTA HISTORIA

Uczestnicy projektu Exodus — 300 kandydatów z 2070 roku — przybywają do Rzymu w czasie rządów Kaliguli, siedemnaście lat za wcześnie! Próbują wprowadzić w życie plan podporządkowania sobie władcy Rzymu...

37 rok naszej ery

Rzym pogrążony w anarchii — Kaligula wciąż jest u władzy i więzi doktora Rashima Anwara, ostatniego ocalałego uczestnika projektu Exodus i jedyne go człowieka, który jest w stanie zapobiec uruchomieniu projektu...

54 rok naszej ery

Nowy Jork już nie istnieje.

2001

POSŁOWIE

Katon i Macro to para bohaterów, których od dawna pragnąłem umieścić w świecie Jeźdźców w Czasie. Mają oni jednak własną serię książek (cykl rzymski autorstwa Simona Scarrowa). Opowiadają one o żołnierskich przygodach dużo młodszych wersji tych dwóch druhów. Jeżeli polubiliście ich towarzystwo, gorąco zachęcam was do sięgnięcia po powieści z tego cyklu. Pierwsza część nosi tytuł *Orły Imperium*. Bardzo dziękuję mojemu bratu Simonowi, że pozwolił mi użyć swoich postaci w tej książce. Dwaj wiarusi po raz kolejny okazali się wspaniałymi towarzyszami zabawy.